

T H R I L L E R

Harry Dolan
ZŁE RZECZY
SIĘ ZDARZAJĄ

Zapierający dech w piersiach debiut.
DOUGLAS PRESTON

Ku***sko dobra książka. Wciągnęła
mnie całkowicie.
STEPHEN KING

Cholernie dobra historia.
KARIN SLAUGHTER

Trzymająca w napięciu, całkowicie
absorbująca czytelnika.
NELSON DE MILLE



R eplika

Harry Dolan
Złe rzeczy się zdarzają

Przełożyła: Natalia Mętrak

Tytuł oryginału Bad Things Happen

Wydanie oryginalne 2009

Wydanie polskie 2010

David Loogan, przyjmując pracę redaktora w magazynie specjalizującym się w opowieściach z dreszczykiem, nie spodziewał się, że wkrótce znajdzie się w samym środku historii rodem z kart swojego czasopisma. Kiedy jego szef błaga go o pomoc w ukryciu ciała, a David dodatkowo ma romans z jego piękną i ponętą żoną, łatwo można domyślić się że złe rzeczy się zdarzają....

Rozdział 1.

Łopata musi spełniać pewne wymagania. Spiczaste ostrze. Krótka rączka, którą da się manewrować w ograniczonej przestrzeni. Mężczyzna znajduje to, czego mu trzeba, w dziale ogrodniczym dużego supermarketu.

Wkłada łopatę do wózka i idzie powoli szerokimi alejkami, zbierając po drodze kilka innych produktów - baterie paluszki, torbę kompostu, puszkę środka na chwasty. Dwie pary skórzanych, roboczych rękawic. W dziale spożywczym wybiera cztery zapakowane w folię kanapki i zgrzewkę wody w butelkach.

Przy kasach stoją kolejki. Wybiera jedną z nich. Fluorescencyjne światło miga nad jego głową, kiedy zastanawia się, ile wyniesie rachunek. W jego portfelu znajduje się karta kredytowa na nazwisko David Loogan. Nie jest to nazwisko, pod którym się urodził, ale teraz tak się nazywa. Ma zamiar użyć karty kredytowej.

Szybko kalkuluje w myślach i dochodzi do wniosku, że wystarczy mu pieniędzy.

Kolejka przesuwa się, a on myśli, że wszystko szybko załatwi; myli się jednak. Kasjerka chce porozmawiać.

- Wydaje mi się, że już pana kiedyś widziałam - mówi.

- Nie sędzę.

Jest wysoka, szeroka w biodrach, wciąż atrakcyjna, choć ostre światło podkreśla jej zmarszczki pod oczami i wokół ust.

- Wygląda pan znajomo - mówi.

Mężczyzna, który nazywa siebie Davidem Looganem, nie chce być niczym znajomym. Chce być niedookreślony. Nierozpoznawalny.

- Może widziałam pana tu, w sklepie - sugeruje kasjerka.

Mężczyzna uśmiecha się obojętnie.

- Pewnie tak.

Układa rzeczy na ladzie. Kasjerka podnosi łopatę ostrzem do góry, żeby zeskanować kod umieszczony na trzonku.

- Pewnie jest pan ogrodnikiem - mówi.

Powinien potwierdzić i nie przejmować się więcej, denerwuje się jednak. Chciałby odpowiedzieć: „jestem redaktorem”, ale się powstrzymuje. Prawda się nie nadaje. Już lepsze jest pierwsze kłamstwo, które przychodzi mu do głowy.

- Jestem żonglerem - mówi.

To błąd. Kasjerka uznaje, że jest uroczy. Uśmiecha się, odkłada łopatę i spokojnie sięga po torbę z kompostem.

- Musi pan być niezły - mówi beztrąsko. - Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś żonglował łopatami. Ale jedna chyba nie wystarczy, co? Powinien pan mieć trzy.

W takim razie będzie uroczy.

- Już mam trzy - mówi. - Każdy może żonglować trzema. Dopiero cztery stanowią wyzwanie.

- To musi być niesamowite - mówi ona. - Gdzie pan występuje? Na dziecięcych imprezach?

On odczekuje chwilę i odpowiada poważnie:

- Na ogrodowych koktajlach.

- Aha. Jest pan pewien, że nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej?

Kasjerka flirtuje. Loogan podejmuje decyzję. Kiedy kobieta nabija na kasę kody kanapek, patrzy na jej palce. Kasjerka nosi obrączkę.

- Mogłabym przysiąc, że już się spotkaliśmy - mówi. - Może chodziliśmy do tej samej szkoły?

- Ja nie chodziłem do szkoły - mówi on. - Jestem żonglerskim samoukiem.

- Mówię poważnie. Wydaje mi się, że chodziliśmy razem do liceum.

- Nie chodziłem tu do liceum.

- Cóż, ja też nie - mówi ona. - Poza tym minęło sporo czasu. Ale przypomina mi pan jednego chłopaka z mojej klasy. Za chwilę przypomnę sobie nazwisko.

Pakuje rękawice i baterie do jednej torby, środek na chwasty do drugiej.

- Dennis - mówi nagle, podnosząc wzrok. - Albo Daniel?

David Loogan podnosi łopatę, a w jego głowie pojawia się nagła wizja. Wyobraża sobie wbijanie ostrza łopaty w szyję kasjerki.

- Ted - mówi. - Nazywam się Ted Carmady.

Kobieta uśmiecha się i kręci głową.

- Jest pan pewien?

- Tak.

Kasjerka wzrusza ramionami.

- No to się pomyliłam.

On wkłada łopatę do wózka, ona czyta kwotę do zapłaty i kasuje. Jemu wydaje się, że kobieta się zawstydziła, ona jednak bazgrze coś na paragonie. On, wychodząc, patrzy na niego, widzi jej imię (Allison) i numer telefonu. Dyskretnie zgniata papierek.

Na parkingu Loogan poprawia kołnierz swojego czarnego skórzanego płaszcza i patrzy na zegarek. 21:30, środa, październik. Pada deszcz, a samochody błyszczą w żółtym świetle wysokich lamp.

Lampy uspokajają go. Nie boi się ciemności, ale czasem czuje się nieswojo, kiedy wychodzi z domu po zmroku. Parkingi natomiast go stresują. Serce bije mu szybciej, kiedy słyszy echo kroków na ciemnym parkingu.

Loogan idzie spokojnie wzdłuż zaparkowanych samochodów, popychając przed sobą wózek. Niepokoi się nieco, kiedy widzi mijającego go chudego mężczyznę o wyblakłej twarzy i pustych oczach. Bluza z kapturem, spodnie podarte na kolanie. Prawa ręka w kieszeni bluzy.

Do Loogana dociera nagle brzęczenie lamp, furkot kół wózka.

Wszystko w porządku - myśli - nic się nie dzieje.

Kiedy mężczyzna jest już blisko, wyjmuje rękę z kieszeni. Loogan widzi coś srebrnego. Metal - myśli. Ostrze. Nóż.

Instynktownie wyciąga rękę, żeby chwycić mężczyznę za nadgarstek, powstrzymuje się jednak w porę. Chudy mężczyzna przechodzi obok, trzymając przed sobą srebrny telefon komórkowy. Mruczy pod nosem słowa, których Looganowi nie udaje się dosłyszeć.

Mężczyzna odszedł. Zagrożenie zniknęło. Loogan podchodzi do samochodu. Pakuje łopatę do bagażnika, razem z kompostem i całą resztą. Zamyka bagażnik i prowadzi wózek na puste miejsce parkingowe.

Brzęczenie lamp zmienia się w ciszę. Wszystko wraca do normy. David Loogan jest zwykłym klientem. Nikt nie mógłby pomyśleć inaczej. Otwiera drzwi samochodu i siada za kierownicą. Nie wygląda wcale jak człowiek, który jedzie wykopać grób.

Mężczyzna, który przyjął nazwisko David Loogan, zamieszkał w Ann Arbor w marcu. Wynajął mały umeblowany domek w zachodniej dzielnicy - drewniany, ze spiczastym dachem, z gankiem na przedzie i małym, ogrodzonym ogródkiem z tyłu.

Spędzał dnie w okolicach ulic Liberty i State, czytając gazety w kawiarniach i oglądając filmy w Michigan Theater. Obserwował studentów, przysłuchiwał się ich rozmowom. Nie wyróżniał się w tłumie - mógł zostać uznany za doktoranta albo młodego wykładowcę. Miał trzydzieści osiem lat.

Dom stał na rogu trzyjezdniowej ulicy i należał do profesora historii, który wyjechał na urlop naukowy gdzieś za ocean. Zostawił zaniedbany ogród i przez kilka dni w kwietniu Loogan próbował się nim zająć. Kupił nasiona i zasiał je. Podlewał, czekał. Kwiaty nie wyrosły.

Pewnego dnia w maju znalazł w kawiarni pozostawione przez kogoś czasopismo z opowiadaniem, zatytułowane „Szare Ulice”.

Zamówił cappuccino, usiadł w fotelu i przeczytał opowiadanie o mężczyźnie, który został wrobiony w morderstwo przez piękną i tajemniczą kobietę.

Następnego dnia wysprzątał biurko profesora, zbierając z niego książki i papiery. Włączył komputer i zaczął pisać opowiadanie o mordercy, który bał się parkingów. Skończył je po trzech dniach.

Wydrukował, przeczytał jeden raz, po czym podarł i wyrzucił do kosza.

Napisanie drugiej wersji zajęło mu cztery dni. Uznał ją za ledwie znośną. Przez tydzień wydrukowana wersja leżała na biurku, po czym schował ją do szuflady i zaczął pracować nad trzecią.

Siedział nad nią kilka nocy, póki nie wymyślił fabuły, która go satysfakcjonowała. Morderca stał się bohaterem pozytywnym.

Występował tam też czarny charakter i kobieta, którą morderca uratował przed czarnym charakterem. Punkt kulminacyjny rozgrywał się na dachu parkingu. Loogan zastanawiał się, czy kobieta powinna zostać z mordercą, który ją uratował, doszedł jednak do wniosku, że lepiej będzie, jeśli od niego odejdzie.

Kiedy był już zadowolony z zakończenia, wydrukował kopię opowiadania z tytułem na pierwszej stronie, bez żadnych danych kontaktowych, i wyszukał w swoim egzemplarzu „Szarych Ulic” adres redakcji. Znajdowała się ona na szóstym piętrze budynku stojącego o kilka ulic dalej. Poszedł tam w sobotę. Główne wejście było zamknięte, z tyłu znalazł jednak wejście służbowe - otwarte stalowe drzwi, podtrzymywane cegłą. Obskurna klatka schodowa zaprowadziła go na szóste piętro. Minął biuro księgowych i firmy produkującej filmy dokumentalne, aż zobaczył szklane drzwi, a na nich czarny napis: „Szare Ulice”.

Wydruk przyniósł w czystej kopercie. Była zbyt gruba, by dało się ją wsunąć pod drzwi, na górze było jednak otwarte okienko. Wcisnął w nie kopertę. Usłyszał, jak spada po drugiej stronie drzwi.

Kolejne dni upłynęły mu na zwykłych codziennych czynnościach - chodził do kina i przesiadywał w kawiarniach. Później, pewnej bezsennej nocy zszedł do biura profesora, włączył komputer i ponownie przeczytał opowiadanie, linijka po linijce, nanosząc drobne poprawki. Usuwał słowa i wyrażenia, i odkrywał, że zdania lepiej brzmią bez nich. Następnego dnia wydrukował nową kopię i wieczorem znów poszedł do redakcji, wszedł na górę po wąskich schodach i wrzucił przez okienko kolejną kopertę. Był pewien, że to już koniec. Wynajdywał sobie kolejne zajęcia - chodził do muzeów, galerii, parków. To jednak nie był koniec.

Miał świetną pamięć - przypominał sobie zdania i akapity, przepisywał je w głowie, chodząc alejkami i stojąc przed obrazami.

Podczas kolejnej bezsennej nocy ponownie zszedł do pokoju profesora z zamiarem skasowania pliku z komputera. Siedział tam przez trzy godziny, rozważając dobór każdego słowa, zastanawiając się nad każdym znakiem przestankowym.

Myślał, że zostawi tekst w folderze na twardym dysku. Co by zmieniło wydrukowanie go kolejny raz? Jednak dwa dni później o zmierzchu znów stanął w korytarzu, z kopertą pod pachą. Stał przed drzwiami redakcji i próbował zajrzeć przez szybę w oknie.

Po drugiej stronie może nic nie być - myślał. Może to tylko pusty pokój, w którym na podłodze leżą dwie zakurzone koperty. A teraz miała do nich dołączyć trzecia.

Drzwi otworzyły się.

Mężczyzna, który je otworzył, miał na sobie granatowy garnitur, błękitną koszulę i jedwabny krawat. Akurat wkładał kapelusz - czarny, owinięty pasującą do garnituru wstążką. Spojrzał na Loogana. Jego oczy powędrowały w stronę koperty. Zdjął kapelusz, drzwi otworzył szerzej.

- A, to pan - powiedział. - Proszę wejść.

Wycofał się w ciemność pokoju. Po chwili zapalił lampę. Gestem zaprosił Loogana do środka.

Loogan zrobił kilka ostrożnych kroków.

- Nie mogę zostać - powiedział.

- Dlaczego?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Odpowiedź, która przyszła mu do głowy - ponieważ za chwilę zrobi się ciemno - zabrzmiałaby idiotycznie.

- Niech się pan nie każe namawiać - powiedział mężczyzna w granatowym garniturze.

Jego głos miał oficjalne brzmienie, jak głos aktora powtarzającego kwestie. Wskazał Looganowi krzesło i stanął za biurkiem.

Pomiędzy papierami na pulpicie leżały dwie koperty Loogana, rozcięte na krawędziach.

- Czekałem na pana - powiedział mężczyzna w granatowym garniturze. - Anonimowość była niezłym pomysłem. Brak podpisu wzbudził moje zainteresowanie.

Rzucił kapelusz na sekretarzyk. Loogan milczał.

- To znowu to samo czy coś nowego?

Patrząc na leżącą na jego kolanach kopertę, Loogan powiedział:

- To samo. Naniósłem nieco poprawek.

- Musi pan uważać. Jeśli będzie jeszcze lepsze, nie będę mógł go opublikować - mężczyzna usiadł za biurkiem. - Czekałem na pana, ponieważ chciałem coś panu zaproponować. Chciałbym, żeby pan dla mnie pracował.

To było nieoczekiwane. Loogan zmarszczył brwi.

- Tak naprawdę nie jestem pisarzem.

- Nie potrzebuję kolejnego pisarza. Mam tu mnóstwo coraz gorszych pisarzy. Potrzebuję redaktora.

Loogan uniósł się na krześle.

- Nie sądzę, żebym się nadawał. Nie mam odpowiedniego wykształcenia.

- Nikt nie ma - powiedział mężczyzna. - Szkoły na nic się zdają. Nikt nie może postanowić, że zostanie redaktorem. To coś, co po prostu się przytrafia, jak żółtaczka - wskazał na koperty Loogana.

- Podoba mi się to, co pan zrobił - powiedział. - Drugi szkic jest znacznie lepszy od pierwszego. Pytanie brzmi: czy potrafi pan tak samo dobrze poprawić cudzą historię?

Loogan wyrzął przez okno. Ściemniało się. To żaden problem - pomyślał. Zawsze możesz odmówić.

- Myślę, że bym potrafił - usłyszał swój głos. - Ale nie szukam pracy. Nie sądzę, żeby podobało mi się codzienne przesiadywanie w biurze.

Mężczyzna w granatowym garniturze rozparł się wygodnie w fotelu.

- Nie musi pan tu przychodzić. Może pan pracować w domu. Nie musi pan pracować według planu. Ale jedno musi pan zrobić.

- Co?

- Musi mi pan powiedzieć, jak się pan nazywa.

Moment wahania. Potem odpowiedź:

- David Loogan.

- Tom Kristoll.

Rozdział 2.

Tom Kristoll mieszkał w domu stojącym na zalesionym wzgórzu, z widokiem na rzekę Huron. Był to potężny budynek, składający się z grubych drewnianych pali i wielkich szklanych okien. Dach wyłożony był łupkowymi dachówkami, a szerokie kamienne schody prowadziły do basenu.

W letnie weekendy Kristoll urządzał przyjęcia dla redaktorów i autorów „Szarych Ulic”. Kiedy Loogan został zaproszony po raz pierwszy, postanowił nie pójść, jednak Kristoll zadzwonił do niego wczesnym popołudniem. Wszystko było już przygotowane,

zapomniał jednak o sosie barbecue. Czy Loogan mógłby kupić go po drodze? Loogan mógł i tak właśnie zrobił. Kiedy przyjechał do jego domu, zastał Kristolla ubranego od stóp do głów na biało, dogładającego grilla. Żona Kristolla ofuknęła męża, że kazał gościowi robić dla nich zakupy, po czym oprowadziła Loogana po domu i przedstawiła go grupie pisarzy i praktykantów.

- To jest David Loogan - mówiła im. - Nowy redaktor Toma.

Laura Kristoll miała na sobie jedwabną bluzkę i rybaczeki. Była szczupłą blondynką. Uczyła literatury angielskiej na uniwersytecie. Większość praktykantów uczyła się u niej. Dbała o to, żeby Loogan zawsze miał pełny kieliszek. Zaproponowała mu ręcznik i strój kąpielowy, na wypadek, gdyby chciał wykąpać się w basenie. Kiedy odszedł w stronę lasu, żeby oddalić się od tłumu, dała mu spokój.

Później, kiedy wychodził, podeszła do niego i powiedziała cicho:

- Davidzie, obawiam się, że nie bawiłeś się dobrze.

- Ależ to nieprawda.

- Zatem przyjdiesz znowu?

- Oczywiście - powiedział, chociaż nie miał takiego zamiaru.

Przez całe lato Loogan dostawał zlecenia od Toma Kristolla. Pracował nad kilkoma opowiadaniem naraz, także w niedługim czasie wydruki walały się po całym wynajętym domu. Na ich stronach widniały jego notatki, sporządzone ładnym, schludnym pismem.

Pewnego lipcowego wieczora Kristoll zadzwonił do niego i zaprosił na drinka. Loogan pojechał do restauracji w centrum, gdzie kelnerka zaprowadziła go do ciemnego pokoju,

oświetlonego tylko jedną szarą, stalową lampą. Kristoll zamówił mu szklankę whisky.

- Nie sądziłem, że zgodzisz się przyjść - powiedział. - Myślałem, że będę musiał cię namawiać. Przygotowałem sobie przemowę: „kiedy zapraszam cię na drinka, masz przyjść i to z przyjemnością” - chciałem powiedzieć.

Loogan chciał wyglądać na zrelaksowanego. Usiadł bokiem, opierając się o ścianę, zgiął jedną nogę, a drugą wyprostował na miękkim siedzeniu.

- Jesteś raczej małomówny - powiedział Kristoll. - Ja jednak lubię ludzi małomównych dokładnie tak samo, jak wszystkich pozostałych. Nie będę prosił, byś zdradzał mi swoje sekrety.

- Nie mam żadnych tajemnic, Tom. Możesz mnie pytać o wszystko.

- Dobrze. Skąd pochodzisz?

- Z Portland.

- Od jak dawna mieszkasz w Ann Arbor?

- Od czterech miesięcy.

- A co robiłeś, zanim cię zatrudniłem?

- W sensie, gdzie pracowałem?

- Tak.

- W cyrku.

- Czy powinienem teraz przypomnieć, że w Ann Arbor nie ma cyrku?

- To nie było w Ann Arbor - powiedział Loogan. - Pracowałem tam wcześniej.

- A zatem uciekłeś z cyrku i przyjechałeś do Ann Arbor?

- Mniej więcej.

- Wielu ludzi robi na odwrót. Co robiłeś w cyrku?

- Byłem zonglerem.

- Nie wiem, czy kontynuowanie tej rozmowy ma jakikolwiek sens.

- Zawołaj kelnerkę, Tom. Niech przyniesie bułeczki, to ci udowodnię.

- A twoje miasto, Portland, jest w Oregonie czy w Maine?

- A co wolisz?

Kristoll zaśmiał się cicho i pociągnął łyk ze szklanki. Loogan sięgnął ręką lampy i opuszkami palców ustawił ją tak, by światło padało na stół. Po chwili kelnerka przyniosła im następne drinki, a oni zaczęli rozmawiać na inne tematy - o jakości prac nadsyłanych do „Szarych Ulic”, o pisarzach w ogóle i o gorącym lecie w Michigan.

Była to miła rozmowa. Później były następne w tej samej knajpie i w biurze Kristolla. Pewnego dnia Kristoll bez uprzedzenia przyszedł do wynajmowanego przez Loogana domu.

- Jeśli nie chcesz, żebym wchodził, możesz mnie posłać do diabła - powiedział.

- Ależ proszę, wejź - zaprosił go Loogan.

Kristoll przyglądał się meblom w salonie i kamiennemu kominkowi. Podziwiał wiszące na ścianach obrazy i grafiki.

- Żadna z nich nie jest moja - powiedział Loogan.

- Oczywiście - powiedział Kristoll.

Kristoll, w odróżnieniu od Loogana, nie miał problemu z mówieniem o sobie. Wychował się na przedmieściach Detroit, w rodzinie z klasy średniej, a do Ann Arbor przyjechał, żeby studiować na Uniwersytecie Michigan. Poznał tam swoją żonę i wraz z grupą przyjaciół założył „Szare Ulice”, na początku pomyślane jako gazeta studencka. Odniosła ona pewien sukces, jej sytuacja pogorszyła się jednak, kiedy Kristollowie wyjechali na

uniwersytet w innym stanie. Kiedy Laura Kristoll wróciła do Ann Arbor, jej mąż przejął pismo od studentów i ponownie objął stanowisko naczelnego.

W kolejnych latach grupa czytelników utrzymywała się na przyzwoitym poziomie, a dzięki internetowi gazeta zdobyła nową publiczność. Kristoll sam zaprojektował stronę internetową „Szarych Ulic” i zamieścił na niej opowiadania z archiwalnych numerów. Blogerzy odkryli tę stronę i komentowali ją. Była wymieniana w artykułach dotyczących wydawania czasopism w internecie. Więcej ludzi czytało „Szare Ulice” online niż na papierze.

- Zdradzę ci tajemnicę - powiedział Kristoll do Loogana pewnego wieczora. Okno w jego biurze było otwarte, nogi trzymał na parapecie. Na biurku stała butelka. - Na samym początku, kiedy byliśmy z Laurą na uniwersytecie, większość opowiadań pisana była przez studentów. Niektóre były nasze, podpisywaliśmy je pseudonimami. Kiedy jednak tworzyłem stronę internetową, wyrzuciłem większość starych opowiadań. Tylko najlepsze trafiły do internetu. Moich tam nie było. Mam wystarczająco dobry gust, by wiedzieć, że się nie nadawały. Wiesz, co to oznacza?

Loogan nie spodziewał się tego pytania.

- Co?

- Że jestem redaktorem. Nikt nie zaczyna jako redaktor, ale jesteśmy nimi, ty i ja. - Kristoll podniósł szklankę z biurka i postawił ją sobie na kolanie. - Chyba zacząłem bredzić. Musisz mi wybaczyć. To wina whisky.

- Myślę, że pijesz jej mniej, niż ci się wydaje.

- To niezłe zdanie. W każdym razie jestem redaktorem.

Wiatr dobiegający zza okna uniósł list z biurka i rzucił go na ziemię. Loogan sięgnął po niego, ale Kristoll kazał mu go tam zostawić.

- Wracaj do domu, Davidzie - powiedział łagodnie. - Słońce już zaszło. Zachodzi bardzo późno o tej porze roku, ale nadszedł już czas.

- Ty nie wychodzisz?

- Zostanę jeszcze chwilę. Zgaś światło, dobrze? Dobranoc.

Loogan cicho stąpał po dywanie. Wychodząc na korytarz, przystanął, żeby zgasić światło. Odwrócił się i zobaczył profil Kristolla, który wciąż siedział przy biurku z odchyloną głową i zamkniętymi oczyma. Drzwi jego biura stanowiły ramę czarno-białej kompozycji - ciemne, krótko obcięte włosy, wyprasowana biała koszula, szare, metaliczne biurko.

Światło lampki padało na skraj szklanki, co czyniło jego twarz trupio bladą. Wyglądał spokojnie i łagodnie. Loogan nigdy wcześniej nie widział go takim.

Loogan zapamiętał ten spokój, tak jak zapamiętał łagodność, czułość głosu Kristolla. Pamiętał obie te rzeczy, kiedy zaczął spać z jego żoną.

Pod koniec sierpnia, w muzeum, Loogan wpatrywał się w ogromne zdjęcie liścia. Był on soczyście zielony, leżał jednak między kamieniami, na żwirze, którego ziarenka znaczyły powierzchnię liścia. Loogan przesunął się w prawą stronę, gdzie wisiało kilka mniejszych obrazków - zwiędłe liście w suchym, popękany błocie. Liście mieszały się z błotem, kiedy wysychało, jego czarne bruzdy wyglądały jak żyły.

Loogan usłyszał swoje nazwisko. Odwrócił się i zobaczył Laureę Kristoll.

- Same liście - powiedziała. - Są tu jeszcze dwie sale z liśćmi. Chodź, pokażę ci.

Kristollowie organizowali przyjęcia przez całe wakacje. Loogan pojawił się na nich kilka razy. Nie znał Lindy dobrze, jednak nie wydawała się ona onieśmielona - wzięła go pod ramię i oprowadziła po wystawie. Składała się ona, faktycznie, z samych liści. Liście po deszczu, liście na dnie strumienia, liście na wiejskich drogach. Liście przyczernione ogniem. Zbliżenie na jeden zeschnięty liść, tak cienki i kruchy, że wyglądał, jakby miał się zamienić w proch. Wciąż lekko trzymała go za ramię, kiedy oglądali ostatnie zdjęcie. Potem powiedział jej, że musi już iść. Że musi popracować. Przeciągnęła dłonią wzdłuż jego ramienia, dotknęła nadgarstka i dłoni. Ich palce splotły się.

- Dobrze, Davidzie - powiedziała.

Zadzwoiła do niego tydzień później. Tym razem wystawę fotografii zorganizowano w galerii w centrum miasta.

- Fotograf jest stąd - powiedziała. - Pracuje z papierem i potłuczonym szkłem. Ale w duchu mam nadzieję, że będą jakieś liście.

Poszli tam następnego dnia. W galerii poza nimi nie było prawie nikogo. Nie spieszili się. Większość zdjęć wyglądała tak, jakby ktoś rzucił zawartością kredensu w kolorowe szkło, a potem to sfotografował. Laura z radością jednak odkryła jedno, które przedstawiało płatki kwiatów wymieszane z kawałkami szkła i podartym papierem, ułożonym w kształt liścia. Od razu je kupiła i umówiła się z właścicielem galerii, że dostarczy je do jej domu po zamknięciu wystawy.

Zaprowadziła Loogana z galerii do antykwariatu, gdzie spędzili pół godziny. Potem zaproponowała kawę, która przeciągnęła się

do obiadu. W milczeniu odwiozła go do domu. Samochód powoli jechał ulicą, raz w słońcu, raz w cieniu drzew. Zaparkowała go i spojrzała przez okno na dom.

- Davidzie - powiedziała - zaprosz mnie do domu.

Podeszła z nim do drzwi, a kiedy je otwierał, położyła prawą dłoń między jego łopatkami. W kuchni przeczytała kilka zdań z opowiadania, które leżało na blacie. Weszła do salonu i przyglądała się przestrzeni. Na stoliku leżały kolejne opowiadania, na nie jednak nie spojrzała. Kiedy się odwróciła, stał obok niej. Podniósł jej dłoń do swojego gardła i powiedział:

- Zaraz wracam.

Sama znalazła łazienkę na dole. Znajdowała się na końcu korytarza. Loogan chodził wokół, zasłaniając okna. Spojrzał na kolekcję płyt profesora, stwierdził, że nie jest zbyt bogata i włączył stację radiową z Detroit, która grała instrumentalny jazz. Kiedy Laura wróciła, odłożyła torebkę. Włosy, które wcześniej miała związane, opadały jej na ramiona. Jej usta były o odcień czerwiejsze. Rozpięła dwa guziki bluzki. Jej skóra była opalona i pełna pieprzyków. Kiedy odwróciła się do niego i otoczyła jego szyję ramieniem, poczuł jej miętowy oddech.

Pocałował ją namiętnie. Najpierw stali, potem siedzieli, potem leżeli, a jej ciało przylegało do jego. Rozbierali się stopniowo, niespiesznie. Kiedy zdjął jej spódnicę, odkrył, że bieliznę zostawiła w torebce. Kochali się na poduszkach rozłożonych na podłodze salonu.

Potem weszli na górę i zasnęli na chłodnych prześcieradłach profesora. Kiedy Loogan się obudził, było ciemno. Był sam. Chciał sięgnąć po zegarek, jednak zostawił go na podłodze w salonie. Zszedł tam i zobaczył, że poduszki zostały z powrotem ułożone na kanapie. Jego ubrania wisiały na krześle, zegarek leżał na kominku. Było po dziewiątej.

Kiedy się ubierał, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Laury.

- Jesteś niebezpieczny.

- Będę, kiedy nałożę skarpetki.

- Pięknie śpisz. Twój sen jest cudem natury. Nie chciałam cię budzić.

- Spanie to jedna z rzeczy, które potrafię najlepiej.

- Zadzwoniłam, żeby powiedzieć, że wszystko w porządku. Nie masz powodu, żeby się martwić. Nie należysz do ludzi, którzy się martwią, co, Davidzie?

- Nie.

- Chciałam tylko uzgodnić zeznania, jeśli w ogóle trzeba je uzgadniać. Ja trzymałam się jak najbliżej prawdy - poszliśmy dziś do galerii, potem do księgarni, a po obiedzie rozstaliśmy się.

- Dobrze.

- To lepsze, niż powiedzieć, że się nie widzieliśmy, że cię nie znam, że nigdy o tobie nie słyszałam.

- Jasne.

- A więc wszystko w porządku. Muszę lecieć. Niedługo pogadamy znowu?

- Tak.

- Dobranoc, Davidzie.

- Dobranoc.

Loogan spotkał się z Kristollem dwa dni później. Sądził, że może się czuć niezręcznie, było jednak dokładnie tak samo, jak zwykle. Pili szkocką w biurze Kristolla po godzinach. Przez chwilę rozmawiali o rękopisach. Kristoll opowiadał o podróży po Europie, którą odbył z rodziną jako nastolatek.

O Laurze wspomniał tylko raz.

- Dowiaduję się o tobie coraz więcej, Davidzie - powiedział. - Poznaję twoje tajemnice.

- Tak? - spytał Loogan.

- Laura mnie wtajemniczyła. Lubisz chodzić do galerii i świetnie znasz się na fotografii. To dwie dodatkowe rzeczy, które już wiem o tobie.

Loogan spotykał się z Laurą regularnie przez kolejne tygodnie. Zazwyczaj przychodziła do jego domu. Raz spotkali się w hotelu, raz w jej biurze na uniwersytecie.

Rzadko mówiła o mężu, nigdy na niego nie narzekała, nie sugerowała, że jest nieszczęśliwa. Loogan spodziewał się jakiejś złośliwej uwagi i obiecał sobie, że skończy z nią, kiedy zacznie podejrzewać, że kieruje nią zła wola. Kiedy jednak wspominała o mężu, zazwyczaj dotyczyło to też Loogana - mówiła o tym, że Kristoll chwalił jego pracę lub skomentował coś dowcipnie.

Pewnego wieczora stanęła nago przed oknem sypialni Loogana i patrzyła na podwórko.

- Tom uważa, że skrywasz jakąś tajemnicę - powiedziała. - Że jesteś człowiekiem z przeszłością. Podejrzewa, że siedziałeś w więzieniu.

Powiedziała to spokojnie, beztróska. Loogan leżał w łóżku i patrzył na nią.

- Naprawdę? - spytał.

- Tak. Tom szanuje kryminalistów. Wysła „Szare Ulice” do więziennych bibliotek za darmo. Opublikował nawet kilka opowiadań napisanych przez skazańców.

- A co takiego zrobiłem, żeby trafić do więzienia?

Odwróciła się od okna i podeszła do łóżka. Wdrapała się na nie i położyła obok Loogana.

- Ach, nic strasznego - powiedziała. - Jakaś defraudacja. Malwersacje, fałszywe czeki. Zdefraudowałeś coś kiedyś?

- Nigdy nie byłem w więzieniu.

- Ja nie sądzę, by chodziło o coś takiego - powiedziała, przebiegając palcem wzdłuż jego obojczyka. - Uważam, że gdybyś już trafił do więzienia, to za coś szalonego. Zbrodnię z miłości. Zawsze popełniają je najspokojniejsi ludzie.

- Tak?

- Potem robiliby wywiady z twoimi sąsiadami, a oni mówiliby: „Wydawał się takim miłym mężczyzną. Nigdy nikomu nie przeszkadzał”.

Uśmiechnął się blado. Zamknął oczy.

- A ty co byś im powiedziała?

Musnęła ustami jego policzek.

- Ja powiedziałabym, że zawsze wiedziałam, że jesteś niebezpieczny.

Tygodnie mijały, była już połowa października. Dni Loogana krążyły wokół Laury Kristoll, Toma Kristolla i „Szarych Ulic”. Pewnego dnia siedział przy kuchennym stole, czytając opowiadanie, kiedy zadzwonił telefon. Usłyszał głos Toma Kristolla. Spytał, czy Loogan mógłby wyświadczyć mu przysługę. Poprosił o łopatę.

Rozdział 3.

Droga zakręcała, a wraz z nią rosnące wzdłuż niej drzewa. Gdzieś za nimi schowana była rzeka Huron. Przednie światła samochodu Loogana oświetlały korę, gałęzie i liście. Krople deszczu padały na przednią szybę. Loogan zwolnił, wypatrując zakrętu, znalazł go i powoli wjechał na długą szosę.

Księżyc oświetlał dach domu. Dwa okna na parterze rozjaśniało srebrne światło lamp, w pozostałych panowała ciemność.

Loogan zgasił silnik, wysiadł i podszedł do drzwi domu. Zostawił zakupy w samochodzie - łopatę, jedzenie. Drzwi otworzyły się od razu. Tom Kristoll wpuścił go do środka.

- Jest po dziesiątej - powiedział. - Chyba nigdy nie spotkaliśmy się tak późno wieczorem. Kiedy zadzwoniłem, nie wierzyłem, że przyjedziesz. Sądziłem, że o pewnej porze po prostu przestajesz istnieć.

- Ale jestem tu - powiedział Loogan.

- Plotę, nie zwracaj na mnie uwagi. Dziękuję, że przyszedłeś. Chcesz się czegoś napić? Pewnie nie chcesz. Ja się już napiłem. Ale jeden drink mi nie wystarczył.

Weszli do salonu. Na skórzanej kanapie stała pusta szklanka. Drewniane pale, wiszące pod sufitem, rzucały cienie. Podłoga wyłożona była kamieniami, a w rogu stał stary kominek, za którego żelazną kratą płonął ogień.

Kristoll szedł po podłodze w skarpetkach. Miał na sobie eleganckie, grafitowe spodnie w paski. Jego biała koszula była pognieciona i częściowo wyjęta ze spodni. Ciężki zarostu na jego twarzy sprawiał, że wyglądał na zabiedzonego.

- Chyba powinienesz usiąść - powiedział Loogan.

Kristoll zamarł. Nagle wydał się świadomy tego, jak wygląda. Wcisnął do spodni krawędź koszuli, przeciągnął dłońmi po twarzy.

- Nie ma na to czasu.

- Dobrze. No to pokaż mi to, co masz do pokazania.

Kristoll poprowadził go przez mrok. Dotarli do drzwi jego gabinetu.

Loogan widział ten pokój już wcześniej i zwizualizował go sobie, kiedy wciąż panowała w nim ciemność - na skraju biurko i wysokie krzesło; trzy okna za biurkiem; po obu stronach półki z książkami. Cztery krzesła między regałami, zwrócone ku sobie, dwa po każdej stronie, tworzące idealny kwadrat.

Światło zapaliło się. Kristoll stał z tyłu. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył Loogan, było przewrócone krzesło. Drugą było ciało.

- Muszę cię spytać o kilka rzeczy - powiedział Loogan.

Trzymał ręce w kieszeniach, wpatrywał się w ciało. Kristoll stał w drzwiach.

- Pytaj - powiedział.

- Zaczniemy od podstaw - czy jesteś pewien, że nie żyje?

- Nie żyje.

- A gdyby żył...

- Nie oddycha. Jego serce nie bije. Nie żyje.

Wyglądał na martwego. Leżał na plecach, jego głowa opadała na lewą stronę. Oczy miał otwarte. Krew na skroni. Lewe ramię rozciągnięte, otwarta dłoń. Błede opuszki palców dotykały ciemnej drewnianej podłogi. Lewa noga zgięta, prawa

wyprostowana. Należało już tylko obrysować jego sylwetkę kredą.

- A ty nie wiesz, kto to jest - powiedział Loogan. - Nigdy go wcześniej nie widziałeś.

- Nigdy - odparł Kristoll.

- A on się tu włamał. To złodziej?

- Trudno to nazwać włamaniem. Drzwi od strony tarasu były otwarte. Ale tak, podejrzewam, że to złodziej.

To mógł być złodziej - pomyślał Loogan. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, był dobrze zbudowany, miał jasne, przerzedzone włosy. Jego twarz była dokładnie ogolona. Ubrany był w czarny golf - odpowiedni kostium dla złodzieja. Do tego brązowe spodnie i mokasyny. Na jego lewym nadgarstku widniał tatuaż przedstawiający krzyżujące się pierścienie.

- Jak się tutaj dostał?

- Samochodem.

- Nie zauważyłem samochodu.

- Zostawił go przy wzgórzu. Wjechałem nim do garażu.

Loogan okrążył ciało.

- Czy jesteś pewien, że chcesz... zrobić to, co zaraz zrobimy?

- Nie może tu zostać - powiedział Kristoll.

- Ale przecież nie jest za późno, żeby zadzwonić na policję. To była samoobrona.

- Oczywiście, że tak.

- Będą chcieli wiedzieć, dlaczego nie zadzwoniłeś od razu - powiedział Loogan. - Ale masz na to odpowiedź. Byłeś w szoku. To zrozumiałe.

- Nie wiem, czy chcę ryzykować. Policja może nie zrozumieć - powiedział Kristoll miękko. Oparł się o drzwi. Patrzył w dół.

- Powiedz mi, co się wydarzyło - poprosił Loogan. - Byłeś tutaj. Przy biurku?

- Tak. Usłyszałem kroki w korytarzu.

- A więc wstałeś.

- Tak. Zobaczył mnie. Chyba nie sądził, że ktoś jest w domu. Podszedł do mnie.

- A wtedy go uderzyłeś. Czym?

Kristoll wskazał na niemal pełną butelkę whisky Glenfiddich, stojącą na stoliku między fotelami.

- Skąd ją wzięłeś?

- Z biurka. Zabrałem ją ze sobą.

- Usłyszałeś, jak ktoś się skrada. Wzięłeś do ręki broń. Ile razy go uderzyłeś?

- Dwa. Może więcej. Nie jestem pewien.

Loogan wyjął rękę z kieszeni i potarł nią kark.

- Byłoby lepiej, gdybyś był pewien. I gdybyś miał świadka.

- Byłem tu sam. Laura wyszła na cały wieczór.

- Dokąd?

Kristoll spojrzał na frontowe drzwi.

- Do swojego biura na uniwersytecie. Miała sprawdzić jakieś kolokwia.

- Kiedy wróci?

- Nie jestem pewien - powiedział Kristoll. - To dodatkowy powód, żeby tego nie przedłużać. Chcę, żeby zniknął, zanim Laura wróci do domu - Kristoll wszedł do pokoju. Górne światło dodało ostrości jego rysom. - Słuchaj, Davidzie, przemyślałem to. Jeśli zgłoszę się na policję, historia trafi na pierwsze strony gazet. Będą o tym mówić. Będę musiał wyjaśniać to wszystkim, których znam. Możesz sobie wyobrazić, jakie to będzie straszne. Nikt nie

będzie już na mnie patrzył tak, jak wcześniej. A to i tak najlepszy scenariusz - spojrzał na ciało. - A w najgorszym razie policja będzie podejrzliwa. Możliwe, że ten facet jest niekarany. Może był wolontariuszem w kościele, miał tragiczne dzieciństwo albo coś w tym stylu. Ktoś w prokuraturze może uznać, że sprawa nadaje się do sądu. A dwie osoby w sądzie stwierdzą, że im się nie podobam. Spędzę cały rok, rozmawiając z prawnikami w salach sądowych. Nie wyobrażam sobie, by dwanaście osób przy zdrowych zmysłach miało mnie skazać, ale kto wie? - Kristoll zamilkł na chwilę, po czym dodał. - Ten facet jest dla mnie niczym. Nie powinien być wchodzić do mojego domu. Nie jest mi przykro, że musiałem mu to zrobić. Nie jest wart nawet minuty mojego czasu. Zamierzam zabrać go gdzieś na pole, zakopać w ziemi i zapomnieć o nim na zawsze - odwrócił wzrok, by spojrzeć na rząd książek. - Boże, zacząłem układać przemowy. Słuchaj, Davidzie, możesz iść, jeśli chcesz. Nie powinienem był do ciebie dzwonić. Poradzę sobie. Nie musisz się w to angażować.

- Już jestem zaangażowany.

- Nie mogę cię o to prosić.

- Już poprosiłeś.

- Wciąż możesz się wycofać.

- To samo chciałem powiedzieć - odparł Loogan. - Uważam, że najlepiej byś zrobił, zgłaszając się na policję. Jeśli jednak podjąłeś już decyzję, jestem z tobą.

Kristoll milczał. Rozluźnił ramiona.

- Dziękuję, Davidzie.

Jego zachowanie zmieniło się nieco. Spokojnie oparł się o krzesło.

- Podejrzewam, że byłeś już na zakupach. Znalazłeś odpowiednią łopatę?

- Tak.

- Mam trzy w garażu, ale ich rękojeści są za długie. Do niczego się nie nadadzą... w ograniczonej przestrzeni.

- Ta powinna się nadać.

- Zniszczymy sobie ręce. Powinienem był ci powiedzieć, żebyś kupił rękawice.

- Kupiłem - powiedział Loogan. - Kupiłem też wodę i kanapki. I jeszcze ziemię, i płyn przeciw chwastom.

- Po co?

- Jako kamuflaż. Kasjerka pytała, czy jestem ogrodnikiem.

Kristoll roześmiał się.

- Słusznie zrobiłem, dzwoniąc do ciebie.

- Zobaczymy - powiedział Loogan. - Teraz musimy opracować plan. Mówiłeś coś o polu, ale nie podoba mi się ten pomysł. Lepszy byłby zalesiony teren.

- Ale nie tutaj.

- Nie. Gdzieś po drugiej stronie miasta. Zastanówmy się. Tymczasem musisz coś dla mnie zrobić.

Kristoll spojrział na niego ze zdziwieniem. Loogan dotknął rękawa jego koszuli.

- Musisz się przebrać.

Okna w gabinecie były zasłonięte, kiedy jednak Kristoll wyszedł, Loogan zapalił lampkę i wyłączył górne światło. Przesunął lampkę bliżej ciała i ukląkł. Pomacał kieszenie mężczyzny - były w nich monety, ale nie było kluczy. Zapewne zabrał je Kristoll, żeby przestawić samochód. Delikatnie odwrócił

ciało, aby sięgnąć do tylnych kieszeni spodni. Znalazł chusteczkę, portfela nie było.

Nagły impuls kazał mu przystawić dłoń do nosa i ust mężczyzny. Nie poczuł oddechu. Położył dwa palce na jego nadgarstku. Ciało nie było ani ciepłe, ani zimne. Oczywiście nie wyczuł pulsu. Delikatnie uniósł dłoń mężczyzny i spojrzał na opuszki palców. Za paznokciami zobaczył krew. Opuścił rękę na podłogę i wstał. Drżał, jego serce waliło mocno w piersi.

Znów spojrzał na ciało. Był pewien, że powinien znaleźć coś jeszcze. Prawa skarpetka mężczyzny opadła na kostkę, widać było kawałek bladej skóry. Loogan ukląkł i podniósł nogawkę. Na nodze widniało wgniecenie, linia zbyt głęboka, by mogła zostać odcisnięta przez skarpetkę.

Loogan wstał. Usłyszał kroki na schodach - Kristoll włożył ciężkie buty do wspinaczki. Stał w drzwiach, w dżinsach, białej koszulce, rozpiętej flanelowej koszuli i dżinsowej kurtce.

- Wymyśliłem odpowiednie miejsce - powiedział.

Rozdział 4.

Samochód złodzieja okazał się błękitną hondą civic. Jego błotniki były zardzewiałe, a przednia szyba pęknięta, zawieszenie było jednak w porządku, a silnik ruszył gładko. Loogan jechał wzdłuż rzeki, na południowy wschód. Deszcz przestał padać.

Dojechał na skraj miasta, przejechał przez rzekę i skierował samochód na północny wschód. Pomyślał, że wciąż może zmienić zdanie. Nie był nic winien Tomowi Kristollowi. Mógł zatrzymać się na którymś z parkingów. Zostawić tam samochód. Znaleźć budkę telefoniczną, zadzwonić po taksówkę i poprosić, by

zawieziono go do domu profesora. Spakować wszystko, czego potrzebował - zmieściłoby się to w jednej walizce. Kolejną taksówką pojechać na lotnisko i wsiąść do pierwszego samolotu. Następnego dnia rano mógłby być już w innym mieście.

Jechał dalej, pozostawiając światła za sobą. Skręcił na północ, zwolnił, wyszukał wolną przestrzeń między drzewami. Zobaczył dwa drewniane słupy i pokrytą żwirem drogę pomiędzy nimi. Na końcu drogi był parking. Jego krawędzie oznaczone były podkładami kolejowymi.

Zgasił silnik, wyłączył światła. Zakupy leżały obok niego, na siedzeniu pasażera, a w bagażniku miał łopatę i grabie, które zabrał z garażu Kristolla. Wyciągnął butelkę wody i napił się. Zauważył, że drzwi samochodu są otwarte, nachylił się, żeby je zamknąć i poczuł się głupio.

Wysiadł w samochodzie i przystanął obok niego w ciemności, popijając wodę. Powtarzał sobie w myślach, że jest sam, że nikt nie wyskoczy zza drzew, żeby go zaatakować.

Księżyc świecił wysoko nad nim. Pozwolił oczom przyzwyczać się do ciemności i po chwili zobaczył dróżkę prowadzącą do lasu. Na jej końcu stał znak. Z daleka nie widział napisu, ale domyślił się - Marshall Park.

Dziesięć minut później usłyszał dźwięk silnika. Reflektory rozświetliły drogę. Długi, ciemny ford zaparkował obok hondy civic.

Kroki Toma Kristolla były energiczne. Kiedy podchodził do Loogana, żwir trzeszczał pod jego nogami.

- Powinno się udać - powiedział Kristoll. - Miałem rację, prawda? Tego parkingu nie widać z ulicy.

- Nie widać.

- I nikt nie będzie się tu kręcił o tej porze - nacisnął guziczek na swoim zegarku, który zaświecił w ciemności. - Przepraszam, że się spóźniłem - powiedział. - Kiedy wychodziłem, zorientowałem się, że Laura wróci do pustego domu i zobaczy twój samochód, więc zostawiłem jej liścik. Napisałem, że poszliśmy do kina i na drinka. To nie najlepsze kłamstwo, ale będzie musiało wystarczyć.

Kristoll zamknął samochód. Wzięli łopatę i grabie, i ruszyli przed siebie. Kristoll oświetlał drogę latarką. Weszli do lasu i po jakichś dwudziestu metrach dotarli na polanę. Na ziemi leżały gałęzie i zeschnięte jesienne liście. Zostawili tam łopatę i grabie i wrócili na ścieżkę. Przewrócony konar drzewa znaczył drogę.

Ciało złodzieja wynieśli z domu Kristolla na składanym łóżku, które znaleźli w piwnicy. Użyli go znowu, by przenieść je z bagażnika forda Kristolla na polanę. Nie było łatwo je nieść. Kristoll przykrył twarz i górną część ciała mężczyzny białą plastikową torbą. Delikatnie błyszczała w świetle księżyca.

Postawili łóżko na skraju polany, w przestrzeni między dwiema brzoziami. Loogan zdjął płaszcz i rzucił go na ziemię. Kristoll wziął do ręki grabie i zaczął usuwać nimi liście i gałęzie ze środka polany.

Księżyc zniknął za drzewami. Na niebie pojawiły się gwiazdy. David Loogan usiadł na mchu, oparł się o drzewo i wypił ostatnią butelkę wody. Nasłuchiwał głosów, kroków, dźwięku silnika. Nie usłyszał nic prócz oddechu Kristolla i uderzeń jego łopaty o ziemię.

Dobrze im szło. Kristoll zaznaczył w ziemi prostokąt, wycinał kawałki torfu i odkładał na bok. Potem pracowali z Looganem na zmianę, zagrabiając ziemię na jedną stronę i wyrównując, kiedy

góra robiła się zbyt wysoka. Latarka Kristolla, przywiązana chusteczką do drzewa, oświetlała scenę. Grób był coraz głębszy, tak że nad ziemią widać już było tylko głowę i ramiona Kristolla.

Loogan wstał i nałożył rękawice. Jego ramiona były brudne, miał ziemię we włosach, a ubrania przyjęły jej brunatną barwę. Kristoll zdjął kurtkę i flanelową koszulę; biała koszulka była prawie czarna.

Loogan podszedł do krawędzi. Kristoll spojrział w górę.

- Odpocznij, Davidzie - powiedział. - Dam radę jeszcze przez parę minut.

Loogan jednak pokręcił głową i Kristoll ustąpił. Zamienili się miejscami: Loogan usiadł przy krawędzi, pochylił się i złożył dłonie tak, by Kristoll mógł się o nie wesprzeć.

- Jesteśmy blisko - powiedział Kristoll. - Jakieś pięćdziesiąt centymetrów powinno wystarczyć.

Kopali dalej. Znów zamienili się miejscami. Wreszcie Kristoll rzucił łopatę na ziemię i uznał pracę za skończoną. Loogan pomógł mu wydostać się z dziury.

Przenieśli łóżko na krawędź grobu. Przez chwilę w milczeniu stali nad ciałem. Potem chwycili je z jednej strony, przechylili i wrzucili ciało do dziury.

- Coś tu nie gra - powiedział Loogan.

Kristoll podniósł grabie i zaczął zakopywać grób.

- Co masz na myśli?

- Wszystko poszło zbyt gładko. Dwaj mężczyźni postanowili zakopać ciało w lesie i udało im się. Żadnych problemów. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie bardzo.

- Gdybyś przeczytał o tym opowiadanie, na pewno byś je odrzucił.

Kristoll uśmiechnął się. Przeciągnął wolno grabiami po ziemi.

- Gdyby to było opowiadanie - powiedział - złapałbym po drodze gumę. A pomocny policjant zaparkowałby obok. Gdyby to było opowiadanie, pojawiłaby się też tajemnicza blondynka, która prawdopodobnie uderzyłaby mnie czymś w głowę i zrzuciła ze schodów. - Kristoll wskazał grabiami ciało złodzieja. - Gdyby to było opowiadanie, on tylko udawałby, że nie żyje. Bylibyście współnikami, którzy wymyślili całą tę historię, żeby zaciągnąć mnie do lasu i kazać wykopać własny grób. - Rozłożył ramiona. - Jeśli chcesz mnie zabić, użyj łopaty. Proszę tylko nie bij mnie w twarz.

Loogan pokręcił głową.

- Nie mam na to siły. Ale doprecyzowałeś to, o co mi chodziło. Gdyby to była fikcja, wszystko byłoby inne, niż się wydaje. Co więc nam umyka? Powtórzmy sobie nasz plan. Zakopujemy ciało w lesie. Zbieramy narzędzia i butelki po wodzie, tak, żeby nie zostawić dowodów. Wracamy do samochodów, myjemy się, zmieniamy ubrania. Ja jadę samochodem złodzieja, ty ruszasz za mną. Zostawiamy samochód w jakiejś złej dzielnicy. I tyle. Zajęliśmy się ciałem, zajęliśmy się samochodem. O czym zapominamy?

Kristoll chwycił wierzchołek grabi. Oparł brodę o dłoń.

- Cóż, byłeś niechlujny - powiedział. - Nie wytarłeś kierownicy. Zostawiłeś odciski palców.

- Dobra. Wytrę kierownicę. Co jeszcze?

Kristoll zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- A co z pistoletem? - spytał Loogan.

Latarka skierowana była na grób, jednak Loogan dobrze widział twarz Kristolla. Zamarła na chwilę, potem ożywiła się znowu. Jego oczy były oczami kogoś, kto kalkuluje w myślach.

W kącikach ust Loogana zarysował się uśmiech.

- Długo czekałeś, żeby mnie o to spytać, prawda? Byłeś bardzo cierpliwy.

Loogan nie odpowiedział.

- Skąd wiesz o pistolecie? - spytał Kristoll.

Pytanie zawisło w powietrzu. Gałąź, na której wisiała latarka, zakolysała się.

- Złodziej miał na łydce ślad - powiedział Loogan. - Taki ślad, jaki zostaje po zaciśnięciu na ciele skórzanego pasa.

Kristoll zachichotał cicho.

- Jesteś detektywem.

- Nie. Po prostu czytałem dużo opowiadań. Co ludzie przyczepiają sobie do łydek? Kabury. A co trzymają w kaburach?

- Jasne, to podstawy.

- A zatem miał pistolet - powiedział Loogan. - To ciekawe. A co ciekawsze, zabrałeś ten pistolet. Przychodzi mi do głowy kilka powodów. Boisz się. Ktoś włamał się do twojego domu. Planowałeś wyjść z domu w środku nocy i zakopać ciało. Z pistoletem czujesz się bezpieczniej. - Loogan wpatrywał się w słabo oświetloną twarz Kristolla. - Jest jeszcze jeden powód - dodał. - Ale może nie powinienem nic więcej mówić. Nie chciałbyś tego usłyszeć.

- Dawaj.

- Nic nie szkodzi, Tom. Możesz mieć swoje tajemnice.

- Chyba już na to za późno. Powiedz, co chcesz powiedzieć.

- Dobra - powiedział Loogan. - Wzięłeś pistolet, ponieważ byłby kłopotliwy. Twoja opowieść od początku nie trzymała się kupy, ale pistolet uczyniłby ją śmiechu wartą. Mężczyzna włamuje się do twojego domu, prawdopodobnie po to, żeby cię okraść. Jeśli jest złodziejem, musi zdawać sobie sprawę, że ktoś może być w domu. Bierze ze sobą pistolet: powinien trzymać go w dłoni, póki nie upewni się, że dom jest pusty, ale tego nie robi. Gdyby miał w ręku broń, nie dałbyś rady zabić go butelką szkockiej. - Loogan przeniósł wzrok z Kristolla na grób. - A to oznacza, że go znałeś. Nie był złodziejem. Wpuściłeś go do domu. Czuł się bezpiecznie. Nie musiał trzymać broni w ręku, wystarczyło, że była przyczepiona do jego łydki. Tylko wtedy ta historia ma sens. Dlatego musieliśmy go zakopać. Gdyby był nieznanym, mógłbyś po prostu porzucić gdzieś ciało. Co z tego, że ktoś by go znalazł? Nikt by cię nie podejrzewał. Musieliśmy go jednak zakopać, ponieważ go znałeś.

Kristoll odetchnął głęboko.

- Powiem ci, kim był, jeśli chcesz wiedzieć.

- Nie musisz mi nic mówić - powiedział Loogan. - Ale musisz pomyśleć o pistolecie. To jego pistolet. Prawdopodobnie istnieje jakiś sposób, żeby prześledzić, do kogo należał. Jeśli go zachowasz, będzie między wami związek.

- Masz rację, Davidzie. Pozbędę się go.

- Zrób to zaraz. Masz go ze sobą, prawda? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że przyczepiłeś go sobie do łydki.

Kristoll upuścił grabie i wyciągnął prawą stopę naprzód. Nogawka jego spodni uniosła się, ukazując najpierw brązową skórę kabury, potem niklowaną końcówkę uchwytu pistoletu. Kristoll ukląkł na jedno kolano i odpiął pas, potem wstał i wyciągnął pistolet. Podał kaburę Looganowi.

- To oczywiście mały kaliber - powiedział Kristoll, trzymając pistolet w dłoni. - Podejrzewam, że to dwudziestka dwójka albo trzydziestka dwójka. Chciałbym więcej wiedzieć o pistoletach.

Loogan wytarł kaburę koszulką i wrzucił ją do grobu.

- Nie wiem, czy jest naładowany - powiedział Kristoll. - Ani nawet, jak to sprawdzić. Podejrzewam, że jest.

- Z boku powinien być bezpiecznik, który otwiera magazynek - powiedział Loogan. - Ale to, czy jest naładowany, nie ma znaczenia, chyba że zamierzasz go użyć. Nie ma tu nikogo poza nami. Czy chcesz mnie zastrzelić?

Kristoll zacisnął rękę na pistolecie. Skierował jego lufę ku ziemi.

- Nie mam na to siły.

- No to wytrzymaj go i wrzuć do tej dziury - powiedział Loogan. - Skończmy z tym wszystkim i wynośmy się stąd.

Rozdział 5.

- Myliłeś się w jednym, Davidzie. Ten człowiek był włamywaczem. Nie kłamałem.

Jechali na zachód samochodem Toma Kristolla. Kristoll siedział za kierownicą w świeżej koszulce i dżinsach, a Loogan obok niego w pożyczonym szarym dresie. Zostawili niebieską hondę przed obskurnym blokiem.

- Nazywał się Michael Beccanti - powiedział Kristoll. - Poznałem go trzy lata temu. „Poznałem” to nie jest właściwe słowo - tylko korespondowaliśmy. Spodobało mu się kilka rzeczy w „Szarych Ulicach” i napisał mi o tym. Odpowiedziałem uprzejmie. Potem wysłał opowiadanie. Narobił mnóstwo błędów,

a całość nabazgrał w zeszytce w kratkę, ale pomysł był świetny: historia o zemście, jeśli dobrze sobie przypominam. Diler zabija żonę jakiegoś faceta, który potem wywołuje wojnę między tym dilerem a jednym z jego rywali. Pracowaliśmy nad nim, póki nie było gotowe do publikacji.

Napisał kolejne dwa czy trzy opowiadania. Trzeba było dużo nad nimi pracować, ale on miał czas: siedział w więzieniu. Złapali go po serii włamań. Z tego, co mówił, był w tym całkiem niezły. Włamywał się nocami, kiedy było ciepło. Ludzie zostawiali otwarte okna, a on przecinał siatki. Było mu wszystko jedno, czy ktoś jest w domu - działał szybko i cicho. Pewnej nocy jednak jakiś mężczyzna obudził się - zabijaka, śmieciarz, jeśli dobrze pamiętam - i zaczął się na Beccantiego z kijem bejsbolowym. No i policja go miała. Nigdy wcześniej nie był karany, więc liczył na to, że zasądzą tylko dozór sądowy. Policjanci jednak wszystko o nim wiedzieli. Okazało się, że za każdym razem przecinał siatki w ten sam sposób - ciał najpierw na górze, potem na dole, potem na skos, tworząc literę Z. Mieli więc bogatą dokumentację na jego temat. Zamknęli go za trzydzieści jeden włamań. Wymyślili mu nawet przydomek: nazywali go Zorro. - Kristoll patrzył prosto przed siebie. Logan przyglądał mu się z siedzenia pasażera. - Rok temu wyszedł z więzienia stanowego w Jackson. Wrócił do Ann Arbor. Zadzwonił do mnie i bardzo uprzejmie poprosił o spotkanie. Poszliśmy na lunch. Mówił o tym, jak przystosowuje się do świata. Jego kurator znalazł mu pracę przy wyładowywaniu towaru, której nienawidził. Odniosłem wrażenie, że chciałby, żebym pomógł mu znaleźć coś lepszego. Polubiłem go, ale nie chciałem go zatrudniać, nie wpadł mi też do głowy nikt, komu mógłbym go polecić. Nie naciskał. Potem widziałem go jeszcze kilka razy. Raz przyszedł do biura z nowym opowiadaniem. Dałem mu za nie trochę pieniędzy, chociaż nigdy go nie opublikowałem. Wreszcie dzisiaj zjawił się w moim domu.

Przepraszał, że mi przeszkadza i twierdził, że ma coś ważnego do powiedzenia. Nie obawiałem się, wpuściłem go. Weszliśmy do gabinetu, w którym zaczął mi opowiadać o jakiejś kobiecie, którą poznał. Chwilę zajęło mu dojście do sedna, a chodziło to to, że ta kobieta zaszła w ciążę. Teraz musieli zapłacić lekarzom. Potrzebował pieniędzy. Pięć tysięcy dolarów - powiedział. Nie wiem, skąd ta kwota przyszła mu do głowy. Sądzę, że po prostu był ciekaw, ile może dostać. Powiedziałem, że nie mam pięciu tysięcy. Uśmiechnął się, jakby naprawdę go to zdziwiło. Ktoś, kto mieszka w takim domu nad rzeką, nie ma pięciu tysięcy dolarów? Prawda jest taka, że na domu ciąży hipoteka, a dochód z „Szarych Ulic” idzie na kolejne wydania. Laura zarabia więcej ode mnie. Wyjaśniłem mu, że nie ma co marzyć o pięciu tysiącach. Powiedziałem, że mi przykro, ale nic nie mogę dla niego zrobić. Nie wydawał się zdenerwowany, nie podniósł głosu, jednak nie chciał odpuścić. Powiedział, że to może być pożyczka. Odmówiłem. Zasugerowałem, że może się zwrócić do opieki społecznej. Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że cała ta historia zapewne jest kłamstwem. Nie potrzebował pieniędzy na lekarza. W końcu spytałem go: „nie ma żadnej kobiety, prawda?”. Wtedy jego zachowanie się zmieniło.

Roześmiał się. Śmiał się przez chwilę, na moment stracił kontrolę. Nic więcej nie powiedział, jakby doszedł do wniosku, że czas na gadanie się skończył. Siedział na krześle w moim gabinecie, ja siedziałem naprzeciwko. Pochylił się i dotknął swojej nogi. Zobaczyłem skórę i metal. Domyśliłem się, co się dzieje. Kabura. Pistolet. Butelka stała na biurku obok mnie - kiedy wszedł, zaproponowałem mu drinka. Wstałem. Gdy grzebał przy swojej nodze, pomyślałem, że pistolet o coś zahaczył. Wziąłem butelkę do ręki i uderzyłem go w głowę. Myślałem, że butelka się rozbije. Ale nie. Trzymałem ją przed sobą, wpatrywałem się ze zdziwieniem w odwróconą etykietkę. On klęczał na ziemi. Jego

pistolet leżał obok. Nie celował we mnie, ale to nie miało znaczenia. Nie wiem, czy kiedyś spotkało cię coś takiego, Davidzie. Ogarnia cię prymitywna siła. Teraz dopiero zastanawiam się nad tym, jak bardzo mnie poniosło. Może wystarczyło uderzyć go raz, może powinienem tylko wytrącić mu pistolet. Nie wiem. Wiem tylko, że byłem na siebie wściekły, że wpuściłem go do domu. Nienawidziłem go za to, że mnie przestraszył. Chciałem, żeby nie żył. Zamachnąłem się ponownie. Uderzenie nie było satysfakcjonujące. Przy kolejnym bardziej się postarałem. Wycelowałem w jego skroń i uderzyłem z całej siły. Poczulem, jak butelka trafia w jego głowę. Upadł. Podniosłem pistolet i stałem nad nim, trzymając broń w ręku. Nie poruszył się. Po chwili trąciłem go nogą, potem przewróciłem na plecy. Sprawdziłem puls, chociaż wiedziałem, że nie żyje.

Kristoll zamilkł. Przejechali przez miasto i skierowali się na północny zachód, wzdłuż rzeki. Liście powiewały na wietrze. Loogan oparł głowę o szybę i zamknął oczy.

- Nie odzywasz się - powiedział Kristoll po chwili. - O czym myślisz?

Loogan otworzył oczy.

- Zastanawiałem się nad twoją opowieścią - powiedział. - Nie jest zła. Jeśli tobie odpowiada, ja jestem za.

- Cieszę się.

- Tak czysto teoretycznie zacząłem zastanawiać się, ile jest w niej prawdy. Chciałbym wierzyć, że sporo. Chciałbym wierzyć, że przynajmniej dążysz do prawdy.

Kristoll stuknął paznokciem w kierownicę. Wylał kurz z deski rozdzielczej.

- Chciałbym móc powiedzieć ci prawdę, Davidzie.

- Wierzę ci - powiedział Loogan, prostując się. - Może powinniśmy na tym zakończyć. Jest późno, obaj jesteśmy

zmęczeni. Jak już wcześniej mówiłem, możesz przecież mieć swoje tajemnice.

Kristoll ostrożnie pokonał zakręt.

- Jestem ci wdzięczny, Davidzie. Chciałbym, żeby było inaczej, ale... Mam swoje powody.

- Oczywiście, że masz. Nie muszę ich znać. Mężczyzna umarł w twoim domu, to dla ciebie wystarczająco duży ciężar. Szczegóły nie mają większego znaczenia. To ciężar. Nawet jeśli on miał krew pod paznokciami, a ty nie masz na ciele ani jednego zadrapania. Nawet jeśli z kimś innym walczył, nie z tobą. Nawet jeśli to nie ty go zabiłeś.

Następnego dnia Loogan obudził się o drugiej po południu. Kiedy usiadł, poczuł, że bołą go plecy. Nogi bołały go, kiedy schodził po schodach; ramiona, kiedy nalewał sobie wody i sięgał po aspirynę leżącą na górnej półce.

Chociaż brał prysznic poprzedniego wieczora, umył się jeszcze raz i ubrał. O trzeciej był już na kampusie uniwersytetu. Zostawił samochód na jakimś parkingu i przeszedł przez kwadratowy dziedziniec. Słońce świeciło. Usiadł na ławce z widokiem na Angeli Hall. Studenci spacerowali po chodniku, kilku z nich zatrzymało się, żeby podzielić się papierosami. Dwadzieścia po trzeciej Laura Kristoll zeszła po schodach Angell Hall. Towarzyszyła jej dwójka studentów: dziewczyna z długimi kasztanowymi włosami i chłopak z czarnymi wąsami, kozią bródką i ogoloną głową. Loogan rozpoznał ich - przychodzili na przyjęcia do domu nad rzeką Huron.

Wstał z ławki. Laura zauważyła go. Powiedziała coś do studentów, którzy pożegnali się i sami ruszyli dziedzińcem.

Dziewczyna o kasztanowych włosach spojrzała na Loogana i szepnęła coś na ucho chłopakowi z ogoloną głową.

Laura Loogan miała na sobie długi wełniany płaszcz i jedwabny szal. Jej jasne włosy opadały na jedwab. Loogan stał przy ławce, czekając na nią.

- Witaj, Davidzie - powiedziała. - Zdaje się, że byliście wczoraj z Tomem na mieście.

- Tak.

- Kino i drinki - powiedziała. - Chyba więcej było drinków niż kina. Tom spał dziś rano jak suseł.

- Ja też.

- Ty też. Ale nie jak suseł. Ty na pewno spałeś pięknie. A potem wstałeś i przyjechałeś tutaj. - Było to stwierdzenie, spojrzała jednak na niego pytająco.

- Musiałem się z tobą zobaczyć - powiedział Loogan cicho. - Mam nadzieję, że to nie... niedyskretne.

- Nie gadaj głupstw - powiedziała. - Zawsze jesteś dyskretny.

- Czy mógłbym... zająć ci kilka minut. - Chciał, by jego głos zabrzmiał figlarnie. - Moglibyśmy pójść do twojego biura?

- Jesteś słodki, Davidzie, ale mam zebranie.

- Możesz się spóźnić. Chodźmy do twojego biura, muszę ci się przyjrzeć.

Wahała się przez chwilę, po czym odwróciła się bez słowa i weszła z powrotem na schody Angell Hall. Poszedł za nią do biura na drugim piętrze. Zamknęła drzwi i spokojnie podeszła do okna, żeby zasunąć żaluzje. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na krześle.

Potem odwróciła się i przywarła do niego swoim ciałem. Pocałował ją namiętnie w usta, w szyję. Zerwał jej jedwabny szalik, jego palce rozpięły guziki jej bluzki. Odwrócił ją i

wyciągnął jej bluzkę ze spódnicy. Prawą ręką pogłaskał ją po brzuchu, lewą musnął jej szyję.

Odetchnęła głęboko.

- Davidzie, naprawdę nie mam czasu. Będą się zastanawiać, gdzie jestem.

- Chcę tylko cię zobaczyć. Pozwól mi się zobaczyć i będziesz mogła pójść.

Ściągnął jej bluzkę. Rozpiął biustonosz z przodu i pociągnął go w dół. Uniósł jej ramiona, tak by były równoległe do ziemi, i wskazującymi palcami narysował linie od nadgarstków do ramion, potem jeszcze jedną wzdłuż jej pleców. Odwrócił ją twarzą do siebie i narysował jeszcze jedną linię, biegnącą z jej piegowatej szyi pomiędzy małe piersi.

- Tego właśnie chciałem - powiedział.

Oparła się o biurko. Patrzyła na niego niebieskimi oczami.

- Jesteś idealna - powiedział. - Bez skazy.

Chwyciła kołnierz jego płaszcza i przyciągnęła go do siebie. Poczul jej oddech na szyi, usłyszał jedno słowo: „niebezpieczny”.

Upłynął tydzień, nim Loogan znów zobaczył Toma Kristolla. Spotkali się wieczorem. Loogan spędził popołudnie w centrum, oglądając zagraniczne filmy, których fabuły trudno byłoby mu opowiedzieć. Dzień wcześniej pojechał do Toledo, aby obejrzeć wystawę o przetwórstwie szkła. Wcześniej był w teatrze w Chicago i w Detroit na koncercie.

Teraz siedział na huśtawce, na ganku swojego domu i patrzył na padający deszcz. W ręku miał długopis, a na kolanach zeszyt. Robił notatki o tym, co zaprzętało jego myśli w Toledo, w Chicago i w Detroit.

„Człowiek, którego Tom Kristoll nazywa Michaeliem Beccantim, został zabity 7 października w gabinecie Toma, w jego domu nad rzeką Huron.

Martwy mężczyzna miał pistolet przyczepiony do tydki - dlaczego?

Pod paznokciami miał krew, co sugeruje, że walczył ze swoim mordercą. Najprawdopodobniej podrapał go w twarz, szyję, ramiona albo dłonie. Tom nie ma zadrapań w żadnym z tych miejsc.

Laura Kristoll nie ma na ciele żadnych zadrapań. Wydaje się mało prawdopodobne - choć nie niemożliwe - by była wystarczająco silna, żeby zabić człowieka butelką whisky.

Jeśli Beccantiego nie zabiła ani Laura, ani Tom, musiał on zostać zabity przez kogoś innego. Ta osoba zniknęła po morderstwie. Nie została, żeby pomóc pozbyć się ciała - dlaczego?

Możliwe, że Tom ukrywa prawdziwą tożsamość mężczyzny. Być może nie był to Michael Beccanti. Być może Michael Beccanti nigdy nie istniał”.

Deszcz spadł na ganek, woda zmoczyła czubki butów Loogana.

„Martwy mężczyzna, kimkolwiek był, został zabity w domu Kristolla. Morderca jest najprawdopodobniej związany z Tomem i Laurą Kristoll”.

Loogan przerwał. Kogo ze znajomych Toma i Laury znał? Autorów i stażystów z „Szarych Ulic”. Kilku przyjaciół, którzy

przychodzili na imprezy. Rodziców, braci ani sióstr nigdy nie widział.

Zamierzał skoncentrować się na tych, których poznał. Pod nagłówkiem „pisarze” wymienił kilku autorów, których opowiadania redagował. Żaden z nich nie mieszkał w okolicy. W domu Kristolla poznał jednak dwóch miejscowych pisarzy - wysokiego mężczyznę o dziwnym nazwisku Nathan Hideaway i kobietę, Bridget Coştam, która pisała książki o kobiecie detektyw i jej psie. Wpisał ich na listę. Pod kolejnym nagłówkiem - „stażyści” - wpisał: „dziejczyna o kasztanowych włosach - Valerie? Chłopak z kozią bródką i ogoloną głową. Naprawdę powinienem zacząć zapamiętywać nazwiska”.

Na dole strony zapisał:

*„Prawie nic nie wiem o Tomie i Laurze
Kristollach.”*

Loogan podniósł głowę i zobaczył zaparkowany przy krawężniku samochód Toma Kristolla. Ubrany w przeciwdeszczowy płaszcz i kapelusz z rondem, Kristoll przybiegł do niego, trzymając pod pachą cienką prostokątną paczkę, opakowaną w szary papier.

- Co robisz? - spytał.

Loogan zamknął zeszyt i odłożył go.

- Notatki do opowiadania, którego nigdy nie napiszę.

- Nie podoba mi się to - odparł Kristoll. - Jeśli masz jakiś pomysł, powinienesz je napisać. Jeśli chcesz, mogę na nie zerknąć.

- Jeszcze za wcześnie, Tom - powiedział Loogan, wstając. - Wejdziemy do środka?

- Wpadłem tylko na chwilę - powiedział Kristoll. Pochylił głowę, a krople wody spłynęły z runda jego kapelusza. - Nie podziękowałem ci jeszcze za pomoc. Pomyślałem, że należy ci się prezent. Normalnie wybrałbym butelkę whisky, ale to chyba niewłaściwa okazja. Więc przyniosłem ci to.

Podał Looganowi paczkę. Na brązowym papierze widniały krople wody. Loogan rozdarł go i jego oczom ukazała się oprawiona fotografia - potłuczone szkło, płatki kwiatów, kawałki papieru w kształcie liści. Fotografia, którą Laura kupiła, kiedy po raz pierwszy odwiedzili razem galerię.

- Laura ją wybrała - powiedział Kristoll. - Powiedziałem jej, że chcę ci coś kupić. Oczywiście nie wiedziała, z jakiej okazji, ale stwierdziła, że to ci się spodoba. Nie wiem, gdzie to powiesz. Chyba nie jest wystarczająco duża, żeby wisiała nad kominkiem. Może w gabinecie? Podoba ci się?

- Jest przepiękna - powiedział Loogan.

Rozdział 6.

Kolejny raz usłyszał głos Toma Kristolla w piątkowe popołudnie. Leżał na brzuchu na dywanie w salonie, przed sobą miał rozłożone kartki rękopisu. Zaciął się na linijce dialogu - zapisał już siedem wersji w żółtym brulionie. Telefon zadzwonił. Odebrał dopiero przy piątym dzwonku.

- Myślałem, że nie odbierzesz - powiedział Kristoll. - Co robisz?

- Próbuję wymyślić, co szantażysta mógłby powiedzieć do faceta, który pierze pieniądze - odparł Loogan.

- Aha... Nowe opowiadanie?

- Jakie opowiadanie?

- To, nad którym pracowałeś, kiedy się ostatnio widzieliśmy.
 - Nie. To cudze opowiadanie. Tym się zajmuję. Redaguję cudze opowiadania.
 - Do diabła, Davidzie, powinienes popracować nad czymś własnym.
 - Przecież wiesz, za co mi płacą.
 - To się może zmienić - powiedział Kristoll. - Być może powinienem cię zwolnić.
 - Po to zadzwoniłeś? Żeby mnie zwolnić?
 - Nie, ale może to najlepsze, co mógłbym dla ciebie zrobić. Co robisz później?
 - Zależy od tego, czy zostanę zwolniony. A co ty robisz?
- Kristoll milczał przez chwilę. W końcu odpowiedział zamyślonym tonem.
- Zapisuję historię, której nigdy nie opowiem - powiedział. - Tak to ująłeś? - znowu zamilkł. - Tylko, że być może ją opowiem.
 - Co masz na myśli? - spytał Loogan.
 - Być może podjąłem wtedy złą decyzję.
 - Kiedy?
 - Nie denerwuj mnie. Słuchaj, może wpadłbyś do mnie później? Do biura. Napijemy się. Może pokażę ci kilka rzeczy.
 - Dobrze.
 - „Dobrze” - mówisz. Nie wydajesz się specjalnie przejęty. Nie musisz przychodzić. I tak już poprosiłem cię o zbyt wiele. Możesz mi odmówić.
 - Nie mam zamiaru odmawiać - powiedział Loogan. - O której mam przyjść?
 - Koło siódmej.

Prawie całe popołudnie Loogan zajmował się historią o szantażyście i facecie, który prał brudne pieniądze. Jego poprawki zaczęły wypełniać przerwy między linijkami tekstu. O piątej trzydzieści stanął pośrodku pokoju. Dwadzieścia cztery kartki maszynopisu leżały u jego stóp. Wykaligrafowane przez niego litery były równe i porządne, jak w maszynopisie. Nie do odczytania, gdy patrzyło się na nie z góry.

Stał nad nimi dłużej, niż zamierzał. Już miał uklęknąć i zebrać kartki, kiedy usłyszał pukanie. Podeszedł do okna i zobaczył Laurę stojącą na ganku. Uśmiechnęła się i jeszcze raz zapukała w okno.

W kuchennych drzwiach zdjął jej płaszcz i już chwilę później była w salonie. Patrzyła w dół, na rękopis.

- Zastanawiałam się, jak to będzie - powiedziała - kiedy zaskoczę cię w niespodziewanym momencie. Chyba zawsze uważałam, że jesteś inny niż pozostali ludzie. Trudno mi sobie wyobrazić, jak robisz coś prozaicznego - podlewasz kwiaty albo wynosisz śmieci. Albo siedzisz przy biurku z ołówkiem, poprawiając jakieś opowiadanie. Okazuje się, że miałam rację - nie używasz ołówka.

Po prostu wpatrujesz się w kartki, a słowa same wypalają się na papierze.

Zdjęła buty i uklęknęła. Podniosła pierwszą stronę i zaczęła czytać. Jej nogi pod spódnicą były nagie. Loogan zapalił lampkę - światło srebrzyło się na jej jedwabnej bluzce, złociło na kosmykach jej włosów. Przeczytała sześć stron. Przeczyta całość - pomyślał Loogan - jeśli jej nie przerwę.

- Zrobię ci kopię - powiedział.

Podniosła siódmą i ósmą kartkę.

- To jest niezłe - powiedziała. - Lepsze, niż się spodziewałam. Ciężko się nad tym napracowałeś.

- To nietrudne - powiedział - kiedy musisz jedynie wpatrywać się w kartki.

- Czasami myślę, że lepiej, kiedy trzeba nad nimi pracować - powiedziała. - Kiedy widzisz, co jest z nimi nie tak i wiesz, jak to poprawić. Zmieniasz coś i od razu wiesz, że masz rację. Oddajesz kartki autorowi, a on wie, że nie może zaprotestować, jeśli nie chce wyjść na głupca.

Położyła kartki na kominku i usiadła na skraju kanapy.

- Ciekawe, czy Tom wie, jak dobrego dokonał wyboru, zatrudniając cię.

Loogan nie odpowiedział. Patrzył, jak Laura układa leżącą obok niej poduszkę.

- Usiądź koło mnie, Davidzie - powiedziała. - Nie przyszedłam tu, żeby rozmawiać o redakcji tekstów. Przyszedłam, żeby zobaczyć, co zrobiłeś z tym - spojrzała na zdjęcie wiszące nad kominkiem, szkło, płatki kwiatów i papierowe liście. - Nie bardzo pasuje do tej przestrzeni, ale i tak mi się podoba. Nawet nie pamiętam, co tam wisiało wcześniej.

- Jakiś paskudny obraz z żaglówkami - odpowiedział Loogan.

- A, racja. To jest dużo lepsze. Nie wiedziałam, czy ci się spodoba. Tom poprosił, żebym kupiła ci prezent, a ja i tak zamierzałam ci to dać. Nie jesteś zły, prawda?

- Nie jestem.

- Lubię patrzeć na to zdjęcie i myśleć o tamtym dniu - odwróciła się w stronę Loogana, przeczesła włosy palcami. - A to było tutaj... - nie musiała mówić, „co” było tutaj. - Myślę, że powinniśmy położyć te poduszki na ziemi, Davidzie - powiedziała miękko. - Myślę też, że powinieneś napalić w kominku. Wtedy nie palił się ogień, ale w taki dzień, jak dziś, chyba byłoby miło.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział Loogan.

- Nie musimy rozpalać w kominku.

Nie odpowiedział. Cofnęła dłoń. Dotknęła swojej bluzki.

- Nie mówisz o kominku - powiedziała, przyglądając się mu. - Powinnam była się domyślić. Nie zbliżałeś się do mnie przez ostatnie dwa tygodnie.

Loogan obojętnie wpatrywał się w zdjęcie wiszące nad kominkiem.

Wreszcie się odezwał.

- Chodzi o to, że ja go lubię.

- Oczywiście, że o to chodzi - powiedziała cicho. - Wiedziałam, że go lubisz. Gdybyś go nie lubił, to by się nie udało. Nie spotykałibyśmy się. Ale on jest twoim przyjacielem. A ja powinnam była wiedzieć, że David Loogan jest człowiekiem lojalnym - westchnęła. - Ty i Tom jesteście jak z tej bajki. Jak ona się nazywa?

- Nie wiem.

- Androkles - powiedziała. - Androkles i lew - przerwała, żeby założyć kosmyk włosów za ucho. - Androkles uciekł z niewoli i włóczył się po lesie. Napotkał lwa z krwawiącą łapą. Lew nastąpił na cierń. Androkles wyciągnął go.

- Myślałem, że to mysz wyciągnęła cierń.

- To inna bajka - powiedziała. - Androkles wyciąga cierń, po czym zaprzyjaźnia się z lwem. Lew poluje i przynosi mu jedzenie. Potem obaj zostają schwytani i niewolnik Androkles zostaje skazany na śmierć: ma być rzucony lwu na pożarcie w Koloseum. Zamiast go jednak pożreć, lew kładzie się przed nim.

Loogan oparł się o wezglowie kanapy.

- Ja jestem Androklesem?

- Ty jesteś lwem - odparła Laura. - Lew jest wdzięczny. Nie ma zamiaru zaatakować Androklesa. Nie chce, by cokolwiek złego

mu się stało - uśmiechnęła się lekko. - Nie ma zamiaru spać z żoną Androklesa.

Przysunęła się do niego, oparła głowę na jego ramieniu.

- Biedny Davidzie, bałeś się mi powiedzieć, prawda? Myślałeś, że się rozplączę.

- Myślałem, że zrobisz coś, żebym zmienił zdanie - powiedział.

- Mam ochotę zrobić i jedno, i drugie, ale się powstrzymam. Wyjdę, jeśli chcesz.

Objął ją ramieniem.

- Nie musisz wychodzić.

- Nie chcę. Chcę posiedzieć tu przez chwilę, nic nie mówiąc. Dobrze?

- Pewnie.

Loogan obudził się w półmroku. Laura Kristoll stała nad nim. Chwycił ją za nadgarstek i usiadł gwałtownie.

- Spokojnie, Davidzie. To tylko ja.

- Ciemno - powiedział.

- Zgasiałam światło. Wychodzę. - Miała na sobie płaszcz.

- Która godzina? - zapytał.

- Dwadzieścia po siódmej. Co się dzieje?

Wstał.

- Zapomniałem o Tomie. Miałem się z nim spotkać.

- Najpierw się uczesz. Wyglądasz, jakbyś właśnie wstał z łóżka. I nie krzyw się, Davidzie. Nie zrobiliśmy nic złego.

Pocałowała go w policzek i wyszła, nie mówiąc nic więcej.

Podszedł do telefonu i zadzwonił do biura Toma Kristolla. Po trzech dzwonekach usłyszał automatyczną sekretarkę. Zostawił wiadomość - powiedział, że jest już w drodze.

Włożył świeżą koszulę, umył zęby i wziął do ręki płaszcz. Jego samochód stał na ulicy. Okrążył go i spojrzął na koła. Obie przednie opony zostały przekłute. Ktoś wydrapał obsceniczny obrazek w lakierze na drzwiach kierowcy. Wściekły rozejrzał się dokoła. Zobaczył jedynie staruszkę, wyprowadzającą psa na spacer.

Stojąc na zimnie, zastanawiał się. Musiał odholować samochód, ale to mogło poczekać. Mógł zadzwonić po taksówkę, ale to zajęłoby dużo czasu. Redakcja „Szarych Ulic” znajdowała się dwanaście ulic dalej. Postanowił się przejść.

Wyjął z samochodu rękawice, jeszcze raz rozejrzał się dokoła i ruszył na wschód. Szedł ulicą, unikając zacienionych chodników. Szybki spacer uspokoił go.

Światła w oknach. Liście w rynnach. W centrum mijało go coraz więcej samochodów. Wszedł na chodnik.

Gdy już zbliżał się do ulicy Main, usłyszał syreny. Przed nim przez skrzyżowanie przejechał samochód policyjny, błyskając niebieskim i czerwonym światłem. Po kilku sekundach zobaczył jeszcze jeden.

Loogan dotarł do Main i skręcił na północ. Dwie ulice przed sobą zobaczył migające światła. Zrobił się korek. Ludzie zbierali się przed restauracjami. Mężczyzna w długim wełnianym szaliku grał na saksofonie, przed sobą miał futerał, a w nim kilka dolarów. Kawałek dalej stał, przywiązany do gaśnicy, owczarek collie. Pies i mężczyzna z saksofonem jako jedyni nie patrzyli na północ.

Część ludzi z restauracji ruszyła w stronę migających światel. Loogan zaczął biec. Dwa policyjne samochody, które widział

wcześniej, były ostatnimi. Na ulicy stały już trzy inne. Policjanci stali na skrzyżowaniach, kierując ruchem.

Światła otaczały budynek na rogu. Budynek, w którym znajdowała się redakcja „Szarych Ulic”.

Płot powstrzymywał tłum przed wtargnięciem do środka. Loogan znalazł się między ludźmi. Jakaś kobieta rozmawiała przez komórkę. Łysiejący mężczyzna w okularach. Kobieta z telefonem przerwała połączenie i wybrała nowy numer. „Nie uwierzysz, gdzie teraz jestem” - powiedziała.

Loogan przecisnął się do barierki. Za barierką rosło drzewo. Obok drzewa stała ławka z kutego żelaza. Pod ławką leżał but mężczyzny.

Rząd policjantów w mundurach. Czterech, bez czapek, z rękami założonymi z tyłu, o kamiennych obliczach. Pomędzy nimi a budynkiem rozłożono na chodniku koc. Policjanci stali nieruchomo twarzami do tłumu, ich obecność nie mogła jednak ukryć tego, co było pod kocem.

Loogan pomyślał, że powinien zapytać ich o nazwisko ofiary, był jednak pewien, że nie odpowiedzą. Spojrzał w górę. Wszystkie okna były zamknięte. Wszystkie - prócz jednego na szóstym piętrze.

Rozdział 7.

Elisabeth Waishkey skinęła głową na policjanta i ruszyła dalej. W recepcji redakcji „Szarych Ulic” nie było nikogo. Powietrze było chłodne.

Drzwi do biura Toma Kristolla były otwarte. W środku Carter Shan robił zdjęcia. Elisabeth, wysoka kobieta o kruczonych włosach,

na chwilę zatrzymała się w przejściu. Ubrana była zwyczajnie: w beżowy płaszcz, szary sweter i buty, jasnoniebieską bluzkę. Jedyłą ozdobą był naszyjnik ze szklanych paciorków.

Carter Shan odwrócił się i wycelował w nią aparat. Nie nacisnął guzika.

- Wypchnięty - powiedziała do niego.

- Marzenia, Lizzie - odparł. Elisabeth weszła do pokoju.

- Ty pewnie sądzisz, że skoczył? Dlatego robisz zdjęcia.

- Zabezpieczam się.

- Zdjęcia się przydadzą. Będziemy potrzebować dowodów, kiedy wytoczymy mu proces za to, że się zabił.

Podeszła do otwartego okna i spojrzała w dół. Na ulicy zebrała się grupa ludzi. Lekarka klęczała nad ciałem. Koc odłożono na bok.

- Kto wpadł na ten świetny pomysł z kocem? - spytała Elisabeth.

- Nikt od nas - odparł Shan. - Kobieta, która zgłosiła zajście, przykryła go kocem, który miała w samochodzie. Była z dziećmi.

Elisabeth pokiwała głową i w ciszy obserwowała scenę. Shan włożył aparat do kieszeni.

- Dobra, Lizzie - powiedział. - Nie bądź taka tajemnicza. Dlaczego uważasz, że nie skoczył sam?

Odsunęła się od okna.

- Może to tylko przeczucie.

- Na pewno nie.

- Zachodni wiatr przynosi mi różne wieści.

- Dobra. Nic nie musisz mówić.

Uważnie przyglądała się gabinetowi - półkom, biurku, wieszakowi, na którym pozostał długi płaszcz i czarny kapelusz z rondem. Powiedziała:

- Czy nigdy nie myślałeś o tym, żeby się zabić, Carter? Zresztą, nieważne. Wyobraź sobie, że myślałeś o samobójstwie, siedzisz w biurze i dochodzisz do wniosku, że to właśnie ten dzień. Rozglądasz się, nie masz pod ręką pistoletu ani sznura, ale w pokoju jest okno. Skoczyłbyś z niego?

- Czemu nie?

- No właśnie - ciągnęła Elisabeth. - Czemu nie? Ale to nie jest dobre okno do skakania. Otwierasz je i masz do dyspozycji ile, jakies dwie stopy kwadratowe? Zmieścisz się, ale z trudem. Jak się do tego zabierzesz?

Shan wpatrywał się w okno.

- Nie wiem. Głową do przodu czy stopami do przodu... to chyba nie ma większego znaczenia. Chciałbym to załatwić jak najszybciej.

- Na pewno?

Zastanawiał się chwilę.

- Nie, masz rację. Chciałbym to trochę odłożyć w czasie. Przyzwyczaić się do tego pomysłu - otworzył dolną szufladę biurka. Były tam dwie szklanki i butelka. - Pewnie chciałbym się napić.

Elisabeth dotknęła koralików na swojej szyi.

- Tak. Jeśli lubisz whisky tak bardzo, że trzymasz w biurku butelkę, na pewno chciałbyś się napić.

- Może wziął łyka z butelki, a potem odłożył z powrotem do szuflady?

- Może. Eakins nam powie. - Lillian Eakins była lekarzem sądowym. - A więc napiłeś się albo i nie, a okno wciąż cię nęci. Nie odpowiedziałeś. Jak się przez nie wydostaniesz?

- Chyba nie głową do przodu - powiedział Shan. - To zbyt przerażające. Rzuciłbym się nogami do przodu. Usiadłbym na oknie, zwieszając nogi z drugiej strony, a potem odchyliłbym się do tyłu i wyslizgnął... Chociaż nie, to byłoby dziwne. Tak naprawdę najlepiej byłoby wspiąć się na parapet i postać na nim przez chwilę, żeby się ostatecznie przygotować. Tylko że tutaj nie ma parapetu.

- Nie ma - potwierdziła Elisabeth.

- Gdyby chciał skoczyć, nie wyskoczyłby przez to okno. Znalazłby takie z parapetem.

- Tak.

- Poszedłby na dach - powiedział Shan. - Ale może nie mógł. Może nie miał jak wejść na dach. Uśmiechasz się. Aha, to ten twój tajemniczy uśmiech. Już tam byłaś.

- Schody po północnej stronie budynku prowadzą na samą górę - powiedziała Elisabeth. - Są tam drzwi zamykane na kłódkę, ale kłódka została złamana. Ludzie chodzą tam, żeby zapalić. Jest tam niski mur. Można by wejść na niego i przygotować się. Gdyby ktoś chciał skoczyć, poszedłby tam.

- Załóżmy, że właśnie to zrobił - powiedział Shan. - Zdecydował, że skoczy, otworzył okno, zobaczył, że się nie nadaje. Zostawił okno otwarte i poszedł na dach.

- I skoczył z miejsca, które znajdowało się dokładnie nad jego oknem?

- Czemu nie? - powiedział Shan.

- Nie byłeś tam. Murek z przodu budynku układa się w trójkąt, to część projektu. Z tylnego murku znacznie łatwiej jest skoczyć. -

Elisabeth przerwała i pokręciła głową. - Nie spadł z dachu. Spadł z tego okna. Ale, jeśli się nie mylę, został przez nie wypchnięty. Umarł wcześniej albo przynajmniej stracił przytomność. Nie byłoby łatwo wyrzucić go przez okno, gdyby był przytomny i stawiał opór. Najpierw należało uderzyć go w głowę, licząc na to, że siła upadku ukryje ślad tego uderzenia. Przy odrobinie szczęścia zostałyby to uznane za samobójstwo.

Stali przez chwilę w milczeniu. Zza okna dobiegały odgłosy ulicy. Zrobiło się jeszcze chłodniej. Shan zapytał wreszcie:

- Kim on jest?

Elisabeth spojrzała w górę. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w szklanki stojące w szufladzie.

- Wiem tyle, co ty. Był redaktorem czasopisma.

- Nie mówię o Kristollu. Chodzi mi o człowieka, który go zabił. Przyjmuję, że to mężczyzna, bo kobiecie trudno by było wypchnąć go przez okno. Skoro obmyśliłaś już modus operandi, zapewne masz też w głowie podejrzanego.

- Nie - odparła. - Aż tak daleko nie doszłam.

- Być może będę w stanie coś ci o nim powiedzieć. Myślę, że jest wielbicielem Szekspira. - Shan wskazał na książkę leżącą na biurku. - To są Dzieła zebrane. Jest otwarta na ostatniej scenie Hamleta - tej, w której wszyscy umierają. Zanim tu przyszedłem, podejrzewałem, że Kristoll czytał ją, zanim wyskoczył z okna. Jeśli jednak został zabity, być może to morderca położył ją tu, otworzywszy na odpowiedniej stronie.

Elisabeth pochyliła się nad książką.

- Zrobiłeś jej zdjęcie?

- Pewnie nawet z pięć.

- A ten długopis leżał tutaj. Nie ruszałeś go, prawda?

- Lizzie, proszę cię, docień mnie trochę.

- Sposób, w jaki jest ułożony... leży pod konkretną linijką.

Shan przytaknął.

- Widziałem. To coś, co mówi Horacy. „Więcej mam w sobie krwi rzymskiej niż duńskiej”¹. Czytałem to w liceum. Pewnie powinienem wiedzieć, co to oznacza.

Elisabeth odgarnęła krucze kosmyki, które spadły jej na oczy.

- Powinniśmy uznać, że to list samobójcy.

Owen McCaleb, inspektor policji w Ann Arbor, był mężczyzną chudym i przystojnym. Miał pięćdziesiąt cztery lata. W rogu biura trzymał torbę z kijami golfowymi, ale żaden z jego pracowników nie widział, by kiedykolwiek grał w golfa. Wszyscy natomiast widzieli, jak biega. Był takim biegaczem, który zawsze się rusza. Gdy czekał na zmianę światła na przejściu dla pieszych, biegał w miejscu. Nawet w biurze nigdy nie był całkiem nieruchomy. Zdarzało mu się podskakiwać, kiedy rozmawiał z podwładnymi.

Robił to właśnie teraz, kiedy Elisabeth Waishkey i Carter Shan opowiadali mu o tym, co stało się w biurze Kristolla. Shan mówił o Hamlecie.

- No więc w tym dramacie Hamlet umiera.

- Tak, tyle wiem - powiedział McCaleb.

- Jego wuj, król, zaplanował intrygę, żeby go zabić. Król każe Laertesowi wyzwać Hamleta na pojedynek. Daje mu miecz z wierzchołkiem zamoczonym w truciźnie. Gdyby jednak miecz miał nie zadziałać, król ma plan awaryjny - otruje Hamleta zatrutym winem.

- Szczegóły nie są aż tak ważne - powiedziała Elisabeth.

Shan kontynuował.

¹ Tłum. Józef Paszkowski.

- No więc Laertes rani Hamleta zatrutym mieczem. Ale Hamlet też rani Laertesę. Matka Hamleta wypija wino, nie wiedząc, że jest zatruta. Potem Hamlet rani króla...

- Szczegóły nie są ważne - powtórzyła Elisabeth. - Chodzi o to, że Hamlet umiera. Prosi Horacego...

- Horacy jest jego przyjacielem - wyjaśnił Shan.

- Chce, żeby Horacy opowiedział jego historię. Ale Horacy sięga po zatruty kielich. I wtedy właśnie mówi: „Więcej mam w sobie krwi rzymskiej niż duńskiej”.

- Tak naprawdę oczywiście nie jest Rzymianinem, jest Duńczykiem. Hamlet też jest Duńczykiem. Oni wszyscy są Duńczykami.

- Tak naprawdę ma na myśli, że zamierza popełnić samobójstwo - powiedziała Elisabeth. - To kwestia lojalności. Kiedy rzymski możny zostawał zamordowany, jego słudzy i przyjaciele czasem popełniali samobójstwa. To była sprawa honoru. Horacy chce być równie lojalny wobec Hamleta.

Owen McCaleb pokiwał głową.

- Więc się zabił?

- Próbował, ale Hamlet powstrzymał go. O to jednak chodzi w tym wersie: Horacy wyraża intencję popełnienia samobójstwa.

- A zatem otwarta książka ma być czymś w rodzaju listu samobójcy - powiedział McCaleb, przemierzając pokój. - Ale wy uważacie, że Kristoll się nie zabił. Mamy zatem morderstwo, które ma udawać samobójstwo i mordercę cytującego Szekspira. - McCaleb dotarł do drzwi i odwrócił się. - Ofiarą jest człowiek, który wydawał czasopismo literackie. Człowiek, który, jak się domyślam, miał całe tłumy znajomych znających cytaty z Szekspira. Człowiek, który mieszkał w Ann Arbor, gdzie nawet kelnerzy w knajpach znają Hamleta - zatrzymał się nagle. - Nie uprzedzajmy faktów. Eakins ma ciało?

- Tak - odparła Elisabeth.

- Zobaczymy, czego dowiemy się po autopsji - powiedział McCaleb. - Do tego momentu nikt nie ma prawa wejść do biura Kristolla. I niech nikt nie rozmawia z dziennikarzami. Jeden reporter z Wiadomości już spytał mnie, czy był jakiś list pożegnalny. Zachowajmy naszą szekspirowską teorię dla siebie.

W domu Elisabeth zdjęła płaszcz, odłożyła pistolet i telefon komórkowy. Zagotowała wodę i zrobiła sobie filiżankę ziołowej herbaty. Zaniósła ją do salonu, gdzie stał włączony telewizor. Jej córka Sarah spała na kanapie. Była chudą piętnastolatką, równie czarnowłosą, jak jej matka. Wyglądała jak z obrazka, leżąc na boku z dłońmi złożonymi pod głową.

Elisabeth postawiła filiżankę na skraju stołu i wyłączyła telewizor. Wyciągnęła rękę po koc, żeby przykryć nim córkę, w tym momencie jednak dziewczyna przeciągnęła się.

- Powinnaś być w łóżku - powiedziała Elisabeth.

- Czekałam na ciebie.

Elisabeth usiadła na kanapie, a Sarah przewróciła się na plecy i ułożyła nogi na kolanach matki.

- Oglądałam wiadomości - powiedziała dziewczyna. - Mówili o facecie, który wypadł przez okno. To dlatego wróciłaś tak późno?

- Tak.

- Spadł z szóstego piętra. To musiało być okropne.

- Powinnaś być w łóżku.

- Ostrożnie o tym mówili. Nie chcieli przyznać, że po prostu wyskoczył.

- Nie wiedzą, czy wyskoczył. Nie było żadnych świadków.

Zamilkły na chwilę. Elizabeth upiła łyk herbaty.

- Defenestracja - powiedziała Sarah. - Tak to się nazywa, kiedy kogoś wyrzucają przez okno.

- Nie wiadomo, czy go wyrzucili.

- Ale mogli. Myślisz, że tak było?

- Powiem ci, ale musisz obiecać, że nic nie powiesz dziennikarzom.

- Obiecuję.

- To całkiem możliwe, że Toma Kristolla wyrzucono z okna.

- Macie jakichś podejrzanych?

- Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić.

- A co z jego żoną? Miał żonę?

- Tak.

- Rozmawiałaś z nią?

- Widziałam ją tylko przez chwilę - powiedziała Elizabeth. - Przyszła, żeby zidentyfikować ciało.

- Ale nie przesłuchiwałaś jej?

- To nie była odpowiednia pora. Nie była w stanie odpowiadać na pytania. Poza tym przyszła z prawnikiem.

- To już dwa trafienia.

- Jak to?

- Jest żoną, a kiedy mężczyzna zostaje zabity, żona staje się podejrzaną. A teraz jeszcze zatrudniła adwokata.

- Nie wiem, czy go zatrudniła - odparła Elizabeth. - Pani Kristoll jest wykładowcą, a jej mąż był wydawcą. Niektórzy ludzie nie muszą zatrudniać prawników. Po prostu ich mają, tak jak nianie albo księgowych.

- To i tak dwa trafienia. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby do tego miała romans. To byłyby już trzy trafienia. Ma z kimś romans?

- Na pewno ją o to spytam, jeśli tylko uda mi się odciągnąć ją od adwokata.

Elizabeth popijała herbatę. Sarah wstała z kanapy i przeciągnęła się, wyciągając ręce do sufitu. „Chuda” to nie było dobre słowo, pomyślała Elizabeth. „Smukła” pasowało znacznie lepiej.

- A ty, masz romans? - spytała.

- Mamo! - powiedziała dziewczyna, przeciągając pierwszą sylabę.

- Na ladzie przy zlewie stoją dwie puszki - powiedziała Elizabeth. - Jedna po pepsi, a druga po mountain dew. Billy Rydell jest znany jako wielbiciel mountain dew.

- Nie mam romansu z Billym Rydellem.

- Billy Rydell ma szesnaście lat - powiedziała Elizabeth. - Jest kłębowiskiem hormonów. Gdyby nastoletnie pożądanie było zbrodnią, moim obowiązkiem byłoby wsadzenie go do więzienia.

- Billy Rydell spędził tu dwadzieścia minut. Rozmawialiśmy o pracy domowej. Potem spytał, czy poszłabym z nim do kina.

- Aha.

- Jutro po południu - powiedziała Sarah. - Odpowiedziałam, że najpierw muszę porozmawiać z tobą. Powiedziałam, że może będziesz mogła nas zawieźć. Zbladł na samą myśl, chyba się obawia, że go zastrzelisz.

- Nie dziwię mu się. Nie wiem jeszcze, czy będę mogła was odwieźć. To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy Toma Kristolla wyrzucono przez okno. Jeśli tak, będę miała zajęte popołudnie.

Sarah poszła do swojego pokoju około pierwszej, Elizabeth niedługo później. Wzięła prysznic, umyła i wysuszyła włosy, i poszła do łóżka. Przez chwilę patrzyła na okno w sypialni. Światło ulicznej latarni rzucało na zasłony cienie gałęzi. Tej nocy śniły jej się okna.

Szła długim korytarzem. Na jego końcu było okno. Kiedy się do niego zbliżyła, zobaczyła na zewnątrz sylwetkę mężczyzny, gdy jednak spróbowała do niego sięgnąć, okno zniknęło. Przez całą noc śniły jej się różne wersje tego snu. Raz okno znajdowało się w biurze Toma Kristolla, raz w jej własnym pokoju, a jakiś mężczyzna próbował dostać się przez nie do środka. Podejrzewała, że to Kristoll, chociaż jego twarz schowana była w cieniu. Zrobił w jej stronę gest, jakby chciał coś powiedzieć, kiedy jednak wstała z łóżka, z powrotem wyszedł za okno. Ruszyła za nim. Najpierw jej stopy natrafiły na twardą posadzkę, ale potem posadzka rozpadła się.

Obudziła się nagle. Jej nogi drgały, tak jak drgają zwykle, gdy śni się o spadaniu. Wstała i rozejrzała się wokół. Szare światło. Na zegarku widniała godzina 7:40. Zadzwoił telefon.

W słuchawce usłyszała głos McCaleba.

- Właśnie rozmawiałem z Lillian Eakins - powiedział. - Oficjalne oświadczenie wyda później, ale lepiej się pospiesz. Miałś rację. To nie było samobójstwo.

Rozdział 8.

- Wiem, co mi powiesz.
- Naprawdę?

Dom nad rzeką Huron pełen był poważnych młodych mężczyzn i dwudziestoletnich dziewcząt. Większość z nich ubrana była na czarno, choć nie wiadomo do końca, czy była to kwestia mody czy żaloby. Laurze Kristoll towarzyszył jej prawnik - krępy mężczyzna o wąskich ustach i gęstych siwych włosach. Zostawiła go w salonie i zaprosiła Elizabeth do gabinetu męża.

- Znałam Toma - powiedziała. - Nigdy nie wierzyłam w to, że nie można w pełni poznać drugiej osoby. Jest pani zameżna?

- Byłam - odparła Elizabeth.

- Znałam Toma. Wiedziałam, że nie jest w depresji, że nie ciąży na nim poczucie winy, że nie ma żadnego powodu, żeby rzucić się z okna swojego biura. A pani przyszła tu, żeby powiedzieć mi, że doszłście do tego samego wniosku.

Usiadły na fotelach, a przez okna wpadało popołudniowe słońce.

- To prawda - powiedziała Elizabeth. - Uważamy, że pani mąż stał się ofiarą ataku. Lekarka znalazła ślad - uszkodzenie tylnej części czaszki - który nie mógł zostać spowodowany przez upadek, biorąc pod uwagę to, co wiemy o jego sile i o pozycji ciała. Rana puchła, a to oznacza, że krew musiała krążyć w żyłach, że serce musiało bić...

- A nie mogło bić już po upadku - dokończyła Laura.

- Nie. Uważamy zatem, że pani mąż musiał otrzymać cios w głowę, być może nawet więcej niż jeden, jeszcze przed upadkiem.

Laura Kristoll spojrzała w stronę okien. Złote włosy zebrała w kok, jednak kilka kosmyków opadało na szyję. Drżała, a Elizabeth zauważyła, jak trzęsą się te kosmyki.

Łza spłynęła po policzku Laury. Nagle wstała i przeszła przez pokój. Na biurku stało pudełko chusteczek. Elizabeth chętnie dałaby jej spokój. Miała ochotę się odwrócić, ale dyscyplina kazała jej patrzeć. Laura wytarła oczy. Próbowwała się uspokoić.

Siedziała z opuszczoną głową, zamkniętymi oczami, dłońmi ułożonymi płasko na powierzchni biurka. Elizabeth nie zauważyła w jej zachowaniu żadnego fałszu.

Laura wróciła na fotel.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie ma za co - Elizabeth wskazała na zamknięte drzwi gabinetu. - Chce pani, żebym kogoś poprosiła?

- Nie. Na pewno chce mnie pani spytać o wiele rzeczy - powiedziała Laura. - Na pewno chce pani wiedzieć, czy mój mąż miał wrogów. Nie miał. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie żadnego powodu, dla którego ktoś mógłby chcieć zabić Toma.

- Miał jakieś problemy finansowe? Długi?

- Nie. Czasopismo dobrze sobie radzi.

Elizabeth ściszyła głos:

- Przepraszam za to pytanie, ale czy pani mąż miał jakieś złe nawyki? Narkotyki? Hazard?

- Pił. W granicach rozsądku. A od czasu do czasu pił bez ograniczeń.

- Czy często zostawał w biurze w piątki wieczorem?

- Sam ustalał sobie godziny pracy.

- Kto jeszcze miał dostęp do biura?

- Stażyści wchodzą i wychodzą w godzinach pracy - powiedziała Laura. - Ze dwie osoby mają swoje klucze. Jest sekretarka, Sandy Vogel. Ale ona na pewno wyszła o piątej.

- Musimy z nią porozmawiać. Ktoś jeszcze?

- Sprzątaczkę. Sandy poda pani ich nazwiska. No i oczywiście ja też mam klucz.

Elizabeth zakołysała się w fotelu.

- Muszę o to zapytać: gdzie była pani wczoraj wieczorem?

Laura wpatrywała się w swoje dłonie.

- No tak, to pytanie musiało paść. Rex chciał być obecny przy mojej odpowiedzi. - Rex Chatterjee był pulchnym prawnikiem. Elizabeth zaczekała. - Byłam w domu Davida Loogana - powiedziała Laura. - To mój przyjaciel, Toma też. Pracuje w jego czasopiśmie jako redaktor.

- A jak opisałyby pani swoją przyjaźń z panem Looganem? - spytała Elizabeth.

Laura uśmiechnęła się blado.

- Bardzo elegancko zadała pani to pytanie - powiedziała. - Jesteśmy ze sobą blisko. Myślę, że to, co było między nami, można by nazwać romanssem.

Elizabeth z trudem powstrzymała się przed reakcją.

- Od jak dawna trwa ten romans?

- Od niedawna. Zaczął się gdzieś pod koniec sierpnia. Kiedy jednak spotkałam się z nim wczoraj, powiedział, że chce to zakończyć.

- Dlaczego? - spytała Elizabeth.

- Źle się z tym czuł. Lubił mojego męża.

- Czy wydarzyło się coś szczególnego, co mogło przyspieszyć jego decyzję?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Rozumiem, o co pani chodzi: skoro tak właśnie się czuł, czemu nie zakończył tego wcześniej?

- Czemu to w ogóle zaczął?

- Tak naprawdę to on tego nie zaczął - odparła Laura. - Ja go namówiłam.

- Czy pani mąż wiedział o romansie?

- Nie sędzę.

- Ale mógł wiedzieć. Jak by się zachował, gdyby się dowiedział?

- Znów jest pani bardzo elegancka - powiedziała Laura. - Nie byliśmy rozpustni, jeśli o to pani chodzi. Nie miałam zwyczaju spania ze wszystkimi kumplami mojego męża. Gdyby się dowiedział, zachowałby się jak każdy mężczyzna.

- Byłby zazdrosny? Zraniony?

- Tak.

- Wściekły?

- Prawdopodobnie.

- Szukałby konfrontacji z panem Looganem?

- Myślę, że szukałby konfrontacji ze mną. Ale nie doszło do tego. - Laura przymknęła na chwilę powieki. - Jeśli myśli pani, że spotkał się z Davidem, a ten wyrzucił go przez okno, to... cóż, nie zna pani Davida Loogana.

- Nie uważa pani, by był zdolny do morderstwa?

- Myślę, że byłby zdolny. Ale nie zabiłby Toma. Lubił go.

- Być może wcale nie zamierzał tego zrobić - powiedziała Elizabeth. - Może się pokłócili...

- Nie wierzę w to.

- Ponieważ pani zna Davida Loogana.

- Tak - odparła Laura. - Z pewnością trudno to pani zrozumieć. Wie pani o Davidzie tylko tyle, że miał romans z żoną swojego przyjaciela, a teraz ten przyjaciel nie żyje. Może pani zbudować na tym nieskończenie wiele scenariuszy. Pokłócił się z Tomem i stracił kontrolę. Albo pozbył się Toma, żebyśmy mogli być razem.

- Przyszło mi to na myśl.

- A to, że zaplanowaliśmy morderstwo razem z Tomem?

- Nic takiego nie sugerowałam.

- Nie. To byłoby zbyt brutalne. Nie mogłaby pani powiedzieć czegoś takiego wdowie w takiej sytuacji. Pani nie jest brutalna. Pani jest elegancka - niebieskie oczy Laury badawczo wpatrywały się w Elizabeth. - Nieważne. David nie zabił Toma. Jestem tego pewna, nie tylko ze względu na mój osąd jego osoby.

- Nie tylko?

- Nie. Chodzi o czas. Powiedziano mi wczoraj, że Tom zmarł mniej więcej dwadzieścia po siódmej.

- To prawda - przyznała Elizabeth. - Przejeżdżający obok kierowca zadzwonił na policję o siódmej dwadzieścia dwie.

- Dwadzieścia po siódmej David był jeszcze w domu. Wtedy właśnie od niego wyszłam.

Rozdział 9.

Kiedy Elizabeth w niedzielę wieczorem przyszła do jego domu, David Loogan właśnie parzył kawę. Usiadła na kanapie w gabinecie, plecami do ściany. On usiadł na fotelu, tyłem do okna.

Lampa stała obok fotela. Za oknem zapadał zmierzch. Elizabeth widziała przez szybę więz rosnący na ganku. Kilka upartych liści wciąż trzymało się gałęzi. Widok był dziwnie znajomy - na ganku domu Elizabeth również rósł więz.

Z powrotem przeniosła swoją uwagę na Loogana. Zauważyła, że ją obserwuje. Był świeżo ogolony, miedziane włosy zaczesał do tyłu. Miał na sobie niebieską koszulę i zgniłozielone spodnie. Wyglądał jak człowiek, który wszędzie jest na miejscu. Mógłby się znaleźć gdziekolwiek i wtopić w otoczenie. I w biurze i w laboratorium, i na placu budowy, gdzie przenosiłby na ramionach drewniane pale.

Sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej notatnik i długopis.

- To niespotykane nazwisko - powiedziała. - Loogan.

- Tak - odparł.

- Brzmi jakby było holenderskie.

- Być może jest holenderskie.

- Ludzie, z którymi rozmawiałam - ciągnęła - bardzo niewiele o panu wiedzą.

- Naprawdę?

- Na przykład Sandy Vogel, sekretarka „Szarych Ulic”. Powiedziała, że jest pan dla niej tajemnicą.

- Nie poznałem Sandy tak dobrze, jak, być może, powinienem.

- Laura Kristoll... no cóż, to inna historia. Ona coś o panu wie.

Stojące na stoliku kubki z kawą pozostawały nietknięte. Prawą rękę Loogan trzymał na kolanach. Podniósł ją i spojrzał pod światło na wnętrze dłoni.

- Nigdy wcześniej nie słyszałem nazwiska Waishkey - powiedział. - Skąd pochodzi?

- Być może jest holenderskie - odparła sucho Elizabeth. - Gdzie był pan wczoraj wieczorem?

- Wczoraj wieczorem?

- Przyjechałam tutaj, w nadziei, że pana zastanę.

- Pojechałem odwiedzić Laurę Kristoll. - Loogan wydawał się skupiony na swojej ręce. Zaciśnął ją w pięść.

- To ciekawe - powiedziała Elizabeth. - Co się panu stało w rękę?

- Nic takiego. Drzazga.

- Boli?

- Rozprasza.

- Jak się pan zranił?

- Dziś rano rozbierałem na części ramę zdjęcia.
- Dlaczego rozbierał pan dziś rano na części ramę zdjęcia?
- To nieważne - powiedział Loogan. - Jestem pewien, że chce mnie pani zapytać o mnóstwo innych rzeczy.

- Proszę zrobić mi przyjemność i odpowiedzieć.

Spojrzał na wiszącą nad kominkiem fotografię.

- Dostałem ją od Toma. Rozłożyłem ją dzisiaj na części, a potem złożyłem z powrotem.

Na zdjęciu widniały płatki kwiatów, kawałki papieru i kolorowe szkło. Szkło przypominało Elizabeth paciorki jej naszyjnika.

- Dlaczego pan to zrobił? - spytała.

- To irracjonalne. Szukałem czegoś.

- Czego?

- Jakieś wiadomości. Toma już nie ma. To jedyne, co mi po nim pozostało.

- Myślał pan, że ukrył w ramie jakiś list?

- Powiedziałem już, że to nie było racjonalne.

- Znalazł pan list?

- Znalazłem tylko tę drzazgę.

- Powinien ją pan wyciągnąć.

- W moim domu nie ma żadnej pęsety.

Elizabeth bez słowa zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu pęsety. Przysunęła się do Loogana i pochyliła nad jego otwartą dłoń. Wyczuła drzazgę paznokciem. Po chwili udało jej się chwycić ją pęsetą i wyciągnąć.

Loogan potarł dłoni.

- Dziękuję.

Wróciła na kanapę i wrzuciła pesete do torby. Przypomniała sobie zapach mydła i świeżo wyszorowanej skóry.

- Był pan wczoraj u Laury Kristoll - powiedziała. - Jak długo?
 - Godzinę, może półtorej.
 - O czym rozmawialiście?
 - Niedużo rozmawialiśmy. Głównie płakała.
 - Na pewno powiedziała panu, że jej mąż nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany.
 - Tak.
 - A jednak dzisiaj rano szukał pan listu od niego.
 - Nie powiedziałem, że to miało sens.
- Elizabeth znów spojrzała na wiszącą nad biurkiem fotografię.
- Kiedy to panu dał?
 - Już ponad tydzień temu.
 - Z jakiej okazji?
 - Bez okazji. To chyba był znak przyjaźni czy coś takiego.
 - Byliście przyjaciółmi.
 - Tak.
 - A jednak spał pan z jego żoną.
- Loogan uśmiechnął się lekko.
- Jest pani bardzo bezpośrednia.
 - Niektórzy uważają, że jestem elegancka. Laura była tutaj w piątek. Byliście razem.
 - Tak - powiedział Loogan. - Przyszła tutaj koło wpół do szóstej. Wysła dwadzieścia po siódmej.
 - Tom Kristoll zmarł mniej więcej dwadzieścia po siódmej - powiedziała Elisabeth miękko. - A zatem nie mógł pan wypchnąć go z okna jego biura.
 - I tak się składa, że nie wypchnąłem.

- Wiem. Wczoraj nie byłam pewna. Wtedy dysponowałam jedynie zeznaniem Laury. Ale przesłuchaliśmy automatyczną sekretarkę Toma Kristolla. Zadzwonił pan do niego z domu o siódmej dwadzieścia jeden.

Loogan zmarszczył czoło.

- Zapomniałem o tym.

- Wierzę panu. Mniej niewinny człowiek lepiej dopracowałby swoje alibi. - Elizabeth przebiegła kciukiem po stronach swojego zeszytu. - W swojej wiadomości powiedział pan, że do niego idzie. Miał się pan z nim spotkać?

- Zaprosił mnie do biura na drinka. Miałem wpaść do niego o siódmej.

- Ale o siódmej był pan tutaj z Laurą. Wiedział pan, że ona przyjdzie?

- Nie. Po prostu wpadła.

- I straciliście poczucie czasu.

- Zasnąłem.

- Tak?

- Rozmawialiśmy, potem usiadłem na chwilę na kanapie i zasnąłem.

- A kiedy się pan obudził...?

- Laura akurat wychodziła. Miała na sobie płaszcz. Chciałem pojechać do Toma samochodem, ale kiedy wyszedłem, zobaczyłem, że został zniszczony. Dwie opony przecięto, a drzwi podrapano kluczem.

- Co pan pomyślał, kiedy to zobaczył?

- Że to sprawka dzieciaków z okolicy. Kogóż by innego?

- Opuszczone dziewczyny drapią kluczami po samochodach swoich chłopaków - powiedziała Elizabeth. - Dopiero co

zakończył pan swój romans z Laurą. Nie zastanawiał się pan, czy to nie jej dzieło?

- Przez sekundę.

- To aż tak niewiarygodne? Kiedy się pan obudził, miała na sobie płaszcz. Mogła wyjść na zewnątrz i wrócić.

- Mógłbym w to uwierzyć, gdyby miała osiemnaście lat - powiedział Loogan. - Gdyby była bardziej lekkomyślna, mniej wytworna. Naprawdę pani myśli, że mogłaby coś takiego zrobić?

- Nie, ale nie sądzę też, żeby zrobiły to dzieciaki z sąsiedztwa - Elizabeth przewróciła kartkę i coś zapisała. - A zatem co pan zrobił, skoro nie dało się jechać samochodem?

- Poszedłem na piechotę.

- Już był pan spóźniony. Było zimno. Tom równie dobrze mógł już pójść do domu. Nie lepiej było odwołać spotkanie?

- To tylko tuzin ulic stąd. Kiedy dotarłem do Main Street, zorientowałem się, że coś się dzieje. Dochodziła już ósma. Zobaczyłem radiowozy, barykady. Dotarłem tak blisko, jak tylko mogłem. Ciało przykryte było kocem, ale wydaje mi się, że od razu wiedziałem. Spojrzałem w górę, zobaczyłem otwarte okno na szóstym piętrze i byłem już pewien. - Loogan spuścił wzrok. - Pożyczyłem od kogoś komórkę i spróbowałem zadzwonić do Laury, ale nie odbierała. Znalazłem taksówkę, która zawiozła mnie do ich domu. Ale Laurę już powiadomiono. Pojechała zidentyfikować ciało.

- Więc nie widział jej pan już więcej tamtej nocy.

- Nie.

- A jaka była pana reakcja, kiedy spotkał się pan z nią wczoraj wieczorem, a ona powiedziała, że to nie było samobójstwo?

- Nie byłem zaskoczony - powiedział Loogan. - Nie wydawało mi się, żeby Tom miał skłonności samobójcze.

- Myśli pan, że był szczęśliwy?

- Myślę, że był zadowolony. Miał dobre życie. Lubił swoją pracę.

- A małżeństwo? Z niego też był zadowolony?

- Nigdy nie sugerował, by było inaczej.

- Ale pan nie nazwałby go szczęśliwym?

Loogan zawahał się, jakby szukając odpowiednich słów.

- Nie można powiedzieć, żeby niczego nie żałował. Powiedział mi kiedyś, że nikt nie planuje zostać redaktorem. Także on, kiedy był młody, pragnął być pisarzem.

Loogan zamilkł, a Elizabeth odłożyła notatnik. Wstała, podeszła do okna i spojrzała na stojący przed nim wąż.

Kiedy się odwróciła, Loogan stał przy kominku i przyglądał się jej.

- Kto go zabił według pani? - spytał.

- To ja powinnam pana o to zapytać - odparła.

Loogan potarł dłonią kominek.

- To musiał być ktoś, kogo znał. Ktoś, komu ufał.

- Dlaczego pan tak twierdzi?

- Został uderzony w tył głowy. Nie zachował ostrożności. Nie czuł się zagrożony.

- Proszę mówić dalej - powiedziała Elizabeth.

- Ja tylko spekuluję.

- Dobrze panu idzie.

- To był ktoś wystarczająco silny, żeby przepchnąć ciało przez okno. Ktoś pewny siebie, zuchwały. Kimkolwiek był, nie mógł być pewien, że nie będzie świadków - ktoś akurat mógł przechodzić przez ulicę i spojrzeć w górę. Ale to go nie powstrzymało.

- Proszę mówić dalej.

- To ktoś, kto wcześniej był już w biurze i znał budynek - ciągnął Loogan. - Jeżeli ktoś planuje wyrzucić ciało przez okno, nie wychodzi później głównymi drzwiami. I on skorzystał ze służbowego wyjścia, z tyłu budynku.

- Widzę, że się pan nad tym poważnie zastanowił.

- Skoro znał Toma i budynek, najwyraźniej musiał być jakoś związany z „Szarymi Ulicami”.

- Mamy listę ludzi związanych z redakcją - powiedziała Elizabeth. - Sandy Vogel przekazała mi ją dziś rano. Przygotowała ją, jeszcze zanim poprosiłam. Powiedziała, że pan poprosił wcześniej.

- Powinni się na niej znaleźć autorzy - powiedział Loogan. - Tomowi zdarzało się publikować opowiadania więźniów. A więźniowie wychodzą na wolność. Warto się temu przyjrzeć, prawda?

- Tak - odparła Elizabeth.

- Chcę, żeby go złapano - powiedział cicho Loogan. - Powinienem tam być, w jego gabinecie, o siódmej. Zasnąłem. Gdybym zrobił to, co obiecałem, nie doszłoby do tego. - Loogan pokręcił głową, a jego oczy zaszyły mgłą. - Gdyby to było opowiadanie z „Szarych Ulic”, sam złapałbym mordercę. To byłoby moje zadanie.

- To nie jest opowiadanie, panie Loogan.

- To byłoby moje zadanie. Tom był moim przyjacielem. Powinienem być tam być.

W poniedziałek rano Elizabeth rozmawiała z Carterem Shanem. W jednej z sal wydziału śledczego opowiadała mu o swoich spotkaniach z Laurą Kristoll i Davidem Looganem.

- Wolałbym, gdyby nie przyznali się do romansu.

- Są cwani - odparła Elizabeth.

- Gdyby nie przyznali się do romansu, mielibyśmy nad czym pracować. Moglibyśmy pokazywać ich zdjęcia kelnerom i recepcjonistkom w hotelach.

- Wiem, że uwielbiasz pokazywać zdjęcia recepcjonistkom.

- Nie ma nic prostszego od udowodnienia, że kobieta i mężczyzna mają romans. Ale coś jest nie tak, jeśli sami się do tego przyznają.

- Moglibyśmy ich tu przywieźć. Zamknąć w pokoju bez okien. Sprawić, by zmienili zeznania.

- I tak mogli to zrobić - powiedział Shan. - Jeśli chcieli się pozbyć Kristolla, mogli po prostu wynająć kogoś, kto wypchnął go przez okno.

- Uwierzyłabym, gdyby nie czas. Kiedy kobieta wynajmuje kogoś, żeby zabił jej męża, wie, że będzie podejrzana. Potrzebuje alibi. Laura Kristoll była sam na sam z kochankiem. Przyznasz, że to nie jest najlepsze alibi świata.

- A może to Loogan wynajął zabójcę - zastanawiał się Shan - a Laura nic o tym nie wiedziała.

- Ta możliwość ma jeszcze mniej sensu - stwierdziła Elizabeth. - Jeśli chcesz, żeby ktoś zabił twojego przyjaciela, nie mówisz temu przyjacielowi, że zaraz u niego będziesz. Jeśli chcesz mieć alibi, dzwonicz do kogokolwiek innego, ale nie do faceta, którego zamierzasz uśmiercić.

Shan spojrzał na nią.

- A może David Loogan jest geniuszem zbrodni?

- Nie sędzę.
- Przekonał cię, że jest niewinny.
- Nie powiedziałam, że jest niewinny. Myślę, że wie więcej, niż chce powiedzieć.
- No to przyprowadźmy go tutaj. Zamknijmy go w pokoju bez okien.
- Jeszcze nie - powiedziała Elizabeth. - Chcę jeszcze coś sprawdzić. Chodzi o przestępstwo, które może mieć związek z zabójstwem Toma Kristolla.
- Jakie przestępstwo?
- Mały akt wandalizmu.

Biuro Alice Marrowicz znajdowało się w magazynie na drugim piętrze. Miała mysie włosy, malowała oczy na niebiesko i ubierała się jak stara panna - w grube swetry i spódnice w kwiaty. A jednak Elizabeth wiedziała, że ma ona dopiero dwadzieścia osiem lat. Zatrudniono ją na stanowisko taktycznego analityka przestępczości, co oznaczało, że dysponowała bazą danych dotyczących wszystkich przestępstw popełnionych w Ann Arbor.

Jej stanowisko pracy składało się z laptopa, stołu, krzesła i w zasadzie niczego więcej. Kiedy Elizabeth zapukała do jej pokoju, na biurku rozłożoną miała zawartość teczek z dokumentami i pisała coś na klawiaturze.

- Cześć, Alice.
- Cześć - przerwała pisanie i odwróciła się.
- Chciałabym poprosić cię o przysługę.
- Zajmujesz się morderstwem Kristolla?
- Tak.

- Nie mogę zrobić wiele, dysponując jedynie bazą danych.
 - Wiem.
 - Zaczęłam już nad tym pracować - mówiła spokojnie, ale w jej oczach skrzyła się iskierka humoru. - Wpisałam hasło „wydawcy zrzućeni z szóstego piętra”, ale nic nie znalazłam.
 - No co ty?
 - Oczywiście mam tutaj tylko lokalne informacje. Wydawcy mogą być w tej chwili wypychani przez okna w wielu innych miastach.
 - Nie wątpię - powiedziała Elizabeth. - Ale na razie interesuje mnie coś bardziej prozaicznego. Wandalizm, zwłaszcza niszczenie samochodów. Przedziurawione opony, rysy na masce, drapanie kluczami.
 - To mogę znaleźć - powiedziała Alice. - Bez problemu.
- Elizabeth podała jej plik kartek.
- Jeśli cokolwiek znajdziesz, zaznacz to na tej liście. To są ludzie związani z „Szarymi Ulicami” - czasopismem Kristolla. Mogli być albo ofiarami wandalizmu, albo jego sprawcami.
 - To nie ma znaczenia - odparła Alice. - Jeśli mieli z nim cokolwiek wspólnego, znajdę ich w bazie.
 - Dasz radę sprawdzić to dla mnie do wieczora?
 - Daj mi godzinę.

Rozdział 10.

Valerie Calnero nosiła okulary w czarnych plastikowych oprawkach. Były one nieudolnym przebraniem, rekwizytem, który piękną dziewczynę miał uczynić zwyczajną.

Dziewczyna miała figurę gwiazdy filmowej, nogi tancerki z kabaretu. Miała gładkie, wysokie czoło i kasztanowe włosy. Jej nos był odrobinę zbyt duży - chirurg plastyczny mógłby chcieć go poprawić, ale potem żałowałyby swojej decyzji. Jej skóra była jasna i gładka, usta wydatne.

Spotkała Elizabeth i Cartera Shana w drzwiach, zaprowadziła ich do skromnego mieszkania. Miała na sobie błękitną spódnicę i prostą białą bluzkę.

- Już panią widziałam - powiedziała do Elizabeth. - W sobotę, w domu Kristolla. Rozmawiała pani z Laurą. - Usiadła na zagraconej kanapie i wskazała Elizabeth krzesło. Przyjęła pozycję na jednej z poręczy kanapy. - Wtedy była pani sama. Teraz jest was dwójka i chcecie rozmawiać o moim samochodzie. To jakiś podstęp? Robicie tak czasami, prawda? Mówicie, że chcecie o czymś porozmawiać, a naprawdę chodzi wam o coś zupełnie innego.

Shan uśmiechnął się rozbijając.

- Nie chcemy pani oszukać. Ja mógłbym czuć taką pokusę, ale pani detektyw Waishkey nigdy nie zniżyłaby się do podstępu.

- A zatem pan jest złym policjantem, a ona dobrym?

Roześmiał się.

- Wszystko już pani o nas wie.

- Przejdźmy do rzeczy - powiedziała Elizabeth. - Jest pani przyjaciółką domu Kristollich.

- Jestem studentką Laury - odparła Valerie. - Jest moją promotorką. Ale chciałabym myśleć, że także przyjaciółką.

- I była pani stażystką w „Szarych Ulicach”.

- Tak, zeszłej wiosny.

- I zeszłej wiosny ktoś zniszczył pani samochód.

- Wydrapali jakieś słowo na masce. Chyba „suka”.

- Czy domyślała się wtedy pani, kto to zrobił?

- Podejrzewam, że przeczytaliście raport. Policjant, z którym rozmawiałam, zadał mi to samo pytanie. Odpowiedziałam, że nie wiem - dziewczyna przyjęła defensywną postawę. Ścisnęła mocno kolana i położyła na nich dłonie.

- Oto, co nam przyszło do głowy, Valerie - powiedziała Elizabeth. - Powiedzmy, że wcale nie chciałaś składać raportu. Chciałaś tylko, żeby odmalowano ci samochód. Ale bez zgłoszenia na policję ubezpieczyciel nie wypłaciłby ci odszkodowania, więc musiałaś to zrobić. Kiedy policjant spytał, czy wiesz, kto mógł to zrobić, nie byłaś pewna, ale miałaś swoje podejrzenia. Nie chciałaś, żeby ktoś miał przez ciebie kłopoty, więc powiedziałaś, że nie masz pojęcia.

Valerie skubała palcami skraj bluzki.

- Jeśli nawet tak było, czemu miałabym coś powiedzieć teraz?

- Musimy to wiedzieć - powiedziała Elizabeth.

- Rozumiem. A więc to ma coś wspólnego z morderstwem Toma. Ale skoro wtedy nie chciałam, żeby ktoś miał przeze mnie kłopoty, teraz też tego nie chcę.

- Nie musisz się tym martwić - powiedział Shan. - Jeśli powiesz nam, o kogo chodzi, po prostu z nim pogadamy. Nie zamkniemy go za morderstwo Toma Kristolla.

Valerie rozłożyła dłonie.

- Chodzi o to, że ja wcale nie jestem pewna. Możliwe, że to nie on.

- Kto?

- Chłopak, z którym wtedy byłam. To znaczy... „byłam” to niedobre słowo. Chodziliśmy czasem na lunch i do kina. Chciał czegoś więcej. Kiedy powiedziałam mu, że nie jestem zainteresowana, źle zareagował. Nie wściekł się, ale jakby zamknął w sobie. Kilka dni później zniszczono mi samochód.

- Jak on się nazywa?

- Nie wiem, czy to on - powiedziała Valerie. - Próbowałam się przekonywać, że nie. Od tamtej pory zachowywał się w porządku - zdjęła okulary. - Jeśli podam wam jego nazwisko, powiecie mu, że to ja?

- Nie powiemy, jeśli nie będzie trzeba - odparł Shan.

- Nie to chciałam usłyszeć. Powinien pan skłamać i powiedzieć, że on nigdy się nie dowie.

- Jak się nazywa?

- Adrian. Adrian Tully.

Mieszkanie Adriana Tully'ego było obskurne. Meble pochodziły z pchlego targu, a regały zrobione były z żuźlowych brył i drewnianych desek. Książki, które nie zmieściły się na półkach, leżały na krzesłach i kanapie. Sam Tully wyglądał w miarę schludnie. Był łysy, miał krótko przystrzyżone wąsy i kocią bródkę. Jego koszulka polo była wyprasowana. Posadził Elizabeth i Shana przy kuchennym stole.

- Nie miałem nigdy za dużo do czynienia z panem Kristollem - powiedział. - Nie sądzę, bym mógł państwu w czymkolwiek pomóc.

- Dobrze - powiedziała Elizabeth. - Musimy porozmawiać ze wszystkimi, którzy pracowali w „Szarych Ulicach”. Jestem pewna, że pan to rozumie.

- Zastanawiałem się, jak idzie śledztwo - powiedział Tully. - Czy macie już jakieś tropy? Pewnie nie powinienem pytać. Nie możecie mi nic powiedzieć, prawda?

- Nie możemy.

- Zawsze mnie to fascynowało - jak zaczyna się rozwiązywać kryminalną zagadkę. Czy liczą się tylko dowody? Czy macie jakieś przeczucia?

- Ja mam przeczucia - powiedział Shan. - Detektyw Waishkey ma natomiast teorie. Hipotezy.

Na środku stołu stały zakupy - puszki z zupą, paczki z makaronem. Tully przesunął je na bok.

- Czytałem w jednej książce, że można rozwiązać każdą zagadkę, znaleźć każdą odpowiedź, jeśli tylko przepyta się wystarczająco wielu ludzi - powiedział. - Chodzi o to, że wspólnie wiemy mnóstwo rzeczy, których nie wie pojedynczy człowiek. To wcale nie tak dziwne, jak się wydaje. Badacze robili eksperymenty. Wzięli na przykład słoik z żelkami i kazali ludziom zgadywać, ile jest żelków. Potem wyciągnęli średnią z ich odpowiedzi i uzyskali wynik bardzo zbliżony do właściwego, prawdopodobnie bliższy niż którakolwiek z indywidualnych odpowiedzi.

Carter Shan wydawał się zaciekawiony. Elisabeth, która wiedziała, że potrafi on udawać, niemal uwierzyła, że naprawdę zafascynowała go przemowa Tully'ego.

- Nigdy o tym nie myślałem - powiedział Shan z uznaniem.

- Twierdzi pan zatem, że powinniśmy kazać ludziom zgadywać, kto zabił Toma Kristolla?

- Cóż, to brzmi dziwnie, kiedy tak pan to ujmuje.

- Nie, to ma sens. Powinniśmy spróbować - powiedział Shan.

- Może zaczniemy od razu? Jak pan sądzi, kto go zabił?

- Nie wiem. Mogę tylko zgadywać.

- Dobrze.

- Nie wiem. Może... David Loogan.

Shan wydawał się zaskoczony.

- Dlaczego pan go wybrał?
- Tylko zgadywałem.
- Musiał pan mieć jakiś powód.
- Cóż, nie chciałbym powiedzieć czegoś głupiego, ale wydaje mi się, że miał romans z Laurą.
- Naprawdę? Dlaczego pan tak twierdzi? - wtrąciła się Elizabeth.
- Bo zachowywali się wobec siebie w szczególny sposób.
- Czy spędza pan z nimi dużo czasu?
- Nie.
- A jednak zaobserwował pan, jak się wobec siebie zachowują - powiedziała Elizabeth.

Tully wzruszył ramionami.

- W lecie Tom i Laura urządzali w domu przyjęcia. David Loogan przyszedł na kilka z nich. Czasami odchodził z nią na bok i rozmawiali. I raz widziałem go z nią na kampusie.

- Czy rozmawiał pan o tym kiedyś z Laurą?

- Laura jest moją promotorką. Pytanie o życie prywatne byłoby nie na miejscu.

- Oczywiście - powiedziała Elizabeth. - Czy sądzisz, że Tom Kristoll podejrzewał, że jego żona ma romans?

- Nie wiem. Nie znałem go aż tak dobrze.

Shan wstał. Wyjął szklanekę z otwartej szafki i nalał sobie wody z kranu. Trzymając ją w dłoni, wszedł do salonu.

Elizabeth spytała Tully'ego o jego pracę na wydziale literatury angielskiej. Przez chwilę pozwoliła mu mówić o temacie jego pracy, po czym przerwała:

- Zeszłej wiosny był pan stażystą w redakcji „Szarych Ulic”, prawda?

- Tak.

- Co robi stażysta w takim czasopiśmie?

- Trochę łatwych prac redakcyjnych, trochę korektorstwa. Głównie jednak czyta śmieci - materiały niezamówione.

- Pracował pan w biurze?

- Zazwyczaj przynosiłem pracę do domu.

- A więc nie spotykał się pan z szefem zbyt często.

- Nie. Jak już mówiłem, obawiam się, że nie będę w stanie państwu pomóc.

- Jeszcze tylko kilka pytań. Kiedy widział pan Toma Kristolla po raz ostatni?

Tully zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Prawdopodobnie na jednym z tych przyjęć, które urządzali u siebie w domu - powiedział. - Chyba na początku września.

- Kiedy ostatni raz był pan w redakcji „Szarych Ulic”?

- Nie byłem tam od maja. Wtedy skończył się mój staż.

- Próbujemy odtworzyć ostatnie dni z życia Kristolla. Czy rozmawiał pan z nim lub widział go w ubiegłym tygodniu?

- Nie.

- I, dla porządku, gdzie pan był w piątek popołudniu i wieczorem?

- Tutaj - odparł Tully. - Oceniałem prace studentów i pracowałem nad rozdziałem własnej. Obawiam się, że nikt nie może tego poświadczyć. Mieszkam sam.

Shan wrócił z salonu. Wylał wodę do zlewu i postawił szklanke na ladzie.

- Dobrze - powiedziała Elizabeth. - To chyba wszystko.

Krople deszczu spadły na chodnik przed budynkiem Tully'ego. Ściemniało się. Shan zapalił silnik i zjechał z krawężnika.

- No to teraz mu się przyjrzałaś - powiedział.

- Tak - przyznała Elizabeth.

- I co o nim myślisz?

- Myślę, że gdybyśmy spytali wiele różnych osób, czy Adrian Tully jest kanciarzem, odpowiedzieliby: tak, tak, tak.

- Wyraźnie chciał nas skierować w stronę Davida Loogana - powiedział Shan. - Ale wcale nie chciał, żeby to było widoczne. Sądziś, że kocha się w Laurze Kristoll?

- Jest atrakcyjną kobietą - powiedziała Elizabeth. - I profesorem.

- Seksowna jak na nauczycielkę. A on chciał rzucić podejrzenie na Loogana, bo ten miał romans z Laurą Kristoll?

- Załóżmy, że nie był wcale pewien, czy mieli romans. W piątek pojechał więc za nią do domu Loogana. Jego podejrzenia się potwierdziły. Był wściekły. Podziurawił opony Loogana i podrapał jego samochód.

- Czy zrobił coś więcej? - spytał Shan. - Czy zabił Toma Kristolla? To nie wydaje się prawdopodobne. Skoro był wściekły na Loogana, dlaczego zabił Kristolla?

Elizabeth przeciągnęła palcem po naszyjniku.

- Pomyśl tak: Tully czuje się odrzucony. Skoro nie może być z Laurą Kristoll, chce przynajmniej zniszczyć jej związek z Looganem. Idzie do biura jej męża, żeby powiedzieć mu o romansie. Tom Kristoll tego jednak nie kupuje - jego żona i przyjaciel mieliby mieć romans? Mówi więc Tully'emu, żeby poszedł do diabła. Kłóć się. Tully uderza Kristolla w głowę. Kristoll traci przytomność. Tully panikuje. Nie chciał, żeby tak się stało. Wyrzuca Kristolla przez okno, starając się, by wyglądało to na samobójstwo.

Shan pokiwał głową.

- Za pomocą listu pożegnalnego autorstwa Szekspira: „Więcej mam w sobie krwi rzymskiej niż duńskiej”. Tully ma na półce egzemplarz Hamleta.

- Naprawdę?

- Przejrzałem go. Kilka linijek było podkreślonych, między innymi ta o Rzymianach.

Kiedy Elizabeth dotarła do domu, światło na ganku było zapalone. W piekarniku podgrzewała się zapiekanka, a w lodówce stała zakryta folią miska z sałatką. W śmietniku były dwie puszki - jedna po pepsi, druga po mountain dew.

Jej córka siedziała na podłodze w salonie, opierając się plecami o kanapę. Na stoliku leżały otwarty zeszyt i podręcznik do matematyki.

- To ja powinnam robić tobie kolację - powiedziała Elizabeth.

- To prawda - odparła Sarah. - Czasami mówię ludziom, że wychowuję się w rozbitym domu.

- Powinnam ci też pomagać w pracach domowych.

- No nie wiem. To trygonometria.

- A więc chyba bym ci się nie przydała. Nie uczyliśmy się tego, kiedy chodziłam do szkoły.

Sarah podniosła się z podłogi i razem usiadły przy stole. Sałatka była skomplikowana: trzy rodzaje sałaty, pomidory, plasterki cebuli, jabłka i marchewki, orzeszki piniowe i tarty ser.

- Mogłaś zaprosić go na kolację - powiedziała Elizabeth. - Na pewno byłby pod wrażeniem.

- Kto? - spytała Sarah.

- Chłopak, z którym się spotykasz. Billy Rydell.

- A, widziałas puszkę po mountain dew.

- Tak.

- Wiesz, powiedziałam mu, że moglibyśmy mieć sekretny romans, pod warunkiem, że zrezygnujemy z napojów gazowanych.

- Kiedy tu był?

- Po szkole. Siedzieliśmy przez chwilę na ganku. - Sarah przyniosła zapiekankę z ryżu, kurczaka i brokułów i nałożyła ją na talerze. - Co dzisiaj robiłaś? - spytała.

- Rozmawiałam z ludźmi - odparła Elizabeth.

- Możesz mi powiedzieć z kim. Nie wygadam się dziennikarzom.

- Jednym z nich był człowiek, który może okazać się mordercą Toma Kristolla.

Sarah przecięła widelcem różyczkę brokuła.

- Tom Kristoll to ten wydawca, którego wyrzucono przez okno.

- Tak.

- A ty rozmawiałaś z jego zabójcą. Czy to ten człowiek z drzazgą w dłoni?

Elizabeth opowiedziała wcześniej córce o swoim spotkaniu z Davidem Looganem.

- Nie, to nie on - odparła. - Wykluczyliśmy go.

- Myślałam, że może wrócił do kręgu podejrzanych.

- Nie. Mężczyzna, z którym rozmawiałam, to student żony Kristolla. Nazywa się Adrian Tully - przedstawiła córce teorię, którą ułożyli z Shanem.

- W jaki sposób to udowodnisz?

- Tully podał nam swoje alibi. Powiedział, że w piątek wieczorem był u siebie w domu. Postaramy się udowodnić, że kłamie. Pokażemy jego zdjęcie sąsiadom Loogana i ludziom mieszkającym niedaleko biura Kristolla.

- A co, jeśli nikt go nie rozpozna?

- Albo będzie to oznaczać, że to nie on zabił, albo że po prostu nikt go nie pamięta.

- Może się przyzna.

- Byłoby miło, gdyby ktoś się przyznał.

- Może zeżrą go wyrzuty sumienia - powiedziała Sarah. - Kiedy odbędzie się pogrzeb?

- Nie wiem, czy już to ustalono. Lekarz sądowy nie oddał jeszcze rodzinie ciała.

- Jeśli Tully jest mordercą, przyjdzie na pogrzeb.

- Zapewne przyjdzie tak czy inaczej.

- Jeśli jest mordercą, będzie się czuł zobowiązany - powiedziała Sarah. - Powinnaś tam być. Będzie stał nad grobem z żałobnikami i będzie czuł się winny. Jeśli tam będziesz, być może wyzna ci prawdę.

Rozdział 11.

Nathan Hideaway był wysokim mężczyzną o szerokich ramionach i grubej szyi. Miał wyraziste rysy - przenikliwy wzrok, potężny nos, szerokie usta i kwadratową szczękę. Na jego czole widniały zmarszczki. Miał kręcone, białe włosy. David Loogan widział już wcześniej tę twarz na zdjęciach, na obwolutach kryminałów. Raz spotkał go też osobiście, na przyjęciu w domu Kristolla nad rzeką Huron.

Kilka minut po ósmej, we wtorek wieczorem, Loogan zapukał do drzwi domu Kristolla. Otworzył mu je Nathan Hideaway, który natychmiast wyciągnął wielką dłoń na powitanie. Ubrany był w garnitur, który mógł być czarny albo też ciemnogrnatowy. Nie wydawało się, by pamiętał Loogana.

- Pan Loogan, jak mniemam - powiedział.

Poprowadził go do gabinetu. Laura Kristoll wyglądała, jakby chciała objąć Loogana, ale w końcu pogłaskała go tylko po ramieniu.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Davidzie - powiedziała.

Była z nią jeszcze jedna kobieta, którą Loogan poznał na tym samym przyjęciu. Jej zdjęcia również pojawiały się na obwolutach książek. Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt. Looganowi wydawała się czterdziestolatką, chociaż ubierała się tak, jakby była o piętnaście lat młodsza. Jej biała bluzka podkreślała kształty, a spódnica kończyła się wysoko nad kolanami. Miała krótko obcięte, celowo rozczochrane włosy.

- To jest Bridget Shellcross - powiedział Hideaway. - Bridge, poznaj Davida Loogana.

- Poznaliśmy się już - powiedział Loogan. - Miło mi znów panią widzieć.

Kiedy Bridget uśmiechała się, jej oczy się zwężały. Miała małe, białe zębki.

Oczywiście - powiedziała. Oczywiście nie miała pojęcia, gdzie poznała Loogana.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak Loogan go zapamiętał. Z tyłu biurko, rzędy półek, cztery wyściełane fotele. Trzy tygodnie wcześniej siedział tam z Tomem i rozmawiał o ciele, którego należało się pozbyć.

Ta sama lub bardzo podobna butelka whisky stała na bocznym stoliku.

Nathan Hideaway usiadł na fotelu, wskazując Looganowi drugi. Laura i Bridget również zajęły miejsca.

- Dobrze, zaczynamy - powiedział Hideaway. - Sądzę, że wszyscy się ze mną zgodzą...

- Zanim zaczniesz mówić w imieniu nas wszystkich, Nate, może zaproponuj panu Looganowi drinka - przerwała mu Bridget Shellcross.

- Oczywiście - powiedział Hideaway. - Jak najbardziej.

- Nie, dziękuję - odparł Loogan.

- Powinien pan się czegoś napić - nalegała Bridget. - My pijemy Chardonnay.

Na podłodze obok jej krzesła stał na wpół opróżniony kieliszek.

- To poproszę whisky.

Laura wstała.

- Przyniosę lód.

- Może być bez - powiedział Loogan.

Wyjęła szklankę z szuflady biurka i naląła do niej whisky z butelki stojącej na stole.

- Myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą - powiedział znów Hideaway - że strata Toma jest okrutnym ciosem.

- To znaczy śmierć Toma - wtrąciła się Bridget. - To śmierć Toma i nasza strata. Chryste, Nate, zawsze potrzebowałeś dobrego redaktora.

Hideaway zdawał się nie zwracać na nią uwagi.

- Tom był człowiekiem w sile wieku - powiedział. - Opuścił nas zdecydowanie zbyt wcześnie, a jego odejście zmusza nas do zajęcia się jego interesami.

- Tak, to prawda - przyznał cicho Loogan.

- Musimy zająć się tym, na czym najbardziej mu zależało - powiedział Hideaway. - Jedną z takich rzeczy są „Szare Ulice”. Tom był źródłem, pierwotną siłą, mocą napędową...

- Matko, dajcie facetowi tezaurusa.

- ...architektem sukcesu czasopisma. „Szare Ulice” były najważniejszym projektem jego życia. Gdyby można było odmówić, wstrzymać publikację...

- Nate, ale chodzi o to, że nie chcemy wstrzymywać publikacji - powiedziała Bridget.

- Dobrze wiemy - powiedział Hideaway do Loogana - że Tom wysoko oceniał pana umiejętności redaktorskie. Laura podziela ten pogląd. Nikt nie może oczywiście zająć miejsca Toma, ale chcielibyśmy, by rozważył pan możliwość przejęcia części jego obowiązków.

Loogan poczuł falę mdłości.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Chodzi nam o to - powiedział Hideaway - żeby dalej pracował pan jako redaktor, a ponadto zajął się wyborem opowiadań do publikacji. Nie musi się pan bać, że zostanie z tym sam. Będziemy panu doradzać.

Loogan stuknął palcem w szklanę, patrząc, jak światło lampy pada na bursztynowy płyn. Kilka chwil upłynęło w milczeniu.

- Nie wydaje się pan przekonany.

- Nie.

- Musimy popracować nad szczegółami. Będzie miał pan z pewnością własne pomysły na to, jak zarządzać pracą. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

Loogan wstał z fotela.

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

- Dobrze, Davidzie - powiedziała Laura, również wstając.
- Na razie daj spokój, Nate - powiedziała Bridget. - Potrzebuje czasu, żeby to przemyśleć.

Także Hideaway i Bridget wstali.

- Chciałbym porozmawiać z panem Looganem na osobności - powiedział Hideaway. - Tylko chwileczkę. Nie przeszkadza ci to, prawda, Lauro?

Spojrzenie Laury było nieprzeniknione.

- Raczej nie - odparła.

Bridget pokręciła głową z niechęcią, wyszła jednak razem z Laurą i zamknęła za nimi drzwi gabinetu. Hideaway wziął szklankę i nalał sobie whisky.

- Źle się do tego zabrałem - powiedział. - O niektórych rzeczach lepiej rozmawia się w cztery oczy niż w tłumie. - Upił łyk ze szklanki. Loogan milczał. - Poza tym jest za wcześnie - ciągnął Hideaway. - Toma nie ma z nami dopiero od czterech dni, a my ściągamy pana tutaj, żeby rozmawiać o interesach. To moja wina. Reszta chciała poczekać. Kiedy wiem, że coś trzeba zrobić, nie lubię tego odwlekać. Ale jest za wcześnie. Pewnie pan myśli, że to niestosowne.

- Na pewno nieoczekiwane - powiedział Loogan.

- Naprawdę? Na pewno zastanawiał się pan, co się stanie z „Szarymi Ulicami”. Kiedy poprosiliśmy, żeby pan tu dzisiaj przyszedł, musiał się pan domyślać przyczyny. O czym pan pomyślał?

- Nie uwierzyłby pan, gdybym odpowiedział.

Hideaway wstrząsnął swoją whisky.

- Zaciekał mnie pan.

- Pomyślałem, że chcecie mnie zatrudnić, żebym odkrył, kto zabił Toma.

Hideaway zmarszczył brwi.

- Skąd panu to przyszło do głowy?

- Nie chcecie wiedzieć, kto zabił Toma?

- Oczywiście, że chcemy - odparł Hideaway. - Ale jestem w rozterce. Laura była tajemnicza, mówiąc o pana przeszłości. Dała nam do zrozumienia, że miał pan burzliwą przeszłość. Zasugerowała nawet, że mógł pan być przestępcą. Uznałem, że to urojenie.

- I dobrze pan uznał.

- A zatem nigdy nie był pan przestępcą. Czy mam rozumieć, że był pan policjantem?

- Nie.

- A więc dlaczego mielibyśmy prosić pana o rozwiązanie zagadki morderstwa? Czy to nie praca dla policji?

- Czy naprawdę tak pan uważa? Przeczytałem kilka pańskich książek.

- To fikcja.

- W powieściach Nathana Hideaway'a policja nigdy nie nadąża za biegiem wypadków.

- Fikcja, panie Loogan.

- W powieściach Nathana Hideaway'a bohaterem jest zawsze detektyw amator - ciągnął Loogan. - I zawsze to jemu można powierzać sekrety. Sekrety, którymi niekoniecznie dzieli się z policją.

- Chyba nie nadążam - powiedział Hideaway.

- „Odejście Toma zmusza nas do zajęcia się jego interesami” - tak pan powiedział. Ale to niełatwe, prawda? Tom miał swoje tajemnice. Czy lepiej zachować je dla siebie, czy zdradzić?

- Teraz to już na pewno nie nadążam.

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście zaprosiliście mnie tutaj, żeby zaproponować mi pracę.

- A jaki mógłby być inny powód?

- Myślę, że chcieliście mi się przyjrzeć. Sprawdzić, czy będę sprawiał kłopoty.

- Powinien pan sam siebie posłuchać, panie Loogan. Mówi pan bardzo dziwne rzeczy.

- Mogę się mylić. Być może jest pan dokładnie tym, kim się pan wydaje być. Po prostu szuka pan nowego wydawcy „Szarych Ulic”.

- Myślałem, że to jasne.

- Być może jest pan szczery.

Hideaway rozłożył szeroko ramiona.

- Chciałbym tak o sobie myśleć.

- Niemal w to wierzę - odparł Loogan, rozglądając się wokół, spoglądając na fotele, półki i biurko. - Gdyby to był podstęp, wybrałby pan inny pokój. Porozmawiałby pan ze mną gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Rozdział 12.

Na stronie internetowej „Szarych Ulic” widniały zdjęcia i sylwetki stażystów pracujących w redakcji. Zdjęcia zamieszczone online były zbyt małe, by mogły się do czegokolwiek przydać, jednak oryginalne fotografie znajdowały się w jednym pliku w biurze redakcji „Szarych Ulic”. Sekretarka, Sandy Vogel, pokazała je Elizabeth we wtorek rano. Nie były ułożone w żaden szczególny sposób, Elizabeth szybko znalazła jednak zdjęcie Adriana Tully'ego.

Rano zrobiła kopie, a po południu ona, Carter Shan i garść innych detektywów ruszyła w okolice domu Loogana i do centrum Ann Arbor w poszukiwaniu kogoś, kto widział Adriana Tully'ego w dzień śmierci Toma Kristolla.

Poszukiwanie kontynuowano w sobotę. Wyniki okazały się rozczarowujące. Kelnerce w barze wydawało się, że podawała Tully'emu śniadanie, ale nie była pewna, którego dnia. Kilka innych osób wyrażało podobne wątpliwości. Potem jednak, w środę wieczorem, Shan rozmawiał z dziewczyną, która roznosiła gazety w okolicy Loogana. Rozpoznała Adriana Tully. Widziała go w piątek wieczorem na ulicy, przy której mieszkał Loogan.

Shan spisał oświadczenie dziewczyny, a następnego dnia razem z Elizabeth spotkali się z szefem, żeby przekazać mu najświeższe informacje. Owen McCaleb stał przy oknie w swoim biurze, nasłuchując. Dopiero co wrócił z joggingu i nie zdążył się jeszcze przebrać.

- To niewiele - powiedział, kiedy Shan skończył mówić.

- Wiem.

- Czyli jedyne, co mamy, to Adrian Tully na ulicy Loogana - powiedział McCaleb. - Nawet nie obok jego samochodu?

- Szedł ulicą niedaleko domu Loogana - powiedział Shan. - Tak twierdzi ta dziewczyna. Znamy również godzinę: za piętnaście szósta. Tully utrzymywał, że po południu i wieczorem był w swoim mieszkaniu.

- Godzina pasuje do tego, co powiedziała nam Laura Kristoll - dodała Elizabeth. - Przyjechała do domu Loogana około wpół do szóstej. Tully mógł ją śledzić.

- A potem mógł zniszczyć samochód Loogana i przebić mu opony - powiedział McCaleb. - Ale ta dziewczyna nie widziała, żeby to robił?

- Nie.

- A potem mógł pojechać do centrum, do redakcji „Szarych Ulic” - ciągnął McCaleb. - I, powodowany zazdrością lub zwykłym skurwysyństwem, powiedziec Tomowi Kristolowi, że jego żona ma romans. Mógł pokłócić się z Kristollem, walnąć go w głowę i wypchnąć przez okno. Nikt jednak nie widział go w budynku ani nawet w okolicy.

- Nie.

- A więc teraz jedyne, co mamy, to to, że Adrian Tully kłamał, mówiąc, że w piątek był w domu. Nie starczy nawet, żeby oskarżyć go o zniszczenie samochodu Loogana, a co dopiero o morderstwo Toma Kristolla. Nie starczy, żeby wystawić nakaz przeszukania jego mieszkania, a nawet, gdybyśmy to zrobili, nie mamy czego szukać. Czy my chociaż wiemy, czym uderzono Kristolla? Co powiedziała lekarka?

- „Tępe narzędzie” - Shan uśmiechną się żałośnie.

- Świetnie.

- Tak napisała Eakins w swoim raporcie - powiedziała Elizabeth - ale kiedy z nią rozmawiałam, pokusiła się o strzał. Powiedziała, że to mogła być książka. Że to mogła być ta książka, która leżała na biurku Kristolla - Dzieła zebrane Szekspira. Jest wystarczająco ciężka, żeby zrobić nią krzywdę. Poza tym brakowało obwoluty, możliwe, że zabójca zabrał ją ze sobą. Może łatwiej mu było ją zabrać niż wycierać odciski palców.

- Ale jeśli ją zabrał, miał mnóstwo czasu, żeby się jej pozbyć - zauważył McCaleb. - Więc co nam to daje? Tully kłamał. Chcecie pogadać z nim jeszcze raz?

- Myśleliśmy o tym - powiedział Shan. - Powiemy mu, że mamy świadka, który widział go w piątek wieczorem. Nie powiemy, gdzie. Niech się pozastanawia. Damy mu do zrozumienia, że wiemy, że nas okłamał. Zobaczymy, czy zmieni swoją wersję.

- Elizabeth?

- Warto spróbować. Ciekawa jestem, co powie.
- Dobra, zróbcie tak - przytaknął McCaleb.

Na chodniku naprzeciwko budynku, w którym mieszkał Adrian Tully, dwa gołębie walczyły o kawałek chleba. Jeden z nich chwycił go dziobem, potem nadbiegł drugi i, trzepocząc skrzydłami, zmusił go do puszczenia zdobyczy.

Elizabeth patrzyła na nie z samochodu. Obok, na miejscu kierowcy, siedział Shan. Weszli na górę i zapukali do drzwi Tully'ego, nikt im jednak nie odpowiedział.

Kciuki Shana szybko poruszały się po klawiaturze telefonu komórkowego. Jego była żona i syn mieszkali na przedmieściach Detroit, a on często porozumiewał się z nimi za pomocą SMS-ów. Elizabeth poznała kiedyś chłopca - miał dwanaście lat i odziedziczył po ojcu szczupłą budowę. Jego matka uczyła emisji głosu, a po komisariacie krążyła plotka, że ona i Shan należeli kiedyś do zespołu, w którym ona śpiewała, a on grał na perkusji. Shan nie potwierdzał ani nie zaprzeczał.

Elizabeth patrzyła, jak uśmiecha się do ekranu komórki. Potem napisał jeszcze jedną wiadomość, odłożył telefon i włączył w radiu stację z wiadomościami. Z powrotem przeniosła swoją uwagę na gołębie. Biegały po betonie, dzieląc między siebie okruchy chleba. Na rogu ulicy pojawił się pies, wrywający się ze smyczy terier irlandzki. Gołębie uciekły. Terier pochwycił chleb do pyska. Elizabeth wypatrywała przez chwilę gołębi, ale nie wróciły.

- To trzecia droga. Shan ściszył radio.
- Co?
- Tak właśnie będzie - powiedziała Elizabeth. - Trzecia droga.

- Co masz na myśli?

- Właśnie coś zauważyłam - odparła. - Czekasz, aż coś się zdarzy i zawsze myślisz, że stanie się tak albo inaczej. Ale mylisz się, ponieważ zawsze istnieje jeszcze trzecia droga. - Powietrze w samochodzie było stęchłe. Elizabeth nacisnęła guzik, żeby opuścić szybę. - Powiedzmy, że ubiegasz się o pracę i czekasz na telefon, żeby dowiedzieć się, czy ją dostałeś. Potem telefon dzwoni, a ty czekasz na „tak” albo na „nie”, a okazuje się, że człowiek, z którym rozmawiałeś, leży w śpiączce, zarząd podał się do dymisji, a nowy menedżer chce, żebyś przyszedł do nich jeszcze raz na rozmowę na zupełnie inne stanowisko, o którym nigdy wcześniej nie słyszałeś. To jest trzecia droga.

Shan otworzył okno po swojej stronie.

- A ty sądzisz, że tak stanie się z Tullym? - spytał. - Powiemy mu, że wiemy, że kłamie i będziemy oczekiwać, że albo wymyśli nową historię, albo przyzna się do zamordowania Toma Kristolla...

- A nie powie ani tego, ani tego.

- Jaka zatem jest ta trzecia droga?

- Właśnie o to chodzi, że nigdy nie wiadomo - wskazała na nadjeżdżający samochód. - Ale się dowiemy. Czy to nie on?

- To on - odparł Shan. - To jego żaloszny mały samochodzik. Wjeżdża na parking jego żalosznego bloku. Pozwalamy mu wjechać?

- Jasne. Nie chcemy przecież być nachalni.

Kilka minut później stali już w korytarzu, naprzeciwko drzwi Tully'ego. Elizabeth zapukała. Shan uśmiechnął się mimochodem - Elizabeth wiedziała, że to gra, na wypadek, gdyby Tully spojrział przez wizjer. Nikt się nie odezwał. Było cicho.

Zapukała jeszcze raz. Po chwili usłyszeli cichy głos Tully'ego, jakby z bardzo daleka:

- Kto tam?

- Detektywi Waishkey i Shan - odpowiedziała Elizabeth. - Musimy z panem porozmawiać.

Odpowiedź znowu zajęła Tully'emu dłuższą chwilę.

- Proszę sekundkę poczekać.

Shan zmarszczył brwi. Położył dłoń na przypiętym do pasa pistolecie.

- Adrian, proszę cię, otwórz drzwi - powiedziała Elizabeth.

- Za chwilę - odpowiedź znowu wydawała się nadchodzić z daleka.

Shan stanął po lewej stronie drzwi i wyciągnął pistolet.

- To tak wygląda ta trzecia droga? - szepnął.

- Spokojnie, Carter - odparła, jednocześnie sięgając jednak po własny pistolet. - Adrian, otwórz drzwi!

Po kolejnej chwili ciszy usłyszeli rozsuwanie zasuw. Elizabeth opuściła pistolet na bok.

Drzwi otworzyły się najpierw odrobinę, potem na oścież. Uśmiechając się, Adrian Tully pokazał im swoją prawą dłoń. Trzymał w niej słuchawkę bezprzewodowego telefonu. Shan mruknął coś pod nosem, Elizabeth była pewna, że było to słowo „idiota”.

- Przepraszam - powiedział Tully. - Rozmawiam właśnie ze swoim adwokatem. Radzi mi, żebym z wami nie rozmawiał. Mówi, że jeśli macie jakiegokolwiek pytania, powinniście się zgłosić do niego. A jeśli chce pan mnie zastrzelić - powiedział, patrząc na Shana - chyba powinien pan poczekać - pomachał telefonem. - Świadek.

Shan spojrział na niego z wściekłością i schował pistolet. Tully podniósł telefon do ucha, po czym powiedział:

- Mój adwokat chciałby wiedzieć, czy będziemy rozmawiać tutaj, czy jedziemy na komisariat.

- Trzecia droga - powiedział Carter Shan - to najlepsze, co może nas spotkać.

Elizabeth siedziała przy biurku w gabinecie wydziału śledczego, przeglądając pocztę i wiadomości. Shan siedział na krześle naprzeciwko i wpatrywał się w zamknięte drzwi gabinetu szefa.

- Pierwsza możliwość jest taka, że Tully wyjdzie stamtąd w kajdankach - powiedział Shan.

Zawieźli Adriana Tully'ego z mieszkania do urzędu miasta. Milczał przez całą podróż. Adwokat Tully'ego - Rex Chatterjee - czekał na nich na miejscu.

- Druga możliwość jest taka, że wymknie się bezkarnie.

Chatterjee spokojnie i uprzejmie poprosił o rozmowę z komendantem. Prawnik i jego klient znajdowali się obecnie w biurze McCaleba.

- Trzecia możliwość jest taka, że kiedy wyjdzie, walnę go w ten zuchwały ogolony łeb. Trzecia droga podoba mi się najbardziej.

Elizabeth dotarła do wiadomości od Alice Marrowicz. „Ciało Kristolla zwolnione. Pogrzeb zaplanowany na piątek” - przeczytała.

- Nic nie mówisz, Lizzie - powiedział Shan. - O czym myślisz?

- Czy sądzisz, że Tully jest sprytny? - spytała.

- Nie jakoś szczególnie.

- A jednak wiedział, że go obserwujemy.

- Pewnie ktoś go uprzedził. Obstawiam, że to Valerie Calnero. Od początku było jej głupio, że podała nam jego nazwisko.

- Albo może Sandy Vogel - powiedziała Elizabeth. - Pokazała mi teczkę z fotografiami stażystów. Nie widziała, że zabieram zdjęcie Tully'ego, ale mogła potem sprawdzić, którego brakuje.

- Tak czy inaczej chodzi o kogoś z redakcji „Szarych Ulic”. Oni tam chyba opiekują się sobą nawzajem.

- Prawnikiem Tully'ego jest Rex Chatterjee, który jest też adwokatem Laury Kristoll. Jaki z tego wniosek?

- Laura Kristoll nie chce, żebyśmy przesłuchiwali Adriana Tully'ego. Może się myliliśmy. Założyliśmy, że się w niej kocha, a uczucie może być wzajemne. Oboje mogli chcieć pozbyć się jej męża, żeby móc się ze sobą związać.

- Jest to jakaś możliwość - odparła Elizabeth.

- Albo może nie była wcale związana z Tullym i nie jest pewna, kto zabił jej męża. Może jednak podejrzewa, że to on i wcale jej to nie przeszkadza.

- Jesteś cyniczny, Carterze.

- Albo uważa, że jest niewinny. - Shan podniósł długopis z biurka i stuknął się nim w kolano. - I może rzeczywiście jest, a my od początku się myliliśmy.

- To już za dużo możliwości - powiedziała ponuro Elizabeth. -Zbyt mało jeszcze wiemy. Nie rozmawialiśmy ze wszystkimi.

W tym właśnie momencie drzwi do gabinetu szefa otworzyły się. Rex Chatterjee wyszedł pierwszy, przeczesując siwe włosy grubymi palcami. Tully, który szedł za nim, rzucił na pokój beztroskie spojrzenie.

Owen McCaleb patrzył, jak wychodzą, po czym podszedł do biurka Elizabeth.

- Sprawa wygląda tak - powiedział - że Adrian Tully jest reprezentowany przez adwokata. Złożył wszystkie oświadczenia, które ma zamiar złożyć. Jeśli uważamy, że jest winny zbrodni, musimy go oskarżyć i zobaczyć, jak poradzi sobie w sądzie. - McCaleb przewrócił oczyma. - A tak poza tym mnóstwo paplaniny. Chatterjee był zszokowany i oburzony, że policjanci z Ann Arbor stają pod drzwiami obywateli z bronią w dłoniach. Namiętnie o tym opowiadał. Jeszcze chwila, a oskarżyłby was o celowanie w jego klienta.

- Nikt w nikogo nie celował.

- Wiem - odparł McCaleb. - On po prostu robił dużo hałasu. Chciał, żebyśmy mieli świadomość, że mogą nas pozwać. To ma nas powstrzymać.

- Mamy się zatem powstrzymywać?

- Nie - orzekł McCaleb. - Musimy dowiedzieć się więcej o Tullym. A jeśli nie o nim, to może o kimś innym. Fajnie by było mieć jakiś plan.

- Elizabeth właśnie nad nim pracowała - powiedział Shan. - Chodzi w nim o rozmawianie z ludźmi i dowiadywanie się różnych rzeczy.

McCaleb odwrócił się i wszedł do biura.

- Dajcie mi znać, jak wam idzie - powiedział na odchodnym.

Przeglądając leżące na biurku papiery, Elizabeth natrafiła na zieloną teczkę, opatrzoną notatką Alice Marrowicz. Znajdowała się w niej lista autorów i pracowników związanych z „Szarymi Ulicami”.

- Rozmowy z ludźmi zatem - powiedział Shan. - Jak myślisz, od kogo powinniśmy zacząć?

Nie odrywając wzroku od notatki Alice, Elizabeth rzuciła mu listę.

- Mam kopię. Tu jest chyba ze dwieście nazwisk.

- Na pewno uda nam się ją zawęzić - odparła Elizabeth. - Nie wszyscy są miejscowi. A jutro jest pogrzeb Toma Kristolla. Ciekawe, kto się na nim pojawi. Nałóż ładny garnitur i staraj się nie machać pistoletem.

- A tymczasem?

- A tymczasem Alice Marrowicz wykonała za nas część pracy. Tom Kristoll publikował opowiadania skazańców. Poprosiłam Alice, żeby zaznaczyła ich nazwiska na liście. Znalazła dziewięciu. Siedmiu wciąż siedzi w więzieniu, jeden ze zwolnionych mieszka w Kalifornii, a drugi na polu kempingowym w Saline.

- Miejscowy - odparł Shan. - Jak się nazywa?

- Zorro.

- Ubiera się na czarno i nieźle włada mieczem?

- Michael Beccanti - powiedziała Elizabeth, przeglądając zielony folder. - To nie była moja sprawa, ale pamiętam go. Latem obrabiał rezydencje. Dostawał się do nich, przecinając okienne siatki. Zawsze przecinał je tak samo, rysując literę „Z”. Rok temu wyszedł z więzienia w Jackson.

- A zatem jedźmy porozmawiać z Zorro.

- Nie musimy jechać oboje - podała mu notatkę Alice. - Ty może zacznij od naszego przyjaciela z Kalifornii. Potem możesz spojrzeć na tych, którzy wciąż siedzą. Sprawdź, jakie mieli kontakty z Kristollem i innymi osobami z redakcji. - Shan zmarszczył czoło. - Nie martw się. Zadzwoń, jeśli będę cię potrzebować - dodała Elizabeth.

Jadąc do Saline, minęła osiedla domów, w których mieszkały bogate młode rodziny. Pole kempingowe było schowane, ale czyste i dobrze utrzymane. Trawa była skoszona, samochody wyglądały porządnie.

Elizabeth podjechała do przyczepy nr 305. Drzwi były ciemnoczerwone. Kobieta, która je otworzyła, miała na sobie spodnie od dresu, sandały i top bez rękawów. Bluzka była wyprasowana. Ciasno przylegała do jej rosnącego brzucha.

- Szukam Michaela Beccantiego - powiedziała Elizabeth.

- Kim pani jest?

Elizabeth pokazała swoją odznakę.

- Detektyw Waishkey - powiedziała.

- Mike'a nie ma w domu.

- Jak pani ma na imię?

- Karen.

- Czy pan Beccanti tutaj mieszka?

- Czasami.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Jakiś czas temu. Czego pani od niego chce?

- Muszę z nim porozmawiać.

- Tyle się domyśliłam. Ale nie ma go tutaj.

Elizabeth uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Który to miesiąc, Karen?

Kobieta położyła sobie dłoń na brzuchu. Na palcu miała pierścionek z malutkim diamentem.

- To chyba osobiste pytanie, prawda? - powiedziała. - Chyba nie powinna mi pani zadawać osobistych pytań.

- Ma pani rację - odparła Elizabeth. - To nie moja sprawa. Jest pani zaręczona z panem Beccantim?

- To kolejne osobiste pytanie.

- Próbuję tylko rozpoznać teren. Pan Beccanti mieszka tutaj „czasami” i nie widziała go pani już od jakiegoś czasu. Wydaje się, że to bardzo nieformalny związek.

Kobieta skrzyżowała ramiona na brzuchu.

- Czy mogę pani jeszcze w czymś pomóc?

- Mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie znajdę Michaela Beccantiego - odparła Elizabeth.

- Nie wiem, gdzie on jest.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Nie bardzo przejmuję się tym, czy pani mi wierzy. Mike odsiedział i odpracował swoje. Jest już wolny. Mój kuzyn studiuje prawo. Wiem, jak to działa. Nie muszę z panią rozmawiać, nie muszę nic pani mówić o Mike'u, nie muszę pokazywać pani zdjęć...

- Nie prosiłam o zdjęcia.

- Nie. Pewnie powinnam być za to wdzięczna.

- Czy ktoś inny był tu i prosił o zdjęcia?

- Inny glina - odparła gorzko kobieta. - A w każdym razie wyglądał na glinę. Miał takie dziwne nazwisko - Luger.

Elizabeth mrugnęła.

- Loogan.

- Właśnie.

- I chciał zobaczyć zdjęcie pana Beccantiego?

- Nie pokazałam mu. Dowiedział się ode mnie tyle, co pani.

- To mu wystarczy. Słuchaj, Karen, mam prośbę. Kiedy następnym razem spotkasz się z panem Beccantim, poproś go, żeby do mnie zadzwonił. - Elizabeth wyciągnęła z kieszeni wizytówkę. - Chciałabym tylko zadać mu kilka pytań.

Kobieta przyjęła wizytówkę bez słowa. Kiedy samochód Elizabeth odjechał, wciąż stała w drzwiach i trzymała ją w dłoni.

Rozdział 13.

- Ten wysoki z siwymi włosami to Nathan Hideaway - powiedział Loogan.

Elizabeth osłoniła oczy przed popołudniowym słońcem.

- Słyszałam o nim - powiedziała. - To pisarz.

- Tak, pisze thrillery. Wszystkie jego książki mają w tytule nazwę jakiegoś miesiąca - Styczniowy deszcz, Śmierć we wrześnie, Najdłuższa noc czerwca.

- A ta kobieta obok niego?

- To Bridget Shellcross.

- Ona też jest pisarką?

- Napisała serię powieści o marszandce, która rozwiązuje kryminalne zagadki z pomocą swojego golden retrievera.

- Serio?

- Są różni ludzie.

Niebo było jasne, a pogoda ładna, jak na koniec października. Loogan stał z boku, nieco oddalony od grupy zebranych nad grobem Kristolla żałobników. Zajął pozycję przy ogrodzeniu cmentarza. Elizabeth dołączyła do niego.

Wcześniej przyszła na pogrzeb. Było na nim mnóstwo ludzi. Kiedy Loogan przyjechał rano do domu żałobnego, zobaczył Laurę Kristoll samotnie stojącą w korytarzu, w czarnej sukience z długimi rękawami i wysokim kołnierzem. Popatrzyli na siebie z oddali, a potem ona podeszła do niego i objęła go. Jej miękkie

włosy dotknęły jego szyi. Wypowiedziała jedno słowo: „David”. Potem dołączyli do nich następni - siostra i ojciec Laury, brat i siostra Toma.

Kiedy nadchodzili kolejni goście, Loogan wtopił się w tłum. Stał pod tylną ścianą, patrząc na wypełniające się krzesła. Zobaczył wchodzącą Elizabeth Waishkey. Miała na sobie szarą jedwabną bluzkę i długą spódnicę, przez ramię przerzuciła ciemny płaszcz. Na jej szyi widniał krótki naszyjnik ze szklanych koralików. Usiadła w ostatnim rzędzie.

Nabożeństwo odprawiała sześćdziesięcioletnia, drobna kobieta pastor w grubych okularach. Stała nad zamkniętą trumną, na tle gałązek lilii i opowiadała o podróżowaniu, szukaniu i odpoczywaniu. Siostra Toma wygłosiła krótkie przemówienie. Jego brat łamiącym się głosem przeczytał wiersz Kiplinga.

Pod koniec nabożeństwa szczupły, dobrze ubrany Azjata usiadł obok Elizabeth. Loogan patrzył, jak razem wychodzą, a potem, na cmentarzu, zobaczył ich znowu. Szli przez pokrytą liśćmi i kamieniami murawę. Potem Azjata dołączył do żałobników, a Elizabeth podeszła do stojącego przy metalowym płocie Loogana. Stała w milczeniu, słuchając psalmów czytanych nad grobem Kristolla.

Ludzi było nieco mniej niż w domu pogrzebowym. Sporo z nich zostało po tym, jak pani pastor zaintonowała ostatnie błogosławieństwo. Zebrali się w grupki i rozmawiali ściszymi głosami. Elizabeth przyglądała się im ciekawie, a Loogan wskazał jej Nathana Hideaway'a i Bridget Shellcross. Rozmawiali oni z trzecim mężczyzną. Był średniego wzrostu, około czterdziestki, miał krótkie włosy i przystrzyżoną brodę.

- A on? - spytała Elizabeth.

Loogan potarł skroń.

- Wygląda znajomo.

- Gdzie go pan widział?

- Prawdopodobnie na skrzydełku książkowej obwoluty.

Przyglądali się, jak Nathan Hideaway kładzie brodatemu mężczyźnie rękę na ramieniu i nachyla się nad nim, jakby chciał powiedzieć mu coś w sekrecie. Mężczyzna spojrzał w stronę Loogana. Po chwili Hideaway także się odwrócił, uklonił Looganowi i Elizabeth i powoli odszedł.

- O co chodzi? - spytała Elizabeth.

- Czuję się, jakbym oglądał przedstawienie.

Bridget Shellcross wzięła brodatego mężczyznę pod ramię i razem ruszyli w stronę Loogana i Elizabeth. Bridget miała na sobie obcisłą, czarną tunikę i skórzane spodnie. Oczy ukryła za ciemnymi szklami. Kiedy byli już blisko, zdjęła okulary.

- Davidzie, chciałabym przedstawić ci Casimira Hifflyna - powiedziała. - Cass, to jest David Loogan.

Brodaty mężczyzna wyciągnął do Loogana dłoń, którą ten uścisnął.

- A to - powiedział - jest Elizabeth Waishkey.

Wszyscy się przywitali. Hifflyn powiedział:

- Panie Loogan, czy byłoby arogancją z mojej strony złożenie panu kondolencji z powodu śmierci naszego wspólnego przyjaciela?

- Absolutnie nie.

- Co sądzi pan o ceremonii?

- Szczerze?

- Oczywiście.

- Wydała mi się... nieodpowiednia.

- Chyba wiem, co ma pan na myśli - odparł Hifflyn. - Słowa zawodzą nas w takich chwilach. Psalm 23 jest chyba standardowy.

„Bóg jest moim pasterzem”. Ale to zbyt banalne. Gdyby to ode mnie zależało, wybrałbym coś innego.

Loogan podniósł oczy do nieba.

- Ja chyba wybrałbym ciszę. I mniej ludzi.

- Nie mogę się nie zgodzić - odparł Hifflyn. - Żałoba jest bardzo osobistą sprawą. Nie będę już panu przeszkadzać, panie Loogan. Chciałem tylko pana poznać, ponieważ nie dotarłem na ostatnie spotkanie. Mam nadzieję, że niedługo znów uda nam się porozmawiać.

- Z pewnością.

- A zatem opuszczam państwa - powiedział Hifflyn. - Miło mi było panią poznać - dodał, zwracając się do Elizabeth.

Bridget stanęła na palcach i ucałowała Loogana w policzki, po czym oddalili się. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Elizabeth powiedziała:

- A zatem to jest Casimir Hifflyn. Pisarz. On należy do innej kategorii niż reszta, prawda? Pisze książki dla intelektualistów.

Loogan oparł się plecami o płot.

- Niektóre. Zaczął od literackich kryminałów: Krawcy cesarza, Mężczyzna, który brukował drogę do nieba. Ale napisał też serię powieści detektywistycznych: Wojna Kendela, Plotka Kendela, Klucz Kendela.

- O co chodziło z tym „ostatnim spotkaniem”?

- We wtorek zaproszono mnie do domu Kristolla - powiedział Loogan. - Była tam Laura, Bridget Shellcross i Nathan Hideaway. Zaproponowali mi pracę.

- Naprawdę?

- Poprosili mnie, żebym zajął miejsce wydawcy „Szarych Ulic”.

- Zgodził się pan?

- Nie zdecydowałem jeszcze.

- Może powinien pan przyjąć propozycję - powiedziała Elizabeth. - Taka praca zajęłaby dużo czasu. Trzymałby się pan z dala od kłopotów.

Loogan wpatrywał się w zwiędłą trawę.

- Jakich kłopotów?

- Niech pan mi powie. Dlaczego pojechał pan szukać Michaela Beccantiego?

- Ach. To są te kłopoty?

- Możliwe. Dlaczego pan to zrobił?

- Tom wspomniał o nim kiedyś. Powiedział, że to włamywacz.

- Uważa pan, że może mieć coś wspólnego ze śmiercią Toma?

- Nie wiem. Wydawało mi się, że warto go spytać.

Elizabeth zrobiła poważną minę.

- Nie jest pan detektywem, panie Loogan. To nie jest opowiadanie w gazecie. Tropienie mordercy Toma Kristolla to nie pana zadanie.

- Wiem.

- Poprosił pan dziewczynę Beccantiego o jego zdjęcie. Dlaczego?

Loogan wzruszył ramionami.

- Szukałem go. Sądziłem, że będzie łatwiej, jeśli dowiem się, jak wygląda.

- Co by pan zrobił, gdyby go pan znalazł?

- Pewnie bym improwizował. Czy mogę o coś spytać?

- Proszę.

- Te koraliki, które ma pani na szyi, są ze szkła, prawda?

To pytanie zaskoczyło ją.

- Tak. Dlaczego...

- Ostatni raz, kiedy panią widziałem, miała pani na szyi inne koraliki. Podobne, ale nie te same.

- Moja córka zrobiła oba te naszyjniki. Dlaczego mnie pan o nie pyta?

- Chciałem spytać od chwili, kiedy zobaczyłem panią dzisiaj rano - powiedział Loogan. - A jesteśmy na cmentarzu. Cmentarze przypominają nam, że nie mamy wiele czasu. Nie powinniśmy odkładać tego, co jest do zrobienia.

Elizabeth spojrzała na niego z ukosa i uśmiechnęła się lekko.

- Panie Loogan, wydaje mi się, że chce mnie pan oczarować.

Grupki żałobników ruszyły w stronę swoich samochodów. Laura Kristoll rozmawiała cicho z siostrą i ojcem. Pomachała im i podeszła do Loogana, który z kolei odsunął się od płotu, żeby spotkać się z nią w połowie drogi. Elizabeth podążyła za nim.

W miejscu, w którym stanęła Laura, leżało mnóstwo żółtych liści. Zatrzeszczały pod podszewkami Loogana.

- Cóż - powiedziała Laura. - Już po wszystkim.

- Tak - odparł Loogan.

- Mówią, że powinnam wrócić do domu.

- To nie jest zły pomysł.

- Mój dom jest pełen ludzi. Wszyscy chcą się mną zaopiekować.

- No jasne.

Spojrzała do tyłu przez ramię. Jej ojciec i siostra stali nieruchomo. Kawalek dalej kręcił się organizator pogrzebu. Laura odwróciła się z powrotem do Loogana i powiedziała:

- Powinieneś pojechać z nami. Chcę, żebyś tam był.

- Będę, jeśli mi się uda - odparł. - Muszę coś jeszcze zrobić.

- Dobrze - skinęła głową do stojącej kawalek dalej Elizabeth. - Do widzenia, pani detektyw - powiedziała, po czym wróciła do rodziny.

Patrzył, jak idzie w stronę samochodów z ojcem i siostrą, ciągnąc za sobą organizatora pogrzebu. Nikt już nie został przy grobie. Nie było tam nic poza metalową barierką, która odgradzała dziurę, i kopcem ziemi, na wpół przykrytym folią.

Usłyszał cichy głos Elizabeth za plecami.

- Nie musi pan być ostrożny przez wzgląd na mnie.

Loogan odwrócił się do niej.

- Nie wiem, co ma pani na myśli.

- Nie ma powodu, by nie mógł pan pojechać z Laurą Kristoll. To nie jest sprawa policji z Ann Arbor. Nie wpiszę tego do raportu.

- Dobrze to słyszeć. Ale mówiłem prawdę: muszę coś jeszcze zrobić. Muszę kogoś znaleźć.

Elizabeth westchnęła.

- Myślałam, że doszliśmy już do porozumienia, panie Loogan. Nie jest pan detektywem. Nie powinien pan szukać Michaela Beccantiego.

Loogan rzucił jej przelotny uśmiech.

- Nie jego.

- Kogo zatem?

- Nie mogę podać jego nazwiska, ale to opiekun, nadzorca... - Loogan zrobił szeroki gest ramieniem - ...facet, który zajmuje się tym terenem. Mam zamiar zadać mu kilka pytań, kiedy go znajdę. Powie mi, jak to działa - wskazał podbródkiem grób. - Wydaje mi się, że wiem, co teraz będzie. Sądzę, że ułożą tę barierkę na ziemi

nad trumną. Potem zasypią ją ziemią. Nie wiem, czy zrobią to teraz, czy później. Mam zamiar się dowiedzieć.

- Po co?

- Bo zamierzam pomóc w pochowaniu Toma - spojrzał Elizabeth w oczy. - To pewnie brzmi idiotycznie.

- Nie - odparła. - Ale nie wiem, czy pan potrafi.

- Wiem, jak używać łopaty.

- Nie wiem, czy to dozwolone.

- Podejrzewam, że nie - odparł Loogan cichym, znużonym głosem. - Ale to nie będzie miało znaczenia, kiedy zostanę tu sam z ekipą grabarzy i poproszę ich o przysługę. - Wiatr zrzucił żółte liście na trawę. - Ktoś musi go zakopać. Nie wiem, dlaczego mieliby to być nieznajomi.

Carter Shan czekał w samochodzie - czarnym fordzie crown victoria. Elizabeth usiadła na miejscu pasażera. Przez okno widziała stojącego samotnie Loogana.

- Co on robi? - spytał Shan.

Nie chciała odpowiedzieć. Plany Loogana były jego prywatną sprawą.

- Sądzę, że to, co wszyscy. Żegna się. Odmawia modlitwę.

- Długo z nim rozmawiałaś.

- Przedstawił mnie kilku pisarzom. Przyznał, że szukał Beccantiego. Dowiedziałaś się czegoś?

- Adrian Tully nie pokazał się ani w domu pogrzebowym, ani tutaj.

- Co jeszcze?

- Rozmawiałem z Sandy Vogel. To ona uprzedziła Tully'ego, że go szukamy. Nie sędzę, by chciała zrobić coś złego. Powiedziała o tym Laurze Kristoll.

- To by się zgadzało. Podejrzewaliśmy, że to ona wynajęła mu adwokata.

- To też oczyszcza z podejrzeń Valerie Calnero - zauważył Shan. - Nie ostrzegła Tully'ego. Wciąż jest po jasnej stronie mocy.

- Wydajesz się zadowolony z tego powodu - powiedziała Elizabeth.

- Zawsze podobały mi się rude. Poza tym ma niezłe nogi.

- O Boże, Carter.

- No co, ma.

- Nie podrywałeś jej na pogrzebie, prawda? Shan włożył kluczyk do stacyjki.

- Nie no, skądże. Poczekam na lepszą okazję.

David Loogan w oddali spacerował po cmentarnym trawniku. Shan zastukał palcami w kierownicę.

- Chcesz zostać tu jeszcze chwilę i zobaczyć, co zrobi? - spytał.

- Nie - odparła Elizabeth. - Mamy robotę.

Rozdział 14.

Tamtej nocy mężczyzna, który nazywał siebie Davidem Looganem, leżał w sypialni wynajmowanego domu. W jego śnie Tom Kristoll żył. Obaj stali na polanie w Marshall Parku, z grobem złodzieja u stóp. Tom trzymał w dłoni srebrny pistolet, potem upuścił go na ziemię. Coś jednak poruszyło się w grobie.

Loogan dojrzał bladą dłoń zaciskającą się na pistolecie. Usłyszał ostry dźwięk wystrzału. Dwa razy.

Strzały obudziły go. Przez chwilę, nie mogąc się poruszyć, wpatrywał się w ciemną dziurę, która przypominała grób. Dopiero po chwili uspokoił się, dostrzegając, że to otwarte drzwi jego sypialni.

Oparł się na łokciu, zsunął nogi z łóżka. Jego spodnie zaszeleściły - położył się w ubraniu.

Zbiegł po schodach w skarpetkach. Zapalił światło w kuchni, napił się wody z garści. Na podłodze stały buty, ubrudzone ziemią z grobu Toma Kristolla. Na stole leżało pióro Mont-Blanc, pamiątka po Tomie, którą podarowała mu Laura.

Oparł się o ladę i spojrzął w ciemność salonu. Poczul strach. Nasłuchiwał jakiegoś dźwięku, jednak panowała cisza. Powoli otworzył szufladę.

Wszedł do salonu, w dłoni trzymając najdłuższy nóż, jaki miał. Badał wzrokiem czarne prostokąty - kominiek i drzwi do gabinetu profesora. Zapalił lampę i znowu poczul dreszcz. Kiedy podszedł do okna wychodzącego na ganek, ochłodziło się. Rama okienna była uniesiona o kilka centymetrów. Okno osłonięte było siatką. Na siatce widniały dwa długie nacięcia, na skos, w kształcie litery „X”.

Loogan usłyszał jakiś szelest. Był pewien, że ktoś jest tuż za nim. Odwrócił się z nożem w dłoni. Ostrze zaświszczało cicho. Nie było nic, w co mogłoby trafić. Opuścił nóż. Ostrzem celował w podłogę.

Wtedy właśnie w drzwiach gabinetu zmaterializowała się sylwetka.

Elizabeth obudziła się na kanapie owinięta kołdrą. W telewizji leciał nocny talk-show. Jej córka stała nad nią ze słuchawką w dłoni.

- Telefon do ciebie - powiedziała Sarah. - To Carter.

Elizabeth ziewnęła.

- Powiedz, że go pozdrawiam.

- Jest nieprzytomna. Daj jej chwilę - powiedziała Sarah do telefonu.

Elizabeth podniosła się, odkładając kołdrę na bok, i wzięła do ręki słuchawkę.

- Dzwonisz na zły telefon - powiedziała.

- Próbowałem dodzwonić się na komórkę, ale odezwała się sekretarka - powiedział Carter Shan.

Podniosła komórkę ze stołu.

- Wyłączyłam dźwięk przed pogrzebem.

- No właśnie - powiedział Shan. - Jadę na wieś północną drogą okręgową. Pomyślałem, że będziesz chciała dołączyć.

- O co chodzi?

- Ciało w samochodzie. Biały mężczyzna. Strzał w głowę. Pomyślałem, że cię to zainteresuje.

- Kto to jest, Carter?

Nie jestem pewien, ale samochód należy do naszego znajomego.

Mężczyzna był szczupły, niewysoki i ubrany na czarno. Jego twarz była owalna, otoczona ciemnymi, rozczochranymi włosami i trzydniową bródką.

Wszedł do salonu i powiedział:

- Mam broń.

- Tak? - odparł Loogan. - Pokaż.

- Tak naprawdę nie mam. Ale pomyślałem, że mogłoby cię to powstrzymać przed użyciem noża.

Loogan automatycznie wysunął ostrze. Zaciskał dłoń na rękojeści.

- Nie będzie ci potrzebny - powiedział mężczyzna. - Gdybym chciał zrobić ci krzywdę, już bym to zrobił. Chcę porozmawiać. Nazywam się...

- Michael Beccanti, wiem - odparł Loogan. - Widziałem swoją siatkę okienną. „X” zamiast „Z” - rozumiem, że to miał być odpowiednik przebrania.

- To przez „Z” znalazłem się w tarapatach - powiedział Beccanti. Wskazał na fotele i kanapę. - Może usiądziemy?

Loogan nie poruszył się.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Mniej więcej od godziny. Spałeś - Beccanti spojrzał na zegarek. - Położyłeś się dość wcześnie jak na piątkowy wieczór. Dopiero pierwsza.

- To był trudny dzień.

- Fotel w gabinecie jest wygodny - powiedział Beccanti. - O mało nie zasnąłem. Cieszę się jednak, że się obudziłeś. Myślałem, że będę musiał czekać do rana.

- Nie zamierzałeś mnie obudzić?

- Niektórzy kiepsko reagują, kiedy ktoś wchodzi do ich sypialni i zaczyna nimi potrząsać. Niektórzy ludzie dostają hysterii, kiedy ktoś włamuje się do ich domu. Ty zachowałeś się całkiem przyzwoicie, nie licząc noża. Tom mówił mi, że jesteś rozważnym człowiekiem.

Loogan wstrzymał oddech.

- Rozmawiałeś o mnie z Tomem?

- Jasne. On ciągle mówił o swoich przyjaciółach. Nigdy nie wspominał ci o mnie?

- Tylko raz. Masz przy sobie dowód? Może być też prawo jazdy.

- Po co?

- Czy Tom wspominał, że pracowałem w cyrku? - spytał Loogan. - Rzucałem nożami.

Beccanti zachichotał i wyciągnął portfel. Prawo jazdy wylądowało pod nogami Loogana, który podniósł je ostrożnie. Nazwisko się zgadzało - Michael Eric Beccanti. Zdjęcie również pasowało.

Potał palcem krawędź dokumentu, zastanawiając się, co zrobić. Najrozsądniej byłoby zadzwonić na policję, jednak już jakiś czas wcześniej przestał zachowywać się rozsądnie.

Pomyślał o Elizabeth Waishkey i rozmowie, jaką przeprowadził z nią rano.

„Dlaczego pojechał pan szukać Michaela Beccantiego?” - spytała. - „Co by pan zrobił, gdyby pan go znalazł?”

„Pewnie bym improwizował” - odpowiedział.

Beccanti patrzył na niego wyczekująco, z opuszczonymi ramionami i otwartymi dłońmi. Loogan rzucił mu prawo jazdy i postanowił improwizować.

- Tom wspominał o tobie raz. Powiedział, że nie żyjesz.

Patrolujący ulicę policjant stał na drodze, uderzając się latarką po udzie. Jego oddech był widoczny w nocnym powietrzu.

- Zgłosiła to para dzieciaków - powiedział Elizabeth i Shanowi. - Chłopak i dziewczyna. Jechali za samochodem ofiary i nie mogli go ominąć. Trąbili jak cholera, żeby zmusić go do usunięcia się z

drogi. Wreszcie chłopak wysiadł i podszedł do fotela kierowcy. No i zobaczył to, co zobaczył.

Shan zabrał Elizabeth i razem pojechali drogą nr 23 do północnej drogi okręgowej. Po jakichś pięciu czy sześciu milach skręcili w wąską dróżkę, ukrytą między polami kukurydzy. Stał tam już wóz patrolowy i samochód koronera.

- Dzieciaki - mruknął policjant, kręcąc głową. - Można się tylko domyślać, co tutaj robili. Może ten chłopak zastanowi się dwa razy, zanim znowu zabierze gdzieś dziewczynę w środku nocy. Tak czy inaczej, zobaczył to, co zobaczył i szybko stąd zwiął. Zabrał dziewczynę do domu i stamtąd zadzwonili na policję. Mam ich nazwiska.

- Dobrze - powiedziała Elizabeth.

- Kiedy tu dotarłem, otworzyłem samochód. Nie chciałem, ale nigdy nic nie wiadomo. Nie mogłem już mu pomóc. Nie wyczułem pulsu. Wycofałem się.

- W porządku - powiedział Shan.

- Lekarka bada go w tej chwili - poinformował policjant. - Eakins.

Lilian Eakins była około pięćdziesięcioletnią, krzepką i bezstylową kobietą. Jej brązowe włosy znaczyły siwe kosmyki. Drzwi samochodu ofiary były otwarte, a ona kuciała na ulicy po stronie kierowcy.

- Coś okropnego - powiedziała, nie patrząc w górę. - Po prostu coś okropnego.

- Cześć, Lii - przywitała ją Elizabeth.

- Pewnie chcecie wiedzieć, kto to.

- Chyba już wiemy.

- Nie wyciągnęłam jeszcze jego portfela. Nie chciałam go ruszać.

- Nie martw się tym. Zaraz zobaczę.
- Coś okropnego. Wyciągnę jego portfel. Ty się nie ruszaj.
- W porządku, Lii. Widzę go wystarczająco dobrze.
- No to jak się nazywa?
- Adrian Tully.

- Powiedział, że próbowałeś go okraść, a on musiał cię zabić - powiedział Loogan.

- Tom miał poczucie humoru - powiedział Beccanti.

Loogan poczuł, jak jego puls nieco zwalnia. Opuścił nóż.

- Pomogłem mu cię pochować - powiedział cicho. - Na polanie w lesie.

Beccanti odetchnął głośno. To mógł być śmiech.

- Ty mówisz poważnie.

- Tak.

- Chyba powinienes mi to wytłumaczyć.

Loogan zakłósał się. Podniósł nóż i przeciągnął ostrzem wzdłuż swojego rękawa.

- Trzy tygodnie temu Tom zadzwonił do mnie i poprosił, żebym pomógł mu zakopać ciało. - Ostrze uderzyło o guzik. - Teraz, kiedy cię poznałem, mogę powiedzieć, że mężczyzna, którego pochowaliśmy, wyglądał zupełnie inaczej. Był niższy. Był blondynem. Miał na nadgarstku tatuaż. Ale Tom powiedział, że to ty. Powiedział, że przyszedłeś do niego po pieniądze - pięć tysięcy dolarów. A kiedy odmówił, wyciągnąłeś pistolet. Uderzył cię w skroń butelką szkockiej.

- Ta szkocka to element realistyczny.

- Pewnie - powiedział Loogan. - Tom wymyślił tę historię, ale były w niej elementy prawdy. Powiedział, że potrzebowałeś pieniędzy, bo twoja dziewczyna zaszła w ciążę. Mówił o tym, jak cię poznał, o opowiadaniach, które napisałeś do „Szarych Ulic”.

Beccanti opuścił wzrok.

- Dlaczego kłamał? - zastanawiał się.

- Oto jest pytanie.

- Możliwe, że ci nie ufał, jednak z drugiej strony, poprosił cię o pomoc w zakopaniu ciała, a to nazwałbym oznaką zaufania.

- Chciał, żeby jego opowieść mnie zadowoliła - powiedział Loogan. - Ale nie chciał zdradzać prawdziwej tożsamości zabitego mężczyzny.

Twarz Beccantiego była na wpół oświetlona żółtym światłem lampy.

- Musi być jakiś związek - powiedział - między śmiercią Toma a tym mężczyzną.

- Na pewno - odparł Loogan. - Mógłbym zrozumieć, jaki, gdybym wiedział, kim był ten człowiek, którego pochowaliśmy.

Oczy Beccantiego rozbłyły w półmroku.

- Chyba mogę ci to powiedzieć.

Carter Shan wyciągnął aparat. Flesz rozbłykiwał w powietrzu niczym spokojny, cierpliwy piorun.

Lilian Eakins stała razem z Elizabeth na drodze za samochodem.

- Wygląda to na jeden strzał - powiedziała Eakins. - Tuż nad uchem, z bliska. Pistolet leży na siedzeniu. Trzydziestka ósemka.

Kula mniejszego kalibru kręciłaby się po głowie, ale ta przeszła na wylot. Zrobiła dziurę w oknie kierowcy.

- Myślisz, że sam się zabił?

- Na to wygląda.

- Dziwne miejsce na samobójstwo. Daleko od domu.

- Nigdy nie wiadomo, co ludzie robią. Tu jest cicho. Niezła noc na coś takiego.

Shan zawołał je do siebie. Podniósł rewolwer i otworzył cylinder, tak żeby cała trójka mogła na niego spojrzeć.

- Sześć pocisków. Tylko jeden zużyty. - Wrzucił pociski do plastikowego woreczka i zwrócił się do Elizabeth. - Czy sądzimy, że Adrian Tully miał tendencje samobójcze? - Elizabeth wydała jakiś dźwięk z zaciśniętych ust. - Jeżeli mieliśmy rację i to on zabił Kristolla, to może zaważnęło nim poczucie winy?

Elizabeth milcząco wpatrywała się w ciało.

- Nie wyglądacie na przekonanych - stwierdziła Eakins. - Żadne z was.

- Trzy tygodnie temu. Wtedy go pochowaliście.

Beccanti usiadł w fotelu obok lampy. Loogan siedział na kanapie z nożem na kolanach.

- Tak - potwierdził. - Siódmego. W środę wieczorem.

- To by się zgadzało - odparł Beccanti. - Tom zadzwonił do mnie w piątek. Powiedział, że ma dla mnie robotę. Wydawał się zawstydzony. Chciał, żebym przeszukał czyjś dom - apartament na Carpenter Road. Nikogo miało nie być w domu, a ja nie miałem się włamywać. Miał klucz. - Beccanti rozparł się na fotelu, zrelaksowany. - Pojechałem tam w sobotę wieczorem. Tom nie powiedział mi, czyje to mieszkanie, jednak kiedy tam

przyjechałem, znalazłem rachunki, faktury i karty kredytowe. Wszystkie na jedno nazwisko: Sean Wrentmore.

- Brzmi znajomo - powiedział Loogan. - On chyba jest na liście.

- Na jakiej liście?

- Ludzi związanych z „Szarymi Ulicami”. Chyba jest pisarzem.

- To by się zgadzało - przyznał Beccanti. - Tom nie był zainteresowany pieniędzmi, biżuterią ani kolekcją znaczków Seana Wrentmore'a. Powiedział, że gdybym znalazł coś takiego, mam tego nie ruszać. Chciał natomiast dysków, płyt CD, pendrive'ów i wszelkich nośników pamięci. Nie mogłem jednak niczego takiego znaleźć. Nie było tam też żadnego komputera ani laptopa. Musiałem przeszukiwać miejsca, o których nikt by nie pomyślał. Tajne kryjówki nigdy nie były moją mocną stroną. Kiedyś po prostu wchodziłem przez okno, zabierałem portfel, telefon i aparat fotograficzny, i wychodziłem z powrotem. Ale to niesamowite, czego można nauczyć się w więzieniu. Włożyłem klucz do zamka drzwi Seana Wrentmore'a w sobotę wieczorem, a nie wyszedłem z jego mieszkania aż do niedzieli rano. Odkręcałem lampy, odrywałem dywany w poszukiwaniu poluzowanych desek, wyciągałem kable i skrzynki bezpiecznikowe ze ścian. Patrzyłem, czy nie przyklejono czegoś pod spodem szuflad, pod meblami, pod spodem w zasadzie wszystkiego. Chociaż przejrzałem nawet zawartość lodówki i grzebałem w doniczkach, wciąż mogłem pochwalić się jednym tylko znaleziskiem. Był to pendrive wielkości kciuka, schowany za obudową elektrycznego gniazdka. W poniedziałek zaniósłem go do gabinetu Toma, odebrałem zapłatę i nigdy już o tym nie rozmawialiśmy.

Loogan położył nóż na poduszce. Pochylił się naprzód, z łokciami na kolanach. Było cicho. Na zewnątrz szeleściły liście.

- Podejrzewam, że nie wiesz, co było na tym dysku.

- Nie - odparł Beccanti.

- Ciekawe, czy wciąż jest w jego biurze.

Beccanti uśmiechnął się chytrze. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął z niej plastikowe pudełeczko wielkości zapalniczki. Postawił je na stoliku pomiędzy nimi.

- Wyruszyłem dzisiaj na poszukiwania - powiedział. - Biuro było zamknięte ze względu na szacunek do Toma, jednak sprzątaczkę musiały się pojawić. Wszedłem do gabinetu Toma, jakby był moim własnym, usiadłem przy biurku i zacząłem czytać książkę. Nikt mnie o nic nie pytał. Kiedy wszyscy sobie poszli, rozejrzałem się trochę. Jedna z szuflad biurka miała podwójne dno. Znalazłem tam dysk i jeszcze to. - Beccanti wyciągnął z drugiej kieszeni kluczyk i również rzucił go na stół. - To klucz do apartamentu Wrentmore'a. Możesz go użyć, jeśli chcesz.

Loogan podniósł dysk.

- Powiedziałeś, że nie wiesz, co się na nim znajduje.

- Bo nie wiem. Jest zabezpieczony. Potrzebne jest hasło.

Loogan włożył pendrive'a do kieszeni. Podniósł klucz i zaczął się nim bawić. Przetoczył go między palcami najpierw jednej, potem drugiej ręki, póki nie zorientował się, że Beccanti się z niego śmieje. Wrzucił klucz do tej samej kieszeni, co pendrive'a.

- Czy to po to tu przyszedłeś? Żeby mi to dać?

- Tak. Ale też po to, żeby zobaczyć, jaki jesteś - powiedział Beccanti. - Żeby sprawdzić, czy będziemy mogli pomóc sobie nawzajem.

- Pomóc sobie w czym?

- W znalezieniu zabójcy Toma.

- Ciągle słyszę, że powinniśmy zostawić to policji.

Beccanti skrzywił się.

- Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami. Tom pomógł mi wiele razy, a wcale nie musiał. Cała ta historia o pięciu tysiącach dolarów była prawdą. Tyle, że on mi nie odmówił. Wręczył mi pieniądze bez mrugnienia. Mam u niego dług.

Loogan położył nogi na stoliku.

- A jednak może lepiej będzie, jeśli pójdziesz na policję i powiesz im, co wiesz.

- Mam awersję do policjantów - powiedział Beccanti. - Poza tym: i kto to mówi? Zapewne policja byłaby zainteresowana historią o tym, jak pomogłeś Tomowi zakopać ciało w lesie. Mogliby uznać, że to ma znaczenie dla ich śledztwa.

Loogan nie skomentował. Patrzył na biały sufit, który zażółcił się w świetle lampy. Wreszcie spytał:

- Na ile dokładnie przeszukałeś biuro Toma?

- Tylko pobieżnie - przyznał Beccanti. - Szybko znalazłem szufladę i nie szukałem już dalej.

- Może powinieneś spróbować jeszcze raz. Zobaczyć, czy jest tam coś jeszcze, co może być związane z Seanem Wrentmore'em. Tym razem ja cię wprowadzę. Zaproponowano mi stanowisko Toma. Zapewne łączy się to również z przejęciem jego biura.

- Dobrze.

- A ja zajrzę do domu Wrentmore'a. W najgorszym wypadku znajdę chociaż jego zdjęcie. Chciałbym być pewny, że to jego pochowaliśmy.

- Czy to oznacza, że nie zgłaszamy się na policję? - spytał łagodnie Beccanti.

- Jeszcze nie. Jak w tej prawniczej zasadzie: w sądzie nigdy nie zadawaj pytań, na które nie znasz odpowiedzi.

- O to właśnie chodzi?

Loogan ściszył głos.

- Tom miał swoje powody, żeby trzymać różne rzeczy w sekrecie. Nie chcę iść na policję, póki nie dowiem się, dokąd to wszystko prowadzi.

Rozdział 15.

Rodzice Adriana Tully'ego mieszkali w Grand Rapids. O śmierci syna dowiedzieli się w sobotę o trzeciej nad ranem od policjanta, który kiedyś chodził do klasy z Elizabeth Waishkey.

Do Ann Arbor przyjechali w sobotę przed południem. Zabrali ze sobą córkę, ponurą siedemnastolatkę. Elizabeth rozmawiała z nimi w mieszkaniu Tully'ego. Byli oszołomieni. Adrian nigdy nie mówił im, by był w depresji, a już na pewno nigdy nie wspominał o samobójstwie. Elizabeth odniosła wrażenie, że w ogóle niezbyt często z nimi rozmawiał.

Wyszła od nich o pierwszej. W mieszkaniu Tully'ego nie było już nic więcej do odkrycia. Razem z Carterem przeszukali je wcześniej rano. Nie znaleźli nic niezwykłego, żadnego śladu łączącego Tully'ego z morderstwem Toma Kristolla. Żadnego listu pożegnalnego.

Piętnaście po pierwszej Elizabeth była już w urzędzie miasta. Pomachała sierżantowi siedzącemu w lobby i rozejrzała się dokoła. Dozorca zamiatał podłogę, jakaś kobieta siedziała na ławce z opuszczoną głową. Elizabeth już miała wejść na schody, kiedy usłyszała głos:

- Detektyw Waishkey?

Odwróciła się i zobaczyła, że kobieta wstała z ławki i podeszła do niej. Włosy były związane w kucyk, nie miała na nosie okularów. Nie było łatwo rozpoznać Valerie Calnero.

Była blada. Widać, że płakała.

- Muszę panią o coś spytać - powiedziała.

- Proszę pójść ze mną do gabinetu - powiedziała Elizabeth. - Tam będziemy mogły porozmawiać.

- Wolałabym tutaj - odparła kobieta. - Słyszałam o Adrianie. Zastrzelił się?

- Powinna pani pójść za mną.

- W wiadomościach nie mówili. Mówią, że to „prawdopodobnie” samobójstwo. Ale ja chciałabym wiedzieć, czy tak było naprawdę.

- Obawiam się, że nie mogę pani powiedzieć - odparła Elizabeth łagodnie. - Nie wiemy jeszcze na pewno.

- Czy Adrian zabił Toma Kristolla? To może mi pani powiedzieć.

- Nie wiem - powiedziała Elizabeth, cofając się o krok.

- Tydzień temu przyszła pani do mnie rozmawiać o zniszczonym samochodzie. Wskazałam na Adriana. Nie chciałam...

- Rozumiem pani zmartwienie - odparła Elizabeth.

- Nie chciałam - powtórzyła Valerie - ale pani powiedziała, że chcecie tylko z nim pogadać. A teraz on nie żyje.

- Rozumiem...

- Rodzice Adriana przyjechali do miasta. Chcą porozmawiać z jego przyjaciółmi. Co ja mam im powiedzieć? Mam powiedzieć, że przeze mnie popełnił samobójstwo?

- Valerie...

- Czy że z mojej winy ktoś go zabił? Chciałabym wiedzieć, która opcja jest prawdziwa.

Elizabeth położyła dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Wejdz ze mną na górę, Valerie. Wiem, że to okropny moment, ale naprawdę musimy porozmawiać. Możliwe, że wiesz coś, co rzuci światło na śmierć Adriana. Może chodzić o coś, co powiedział albo o jakieś jego zachowanie.

Valerie zacisnęła usta. Powoli pokręciła głową i wycofała się.

- Nie mam pani nic do powiedzenia.

Elizabeth zaparzyła kawę i napisała raport z miejsca zbrodni Adriana Tully'ego i z rozmowy z jego rodziną.

W pokoju nikogo nie było. Kiedy skończyła pisanie, wyjęła folder na temat śmierci Toma Kristolla i zaczęła go przeglądać. Słodki głos sprawił, że spojrzała w górę.

- Nie chciałam ci przeszkadzać.

Była to Alice Marrowicz ze swoim mysim ogonkiem, w swetrze ze zbyt długimi rękawami.

- Nie przeszkadzasz mi, Alice.

- Słyszałam, że pracowałaś wczoraj do późna - przysunęła sobie krzesło do biurka Elizabeth. - Nie szpieguję ani nic takiego, ale dowiedziałam się różnych rzeczy.

Elizabeth zamknęła folder.

- O co ci chodzi, Alice?

- Adrian Tully.

- Co z nim?

- Słyszałam, że został znaleziony martwy w samochodzie pośrodku niczego.

- Mówili o tym w telewizji - odparła Elizabeth.

- Słyszałam, że zmarł od strzału w głowę. Wokół rany były odłamki prochu, tak samo jak na ręce i rękawie płaszcza. Pistolet

leżał na siedzeniu obok. Pudełko z nabojami w schowku. - Alice zaczerpnęła tchu i ciągnęła. - A więc wszystko wskazuje na to, że strzelił sam do siebie. Są jednak elementy, które nie pasują. Słyszałam na przykład, że odciski palców były na pistolecie, ale nie na pociskach. Ani na pudełku z amunicją - mówiła coraz szybciej i pochyliła się do przodu. - A więc z jednej strony może to być samobójstwo. Z drugiej jednak, wcale nie byłoby trudno je sfalszować. Ktoś, kto go znał, siedziałby na siedzeniu obok. Działaliby szybko: jeden strzał w głowę i tyle. Potem nałożyłby rękawice i wytarł odciski z pistoletu. Wyjąłby zużyty pocisk, włożył go sobie do kieszeni i zamienił na nowy. Potem otworzyłby okno, włożył Tully'emu pistolet do ręki i wystrzelił. W ten sposób miałby on proch na rękę, a wciąż zostałyby zużyte tylko jeden nabój. Amunicja do schowka, pistolet na fotel. Zgodnie z planem, niedaleko stałby samochód, który pozwoliłby uciec mordercy.

Patrzyła na Elizabeth z wyczekiwaniem. Ta uśmiechnęła się zachęcająco.

- To niezła teoria, Alice. Sama się nad tym zastanawiałam...

Alice pokręciła jednak głową.

- Nie rozumiesz. To nie moja teoria. Nie ja to wymyśliłam. Przeczytałam o tym w kryminale.

Uśmiech Elizabeth zbladł.

- W jakim kryminale?

- Chcesz raczej spytać o to, kto go napisał.

- Dobrze. Kto?

- Bridget Shellcross.

- To banał - powiedziała Bridget Shellcross. - Pozorowane samobójstwo. Każdy autor kryminałów pisze o tym wcześniej czy później. Ja użyłam tego motywu w mojej drugiej książce.

Drzwi domu Bridget Shellcross otworzyła kobieta ostrzyżona na pazia. Była wysoka, wysportowana i ubrana jak na trening, a jej nagie ramiona były ładnie umięśnione. Zaprowadziła Elizabeth do designersko urządzonego salonu: kwadratowe, skórzane kształty, pasy ciemnego drewna, wypolerowany metal.

Bridget wstała z kanapy, żeby przywitać Elizabeth. Miała na sobie stylowy czarny garnitur, który pasował do jej zgrabnej sylwetki. Wysoka kobieta, która nazywała się Rachel Kent, wyszła do kuchni, po czym wróciła, niosąc ze sobą butelkę wody, surowe warzywa i hummus, i usiadła w rogu.

Bridget z powrotem usiadła na kanapie.

- W mojej pierwszej książce użyłam zupełnie innego schematu. Jeden z policjantów, który prowadził śledztwo, okazał się mordercą. Bez urazy.

- Absolutnie - odparła Elizabeth.

- Kiedy ją napisałam, miałam dwadzieścia trzy lata. Powstała na podstawie opowiadania, które zostało opublikowane w „Szarych Ulicach”. Tom Kristoll namówił mnie, żebym przerobiła je na powieść. - Z zamyśleniem pokręciła głową. - Biedny Tom. Jego śmierć też była banalna. Upozorowane samobójstwo. - Spojrzała na Elizabeth. - Pani sądzi, że coś je łączy?

- Tak pani myśli?

- Adrian Tully był podejrzany o zabicie Toma - powiedziała Bridget. - W każdym razie taka krąży plotka. Możliwe więc, że ten, kto zabił Toma, zabił też Tully'ego, chcąc odwrócić od siebie podejrzenie. Jeśli uwierzycie, że Tully popełnił samobójstwo ogarnięty poczuciem winy, przestaniecie szukać prawdziwego mordercy Toma. Rozumie pani, co to znaczy.

- Rozumiem, że co znaczy?

- Znaczy to, że ktoś chce zrzucić winę na Tully'ego. To kolejny schemat. Ile ich już mamy?

- Straciłam rachubę.

- Nie mówiąc już o tym, że śmierć Tully'ego przypomina zabójstwo z powieści, co ma rzucić podejrzenie na autora - powiedziała Bridget. - Jeszcze jeden banał. Domyślam się, że chce pani usłyszeć moje alibi.

Elizabeth niemal niezauważalnie wzruszyła ramionami.

- Jeśli to nie kłopot.

- Zastanówmy się. Widziała mnie pani na pogrzebie Toma. Potem większość z nas pojechała do domu Kristollich, żeby dotrzymać Laurze towarzystwa. Wysłam około piątej i spotkałam się z Rachel w Palio na wczesnej kolacji.

- Rachel nie przyszła na pogrzeb?

- Nie. Ona nie знаła Toma - powiedziała Bridget. - Po kolacji poszliśmy na zakupy na Main Street, a potem do kawiarni Crazy Wisdom. Grała tam jakaś folkowa piosenkarka. Jak ona się nazywała? - zwróciła się do Rachel.

- Angela cośtam.

- Rzeczywiście. Nie była najlepsza. O wpół do dziesiątej wróciliśmy do domu i zostaliśmy tu na noc.

- Byłyście same, tak? - spytała Elizabeth.

- Tak. Od dziewiątej trzydzieści Rachel jest moim jedynym alibi. Prawda, Rae?

- Jasne, Bridge - odpowiedziała kobieta rozbawionym tonem.

- Oczywiście ona kocha mnie do szaleństwa i skłamałaby dla mnie. Prawda, Rae?

- Oczywiście.

- Ale nie kłamiesz, prawda?

- Nie.

- No to tyle - powiedziała Bridget do Elizabeth. - Co jeszcze mogę pani powiedzieć?

Elizabeth popatrzyła na nią chwilę w milczeniu, po czym spytała:

- Znała pani Adriana Tully'ego?

- Spotkałam go dwa czy trzy razy - odparła Bridget. - Na przyjęciach, które organizowali Laura i Tom.

- Co pani o nim myślała?

- Pomyślałam, że jest gejem. Ale potem zrozumiałam, że po prostu dziwnie zachowuje się w towarzystwie.

- Czy kiedykolwiek panią podrywał?

Bridget zawahała się.

- Czemu pani o to pyta?

- Sądzę, że mógł interesować się atrakcyjnymi starszymi kobietami.

- Posłuchaj, jak łągodzi „starsze” - „atrakcyjnymi”, Rae. Jest taktowna - powiedziała Bridget. - Odpowiedź brzmi: tak, raz próbował mnie poderwać. Udawałam, że tego nie widzę, więc odszedł, krzywiąc się. - Wyprostowała się i opuściła nogi na ziemię. Jej ton stał się poważniejszy. - Nadal nie uważam jednak, by był szczególnie inteligentny. Gdybym spróbowała wyciągnąć go na pole kukurydzy, obiecując seks, pewnie by na to poszedł.

Elizabeth lekceważąco strąciła pyłek z fotela.

- Nic takiego nie sugerowałam.

- Nie, ale taki był podtekst - powiedziała Bridget. - Problem polega na tym, że ktokolwiek zabił Adriana Tully'ego albo pojechał z nim na pole, albo tam się z nim spotkał. Tak czy

inaczej, musiał wymyślić jakiś pretekst, żeby Tully się tam znalazł. Nie wiem, jaki to pretekst, bo to nie ja go zabiłam - położyła sobie kwadratową poduszkę na kolanach. - Toma też nie zabiłam, tak dla jasności. Wtedy też Rachel była moim alibi. Tamtej nocy byliśmy tutaj razem. Zrobiłyśmy sobie na kolację lazanie z bakłażanem i sosem z pomidorów i bazylii. - Tym samym spokojnym tonem dodała - sądzę, że w chwili, w której Tom spadał na chodnik, rozkładałam na stole serwetki i sztucce - odłożyła poduszkę i wstała. - Straciłam zainteresowanie tą rozmową. Jeśli nie ma pani więcej pytań, wyprowadzę panią na zewnątrz.

Rozdział 16.

- Spóźniła się pani na zachód słońca - powiedział Casimir Hifflyn.

- Przepraszam - odparła Elizabeth.

- Mogę go pani streścić: trochę chmur, za nimi różowawe niebo, na jego tle kilka gałęzi. Potem róż zmienił się w czerwień.

Hifflyn mieszkał w wielkim domu, osłoniętym od ulicy wysokim żywopłotem. Z tyłu był brukowany placyk i duży trawnik. W płytkiej miedzianej misie płonął ogień. Hifflyn i Elizabeth siedzieli na krzesłach przy ognisku.

- Czytała pani którąś z książek Bridget? - spytał Hifflyn.

- Niestety nie.

- Nie chcę ich oceniać - powiedział. - Nie ma to być poważna literatura. Realizm nie jest ich mocną stroną. Weźmy tę, o której pani wspomniała, z tym pozorowanym samobójstwem na polu

kukurydzy. Nie trzyma się kupy. Przede wszystkim trzeba przekonać ofiarę, żeby wyjechała na pole w środku nocy.

- Bridget sama wspomniała o tym problemie - wtrąciła się Elizabeth.

- Ale to nie jedyna trudność - powiedział Hifflyn. - Inna to świadkowie. W końcu rzecz nie dzieje się w dzicy, ale na polu kukurydzy. Czyli w pobliżu farmy. W książce ta farma była chyba opuszczona. Ale i tak są jeszcze sąsiedzi. Czy to jedyny dom w okolicy? Jeśli noc jest cicha i spokojna, wystrzał z pistoletu może być słyszalny bardzo daleko. A w tej sytuacji strzały muszą być dwa: jeden, by zabić ofiarę, a drugi, by na jego ręce znalazł się proch. Jeśli ktokolwiek usłyszy drugi strzał, cały plan bierze w łeb.

- Zajmujemy się tym - powiedziała Elizabeth. - Moi współpracownicy przesłuchują właśnie mieszkańców okolicy.

- Poza tym jest jeszcze kula - ciągnął Hifflyn. - Druga kula. Musiała gdzieś wylądować. Pewnie na polu albo... czy na jego skraju rosną drzewa?

- Tak mi się wydaje.

- A więc może w pniu drzewa. Tak czy inaczej, pocisk może zostać znaleziony. A jeśli tak się stanie, będzie to dowód, że były dwa strzały. A zatem cała sprawa nie będzie już wyglądać na samobójstwo. Morderca będzie miał pecha. - Hifflyn dorzucił drewna do ogniska. - Tak się składa, że właśnie tak zostaje rozwiązana zagadka w książce Bridget. Drugi pocisk zostaje znaleziony. Pies bohaterki natrafia na niego na polu. Nazywa się chyba Dusty czy Rusty. Jej książki zawsze tak się kończą - pies załatwia sprawę.

- Różne rzeczy się zdarzają - stwierdziła Elizabeth.

- Zapewne. Nie chciałbym być zarozumiały, ale sugerowałbym bardziej tradycyjne podejście. Na przykład dokładne przeszukanie pola wykrywaczem metali.

- O tym też już pomyśleliśmy. Sądzę, że moi koledzy właśnie nad tym pracują.

- To dobrze.

Zapadła cisza. Elizabeth wpatrywała się w ogień.

- Co może mi pan powiedzieć o Adrianie Tullym? - spytała wreszcie.

Hifflyn zastanawiał się przez chwilę.

- Był cichym, młodym człowiekiem. Potulnym, powiedziałbym.

- Redagował pana opowiadanie poprzedniej wiosny.

- Ma pani doskonałe źródła informacji.

- Sekretarka czasopisma trzyma pieczę nad wszystkim.

- Tak, Adrian redagował moje opowiadanie - potwierdził Hifflyn. - Jednak kiepska redakcja to niewystarczający motyw zabójstwa - chociaż czasami przez chwilę może się wydawać inaczej. A redakcja Adriana była dobra. Znalazł kilka drobnych błędów typograficznych, miał wątpliwości co do wyboru kilku słów. Nie zmieniał niczego tylko po to, żeby to zmienić.

- Czy to wtedy spotkał go pan pierwszy raz?

- Tak, umówiliśmy się na kawę i przejrzelśmy jego poprawki.

- Czy autor i redaktor często spotykają się osobiście?

- Pewnie nie - odparł Hifflyn. - Ale ja jestem ciekawą postacią, zwłaszcza dla studentów. Czasami chcą zobaczyć na własne oczy prawdziwego powieściopisarza.

- A pan robi im tę przyjemność?

- Kiedy tylko mogę. Najczęściej robiłem to dla Toma. Razem studiowaliśmy, razem założyliśmy czasopismo. Moja w tym rola

była jednak niewielka, a moje motywacje czysto egoistyczne - „Szare Ulice” wydawały mi się dobrym sposobem na opublikowanie własnych opowiadań. Nie chcę się jednak wdawać w dygresje. Pani chce rozmawiać o Adrianie Tullym.

- Jak często widywał go pan po tym pierwszym spotkaniu?

- Niezbyt często. Nasze drogi przecięły się kilka razy, zazwyczaj w domu Kristolla. Ostatni raz widziałem go już po śmierci Toma. Przez kilka pierwszych dni studenci kręcili się po domu Laury. Adrian był jednym z nich. Rozmawiałem z nim, ale tylko przez chwilę.

- A zatem nie może pan wiele powiedzieć o jego stanie psychicznym.

- Obawiam się, że nie.

- Czy wiedział pan, że podejrzewaliśmy go o zabójstwo Toma? Hifflyn kopnął obcasem kawałek drewna.

- Słyszałem o tym, ale nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego.

- Sądzymy, że śledził Laurę tego dnia, kiedy zginął Tom, i odkrył jej romans z Davidem Looganem. Mieliśmy teorię, że poszedł do biura Toma, żeby mu o tym powiedzieć, pokłócił się z nim i stracił panowanie nad sobą. - Elizabeth przyglądała się oświetlanej płomieniem twarzy Hifflyna. - Czy kiedykolwiek odniósł pan wrażenie, że Tully jest zainteresowany Laurą Kristoll?

Powoli pokręcił głową.

- Nie mam na ten temat żadnych obserwacji.

- A zatem zostawmy Tully'ego - powiedziała Elizabeth. - Skupmy się na Tomie. Chodziliście razem do szkoły, prawda?

- Tak.

- Potem pan zaczął publikować książki, a on prowadził czasopismo. Czy kiedykolwiek powstał między wami konflikt z tego powodu?

- Nie jestem pewien, czy dobrze panią rozumiem.

- Z tego, co wiem, Tom w młodości sam chciał być pisarzem.

- Wtedy wszyscy byliśmy pisarzami.

- Ale pan odniósł sukces, a on nie.

- Poszedł inną drogą. Z powodzeniem szefował „Szarym Ulicom”.

- To jednak nie to samo, prawda?

- Jeśli Tom mi zazdrościł, nigdy mi o tym nie powiedział.

- Jak bliska była wasza przyjaźń? - spytała. - Często się widywaliście? Rozmawialiście przez telefon?

- Czasami dzwonił do mnie, żeby spytać, jak mi idzie pisanie, albo żeby opowiedzieć o nowo odkrytym pisarzu. Czasami umawialiśmy się na obiad. - Tom z Laurą i ja z moją żoną.

- A zatem istnieje jakaś pani Hifflyn?

- Podróżuje po Europie. Mogę dać pani numer telefonu, jeśli go pani potrzebuje. Teraz jest w Wenecji. Ma tam rodzinę.

Elizabeth przechyliła głowę na bok.

- A pan jest tu, w Michigan.

- Wolałbym być z nią, ale próbuję skończyć książkę - powiedział Hifflyn.

- Jak pan sądzi, kto zabił Toma?

Do tej pory wpatrywał się w ogień, teraz jednak odwrócił się i spojrzał na nią zdziwionymi oczami.

- Nie wiem.

- To było obcesowe pytanie. Przepraszam. Powinna być wprowadzić pana w temat. Co pan pomyślał, kiedy dowiedział się pan, że Tom nie żyje?

- Nie wiedziałem, co myśleć. Wydało mi się to zupełnie bezsensowne.

- Musiał być jednak jakiś powód. Czego bym się dowiedziała, gdybym zaczęła grzebać w jego przeszłości?

Hifflyn zaczął skubać ucho palcami. W jego oczach pojawiło się cierpienie.

- Nie wiem. Źle się czuję, rozmawiając o Tomie w ten sposób. To wydaje mi się niewłaściwe.

- Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Ale pana pomoc by mi się przydała. Proszę mi powiedzieć, jaki Tom był w szkole.

- To było dwadzieścia lat temu.

- Proszę mi zrobić tę przyjemność.

Hifflyn westchnął.

- Był pracowity. Oddany.

- Oddany pismu?

- I literaturze.

- Brał pan udział w kursach kreatywnego pisania?

- Tak, podobnie jak Laura i Tom.

- A Bridget Shellcross?

- Była rok wyżej. Ale wtedy studiowała historię sztuki.

- Dobrze - powiedziała Elizabeth. - Proszę pamiętać, że badam przeszłość. Co znajduję?

- Nie wiem, czego pani szuka.

- Oczywiście, że pan wie. Wyobraźmy sobie, że rozmawiam z kimś, kto ma mniej skrupułów, z kimś, kto lubi opowiadać historie. Co by mi powiedział?

- Gdybym chciał poopowiadać historie - Hifflyn złożył dłonie na kolanach - powiedziałbym, że Bridget i Toma kiedyś coś łączyło.

- Czyli mieli romans?

- Tak. Bridget była wtedy... otwarta.

- To było zanim Tom związał się z Laurą?

- Nie, byli już razem, ale to było jeszcze przed ich ślubem. Laura dowiedziała się o Bridget, ale jakoś sobie z tym poradzili.

- I to był koniec... między Tomem a Bridget?

- Sądzę, że tak.

- Ale nie wie pan, co mogło się wydarzyć w kolejnych latach - powiedziała Elizabeth. - Mogli zejść się ponownie.

- Nie mam powodu, żeby tak myśleć.

- Czy Tom powiedziałby panu, gdyby znowu się zeszli?

- Nie sądzę. Nie lubił się spowiadać.

- Dobrze. Wciąż badam teren. Co jeszcze znajduję?

Po krótkiej chwili Hifflyn wstał i spojrział w niebo.

- Czy lubi pani patrzeć na gwiazdy, pani detektyw?

- Nie wtedy, kiedy badam teren.

- W mieście trudno cokolwiek zobaczyć. Sztuczne światło tłumi to prawdziwe. Tutaj lepiej patrzy się na gwiazdy - wskazał na północne niebo. - Te trzy gwiazdy to chyba pas Oriona.

Elizabeth dołączyła do niego.

- Chyba ma pan rację. Na zachodzie, kawałek dalej, widać Syriusza.

- To ta jasna?

- Najjaśniejsza. Zwana również Psią Gwiazdą. Jest częścią konstelacji Canis Major. Może powie mi pan, czego szukam?

Patrząc na jego twarz z profilu, zauważyła, że mruży oczy.

- Laura i ja.
 - Był pan związany z Laurą?
 - Na pierwszym roku. Zanim poznała Toma. Ja ich ze sobą poznałem. Można właściwie powiedzieć, że on ją odbił.
 - Rozumiem. Jak to się stało?
 - Tom był czarujący. I mówiłem już, że był oddany. Można by nawet użyć słowa „obsesja”. Zwłaszcza po tym, jak założył pismo. Laurze się to podobało.
 - Musiało to pana zboleć.
 - Na początku było ciężko - przyznał. - Czasami nawet nienawidziłem Toma. Miałem ochotę wepchnąć go pod autobus. Albo wypchnąć przez okno.
- Hifflyn wpatrywał się w ziemię. Czubkiem buta rysował kształty na chodniku.
- Miałem wtedy swoje powody. Gdyby Tom został zabity dwadzieścia lat temu, mógłbym być głównym podejrzanym. Nie wiem, kim jestem teraz.

Rozdział 17.

Szafy w kuchni mieszkania Seana Wrentmore'a były ustawione równo, piec był czysty. Na blatach nie leżały żadne okruszki.

W zlewku stała szklanka, w zmywarce kilka talerzy. W lodówce można było znaleźć oznaki nieobecności Wrentmore'a - zepsute mleko, pleśniejące resztki jedzenia.

David Loogan zamknął drzwi lodówki i wszedł do salonu, w którym stała droga wieża i płaski ekran. Meble sprawiały wrażenie kupionych w komplecie - sofa pasowała do szeszlona, stół do stolików. Na ścianach wisiało kilka zdjęć w metalowych

ramach. Większość z nich przedstawiała ludzi z trzeciego świata - kobiety przy studniach, chłopaków pod pomalowanymi graffiti ścianami. Ich twarze były zawsze poważne, czasami wściekłe, czasami zrezygnowane.

Zdjęć nie zrobił Wrentmore. Zostały podpisane przez kobietę, o której Loogan nigdy wcześniej nie słyszał. W domu nie znalazł żadnych osobistych fotografii, żadnych albumów, żadnych ujęć z Polaroida.

Loogan przeszedł przez korytarz i wszedł do sypialni. Była na tyle duża, że stanowiła również biuro. Biurko przy ścianie. Półki pełne książek. W szafie wisiały koszule, golfy, bojówki i dzinsy w rozmiarze pasującym do ciała, które Loogan widział na podłodze w biurze Kristolla. W kącie szafy stał pistolet, z lufą skierowaną do sufitu, a na półce ponad nim - nieduże pudełko z pociskami do dwudziestki dwójki. Loogan przypomniał sobie niklowaną broń schowaną w kaburze na łydce ofiary.

Zamknął szafę i usiadł przy biurku, na którym pełno było czystych notesów, długopisów i ołówków. Zgodnie z tym, co powiedział Michael Beccanti, nie było tam komputera, a Loogan pomyślał, że bałagan miał ukryć jego brak.

Przeszukał kilka szuflad i biurko, znalazł rachunki za telefon i prąd, ale żadnych oświadczeń bankowych ani książeczek czekowych. Nie było gazet, notesów; niczego, co mogłoby sugerować, że właściciel biurka był pisarzem. Na biurku leżało kilka kartek, ale żadna nie była zapisana. Loogan przejrzał je, mając nadzieję, że znajdzie jakiś szyfr albo ciąg cyfr, który mógłby być hasłem do pendrive'a, który znalazł Beccanti. Nic takiego nie było. W jednej z szuflad znalazł jednak legitymację studencką wystawioną na nazwisko Seana Wrentmore'a. Pochodziła z college'u w Ohio, jej ważność minęła dziesięć lat wcześniej, zdjęcie było jednak wyraźne. Szczupła twarz, szarawe

włosy. Zdjęcie sprzed lat mężczyzny, którego Loogan z Tomem zakopali w Marshall Parku.

W kolekcji książek Wrentmore'a znalazł to, czego się spodziewał. Większość z nich stanowiły kryminały. Raymond Chandler, Dashiell Hammett i Rex Stout. Ze współczesnych autorów ulubionymi wydawali się Michael Connelly, Jeffrey Deaver i Elmore Leonard, ale były tam też książki Nathana Hideaway, Bridget Shellcross i Casimira Hifflyna.

Pozostałe książki stanowiły mieszankę: science fiction Roberta Heinleina, kolekcja dzieł Marka Twaina, dramaty Edmonda Rostanda.

Loogan otworzył jedną z powieści Nathana Hideaway i odkrył, że niektóre linijki zostały podkreślone, a na marginesach widniały notatki. Wrentmore zaznaczył niektóre dialogi i opatrzył je słowem „wymuszone”. Zakreślał akapity i pisał obok: „Fuj! Okropność!”.

Na ostatniej stronie jednej z powieści Bridget Shellcross - Przesuń się, której głównymi bohaterami byli marszandka Linda Lorenger i jej golden retriever - Wrentmore napisał dwuzdaniową recenzję: „Zabij psa. Lindę zabierz ze sobą”.

Na obwolucie jednej z książek Casimira Hifflyna znajdowały się fragmenty recenzji. „Chwyta za gardło i nie puszcza” - brzmiał cytat z „Boston Globe”. Wrentmore skreślił go i napisał: „Wali w ryj i wyrzuca przez okno pociągu”.

Na pozostałych książkach widniały podobne komentarze. Loogan przejrzał kilka z nich, przestał jednak, kiedy zorientował się, że traci czas. Znalazł już to, czego szukał - wiedział już mniej więcej, kim był Sean Wrentmore. Nie dowiedziałby się więcej z kolejnych książek.

Po raz ostatni rozejrzył się wokół i wyszedł głównymi drzwiami. Popołudnie było szare i chłodne. Zamknął drzwi na

zasuwę i zdjął plastikowe rękawice, które nosił, żeby nie zostawiać śladów. Zobaczył na chodniku idącą w jego stronę młodą Afroamerykankę, ubraną w coś, co wyglądało na strój pielęgniarki. Niosła dużą torbę. Prawdopodobnie wracała z pracy.

Loogan schował rękawice do kieszeni marynarki, mając nadzieję, że kobieta ich nie zauważy. Uśmiechnęła się zmieszana i pomachała. Zatrzymała się o kilka kroków od niego z niepewną miną.

- Czy jest pan przyjacielem Seana?

- Jestem jego kuzynem - odparł Loogan. - Ted Carmady.

- Delia Ross - przedstawiła się i podeszła nieco bliżej. - Jestem sąsiadką.

- Przyjechałem z Dayton w sprawach służbowych - powiedział Loogan. - Chciałem zajrzeć do Seana, ale nie ma go w domu. - W notce biograficznej Wrentmore'a w „Szarych Ulicach” Loogan przeczytał, że dorastał w Dayton.

- Nie widziałam go już od jakiegoś czasu - powiedziała Delia Ross. - Zaczynam się zastanawiać, co się z nim stało.

- Od miesiąca się do nas nie odzywał - powiedział Loogan. - To niby niedużo, ale jego matka zaczyna się niepokoić. Dlatego wszedłem do środka. - Loogan pomyślał, że kobieta i tak widziała, jak wychodzi z domu Wrentmore'a, więc nie ma sensu kłamać.

- Dobrze, że ma pan klucz - powiedziała.

- Sean trzyma drugi na zewnątrz, schowany pod kamieniem - powiedział, po czym dodał z uśmiechem. - Chyba nie powinienem tego mówić.

- Jego sekret jest u mnie bezpieczny - powiedziała.

- Dobrze zna pani Seana? - spytał.

- Nie wiem, czy ktokolwiek dobrze go zna.

- Zawsze był samotnikiem. Zdaje się, że wciąż mieszka sam - Loogan spojrział w stronę drzwi. - Ale jest tam bardzo czysto. Zastanawiam się, czy ma sprzątaczkę.

- Nigdy nikogo takiego nie widziałam - powiedziała. - Wydaje mi się, że on sam jest pedantem.

Loogan zmienił ton na nieco złośliwy.

- A dziewczyny? Nie pytałbym, ale to będzie pierwsza rzecz, o jaką zapyta jego matka.

- Nie jestem pewna. Ale żadnej nie widziałam.

- Zapewne wciąż pisze.

- Tak, to mogę potwierdzić.

- Czytałem kilka jego opowiadań - powiedział Loogan. - Są dosyć dziwne. Pełne przemocy. Ale zapewne takie rzeczy ludzie lubią czytać.

- Wie pan coś o jego powieści?

Chwila milczenia.

- Mówił, że zamierza jakąś napisać. Skończył ją?

- Nie. Wciąż ją poprawia. Ale pozwolił mi ją przeczytać.

Loogan uśmiechnął się.

- Musi panią lubić.

- Prosiłam go trzy albo cztery razy, zanim mi ją dał - powiedziała. - Jest nieśmiały. Nie wiem, co by zrobił, gdyby kiedykolwiek ją opublikował. Gdyby okazała się sukcesem. Nie wiem, jak poradziłby sobie ze sławą.

- Dobra jest? - spytał Loogan. - O czym mówi?

- Jest znakomita, ale trudna do opisania - odparła. - Główny bohater jest artystą, malarzem. Wyleciał ze szkoły i wrócił do miasta, w którym się wychował. Zakochuje się tam w autorce książek dla dzieci. Ale jest tam też rabuś, który ma problemy ze

skorumpowanym policjantem. Policjant szantażuje go, mówiąc, że wyjawí zbrodnię, którą popełnił. Tyle tylko, że rabuś wcale jej nie popełnił, ale tego dowiadujemy się na końcu. - Zamknęła na chwilę oczy, próbując przypomnieć sobie resztę. - W każdym razie artysta i rabuś zaprzyjaźniają się i razem kradną rękopis pisarki, żeby malarz mógł go zilustrować. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale w książce ma sens. Dzieje się też mnóstwo innych rzeczy. Ojciec malarza właśnie umarł. Dowiadujemy się, że był alkoholikiem, i jest mnóstwo scen z przeszłości. I jest tam też historia jego miłości do koleżanki z liceum, z którą nigdy nie wiąże się naprawdę.

- Wydaje się to skomplikowane - powiedział Loogan.

- I jest. Maszynopis ma 1200 stron.

- O!

- Jest w nim trochę przemocy, ale trudno to nazwać kryminałem. Nie wiem, do jakiej kategorii pasuje najlepiej. To chyba część problemu. Sean pokazał mi list odmowny z wydawnictwa. Napisali, że bardzo im się podoba, ale nie wiedzieliby, jak to sprzedać.

- Tak czy inaczej książka wydaje się interesująca. Jaki ma tytuł?

- Kłamcy i cośtam - powiedziała Delia Ross. - Niech sobie przypomnę... Kłamcy, złodzieje i niewinni ludzie.

- Chciałbym ją przeczytać. Czy wciąż ma pani maszynopis?

- Mam ją na płycie - zawahała się. - Ale Sean kazał mi przysiąc, że nikomu jej nie pokażę. Nie chciałabym dać jej panu bez jego pozwolenia.

- Rozumiem. Nie chciałbym pani do niczego zmuszać - Loogan spojrział na zegarek. - Cóż, przyjdę innym razem. Byłoby miło wiedzieć, gdzie mogę go znaleźć. Wie pani, gdzie on teraz pracuje? Poza pisaniem musi chyba coś robić, żeby się utrzymać.

- Mówił mi, że sprzedaje różne rzeczy w internecie. Używane książki i tak dalej. Jakoś sobie radzi. Zawsze podejrzewałam, że ma jakieś dodatkowe pieniądze od bogatych krewnych.

- Nie jesteśmy bogaci - powiedział Loogan, dobrze wiedząc, że jej podejrzenia mogły być prawdą.

Zamilkła i cofnęła się o krok, jakby chciała odejść, po czym spojrzała na dom Seana Wrentmore'a.

- O czym pani myśli? - spytał Loogan.

- Nie wiem - odparła powoli. - Chodzi o to, że... cóż, Sean jest dosyć dziwny. Pewnie nie muszę panu tego mówić.

- Raczej nie.

- Mówi pan, że nie rozmawiał z nim od miesiąca - powiedziała.

- A mnie się wydaje, że mniej więcej miesiąc temu widziałam go po raz ostatni. Myśli pan, że wyjechał?

- Nie wiem.

- Jeśli wyjechał na wakacje, zapomniał powiadomić o tym pocztę. Jego skrzynka wypełniła się i opróżniłam ją kilka dni temu. Mam sporo jego korespondencji na biurku.

- To miłe, że ją pani dla niego trzyma.

- Nie chciałabym przesadzać, ale... nie boi się pan, że coś mu się stało?

Loogan uniósł brwi.

- Cóż, ja też nie chciałbym przesadzać.

- Nie chcę wpadać w paranoję. A z drugiej strony, nie wiem, czy pan to zauważył, ale sam Sean wydaje się czasem paranoikiem.

- Tak?

- Tak, tylko nie jestem pewna, na czym ta jego paranoja polega.

- Zdjęła torbę z ramienia, sięgnęła do niej i wyciągnęła pęk kluczy. Uniosła jeden z nich.

- Zgadnie pan, do czego służy ten klucz?

Loogan uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Do czego?

- Wydaje mi się, że otwiera jakąś kłódkę - powiedziała. - Sean dał mi go, kiedy się zaprzyjaźniliśmy, kilka miesięcy temu. Dał mi też adres i numer telefonu jednego z tych magazynów, które stoją przy autostradach. Powiedział, że jeśli coś mu się stanie, mam pojechać do niego, a wtedy będę wiedziała, co robić.

- To... tajemnicze - powiedział Loogan. - Nie poprosiła go pani o wytłumaczenie?

- Oczywiście, że poprosiłam. Nie chciał nic powiedzieć. Mówiłam już, że jest dość dziwny.

- Nie czuła pani nigdy pokusy, żeby pojechać i sprawdzić, co tam jest?

- Tak, raz czy dwa - potwierdziła. - Ale to nie wydawało mi się właściwe. To głupie, ale wydawało mi się, że Sean domyśli się i uzna to za zdradę. Zastanawiałam się też, czy ten magazyn naprawdę istnieje, czy to nie jego wymysł albo żart.

Loogan przechylił głowę.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Delia Ross nie wydawała się przekonana.

- Myśli pan, że powinniśmy...?

- Nie sądzę, byśmy robili coś złego.

Pojechała własnym samochodem, Loogan za nią. Wjechali na drogę międzystanową, ale po kilku milach zboczyli z niej. Przejechali obok drukarni i wysypiska śmieci, i dotarli do otoczonego łańcuchowym płotem magazynu. Brama była otwarta.

Budynki wyglądały jak długie betonowe pudełka, rozdzielone żwirowymi uliczkami.

Klucz pasował do kłódki w magazynie numer 401. Delia Ross cofnęła się i pozwoliła Looganowi otworzyć drzwi. Dwa razy się zacięły, a kiedy wreszcie oczom Delii i Loogana ukazała się zawartość magazynu. Nie było w tym nic przerażającego.

- W zasadzie spodziewałam się znaleźć tu jakiegoś trupa - powiedziała Delia.

Stał tam stary kredens z potłuczoną szybą. Kilka drewnianych krzeseł. Kartonowe pudełka opatrzone napisem „książki”.

Pudła stały najbliżej drzwi. Loogan otworzył jedno z nich i odkrył, że podpis „książki” był eufemizmem. Były tam stare numery „Playboya” i „Penthouse'a”. Delia patrzyła mu przez ramię, ale nic nie mówiła. Otworzył kolejne pudełko - to było wypełnione prawdziwymi książkami, głównie podręcznikami, takimi jak Wprowadzenie do etyki i Teoria sprawiedliwości.

- Te są moje - powiedziała Delia. - Dałam je Seanowi jakiś czas temu, myślałam, że je sprzeda. Najwyraźniej tego nie zrobił.

- Studiowałaś filozofię? - spytał Loogan.

- Wciąż studiuje. Etykę medycyny. W przyszłym miesiącu bronię pracę magisterską. Mam nadzieję, że potem dostanę pracę jako wykładowca. I przestanę być pielęgniarką.

Loogan zajrzał do wszystkich pudełek. Po kolei wyciągał je na żwir, żeby dostać się do tych schowanych głębiej. W jeszcze jednym były czasopisma, w pozostałych - nieciekawe książki. Podręczniki, romanse, wydania klubowe. Niemal niewarte przechowywania.

- Cóż, jestem tutaj. - Powiedziała Delia, kiedy Loogan chował ostatnie pudełko z powrotem. - Rozejrzałam się, ale wciąż nie mam pojęcia, co robić.

- Może to wszystko był żart. Mógłbym w to uwierzyć.

- Ja też. Ale zauważyłeś to puste miejsce?

Loogan je zauważył. Na przodzie magazynu, po jego prawej stronie, była pusta przestrzeń.

- Jak myślisz, co to jest? - spytał.

- Wygląda na to, że kiedyś coś tu stało. Pewnie jeszcze jedno pudło - kucnęła. - Widać jeszcze ślady kurzu.

Wstała.

- Może faktycznie coś tu było. To, co miałam znaleźć. Może Sean to zabrał.

Loogan pomyślał, że to możliwe. Albo że zabrał to ktoś inny.

- Cóż, jeśli to prawda, będzie ci się musiał gęsto tłumaczyć, kiedy spotkacie się następnym razem. Chyba, że wolisz z nim nie rozmawiać o tym, że tutaj przyjechałaś.

Roześmiała się.

- Nie, myślę, że mu powiem. Sama go o wszystko wypytam. Dowiem się, o co mu chodziło - spoważniała. - Pokaże się, prawda? Po prostu gdzieś pojechał. Na pewno nic mu się nie stało... prawda?

- Na pewno w końcu się pokaże - powiedział Loogan. - Jestem tego pewien.

Rozdział 18.

W sobotę wieczorem w wiadomościach pojawił się półminutowy materiał na temat samobójstwa Adriana Tully'ego. Jedną część nakręcono na pustym polu kukurydzy, gdzie znaleziono samochód. Drugą w jego mieszkaniu, gdzie ojciec

mówił o żalobie, a matka stała ze zdjęciem martwego syna w dłoniach.

David Loogan oglądał wiadomości na małym telewizorze, w kuchni swojego wynajętego domu. Wiedział już o śmierci Tully'ego. Rano poszedł do Laury Kristoll, żeby powiedzieć jej, że zgadza się przyjąć stanowisko Toma i poprosić o klucze do jego biura. Kiedy był u niej, zadzwonił telefon - rodzice Tully'ego poprosili Laurę, żeby powiedziała o jego śmierci przyjaciółom. Odłożyła słuchawkę, opadła na krzesło i przez dłuższą chwilę patrzyła przed siebie pustymi oczami. Wreszcie Loogan uzyskał od niej podstawowe informacje - Adrian zastrzelił się w nocy. Nie chciała o tym mówić. Spytała, czy mógłby wyjść, bo chciałyby się położyć.

Wyszedł z domu, pojechał do sklepu z narzędziami i kazał zrobić sobie duplikat kluczy. Potem pojechał do Saline, do przyczepy, w której mieszkała dziewczyna Michaela Beccantiego. Beccantiego nie było, a jego dziewczyna, Karen, patrzyła na niego spode łba. Pozwoliła mu jednak zostawić duplikat kluczy. Potem pojechał do domu Seana Wrentmore'a.

Wiadomości skończyły się o siódmej. Loogan wyłączył telewizor i posprzątał resztki swojej kolacji - chińszczyzny na wynos. Przez jakiś czas zmywał naczynia, potem rozpałił ogień w kominku i usiadł w fotelu z numerem „Szarych Ulic”. Czytał jedno z opowiadań Seana Wrentmore'a o trzech rabusiach, którzy partaczą ucieczkę i lądują w sklepie spożywczym, mając za zakładników piękną latynoską kasjerkę i czterech klientów. Policja otacza sklep i dochodzi do sytuacji patowej...

Loogan usłyszał pukanie do drzwi. Odłożył gazetę, przeszedł przez kuchnię i zapalił światło na ganku. Michael Beccanti uśmiechnął się do niego przez małą szybkę w drzwiach. Loogan wpuścił go do środka.

- Jedziesz do biura? - spytał Loogan.

- Już byłem - odparł Beccanti.

- Jak poszło?

Beccanti zdjął płaszcz. Teraz wyglądał jak student - luźne spodnie, koszula, marynarka w pepitkę. Powiedział:

- Davidzie, co za maniery! Spędziłem parę godzin na przeszukiwaniu biura dla ciebie. Mógłbyś chociaż zaproponować mi, żebym usiadł.

Loogan przysunął mu krzesło. Przyniósł mu butelkę piwa i ogrzał w mikrofalówce resztkę chińskiego jedzenia.

Kiedy butelka była już niemal opróżniona, a kluski lo mein zjedzone, Beccanti powiedział:

- Nikt nie dzwonił, kiedy tam byłem?

- Nie. O co chodzi?

- Miałem drobne problemy w biurze - powiedział Beccanti, kiedy jednak zobaczył zdenerwowanie Loogana, dodał: - Nie ma powodu do paniki. Nie spodziewałem się spotkać kogokolwiek w sobotę, ale sekretarka przyszła skorzystać z kserokopiarki.

- Może powinieneś przyjść tam później? Spodziewałem się, że tak zrobisz.

- Wtedy napotkałbym na inne niebezpieczeństwa. Gdybym zapalił światło o drugiej w nocy, ktoś mógłby zacząć zastanawiać się, o co chodzi, zwłaszcza że to budynek, z którego wypadł Tom. Byłoby mi trudniej wytłumaczyć swoją obecność. A tak mogłem trzymać się blisko prawdy. Nie miałem wyboru, bo bywałem już w redakcji i mogłem podejrzewać, że sekretarka mnie rozpozna. Podąłem jej swoje prawdziwe nazwisko i powiedziałem, że zleciłeś mi przeczytanie paru opowiadań.

- Zazwyczaj robią to stażyści.

- Cóż, teraz ty jesteś szefem i sam możesz decydować o tym, co kto robi - powiedział Beccanti. - Nie powiedziałem, że mam klucze, tylko że byłeś tam wcześniej i wpuściłeś mnie. Widziałem, że nie jest przekonana. Poradziłem, żeby zadzwoniła do ciebie w razie jakichkolwiek wątpliwości - dlatego spytałem, czy ktoś do ciebie dzwonił. Powiedziałem, że skończyłem na dzisiaj i wyszedłem. Wydaje mi się, że ulżyło jej, kiedy to usłyszała.

Beccanti przerwał i zaczął bawić się pustą butelką.

- Niczego nie zabrałem - powiedział. - Niczego tam nie było. Nie mogę znaleźć w biurze Toma żadnych więcej kryjówek. Sprawdziłem wszędzie. Przejrzałem wszystkie książki, które stały na półkach. Nic.

Beccanti odstawił butelkę.

- Chciałeś, żebym znalazł jakieś powiązanie z Seanem Wrentmore'em, a ja poszedłem tam, spodziewając się, że mógł zostać wykasowany z dokumentacji „Szarych Ulic”. Znalazłem jednak jego teczkę między wszystkimi pozostałymi. Były tam maszynopisy wszystkich jego opowiadań, trochę korespondencji. Nie zabrałem ich. Możesz tam pójść i sam je przeczytać. Nie sądzę, żeby ci się to jakoś szczególnie przydało.

- Nie spodziewałbym się, żeby wyrzucono całą teczkę - powiedział Loogan. - A jeśli coś z niej wyjęto, nie mam pojęcia, jak moglibyśmy dowiedzieć się, co to było.

- To prawda - przyznał Beccanti. - Na stronie internetowej też nadal jest sylwetka Wrentmore'a. Sprawdziłem to na komputerze Toma. Są tam też jego opowiadania. Zdjęcia nie ma, ale niewykluczone, że nigdy go nie było.

- Nie potrzebuję zdjęcia - powiedział Loogan. - Znalazłem jedno w jego biurku. Pasowało. To Seana Wrentmore'a pochowaliśmy razem z Tomem - opowiedział Beccantiemu o tym, co znalazł w domu Wrentmore'a i o swojej rozmowie z jego sąsiadką Delią

Ross. O powieści Kłamcy, złodzieje i niewinni ludzie. O wycieczce do magazynu i pustym miejscu, w którym wcześniej mogło stać jakieś pudło.

- Jak sądzisz, co w nim było? - spytał Beccanti.

- Kto wie? - Loogan spacerował między stołem a kuchennym blatem. - Może była tam tylko kopia powieści Wrentmore'a, a on chciał, żeby Delia oddała ją do publikacji po jego śmierci.

- Mówiłeś, że ją czytała. Czy to nie oznacza, że ma już egzemplarz?

- Dał jej płytę. Ale nie był pewien, czy ją zatrzyma. Jeśli chciał być pewny, że wysła ją do publikacji, musiał zostawić wydruk.

Beccanti pokręcił głową.

- Ale niezależnie od tego, co to było, zakładamy, że po śmierci Wrentmore'a ktoś pojechał do tego magazynu i to zabrał, tak?

- Tak.

- A zatem kto to był? Kto wiedział o magazynie?

- Sam Wrentmore i jego sąsiadka. Nie wiemy, kto jeszcze.

- Pomijasz to, co oczywiste, Davidzie. Nie chcesz źle myśleć o zmarłym. Tom mógł tam pojechać. Przeszukał dom Wrentmore'a, a potem poprosił mnie, żebym zrobił to jeszcze raz. Może znalazł tam coś, co doprowadziło go do magazynu. Cokolwiek było w tym tajemniczym pudle, Tom mógł to zabrać. Tak samo, jak komputer Wrentmore'a i różne inne rzeczy.

Loogan oparł się o ladę.

- Przychodzi mi na myśl jeszcze jedna rzecz, którą mógł zabrać Tom - maszynopis Wrentmore'a. Jeśli ktoś pisze powieść, potem ją drukuje, czasem w kilku kopiach. W magazynie mogła się znajdować jedna z nich, ale w domu Wrentmore na pewno jakąś trzymał.

Beccanti przeturlał butelkę po blacie stołu.

- Czy sądzisz, że ten maszynopis to MacGuffin?

- Co?

- MacGuffin. To termin Alfreda Hitchcocka. Oznacza coś, co popycha fabułę do przodu, zmusza Cary'ego Granta do ucieczki, ale nikt się tym nie przejmuje w dalszej części historii. Na początku myślałem, że pendrive, który znalazłem, jest MacGuffinem, ale zdaje się, że to jedno i to samo: na dysku pewnie znajduje się powieść Wrentmore'a. Jak ci idzie odgadywanie hasła?

Loogan miał dysk ze sobą. Położył dłoń na kieszeni, żeby upewnić się, że go nie zgubił.

- Nawet nie próbowałem - odpowiedział.

Beccanti skrzywił się.

- Nie podoba mi się pomysł, że Tom mógł zostać zamordowany z powodu przydługiej powieści, której nikt nie chciał opublikować. Co teraz robimy?

Loogan pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Nie mam zamiaru się poddać.

- Powinniśmy zastanowić się nad ryzykiem. Nieomal cię dzisiaj złapano. A w zasadzie złapano cię, tylko na razie nie poniosłeś tego konsekwencji. A poza tym zastanów się nad tym, co przydarzyło się Adrianowi Tully'emu.

Beccanti najwyraźniej nic o tym nie wiedział.

- Komu? - spytał.

Loogan streścił to, czego dowiedział się od Laury i z wiadomości. Po chwili dodał:

- W telewizyjnym materiale nie powiązano ze sobą Tully'ego i Toma, ale Tully był kiedyś stażystą w czasopiśmie.

- Nie sądzisz, żeby się zabił?
- Mógłbym w to uwierzyć, ale ktoś musiałby mnie przekonać.
- Ja też. Chciałbym rzucić okiem na jego samochód.
- Policja ma jego samochód.
- A jego dom? Czy miał jakiś dom? Nie, był studentem. Pewnie miał mieszkanie.
- Nie włamiesz się do jego mieszkania.

Beccanti wstał od stołu.

- Nie mówię, że zamierzam to zrobić, powiedziałem tylko, że bym chciał. Wyobraź sobie znalezienie kopii maszynopisu Wrentmore'a w bagażniku samochodu Tully'ego albo pod jego łóżkiem. Wtedy zrobiłoby się ciekawie - skończył piwo, zaniósł pustą butelkę i talerz do zlewu. - Nie włamię się do mieszkania Tully'ego - powiedział. - Myślę, że miałbym więcej szczęścia w domu Kristolla. Musimy się dowiedzieć, jakie były zamiary Toma. Jeśli zabrał maszynopis Wrentmore'a z magazynu, być może schował go gdzieś u siebie. Powinienem się tam rozejrzeć. Loogan zmarszczył brwi.

- To kiepski pomysł. To nie to samo, co w biurze. Jeśli ktoś cię tam przyłapie, nie będę mógł cię kryć.

- Za bardzo się martwisz, Davidzie. Nie zostaniemy złapani. Pomożesz mi.

- Nie mogę cię wpuścić do domu Toma. Nie mam kluczy.

- Nie musisz mnie wpuszczać - powiedział Beccanti. - Musisz tylko postarać się, żeby Laury Kristoll nie było w domu.

Rozdział 19.

Dom Nathana Hideawaya był skromniejszy niż spodziewała się Elizabeth - jednopiętrowy, z ogrodem, stawem i garażem. Kiedy Hideaway otworzył jej drzwi w niedzielę wieczorem, jego siwe włosy były wilgotne. Wytłumaczył, że właśnie wrócił z fitness klubu. Codziennie chodził na basen, a dzisiaj grał z trenerem w tenisa.

Zaprowadził Elizabeth do salonu pełnego wysokich półek z książkami, zniknął na chwilę, po czym wrócił, niosąc dwie szklanki lemoniady. Jedną z nich podał Elizabeth.

- Nie powinienem tego mówić, ale cieszę się, że panią widzę.

- Naprawdę?

- Słyszałem, że robi pani obchód. Rozmawia z pisarzami. Gdyby nie przyszła pani do mnie, mógłbym poczuć się urażony.

Wskazał Elizabeth sofę, a sam usiadł na fotelu naprzeciwko.

- Bridget Shellcross - powiedział. - A potem Cass Hifflyn. A teraz przyszła pani porozmawiać ze starym Hideawayem. Tak pewnie powinno być: jestem od nich dwadzieścia lat starszy, ale oboje są w branży dłużej ode mnie. Pierwszą linijkę prozy napisałem, kiedy miałem czterdzieści osiem lat.

- Naprawdę? - zdziwiła się Elizabeth. - Co robił pan wcześniej?

Napił się łyk lemoniady i odstawił szklankę na podłogę.

- Byłem likwidatorem szkód. Jeśli wiatr powalił drzewo, a ono wylądowało na czyimś dachu, ja przychodziłem, żeby wycenić szkody. Na czterdzieste ósme urodziny żona podarowała mi książkę - powieść o grupie ciemnych typków, którzy chcą zdefraudować pieniądze firm ubezpieczeniowych. Był to słaby thriller. Pomyślałem, że potrafiłbym napisać coś lepszego. Napisałem kilka pierwszych rozdziałów, tylko na próbę, a moja żona znalazła maszynopis i nie dała mi spokoju, póki nie

skończyłem. Kiedy jednak moja historia była gotowa, miała jakieś czterdzieści tysięcy słów - była za długa na opowiadanie i za krótka na powieść. Wysłałem ją do kilku czasopism, które natychmiast ją odesłały. Potem jednak Tom Kristoll opublikował ją w „Szarych Ulicach”. Przeczytała ją młodziutka agentka literacka. Zadzwoiła do mnie i spytała, nad czym pracuję. Opowiedziałem jej o swoim pomysle na powieść, a ona poprosiła, żebym jej ją pokazał, kiedy skończę. Miesiąc później wysłałem jej pierwszych sześćdziesiąt stron i streszczenie reszty. Nie chciałem czekać dłużej, bo bałem się, że o mnie zapomni. Nie wiem, jak to się stało, ale już po przeczytaniu tych sześćdziesięciu stron zaproponowała mi kontrakt. To była moja pierwsza powieść: Najdłuższa noc czerwca. Wciąż mam tę samą agentkę. Nie poznaliśmy się osobiście, póki nie zaniósłem jej pełnej wersji pierwszej powieści. Wydaje mi się, że była zaskoczona. Myślała, że ma do czynienia z kimś w jej wieku, a nie z dziadkiem, którym już wtedy byłem. Mamy z żoną dwie córki, które wychowaliśmy w Huntington, na Long Island. Starsza miała już wtedy trzyletnie dziecko i kolejne w drodze. Wtedy miałem też nazwisko pasujące do dziadka: Nate Henderson. Elizabeth pogładziła palcem szklanke.

- Hideaway to zatem pseudonim? - zapytała.

- Oczywiście, że tak. Dziwię się, że Cass Hifflyn pani o tym nie powiedział. On już był uznanym pisarzem, kiedy ja zaczynałem, i uważa, że wybrałem nazwisko „Hideaway”, żeby moje książki stały w księgarniach obok jego. - Uśmiechnął się. - Nie jest to zła historia, ale prawda jest bardziej prozaiczna. Otworzyłem słownik na słowach na „H” i przeglądałem go, póki nie natknąłem się na „Hideaway”. Podobało mi się brzmienie.

- Jak pan trafił do Ann Arbor? - spytała Elizabeth.

Uśmiech zamarł mu na ustach. Nagle wydał się bardzo stary.

- Moja żona zmarła sześć lat temu - powiedział. - Rak.

- Przykro mi.

- Straszna rzecz - powiedział ponuro. - Zostałem w domu sam. Obie moje córki przeniosły się na zachodnie wybrzeże. Mnie było wszystko jedno. Nie chciałem się z nikim widzieć. Nie mogłem pracować. Tom Kristoll dowiedział się o tym i wspólnie z Laurą załatwili mi stanowisko na uniwersytecie. Wstępnie na sześć miesięcy, na wydziale literatury angielskiej, w otoczeniu studentów. Omal nie odmówiłem, okazało się jednak, że właśnie tego potrzebowałem. Po sześciu miesiącach postanowiłem zostać.

- Nie chciał pan pojechać na zachód, żeby być bliżej córek? - spytała Elizabeth.

- Chciałem, ale oparłem się pokusie. Ma pani dzieci?

- Mam córkę.

- Musi być młodziutka.

- Ma piętnaście lat.

Hideaway pokiwał głową.

- W tym wieku dziewczynka potrzebuje matki. Potem będzie potrzebowała dystansu. Mogę polecieć do moich córek, kiedy zechcę, a one zawsze witają mnie z otwartymi ramionami. Wnuki bardzo się cieszą, kiedy mnie widzą. Nie byłoby tak samo, gdyby widziały mnie codziennie. Tutaj mogę być sam, kiedy tylko zechcę.

- Studenci na pewno lubią pana towarzystwo - powiedziała Elizabeth. - Powieściopisarz jest ciekawostką - to powiedział mi Cass Hifflyn. Na pewno chcą spędzać z panem czas.

- Niektórzy.

- Adrian Tully też?

Hideaway pochylił się na krześle.

- Teraz przeszła pani do rzeczy. Adrian był sympatyczny. Nieco gwałtowny, powiedziałbym.

- Cass Hifflyn uważa, że był potulny.

- Nie wiem. Adrian był inteligentny, myślący - spojrzał prosto w oczy Elizabeth. - Pani uważa, że podobała mu się Laura Kristoll.

- Słyszałam takie plotki.

- Plotek nigdy nie brakuje. Myślę, że to prawda. Myślę, że kochał się w Laurze.

Elizabeth odstawiała szklanekę.

- Powiedział panu o tym?

- Nie bezpośrednio - powiedział Hideaway. - Ale mówił o niej czasami. Zazwyczaj ojej uwagach na temat jego pracy. Była oczywiście jego promotorką. Kiedy o niej mówił, jego głos był zawsze pełen czci. Przyglądał się jej na zebraniach, na przyjęciach. Uważał, żeby nikt tego nie zauważył, ale wydawał się zawsze wiedzieć, gdzie ona akurat się znajduje.

- Chyba nie był wystarczająco uważny.

- Inni mogli niczego nie zauważyć - powiedział Hideaway. - Ja jednak lubię obserwować ludzi. Łatwo było przewidzieć, że Adrian zakocha się w swojej promotorce. Był po prostu takim typem mężczyzny. Zakochiwał się w każdej pięknej kobiecie, z którą miał bliższy kontakt. Zakochał się w tej rudej, z twarzą z Botticellego.

- Valerie Calnero?

- Valerie, tak. Niektórzy mężczyźni po prostu tacy są. I nie mówię tu o powierzchownym zainteresowaniu. Sądzę, że uczucia Adriana były głębokie.

- A zatem, skoro kochał się w Laurze Kristoll, gdyby dowiedział się, że ma ona romans z kim innym, byłby zazdrosny?

- Oczywiście.

- Czy sądzi pan, że mógł pojechać do biura Toma Kristolla, żeby powiedzieć mu o romansie? - spytała Elizabeth. - A gdyby Tom mu nie uwierzył, czy Adrian wściekłby się?

- To czysta spekulacja, ale sądzę, że to możliwe.

- Czy sądzi pan, że to Adrian zabił Toma?

- Nie zapędzałbym się tak daleko. Spekulacja ma swoje granice.

- Uważa pan jednak, że to jest wiarygodna hipoteza.

Hideaway wzruszył ramionami.

- Tylko hipoteza.

- A uczucia Adriana były głębokie. Gdyby zabił Toma, miałby straszliwe poczucie winy.

- Oczywiście.

- Czy czułby się na tyle winny, żeby odebrać sobie życie?

- Znow dotarliśmy do granicy - powiedział Hideaway. - Rozumiem, że nie jest pani pewna, czy Adrian popełnił samobójstwo.

- Nie wszystkie elementy do siebie pasują.

Złożył ręce w piramidkę.

- Zastanawia mnie pistolet. Nigdy bym nie pomyślał, że Adrian ma broń.

- Naprawdę?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ale gdyby spytała mnie pani, czy to człowiek, którego podejrzewam o posiadanie broni, powiedziałbym, że nie.

- Pistolet był zarejestrowany na nazwisko mężczyzny z Dearborn - powiedziała Elizabeth. - Jeszcze go nie odnaleźliśmy. Wyprowadził się dwa lata temu. Jego była żona powiedziała, że lubił chodzić na pokazy broni. Podejrzewam, że sprzedawał pistolety ludziom na jakichś parkingach. Brał za nie gotówkę i nie

spisywał nazwisk klientów. Jego była żona nigdy nie słyszała o Adrianie Tullym. Rodzice Tully'ego powiedzieli, że nigdy nie interesował się bronią, chociaż potrafił używać strzelby, bo jego ojciec był myśliwym.

- Cóż, instynkt mnie zawodzi - powiedział Hideaway. - Trudno mi wyobrazić sobie Adriana ze strzelbą w dłoniach. Może najprostsze rozwiązanie okaże się prawdziwe: Adrian zabił Toma, a potem siebie. Jeśli tak nie było, ktoś zadał sobie wiele trudu.

- Hideaway wstał i podszedł do regału z książkami. - To powinno ułatwić pani pracę. Najłatwiej jest podobno rozwiązać zagadkę morderstwa, nad którym ktoś długo się zastanawiał. Najtrudniej odkryć mordercę, który planował swoją zbrodnię przez dwie minuty. Powiedział to już sam Raymond Chandler - inny pisarz, który późno zaczynał.

- Zabójstwa Toma nie da się łatwo zaklasyfikować - powiedziała Elizabeth. Wstała i stanęła obok Hideaway przy regale. - Ktokolwiek go zabił, mógł podjąć decyzję w ferworze chwili. Ale kiedy już to zrobił, mógł zacząć kombinować. Najpierw mocno uderzył Toma w tył głowy. Sądzymy, że użył do tego książki. Miał wiele prostych sposobów na dobiecie go: mógł go udusić albo jeszcze raz uderzyć książką.

Morderca jednak wyrzucił go przez okno, chcąc, żeby wyglądało to na samobójstwo. Potem chciał być jeszcze sprytniejszy: jeśli to samobójstwo, musiał się znaleźć pożegnalny list. Wiedział pan, że go znaleźliśmy?

- Po raz pierwszy o tym słyszę - powiedział Hideaway.

- Trzymaliśmy to w sekrecie. Nie sądzę, żeby wiedziała o tym nawet Laura Kristoll. Wyobraźmy sobie, że jest pan w biurze Toma i potrzebuje fałszywego listu pożegnalnego. I to jak najszybciej. Co pan robi?

Zamyślony Hideaway potarł twarz.

- Prawdopodobnie bym go napisał - powiedział. - Otworzyłbym dokument w komputerze Toma i coś naskrobał. Naciskałbym klawisze ołówkiem a nie palcami. List byłby krótki, ogólnikowy. Nie drukowałbym go, zostałby na ekranie.

- To dobry sposób, ale nie, kiedy chce się być sprytnym - powiedziała Elizabeth. - Spryciarz zostawia na stole otwartą książkę. Powiedzmy, Dzieła zebrane Szekspira. Zaznacza konkretny wers. Zgadnie pan, który?

- Szekspir... sporo jest do wyboru - powiedział Hideaway.

- Proszę pamiętać, że ma sugerować samobójstwo.

- Może coś z ostatniej sceny Romea i Julii?

- Proszę spróbować z Hamletem.

- Zastanówmy się. Ofelia utopiła się, ale nie wydaje mi się, żeby zostawiła list.

- Nie - powiedziała Elizabeth. - Zabójca wybrał linijkę z ostatniej sceny, w której Hamlet umiera, a Horacy chce umrzeć razem z nim. „Więcej jest we mnie krwi rzymskiej niż duńskiej” - mówi, sięgając po kielich z trucizną.

Hideaway odetchnął głęboko.

- Sprytnie. Teraz już rozumiem, po co rozmawia pani z pisarzami.

- Tak?

- Ktokolwiek zabił Toma, o liście pożegnalnym musiał pomyśleć wcześniej.

- Tak - potwierdziła Elizabeth.

- Załóżmy, że nie poszedł tam z zamiarem zabicia Toma. To by oznaczało, że musiał improwizować. Sięgnął więc po coś, co wymyślił już wcześniej.

- Tak.

- Musiał spotkać się już z tym wersem z Hamleta - „Więcej jest we mnie krwi rzymskiej niż duńskiej” - i pomyśleć wtedy, że to byłby niezły list pożegnalny. Potem znalazł się w biurze Toma. Tom leży na ziemi, a może już nawet na chodniku na zewnątrz. Zabójca się spieszy. To nie pora na rozmyślenia. Pomyśl ma już w głowie. Widzi książkę. Otwierają na właściwej stronie, zostawia na biurku i ucieka. - Nathan Hideaway odwrócił się do Elizabeth. - A więc, nawet jeśli nie zaplanował wcześniej zbrodni, musiał rozważać różne scenariusze. Musiał rozmyślać o samobójstwach i listach pożegnalnych. Jest zatem co najmniej człowiekiem o bogatej wyobraźni. A najprawdopodobniej jest pisarzem.

Rozdział 20.

Carter Shan spędził weekend na rozmowach z nocnymi markami i ludźmi cierpiącymi na bezsenność.

W sobotnie południe rozmawiał ze sprzedawcą traktorów, który mieszkał na farmie milę od wąskiej uliczki, na której umarł Adrian Tully. W sobotę po północy sprzedawca układał pasjansa. Za piętnaście pierwsza usłyszał coś, co uznał za wystrzał ze strzelby. Na okolicznych polach i w lasach czasem odbywały się polowania, był więc przyzwyczajony do strzałów, ale nie o tej porze. Parę minut po pierwszym wystrzale usłyszał drugi.

W sobotę wieczorem Shan rozmawiał z emerytowaną szwaczką, która w nocy czuwała nad swoim chorym kotem. Mieszkała trzy czwarte mili od miejsca śmierci Tully'ego. Była pewna, że nie było żadnych strzałów.

W sobotę wieczorem rozmawiał z sanitariuszem, który wrócił z pracy po północy. Zrobił sobie kanapkę i właśnie zanosił ją do salonu, kiedy usłyszał strzał. Przysięgał, że tylko jeden.

Wczesnym popołudniem w sobotę Shan rozmawiał z nastolatką, amatorką fotografii, która w piątkową noc robiła zdjęcia księżycowi. Miała ze sobą kartkę i długopis, żeby zapisywać na niej czasy naświetlania. Zapisała godzinę pierwszego wystrzału: 0:41. Drugi usłyszała o 0:44. Trzeci o 0:50. Czwarty o 0:53.

W niedzielę wieczorem grupa detektywów zebrała się w biurze szefa Owena McCaleba. Byli wśród nich Shan i Elizabeth, która przyjechała prosto z domu Nathana Hideaway'a.

McCaleb przysiadł na rogu biurka. Pozostali ustawili się wokół niego w półkolu. Shan podsumował swoje poszukiwania, narażając się na uśmieшки kolegów.

- Powinieneś przerwać po rozmowie z pierwszym świadkiem - powiedział Harvey Mitchum, jowialny czarnoskóry mężczyzna, który pracował w oddziale od dwudziestu lat. - Dwa strzały. To odpowiedź, której chciałeś. Reszta tylko narobiła zamieszania.

Mitchum był następny w kolejce. Razem z Ronem Wintergreenem zorganizował poszukiwania na miejscu śmierci Adriana Tully. Samochód został usunięty z drogi, ale dokładnie zaznaczono jego pozycję. Mitchum i Wintergreen ogrodzili teren poszukiwań, który obejmował pole po obu stronach drogi i przylegającą do nich część lasu.

Ekipa policjantów i kadetów, uzbrojona w wykrywacze metali pożyczone z wydziału archeologii i geologii, pracowała na zmiany, żeby systematycznie przeszukać teren w niedzielny wieczór.

- Szukaliśmy dwóch pocisków - powiedział Mitchum. - Jednego, który zabił Tully'ego i zrobił dziurę w szybie samochodu. I drugiego, hipotetycznego drugiego pocisku, który zabójca miał wystrzelić po to, żeby proch znalazł się na rękę

Tully'ego. Ron szybko znalazł pierwszą kulę, na polu po stronie kierowcy.

Ron Wintergreen, chudy, jasnowłosy trzydziestolatek, wydawał się zmieszany, kiedy wymieniano jego imię. Opierał się o ścianę i wpatrywał w sznurowadła swoich butów do wspinaczki.

- Niestety - ciągnął Mitchum - potem nie mieliśmy już szczęścia. Drugi pocisk, jeśli istniał, mógł trafić w tę samą dziurę w oknie, choć to byłby bardzo trudny strzał. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że zabójca opuścił szybę po stronie pasażera i wystrzelił przez nią. Szukaliśmy po obu stronach, ale nie udało nam się nic znaleźć.

Następna odezwała się Kim Reyes. Była jedną z najmłodszych detektywów w jednostce i dostała za zadanie rozmowę z przyjaciółmi i kolegami Tully'ego ze studiów. Zrelacjonowała, że opisywali go jako nieśmiałego i humorzastego. Nikt jednak nie wspomniał o depresji ani myślach samobójczych. Nikt z nich nie widział jego broni, ani nie słyszał, by Tully o niej mówił.

Reyes wyznaczono również zadanie przeszukania samochodu Tully'ego. Wszystko, co znajdowało się w samochodzie, zostało skatalogowane i wpisane do raportu, łącznie z puszkami po napojach i pudełkami po fast foodzie. Wszystko, na czym mogły znajdować się odciski palców miało następnie zostać odkurzone.

- Znalazłam coś ciekawego pod siedzeniem pasażera - powiedziała. - Utknęło w szparze między siedzeniami.

Wyjęła spod pachy kopertę i wyciągnęła z niej plastikową torbę na dowody. W środku znajdował się mały, papierowy trójkącik. Jeden z brzegów był poszarpany, jakby trójkąt został oderwany z większego kawałka.

Na papierze widać było litery. Elizabeth pochyliła się, żeby się im przyjrzeć. Odczytała dwa słowa: Oxford Universi...

- To fragment obwoluty książki - wyjaśniła Reyes. - Zainteresowało mnie to, bo książka na biurku Toma Kristolla nie miała obwoluty. Dzieła zebrane Szekspira. Chciałam je porównać, więc weszłam do księgarni, żeby sprawdzić, czy mają egzemplarz.

Wyciągnęła z koperty nienaruszoną obwolutę. Elizabeth spojrzała na nazwę wydawnictwa na tylnej okładce: Oxford University Press.

- Sprytne - powiedziała sama do siebie.

- Pasują - powiedziała Reyes.

Owen McCaleb sięgnął po torebkę i zaczął przyglądać się małemu trójkątowi.

- Myślisz, że to fałszywka? - zwrócił się do Elizabeth.

- Nie sędzę, żebyście znaleźli na tym jakieś odciski palców - powiedziała spokojnie.

- To prawda - potwierdziła Reyes. - Żadnych odcisków.

Carter Shan, który tymczasem usadowił się na krześle pod oknem, wstał nagle.

- Jeśli to fałszywka, potwierdza tylko nasze przypuszczenia. Zabójca Toma Kristolla użył książki, żeby go ogłuszyć, a potem zabrał obwolutę, bo były na niej odciski palców. Potem postanowił zabić Tully'ego, jednocześnie wrabiając go w morderstwo Kristolla. Oderwał ten kawałek papieru, wytarł go i zostawił w samochodzie Tully'ego.

- To, że zostawił tylko kawałek, było sprytne - dodała Elizabeth.

- Subtelne. Mógłby co prawda zostawić całą obwolutę, ale wtedy musiałby ją dokładnie wytrzeć, a my odkrylibyśmy, że została wytarta i zastanawialibyśmy się dlaczego. Obwoluta wiąże Tully'ego ze zbrodnią. Po co miałby ją wycierać, zamiast po prostu wyrzucić? W ten sposób możemy sobie wyobrazić

ucieczkę Tully'ego z miejsca zbrodni: chowa obwolotę pod siedzeniem.

Potem zatrzymuje się gdzieś i wyciąga ją, żeby ją wyrzucić albo spalić. Kawałek jednak zostaje pod siedzeniem, a on tego nie zauważa.

McCaleb zastukał palcami w blat biurka.

- Dlaczego uważasz, że nie mogło być właśnie tak? Tully zabija Kristolla, chowa obwolotę pod siedzeniem. Potem pali ją - oczywiście oprócz kawałka, który został pod fotelem. Ten zostaje w samochodzie i znajdujemy go po śmierci Tully'ego. Czemu nie?

- Mamy świadka, który słyszał dwa strzały - zauważył Shan.

- Mamy też świadków, którzy słyszeli jeden, cztery albo żadnego.

- Jest jeszcze jedna możliwość - wtrąciła się Kim Reyes. - Załóżmy, że Tully rzeczywiście zabił Kristolla i dlatego kawałek obwoluty znalazł się pod jego siedzeniem. Potem jednak ktoś - partner czy współnik - zaciągnął Tully'ego na pole kukurydzy i zastrzelił go, żeby go uciszyć.

Harvey Mitchum zachichotał.

- Nawet tak nie mów, Kim. Wszystko jest już i tak wystarczająco skomplikowane. Nie chciałbym tłumaczyć tego ławie przysięgłych.

Reyes już miała coś odpowiedzieć, jednak McCaleb jej przerwał.

- Idźmy dalej - powiedział. - Musimy teraz wysłuchać Elizabeth.

Elizabeth odetchnęła głęboko i zaczęła opowiadać o swoich spotkaniach z Bridget Shellcross, Casimirem Hifflynem i Nathanem Hideawayem. Mówiąc, zaczęła automatycznie bawić się szklanymi paciorkami, które miała na szyi. Kiedy skończyła,

McCaleb poprosił ją o analizę. Spytał, czy ktoś z nich wydał jej się podejrzany.

- Hifflyn i Hideaway mieszkają samotnie - powiedziała. - Żona Hideaway umarła sześć lat temu. Hifflyn mówi, że jego żona jest w Europie, ale jeszcze tego nie potwierdziłam. Oczywiście to zrobię, bo nie chciałabym za jakiś czas odkryć jej ciała na tyłach domu. - Zrolowała palcami sznur koralików. - Żaden z nich nie ma zatem alibi ani na noc śmierci Kristolla, ani Tully'ego. Bridget Shellcross mieszka z kobietą o nazwisku Rachel Kent i utrzymuje, że obie były w domu w czasie, gdy popełniono oba morderstwa. Shellcross jest drobną kobietą i myśl o tym, że wypchnęła mężczyznę przez okno, wydaje się bezsensowna, razem jednak mogły sobie poradzić, a Rachel, moim zdaniem, dałaby sobie radę sama. Cass Hifflyn przypuszcza, że Shellcross mogła niedawno zejść się z Kristollem. Jeśli to prawda, a Rachel dowiedziała się o tym... cóż, wyobrażam sobie, że mogła wypchnąć go przez okno. Hifflyn powiedział mi również, że podczas studiów był związany z Laurą Kristoll, a Tom Kristoll odbił mu dziewczynę. To dobry motyw morderstwa, jest to jednak motyw sprzed dwudziestu lat. Jeśli zabił Kristolla, żeby się zemścić, jest najbardziej cierpliwym mścicielem w historii. Hideaway nie ma żadnego widocznego motywu. Kristoll mu pomagał. Hideaway jest zwawym sześćdziesięciolatkiem, trzyma formę. Podejrzewam, że byłby w stanie wyrzucić ciało przez okno - potarła szyję koralikami. - Cała trójka - Shellcross, Hifflyn i Hideaway - znała Adriana Tully. Sądzę, że każde z nich mogło wymyślić historię, która przekonała go na tyle, że dał się zaciągnąć na opustoszałą ulicę w środku nocy.

Dyskusja trwała przez resztę spotkania. Owen McCaleb chciał się dowiedzieć, czy ktoś jeszcze mógł nakłonić Tully'ego do

wyprawy na pustkowie. Do listy dodano nazwisko Laury Kristoll. Konieczne było ponowne przesłuchanie jej. Należało również zbadać inne tropy - możliwość romansu między Tomem Kristollem a Bridget Shellcross i między Laurą Kristoll a Casimirem Hifflynem. Należało pogłębić badania i pokazać ich zdjęcia recepcjonistom w hotelach.

Elizabeth opuściła komendę sporo po siódmej. Niebo było granatowe i czyste, wiał chłodny wiatr. Kiedy dojechała na swoją ulicę, zaczął padać deszcz. Z daleka zobaczyła światło na ganku swojego domu. Sarah była tam z jakimś mężczyzną. Opierali się o balustradę. Elizabeth pomyślała, że jest to Billy Rydell, kolega Sarah ze szkoły, Billy był jednak wysoki i bardzo chudy. Miał ciemne, rozczochrane włosy. Człowiek stojący na ganku był szerszy w ramionach. Sarah rozmawiała z nim, energicznie gestykulując. Jego miedziane włosy błyszczały w świetle lampy. Był to David Loogan.

Elizabeth wysiadła z samochodu i podeszła do nich. Teraz rozpoznawała już znaczenie gestów Laury. Jej córka żonglowała. Trzy pomarańcze wirowały w powietrzu. Sarah zobaczyła ją i pomachała, gubiąc rytm. Owoce spadły na ziemię. Jedna z pomarańczy poturlała się na schody i Elizabeth schyliła się, żeby ją podnieść.

Loogan podniósł pozostałe, potem podniósł się i uśmiechnął do Elizabeth.

- Witam, pani detektyw.
- Dobry wieczór. Co tu się dzieje?
- David jest żonglerem - powiedziała Sarah. - Uczy mnie.
- Jest utalentowana - stwierdził Loogan.

Elizabeth stanęła z nimi na ganku.

- Pokaż jeszcze raz - poprosiła.

- Dopiero się uczę. To jeszcze nie jest dla mnie naturalne. Jakbym grała w grę towarzyską.

- To jest gra towarzyska - powiedział Loogan.

Sarah uniosła pomarańcze i ułożyła je sobie w dłoniach. Zrobiła kilka ruchów na próbę, tak jakby chciała sobie przypomnieć, jak zacząć, po czym pozwoliła pomarańczom wzbić się w powietrze. Przez pięć, dziesięć sekund utrzymywała je nad ziemią. Elizabeth zauważyła, w którym momencie straciła kontrolę. Loogan też. Pochwycił pomarańczę, która zboczyła z toru i zanim Elizabeth zdążyła się zorientować, co się dzieje, miał już w rękach wszystkie trzy. Podrzucił je wysoko, aż do sufitu. Jedną chwycił w lewą rękę, a dwie w prawą. Podał je Sarze z powrotem.

- Było nieźle - powiedział.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- Jestem pod wrażeniem.

Sarah podrzuciła jedną pomarańczę.

- Zaprosiłam Davida na kolację.

- Ach tak?

- Przykro mi, ale nie mogę zostać - powiedział Loogan.

- Nie chce się narzucać - stwierdziła Sarah. - Musisz nad nim popracować.

- Rozumiem.

- Wracam do środka - powiedziała Sarah. Otworzyła drzwi i odwróciła się. - Co sądzisz o pomarańczach w sałatce?

Elizabeth zastanowiła się przez chwilę.

- Trzy to chyba za dużo.

- Zobaczę, jak pójdzie z jedną.

Kiedy drzwi się zamknęły, Loogan spytał cicho:

- Mam nadzieję, że nie jesteś zła, że przyszedłem.

Wydawał się rozmyślnie swobodny. Jego zarost był nieco ciemniejszy od miedzianych włosów. Miał na sobie wyblakły płaszcz, flanelową koszulę, džinsy i ciężkie buty do wspinaczki. Jego oczy jednak błyszcząły, a na ustach malował się ironiczny uśmiech.

- Nie - odpowiedziała Elizabeth.
- Pani adres jest w książce telefonicznej.
- To prawie jak zaproszenie.
- Pani córka jest czarująca.
- To prawda.
- Nie spyta mnie pani, po co przyszedłem?

Elizabeth oparła się o słup, wsłuchując się w padający deszcz.

- Czasem wydaje mi się, że kiedy o nic nie pytam, ludzie sami z siebie mówią mi to, co chcą powiedzieć.

- Słyszałem o Adrianie Tullym - powiedział Loogan. - Zastanawiałem się, co się stało.

- Naprawdę?

- Pewnie nie powinienem się za bardzo interesować. Może mnie pani zacząć o coś podejrzewać.

Elizabeth wyciągnęła ramię, żeby poczuć na nim krople deszczu.

- Mieliśmy dzisiaj spotkanie, podczas którego zastanawialiśmy się, kto zabił Adriana Tully. Pana nazwisko nie padło.

- To dobrze.

- Powinno. Czy wiedział pan, że podejrzewaliśmy Tully'ego o zabicie Toma Kristolla?

- Nie - powiedział Loogan. - Naprawdę?

- Naprawdę. Sądzimy, że to Tully zniszczył pana samochód. Wiedział o pana romansie z Laurą Kristoll. Możliwe, że poszedł

powiedzieć o tym Tomowi i pokłócił się z nim. Nic pan o tym nie wie? Laura panu nie mówiła?

- Nie. To znaczy, że ona o tym wie?

- Wie co najmniej tyle, że Tully był podejrzanymi. Dziwię się, że nic panu nie powiedziała.

- Nie powiedziała.

- Gdyby to zrobiła - gdyby wiedział pan, że to Tully zabił Toma Kristolla - miałby pan motyw. Tom był pana przyjacielem. Chciał pan, żeby jego morderca został schwytany. Gdyby to było opowiadanie w „Szarych Ulicach”, złapałby go pan sam. Czy nie tak pan powiedział?

- Tak.

- Bawi się pan w detektywa. Czy znalazł pan już Michaela Beccantiego?

Loogan rozłożył dłonie.

- Nie szukałem go.

- Gdyby to było opowiadanie - ciągnęła Elizabeth - mógłby pan chcieć czegoś więcej. Nie tylko schwycić mordercę Toma, ale też go ukarać. Czy był pan kiedyś na wystawie broni, panie Loogan?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie. Dlaczego pani pyta?

- Czy posiadał pan kiedyś broń?

- Nie.

- Przepraszam za bezpośredniość - powiedziała Elizabeth. - To był długi dzień i zaczynam mieć dosyć tych bzdur. Czy zaciągnął pan Adriana Tully'ego na pole kukurydzy i strzelił mu w łeb?

Cicho, ale stanowczo powiedział:

- Nie.

Podeszła do niego i spojrzała mu prosto w oczy. Nie zobaczyła w nich cienia fałszu. Odwzajemnił spojrzenie z zaciekawieniem. Chociaż patrzyła na niego tylko przez chwilę, zdążyła przypomnieć sobie, kiedy widziała go po raz ostatni - ledwie dwa dni wcześniej, na pogrzebie Toma Kristolla. Zdążyła odkryć, że cieszy się, że go widzi.

Niezależnie pojawiły się też zupełnie inne myśli. David Loogan miał ciekawe usta. Chciałaby przekonać go, by został na kolacji.

Gdyby już został, posiedziałyby chwilę po jedzeniu. Sarah poszłaby do pokoju odrobić pracę domową. On pomógłby w sprzątanii: pasowało to do jego postaci, do flaneli, džinsu i ciężkich butów. Zapytałby, czy może zmyć naczynia. Stałby przy zlewie, a ona stanęłaby za nim - była prawie tego samego wzrostu - jego kołnierzyk pachniałby czystością, a ona położyłaby dłonie na jego ramionach.

Dziwne myśli.

A jeśli okazałoby się, że ma coś wspólnego ze śmiercią Adriana Tully'ego albo Toma Kristolla, musiałaby zeznawać przeciwko niemu. Zostałaby przesłuchana. Musiałaby wytłumaczyć, dlaczego zaprosiła do domu podejrzanego o morderstwo. Musiałaby spowiadać się z każdego kroku.

„A czy w pewnym momencie, pani detektyw Waishkey, powąchała pani kołnierzyk oskarżonego?”

Stojąc na ganku z Davidem Looganem, uznała to za zabawne. Odwróciła się, żeby ukryć uśmiech. W rzeczywistości to wcale nie byłoby śmieszne.

Otworzyła drzwi. Loogan nie poruszył się.

- Wierzę panu - powiedziała. - Co do Tully'ego.

Wciąż patrzył na nią zaciekawionym wzrokiem. Nie odpowiedział.

- Powinnam już iść - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie obrazi się pan, jeśli nie zaproszę pana do środka.

Rozdział 21.

Życie miejskie w Ann Arbor jest bardziej intensywne niż w wielu innych metropoliach. Kiedy pogoda jest ładna, a czasem nawet wtedy, kiedy wcale nie jest, chodniki przy State Street, Liberty i Main pełne są ludzi - stylowych, eleganckich, pewnych siebie ludzi, którzy chodzą do teatrów i księgarń, do kawiarni i sklepów, którzy zbierają się przy wystawionych na zewnątrz stolikach.

David Loogan był nimi zafascynowany. Sądził, że to uniwersytet tworzy takich ludzi. Uniwersytet sprawiał, że miasto było bardziej dostatnie, żywe i ładne. Zbierał tych ludzi, a potem wypuszczał ich na ulice, gdzie jedli smaczne kolacje, oglądali przedstawienia i pozdrawiali się nawzajem, klepiąc się po plecach, obejmując i pokrzykując radośnie.

W poniedziałek wieczorem patrzył na nich z dystansu. Stał na dachu parkingu przy Main Street. Laura Kristoll była obok niego. Miała na sobie długi, ciemnozielony płaszcz.

- Dziesięć dni - powiedziała.

Loogan spojrzął w dół, na tętniącą życiem ulicę. Na ludzi, którzy zbierali się na skrzyżowaniu. Na uliczne lampy, oświetlające dachy przejeżdżających samochodów.

- Toma nie ma od dziesięciu dni - powiedziała Laura. - A mnie się wydaje, że dłużej. Tobie też?

- Tak - powiedział Loogan.

Musiał chwilę ją przekonywać, by zgodziła się wyjść z domu. Odrzuciła zaproszenie na kolację w niedzielę wieczorem, mówiąc, że jest wykończona. Zdecydował, że spróbuje znowu w poniedziałek. Zaproponował wyjście do klubu jazzowego Firefly Club - zawsze, nawet w poniedziałek wieczorem, grano tam muzykę na żywo. Powiedział, że przyjdzie po nią o siódmej.

Był tam nieco wcześniej, kiedy jeszcze układała włosy i robiła makijaż. Począł na nią na dole. Kiedy wyszli, przekręciła kluczyk w zasuwie drzwi frontowych. Loogan zastanawiał się, czy Michael Beccanti poradzi sobie z zasuwą. Nie musiał jednak - Loogan otworzył drzwi na patio.

Zatrzymali się w kafejce na lekką kolację, po czym poszli do Firefly. Na scenie stało trio bluesowe. Publiczność była ubrana nieformalnie. Loogan zaprowadził Laurę do stolika w kącie, daleko od baru. Oparła się o niego. Siedzieli w milczeniu.

Potem poszli na parking, gdzie zostawił swój samochód. Czekając na windę, objęła go, pocałowała i zaczęła płakać. Samochód stał na czwartym poziomie, oni jednak pojechali na samą górę, stanęli w chłodzie i zaczęli rozmawiać o Tomie.

- Czy myślisz, że się bał? - spytała.

Loogan wiedział, co miała na myśli. Z miejsca, w którym stali, widzieli budynek, w którym znajdowała się redakcja „Szarych Ulic”. Widzieli odległość między szóstym piętrem a ziemią.

- Nie - powiedział. - Myślę, że był wtedy nieświadomy.

Uniosła ramiona, włożyła ręce do kieszeni płaszcza.

- Nie wiem, co robię, Davidzie. Miałam poprowadzić dzisiaj zajęcia, ale nie poszłam. Dziekan jest moim starym znajomym. Powiedział, że powinnam wziąć przynajmniej dwa tygodnie wolnego albo nawet nie pracować do końca semestru.

- Może rzeczywiście powinnaś.

- Po co? - spytała. - Już wolę coś robić. Siedzę sama w domu, a każda minuta, którą tam spędzam, przypomina mi Toma...

Głos uwiązał jej w gardle. Pochyliła głowę i spojrzała w dal. Loogan przyglądał się jej. Myślał, że się rozplacze. Nie rozplakała się. Stała w milczeniu. Loogan chciał ją pocieszyć, ale czuł się jak kanalia. Wyciągnął ją z domu po to, żeby Michael Beccanti mógł przeszukać jej rzeczy. Opracowali plan, bzdurną intrygę. Loogan miał w kieszeni telefon - kupił go wcześniej tego dnia. Miał trzymać Laurę poza domem tak długo, jak się da, a przed powrotem do domu puścić Beccantiemu dwa sygnały. Żeby mógł to zrobić, Laura nie mogła go widzieć. To jednak także zaplanował - upewnił się, że w samochodzie jest mało paliwa, żeby móc zatrzymać się na stacji benzynowej. Miał zamiar zadzwonić podczas płacenia.

Patrzył w dół na ulicę z rękami w kieszeniach swojego czarnego skórzanego płaszcza. Wdychał chłodne powietrze. Prawą dłoń zacisnął na złożonej kartce. To też była część planu. Nie mówił o niej Beccantiemu - to miał być jego mały wkład. Sądził, że powinien wypytywać Laurę, dopóki miał ją tylko dla siebie. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Kartka była rekwizytem, sposobem na rozpoczęcie tematu.

Zgniółł papierek w kieszeni. Plan był idiotyczny. Powinien zabrać Laurę do domu i zapomnieć o wszystkim. Zadzwonić do Beccantiego i powiedzieć mu, że nie chce z nim mieć już nic do czynienia. Patrzył, jak zielone światło na ulicy pod nimi zmienia się w żółte. Czuł Laurę obok siebie, czuł, jak wkłada mu rękę do kieszeni, dotyka dłońią jego dłoni.

- Co to? - spytała.

- Nic - odpowiedział.

- Jak to nic?

- Powinniśmy iść - powiedział. - Jest już późno.

- Zrobiłeś się bardzo poważny, Davidzie. Czego się boisz?
- Parkingów - odparł bez wahania.
- Naprawdę?
- Są niebezpieczne. Czterdzieści procent zbrodni ma miejsce na dachach parkingów.

Uśmiechnęła się i spojrzała przez ramię.

- Jesteśmy tu sami.
- Tak to się zaczyna - powiedział. - Myślisz, że jesteś bezpieczny, tracisz czujność, a wtedy ktoś cię atakuje.

Jej palce pochwyciły kartkę w jego kieszeni.

- Ochronię cię, Davidzie. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię zaatakował.

Patrzył na podniesione kąćki jej ust. Chwyciła kartkę, a on powoli ją puścił. Patrząc mu prosto w oczy, wyciągnęła kartkę z kieszeni i powoli rozprostowała ją na betonowej ścianie. Wreszcie spojrzała na nią.

- Co to jest?

Wzruszył ramionami.

- To tylko notatki, które zrobiłem kilka tygodni temu.

Zacząła czytać na głos - „Człowiek, którego Tom Kristoll nazywa Michaellem Beccantim, został zabity 7 października w gabinecie Toma, w jego domu nad rzeką Huron”. To dobry początek. Od razu przyciągnęłaś moją uwagę.

Loogan oparł się o ścianę.

- Mogę go poprawić - powiedział. - To nie Michael Beccanti umarł, tylko Sean Wrentmore.

- Aha. Cóż, idźmy dalej. „Martwy mężczyzna miał pistolet przyczepiony do łydki - dlaczego?”. Dobrze pytanie. „Pod paznokciami miał krew, co sugeruje, że walczył ze swoim

mordercą”. Słuszny wniosek - zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów. - „Najprawdopodobniej podrapał go w twarz, szyję, ramiona albo dłonie. Tom nie ma zadrapań w żadnym z tych miejsc... Laura Kristoll nie ma na ciele żadnych zadrapań”. To się nazywa dobra praca detektywa. Następnym razem przypomnij mi, żebym spytała cię o motyw, kiedy będziesz chciał rozebrać mnie w moim biurze.

Loogan w milczeniu przyglądał się, jak czyta do końca. Skupił się na ostatnim zdaniu, które napisał: „Nie wiem prawie nic o Tomie i Laurze Kristollach”.

- Davidzie - powiedziała. - Mogłeś zapytać mnie o to wcześniej. Powiedziałabym ci wszystko - oddała mu kartkę. - Czy chcesz, żebym powiedziała ci teraz?

- Nie musisz.

- Chodźmy do samochodu - powiedziała. - Robi się zimno. I niebezpiecznie.

- Sean Wrentmore napisał powieść - powiedziała Laura.

Parking po obu stronach był pusty. Loogan uruchomił silnik i włączył ogrzewanie.

- Kłamcy, złodzieje i niewinni ludzie — powiedział.

- Tak. Tom ci o tym mówił?

- Nie. Mam swoje źródła.

- Miała jakieś 350 tysięcy słów - ciągnęła. - Była trzy razy za długa. Wysłał ją kilku agentom. Chwalili jego styl, ale powiedzieli mu to, co sam powinien dobrze wiedzieć - że nikt tego nie opublikuje. Debiutancka powieść nieznanego autora? Takiej długości? To nie mogło się udać. Sean dał Tomowi kopię maszynopisu. Spodobał mu się. To było na początku roku, zanim

jeszcze cię poznał. Ja też go przeczytałam: to była dobra książka. Ale Tom nie odpuszczał. Myślę, że go zaintrygowała, że chciał znaleźć sposób, żeby ją poprawić. Wiesz, o czym ona jest?

Loogan przytaknęła niepewnie.

- Mniej więcej. Streszczono mi ją.

- A zatem domyślasz się, jak bardzo była skomplikowana. Zbyt wielu bohaterów, za dużo wątków, długie retrospekcje. To była historia miłosna. I kryminał. I opowieść o dorastaniu - patrzyła przez okno, chociaż była za nim tylko betonowa ściana. - Tom pracował nad maszynopisem przez wiele miesięcy. Przeredagowywał go, zmieniał. Na początku października udało mu się skrócić go do stu tysięcy słów. Chciał pokazać go Seanowi. Wcześniej nie powiedział mu, co robi i to był chyba jego pierwszy błąd. W tym czasie Tom pracował też nad własną powieścią, ale w pewien sposób to też była jego książka, niesamowicie się nad nią napracował. Chciał spotkać się z Seanem osobiście, żeby powiedzieć mu, co zrobił. Zaprosił go do domu. Powiedział mu tylko, że ma kilka pomysłów na skrócenie maszynopisu, żeby móc go opublikować. To był jego drugi błąd - odwróciła się do Loogana. - Kiedy się spotkali, nie było mnie w domu. Nie mówił mi o tym wcześniej. Opowiedział mi wszystko dopiero później. Ale był tam ktoś jeszcze: Adrian Tully.

Loogan słuchał jej z odchyłoną głową i zamkniętymi oczyma, teraz jednak otworzył je.

- Dlaczego tam był?

- Adrian był dobrym redaktorem - powiedziała Laura. - Tom poprosił go o pomoc w pracy nad tym długim maszynopisem. Kiedy skracasz jeden rozdział, ma to swoje konsekwencje w pozostałych. Potrzebował kogoś, kto sprawdzi, czy całość ma sens po jego poprawkach. A zatem byli tam w trójkę. Adrian znał już wtedy tekst prawie tak dobrze, jak Tom. Tom uważał, że pomoże

mu przekonać Seana do skrótów. To był jego trzeci błąd. Seanowi bowiem skróty się nie podobały. Tom skasował całe wątki, pozbył się połowy postaci. Było to konieczne, żeby powieść miała odpowiednią długość. Seanowi nic z tego się jednak nie podobało. Sam fakt, że Tom redagował jego maszynopis w tajemnicy, rozzłościł go straszliwie. No i był jeszcze Adrian - przerwała i Looganowi wydało się, że słyszy jej oddech mimo warkotu silnika. - Może skończyłoby się inaczej, gdyby był tam tylko Tom. Sean podziwiał go, szanował. Ale Adrian? Jakiś student mówił Seanowi, jak powinien napisać książkę.

Sean miał trzydzieści dwa lata. Wyleciał ze studiów, ale nauczył się wielu rzeczy. Uważał się za zdolnego pisarza i nie bez powodu. A teraz ten dzieciak miał czelność go krytykować. To go wkurzyło. Kłótnia zaczęła się, kiedy Adrian powiedział, że jedna z postaci nie ma znaczenia dla rozwoju fabuły. Jego ton musiał być nieco zbyt lekceważący. Nie spodobał się Seanowi. Maszynopis leżał na jednym z tych niskich stolików w gabinecie Toma, Sean wkurzył się i przewrócił go. Kartki leżały na podłodze. Adrian zirytował się. Sean zamachnął się na niego. Tom stanął pomiędzy nimi i przerwał bójkę. Z tego, co mówił, była dosyć żalosna - klapsy i zadrapania. Tom uspokoił ich, Adrian zaczął zbierać kartki i wydawało się, że to już koniec. Nie dla Seana jednak. To wtedy sięgnął po pistolet.

Sean lubił chodzić na strzelnicę w sobotnie popołudnia. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek strzelał do czegoś innego niż papierowa tarcza. Mogę tylko zgadywać, dlaczego tamtego dnia miał przy sobie broń. Tom zaprosił go, żeby porozmawiać o skróceniu jego maszynopisu. Z punktu widzenia Seana była to poważna sprawa. Szedł na nieprzyjemne spotkanie. Być może zamierzał wyciągnąć pistolet w odpowiednim momencie, żeby odegrać dramatyczną scenę. „Wolę zastrzelić nas obu, niż pozwolić wam zniszczyć moją książkę” czy coś takiego.

Sean był trochę dziwny. Wyobrażam sobie, że mógłby zrobić coś takiego.

Tak naprawdę nie wiem jednak, co zamierzał. Wiem tylko, że po bójce z Adrianem sięgnął po pistolet. Tom tego nie zauważył. Podniósł kilka kartek z podłogi i podszedł do biurka, żeby je uporządkować. Adrian jednak zobaczył, że Sean sięga do swojej łydki i zrozumiał, co zamierza. Butelka whisky była pod ręką. Adrian podniósł ją z ziemi. Sean wyjął pistolet. Nie wiem, czy chciał strzelić, czy tylko go pokazać, Adrian nie czekał jednak, żeby się dowiedzieć. Uderzył Seana butelką w skroń. Potem jeszcze raz. Zanim Tom zdążył zareagować, było już po wszystkim. Sean nie żył.

Loogan pojechał na południe, potem na zachód, wzdłuż rzędów spokojnych domów. Noc była chłodna. Laura oparła głowę o szybę i Loogan sądził, że zasnęła. Po chwili jednak podniosła się, zamknęła okno i zapięła płaszcz.

Ustawił ogrzewanie i włączył radio. Wypróbował kilka kanałów, ale w końcu z powrotem je wyłączył.

- Muszę cię zapytać o kilka rzeczy - powiedział.
- Jesteś bardzo poważny, Davidzie. Czy tak już zostanie?
- Muszę zrozumieć kilka rzeczy, żeby zdecydować, co powinienem zrobić. - Loogan zakręcił. Ulice były ciemne i mokre.
- Adrian zabił Seana Wrentmore'a. Czy zabił też Toma?

Laura bawiła się swoim kołnierzem.

- Powiedział, że nie. Przysięgał, że nie ma z tym nic wspólnego. Ale teraz wydaje mi się, że to on.

- Dlatego, że się zabił?

- To ma sens, kiedy patrzę wstecz. Ta detektyw - Waishkey - myśli, że Adrian i Tom pokłócili się. Nie sądzę, żeby Adrian zabił Toma celowo, ale jeśli zdarzył się jakiś wypadek... - nie dokończyła zdania. - A potem Adrian mógł mieć wyrzuty sumienia. Miał sumienie. Był w kiepskim stanie tej nocy, kiedy zginął Sean. Tom mówił mi, że usiadł na ziemi i wpatrywał się w pustkę. Nic nie mówił. Tom musiał odesłać go do domu.

Loogan doskonale wiedział, co stało się później. Tom zadzwonił do niego i poprosił go o przysługę. Chciał, żeby przyniósł łopatę.

- Wiesz, co się stało z ciałem Seana Wrentmore'a? - spytał Loogan.

- Wiem, że Tom zakopał ciało. Wiem, że mu pomogłeś.

- Dlaczego to zrobiliśmy? Czemu nie zadzwonił na policję?

- Tom nie chciał niszczyć życia Adrianowi. To był błąd. Adrian działał w samoobronie albo przynajmniej tak mu się wydawało. Nikt nie chciał, żeby Sean zginął.

- No właśnie. Można było przekonać policję do tej wersji. A Tom wolał to ukryć. Nawet po śmierci Toma nie powiedziałaś im o Seanie. Dlaczego?

- Miałam swoje powody, Davidzie.

Loogan czuł wypełniającą go złość, która sprawiła, że jego głos zabrzmiał ostro:

- Jesteś dokładnie taka, jak twój mąż. On powiedział mi to samo.

- To prawda.

- To nie wystarczy. Musisz powiedzieć mi więcej.

Wciąż trzymała się za skraj płaszcza. Wyciągnął dłoń i pochwycił go. Cofnęła się zdziwiona. Z powrotem położył rękę na kierownicy, zwolnił i zatrzymał samochód przy krawężniku.

- Powiedz mi prawdę.

- To trudne, Davidzie. Niełatwo to wytłumaczyć.
- Masz czas. Wydaje mi się, że jak dotąd byłem dosyć cierpliwy.

Loogan zaparkował pod wypaloną latarnią. Samochód stał w ciemności.

Laura nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Tom chciał być pisarzem - powiedziała wreszcie.
- Wiem. Mówił mi o tym kiedyś.
- Uważał, że nie jest wystarczająco dobry.
- O tym też mi mówił.
- Myślę, że się mylił - powiedziała Laura. - Myślę, że wszystko mogło potoczyć się inaczej. Ale „Szare Ulice” pochłaniały zbyt dużo energii. Wydaje mi się, że wcale tego nie chciał. Kiedy był młodszy, miał inne plany. Oboje chcieliśmy być pisarzami, ale zboczyliśmy z drogi w pewnym momencie. - Znowu sięgnęła po rąbek płaszcza, ale cofnęła rękę i skrzyżowała ramiona na piersi. - Plan może się nie powieść. Tak zawsze mówił Tom. Pamiętam, jak zaczynaliśmy. Czasopismo zaczęło odnosić pierwsze sukcesy. Jakiś reporter przyszedł przeprowadzić z nami wywiad. Spodziewał się chyba typowego magazynu literackiego, a my publikowaliśmy kryminały i thrillery. Pytał, jaki jest główny temat. Jak opisalibyśmy „Szare Ulice” jednym zdaniem. Tom miał gotową odpowiedź, tak jakby spodziewał się pytania: „Plan się nie powiódł, złe rzeczy się zdarzają, ktoś umarł”.

Jakiś samochód przejechał przez ulicę, robiąc mnóstwo hałasu. Laura przerwała i Loogan patrzył na jej profil. Ścisnęła mocno usta, uniosła podbródek. Próbowwała się nie rozplakać.

- Tom miał plan. Bardzo długo pracował nad maszynopisem Seana i chciał go opublikować. Plan się nie powiódł, ale to nie była jego wina. Coś złego przydarzyło się Seanowi Wrentmore'owi. Kiedy to się stało, było po wszystkim. Niezależnie od tego, czy Tom powiedziałby o tym policji, czy nie, Seanowi nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Ale gdyby Tom zgłosił się na policję, musiałby opowiedzieć im całą historię - pochyliła głowę, włosy zasłaniały jej twarz. - Nie wiem, jakie byłyby konsekwencje prawne ani co napisano by w gazetach. Wiem natomiast, że Tom chciał opublikować swoją wersję maszynopisu. Gdyby poszedł na policję, to nie mogłoby się wydarzyć. Sean nie miał kontaktu z rodziną. Nie sądzę, by pokazywał im to, co pisał. Ale oni musieliby zgodzić się na publikację książki. A niby dlaczego mieliby się zgodzić, wiedząc, jak bardzo ta nowa wersja nie podobała się jego synowi?

No więc Tom nie poszedł na policję. Nie wiem, czy zastanawiał się nad tym, co to oznacza dla rodziny Seana. Mieli się nigdy nie dowiedzieć, co się z nim stało. A jeśli chodzi o maszynopis - parę osób mogło znać wersję Seana, ale wspomnienia blakną. A przeredagowana wersja była zupełnie inna. Myślę, że Tom poczekałby parę lat i opublikował ją pod własnym nazwiskiem - potarła oczy dłońmi. Loogan patrzył na jej delikatne palce muskające policzek. - Plan się jednak nie powiódł. Złe rzeczy się zdarzają. Tom umarł i to ja musiałam zdecydować, co zrobić. Może powinnam powiedzieć policji o Seanie, może powinnam powiedzieć im teraz. Ale Tomowi i tak nie zrobi to już żadnej różnicy.

Tom chciał być pisarzem. Najbliżej celu znalazł się, kiedy redagował powieść Seana Wrentmore'a. Wciąż mam ten maszynopis. Będę go trzymała na strychu, a za kilka lat go odkryję - zapomniane dzieło Toma Kristolla. I, niezależnie od wszystkiego, opublikuję go, bo właśnie tego chciał Tom.

Rozdział 22.

Kiedy Loogan odwiózł Laurę Kristoll do domu, było już wpół do dwunastej. Po drodze zatrzymał się na stacji benzynowej i zadzwonił do Michaela Beccantiego. Intryga.

Gdy dojechali, Laura zaprosiła go do środka na drinka. Zanim odjechał, objęła go i przytulała się przez dłuższą chwilę. Nie poprosiła, żeby został.

Mniej więcej za piętnaście pierwsza znalazł się z powrotem na swojej ulicy, koło swojego wynajętego domu. Wysiadł i zamknął samochód. Jego drzwi błyszcząły w ulicznym świetle. Napis, który wyskrobał na nich Adrian Tully, został wygładzony i zamalowany.

Spojrzał na ganek. Na okiennej siatce widniało, wycięte przez Michaela Beccantiego, „X”. Trzeba się było tym zająć.

Zostawił płaszcz na krześle w kuchni. Odkręcił kran, poczekał, aż woda się oziębi i wypił dwie szklanki. Zdjął buty. Wyciągnął telefon z kieszeni - zero wiadomości. Mógł zadzwonić do Beccantiego, był pewien, że nie śpi, ale nie czuł się na siłach. Równie dobrze mógł zadzwonić jutro.

Wszedł na górę i umył zęby. Spojrzał w lustro - miał zmęczone oczy. Ustawił budzik na dziewiątą rano, zdjął koszulkę, zawiesił koszulkę na wieszaku, spodnie ułożył na krześle i wśliznął się do łóżka.

Kiedy się obudził, pamiętał swój sen. Był z Tomem Kristollem w Marshall Parku. Przywiązana do gałęzi latarka oświetlała grób Seana Wrentmore'a. Tom odstawił łopatę, a w jego rękach, w jakiś magiczny sposób, zmaterializował się plik kartek. Podał je Looganowi. „Czyż to nie jest świetne?” - zapytał. Strona tytułowa ubrudzona była ziemią.

Loogan próbował ją oczyścić, ale tylko pogarszał sprawę.

Nagle w kartce pojawiła się okrągła dziura wielkości monety, o czarnych krawędziach. Zdziwiony Loogan patrzył, jak przebija cały maszynopis. Po chwili zobaczył przez nią sylwetkę Seana Wrentmore'a, który stał w swoim grobie z dymiącym pistoletem w dłoni.

Dopiero wtedy usłyszał strzał. Obudził się i gwałtownie usiadł. Jego budzik dzwonił, ale na zewnątrz było jeszcze ciemno. Zegarek wskazywał 2:09. Loogan zdał sobie sprawę, że to nie budzik. Dzwonił telefon, który położył na nocnym stoliku.

Odebrał i usłyszał głos Michaela Beccantiego:

- Davidzie, to ja. Nie panikuj.

Ułożył się wygodnie na poduszce.

- Nie panikuję.

- Spałeś? - spytał Beccanti. - Wciąż zapominam, jak śpisz.

- Teraz już nie śpię.

- To dobrze, bo znowu wszedłem przez okno i jestem na schodach. Zaraz zapalę światło w korytarzu. Nie bój się.

Zapalił światło. Beccanti stanął w drzwiach i schował telefon do kieszeni. Miał na sobie niebieskie dżinsy, szeroką czarną koszulę i gruby czarny sweter.

- Cześć, Davidzie - powiedział wesoło.

Loogan odłożył telefon i zapalił lampkę. Miał na sobie koszulkę i bokserki, nogi przykrył kocem. Nie poruszył się, chciał wyglądać na kompletnie nieprzejętego niespodziewaną wizytą Beccantiego.

- Weź sobie krzesło - powiedział. - Gdzie byłeś?

Beccanti przysunął sobie krzesło i usiadł na nim tyłem, zwieszając ramiona z oparcia.

- Przepraszam, że przyszedłem tak późno - powiedział. - Straciłem poczucie czasu. Czytałem.

Wyciągnął z kieszeni swetra płytę CD i pokazał ją Looganowi. Błyszczała w świetle lampy.

- Co to jest? - spytał Loogan.

- To właśnie czytałem. Znalazłem to w szafce, w sypialni Laury i Toma. Mają tam dziurę w ścianie, sprytnie przykrytą kafelkiem. Było tam też pięćset dolarów w gotówce. A to jest kopia, wypaliłem ją na komputerze Toma. Zgadniesz, co się na niej znajduje?

Loogan sięgnął po płytę. Była niepodpisana. Dotknął ją opuszkiem palca.

- To maszynopis Seana Wrentmore'a, Kłamcy, złodzieje i niewinni ludzie.

Beccanti uśmiechnął się.

- Niezły strzał. Ale to nie do końca to.

Loogan uderzył się w czoło krawędzią płyty.

- Powinienem być bardziej dokładny - powiedział. - To zrezagowana wersja maszynopisu Wrentmore'a, skrócona do stu tysięcy słów.

Beccanti skrzywił się, ale po chwili uśmiechnął się z powrotem.

- Skąd wiesz? Coś przede mną ukrywasz, Davidzie.

Loogan oddał mu płytę.

- Dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj.

Streścił mu to, co Laura opowiedziała o pracy nad maszynopisem i śmierci Wrentmore'a. Beccanti słuchał w milczeniu, opierając podbródek na ramionach.

- Co to dla nas oznacza? - spytał, kiedy Loogan skończył swoją opowieść.

- Chyba skończyliśmy - powiedział Loogan. - Dowiedzieliśmy się już wszystkiego, czego mogliśmy się dowiedzieć.

- Wciąż nie wiemy, kto zabił Toma.

Loogan wpatrywał się w cienie na ścianie.

- Myślę, że to Tully go zabił.

- Tak?

- Myślę, że Tom chciał pójść na policję. Ukrywanie śmierci Wrentmore'a nie podobało mu się. Chciał powiedzieć prawdę. Tully nie chciał się na to zgodzić, pokłócili się i Tom zginął.

- A co potem? Tully się zastrzelił? Wcześniej nie chciałeś w to wierzyć.

- Mogło tak być.

- Mamy uwierzyć, że Tully'emu nie przeszkadzało, że zabił Wrentmore'a, ale śmierć Toma sprawiła, że pękł?

- Czemu nie?

Beccanti potarł kciukiem podbródek.

- Byłoby miło. Nie musielibyśmy dalej szukać zabójcy Toma. Tully jest mordercą i - co wygodne - już nie żyje. Jasna historia. Prawie w nią wierzę. Ale w domu Laury i Toma znalazłem coś więcej niż tylko płytę.

Znów sięgnął do kieszeni swetra i wyciągnął z niej białą kopertę.

- Szuflada biurka w gabinecie Toma miała podwójne dno - powiedział. - Dokładnie tak samo, jak ta w redakcji „Szarych Ulic”. Znalazłem to w środku.

Rzucił kopertę na łóżko. Adres Toma był na przedzie, adresu nadawcy nie było. Górna krawędź została przecięta. Loogan wyjął z niej jedną wydrukowaną stronę. „Szanowny panie Kristoll. Wiem, co się stało z Seanem Wrentmore'em”.

Było tam jeszcze kilka linijek. Żądanie pięćdziesięciu tysięcy dolarów w gotówce, instrukcje, jak je zapakować i gdzie je przesłać. Na adres pana „M.L. Blacka” w Chicago.

- M.L. Black - powiedział Loogan na głos.

- Wiem - powiedział Beccanti. - Sprytne. Zapewne nikt o takim nazwisku nie mieszka pod tym adresem. To pewnie jakaś skrzynka pocztowa do wynajęcia.

Loogan odwrócił kartkę, jakby szukał czegoś więcej. Spojrzał na kopertę. Znaczek pochodził z Chicago, został podstemplowany tydzień po śmierci Wrentmore'a.

- Chciałbym cię o coś zapytać - powiedział Beccanti. - Czy myślisz, że Laura powiedziała ci wszystko, co wie?

Loogan niecierpliwie pomachał listem.

- Muszę się chwilę zastanowić. Próbuję zrozumieć, co to oznacza.

Beccanti roześmiał się gorzko.

- Powiem ci, co to oznacza, Davidzie. To znaczy, że to jeszcze nie koniec. Nie wiemy jeszcze wszystkiego, czego możemy się dowiedzieć. Musimy zaplanować nasz następny krok.

Wstał z krzesła i wyciągnął dłoń po list i kopertę.

- Ubieraj się - powiedział. - Poczekam na ciebie na dole.

Mężczyzna, który nazywał siebie Davidem Looganem, często znajdował się na krawędzi, ale nauczył się dobrze to ukrywać. Nie lubił chodzić po mieście nocą, ale kiedy Tom Kristoll poprosił go o łopatę, kupił ją. Miał lęk wysokości, nie chodził na parkingi, ale poszedł z Laurą Kristoll na dach garażu, żeby porozmawiać z nią o Tomie.

Nie lubił otwartych drzwi, bo sprawiały, że czuł się bezbronny, ale nie lubił też zamkniętych drzwi, bo nie wiedział, co może się za nimi kryć. Kiedy Michael Beccanti zszedł na dół, poszedł umyć twarz, a drzwi do łazienki zostawił na w pół otwarte.

Nie lubił pochylać się nad umywalką i przyskać twarzy wodą, bo czuł wtedy, że traci kontrolę. Wyobrażał sobie, że ktoś uderza go w tył głowy, że nosem trafia w kran, że zaczyna mu z niego płynąć krew.

Mimo to spojrział w lustro - ubrał się w tę samą koszulę i spodnie, które miał na sobie wcześniej - i powiedział sobie, że jest żaloszny. Odkręcił kran i poczuł na twarzy chłód. Wsłuchał się w dźwięk płynącej wody, chociaż potrafi on zagłuszyć inne dźwięki, takie jak skradanie się napastnika. A mimo to umył się i nikt go nie zaatakował, choć przez chwilę wydawało mu się, że słyszy coś więcej niż tylko szum wody. Wydawało mu się, że ktoś krzyczy.

Zakręcił kran, sięgnął po ręcznik, a krzyk nie powtórzył się. Zabrał ręcznik ze sobą na korytarz, powoli wycierając ręce i nasłuchując. Kiedy dotarł na szczyt schodów, zawołał Beccantiego.

Nikt nie odpowiedział.

Kiedy schodził ze schodów, wciąż miał ze sobą ręcznik. Na dole było zimno. Okno w salonie było szeroko otwarte. Zasłony trzepotały. Było ciemno, dobiegało tam jedynie słabe światło z korytarza na górze.

W półmroku zobaczył siedzącego na sofie Beccantiego. Znów wypowiedział imię mężczyzny, usłyszał jego oddech.

Usłyszał też warkot silnika na ulicy. Samochód odjechał.

Loogan zapalił lampę stojącą na podłodze. Najpierw zobaczył krew na podłodze - jej plamy tam, gdzie upadł Beccanti. Najwyraźniej uniósł się i wspiął na sofę. Krew na jego koszuli trudniej było dostrzec: była wilgotnym błyskiem na czerni materiału. Prawą rękę trzymał na brzuchu, pomiędzy palców wypływała czerwona ciecz. Loogan rozpoznał długie ostrze - był to nóż z jego kuchni.

Ranę na gardle Beccantiego zobaczył na samym końcu: ciemna linia i spływająca pod kołnierz strużka krwi. Loogan miał ręcznik: podbiegł i przycisnął go do gardła Beccantiego. Zbyt mocno jednak, tak, że mężczyzna jęknął. Loogan zmniejszył nacisk.

Telefon stał po drugiej stronie pokoju. Wolną dłonią Loogan sięgnął do kieszeni Beccantiego, wyciągnął jego komórkę i zadzwonił na pogotowie.

- Potrzebuję karetki - powiedział. - Mój ojciec ma atak serca - łatwo było mu skłamać. Jego głos zabrzmiał wystarczająco desperacko.

- Proszę podać nazwisko i adres.

- David Loogan - odpowiedział i podał wskazówki dojazdu.

Poprosiła, żeby poczekał, a on nie wiedział, czego oczekiwać - może muzyki na zabicie czasu. Zapadła jednak cisza, a po chwili głos odezwał się znowu.

- Karetka jest w drodze, proszę pana. Czy pana ojciec jest przytomny?

- Tak, ale nie sądzę, żeby potrwało to długo. Proszę poprosić ich, by się pospieszyli, dobrze?

Powiedziała coś jeszcze i odłożyła słuchawkę. Schowane pod ciemnymi, kręconymi włosami powieki Beccantiego były blade i wilgotne. Jego oczy - rozbiegane. Usta poruszały się, ale nie był w stanie wypowiedzieć słowa.

- Nie jest tak źle - powiedział do niego Loogan. Coś idiotycznego. - Czasami nie jest tak źle, jak się wydaje.

Beccanti zamknął oczy, a Loogan przeklął pod nosem, po chwili jednak otworzył je znowu.

Ręcznik zaczął przeciekać. Loogan złożył go. Pochylał się nad Beccantim, opierając kolano na poduszce. Widział ranę na jego

brzuchu, krew, która przeciekała przez jego palce. Pomyślał, że ta rana mogła być najbardziej niebezpieczna.

Przeklął jeszcze raz i ułożył ręcznik na ramionach Beccantiego.

- Zaraz wracam - zapewnił go.

Jego buty stały pod schodami. Włożył je i wbiegł do kuchni, zapalił światło na ganku i szeroko otworzył frontowe drzwi. Wyciągnął kuchenne ścierki z szafki, złapał swój płaszcz i wrócił do salonu, porzucając płaszcz na schodach. Znowu pochylił się nad Beccantim, odsunął delikatnie jego dłoń i przycisnął ścierki do rany na jego brzuchu. Rozpiął jego pasek, otoczył nim szmaty i mocno ścisnął Beccantiego w pasie. Mężczyzna jęknął.

Lekki nacisk na szyję, nacisk na brzuch. Loogan czuwał nad Beccantim, który zamknął oczy i oddychał płytko, niczym śpiące dziecko.

Na ścianie za kanapą zobaczył migające światła. Nie wiedział dokładnie, ile minęło czasu, ale sądził, że niezbyt wiele. Spojrzał przez ramię i zobaczył ambulans przed głównymi drzwiami. Tylko światła, żadnych syren. Żadnej policji ani straży miejskiej. Nie musieli się fatygować do ataku serca.

Otwierające się drzwi. Głosy. Loogan pożegnał się z Michaeliem Beccantim. Położył dłoń na jego włosach.

Zabrał płaszcz, uważając, by chwycić go za poszewkę i wbiegł po schodach na górę. Zgasił światło w korytarzu.

Najpierw łazienka, woda na rękach. Krew na jego koszuli. Spodnie były w porządku. Do sypialni. Po świeżą koszulę.

Na dole głosy - jeden męski, jeden kobiecy. Trafili do Beccantiego. Loogan słuchał ich, wpychając ubrania do torby, którą wyjął z szafy.

Najpierw czarny humor - „oj, to nie żaden atak serca”, powiedział mężczyzna. Kobieta zadzwoniła po straż miejską przez

coś w rodzaju walkie-talkie. Dostała odpowiedź - samochód był w drodze.

- Czy mnie pan słyszy? Jak się pan nazywa?

- Chyba cię nie słyszy - powiedziała kobieta.

Wzięli się do pracy, rozmawiając cicho. Loogan słyszał urywki z sypialni.

- Puls jest słaby.

- Czuję oddech, ale nie podoba mi się.

Wymienili uwagi na temat tego, co Loogan zrobił z ręcznikami i paskiem.

- Jak myślisz, kto to zrobił?

- I czy wciąż tu jest?

- Nie wiem, czy chcę się dowiedzieć.

Zapadła cisza, a potem jedno z nich pobiegło do karetki. Loogan usłyszał brzęk noszy na kuchennej podłodze, który ucichł, kiedy dotarły na dywan w salonie.

Przeniesienie Beccantiego musiało być trudne. Przez chwilę zastanawiali się, jak to zrobić, po czym policzyli do trzech.

Okrzyki wysiłku. Nosze zaskrzypiały pod ciężarem ciała.

- Wbijamy się w żyłę? - spytał mężczyzna.

- Zrobisz to w karetce. Teraz musimy go podnieść.

Szybkie kroki, stukot kół na kafelkach w kuchni. Loogan zapiął torbę. Z górnej półki zdjął książeczkę czekową. Zapakował podstawowe rzeczy: portfel, klucze, zegarek, telefon. W walizce na dole szafy trzymał najważniejsze papiery - świadectwo urodzenia, rozliczenia finansowe, ubezpieczenie samochodu.

Włożył płaszcz i zszedł po schodach, niosąc walizkę i torbę. Zgasił światło w kuchni, zamknął za sobą drzwi. Kiedy wszedł na ganek, karetka już odjechała. Zobaczył sylwetki w oknach domu

po drugiej stronie. Siwa kobieta stała na chodniku, zarzuciła płaszcz na nocną koszulę. Zawołała coś i ruszyła w jego stronę.

Szedł chodnikiem z opuszczoną głową. Jego oddech był zaskakująco równy, serce biło niezbyt szybko. W każdej chwili mógł usłyszeć syreny, zobaczyć czerwone i niebieskie światła.

Położył walizkę i torbę na tylnym siedzeniu samochodu, podszedł do drzwi po stronie kierowcy. Siwa kobieta podeszła do niego.

- Co się dzieje? - spytała.

Odpowiedział, że musi jechać do szpitala, że jego ojciec miał zawał serca.

Nie wyglądała na przekonaną - być może widziała sanitariuszy niosących Beccantiego do karetki. Oddaliła się jednak i Loogan nie zwracał na nią więcej uwagi.

Zapalił silnik - zawsze mógł polegać na swoim samochodzie. Zapiął pas, włączył światła i dojechał do końca ulicy. Zatrzymał się na światłach. Przejeżdżając przez skrzyżowanie, spojrzął w prawo i w lewo, w oddali zobaczył światła policyjnego samochodu. Spokojnie jechał dalej. David Loogan, stalowe nerwy. Skręcił w prawo. Żadnego ruchu na drodze. Rzędy domów, śpiący mieszkańcy.

Przez chwilę pomyślał, że powinien pojechać do domu Elizabeth Waishkey. Zapukać do jej drzwi. Wyobrażał sobie, jak wychodzi na ganek w szlafroku, zaspana, bosa, z rozczochranymi włosami. Ucieszyłaby się na jego widok, ale potem spochmurniała, słuchając jego opowieści. Powiedziałby jej, że to nie on - to nie on dźgnął nożem Michaela Beccantiego.

W końcu zawrócił i ruszył w stronę Main Street. Potem na wschód, na międzystanową. W końcu wylądował na Route 23, jechał w kierunku Ohio.

Rozdział 23.

Elizabeth Waishkey nigdy wcześniej nie pracowała nad trzema morderstwami naraz. Stojąc w salonie wynajmowanego przez Davida Loogana domu, zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie była osobiście związana z miejscem zbrodni. Była w tym pokoju tydzień wcześniej. Siedziała na kanapie, na której wykrwawił się Michael Beccanti.

Teraz była sama w domu. Wcześniej przewinął się przez niego tłum detektywów. Beccanti zmarł w karetce, ledwie dwie minuty przed przyjazdem do szpitala uniwersyteckiego. Elizabeth dowiedziała się o tym od Cartera Shana, kilka minut przed trzecią nad ranem. Kiedy dotarła do domu Loogana, Shan już tam był, razem z Harveyem Mitchumem i Ronem Wintergreenem. Kim Reyes pojawiła się kilka minut później. Po niej Owen McCaleb w ciemnoniebieskim dresie i białych adidasach.

Natychmiast zaczęli rozmawiać z sąsiadami i McCaleb wściekł się, dowiadując się, że Loogan z łatwością uciekł z miejsca zbrodni. Swoją złość skierował w stronę dwóch policjantów, którzy zbyt późno odpowiedzieli na wezwanie. Elizabeth przyglądała się ich rozmowie z oddali - stali we trzech na trawniku, pod zeschniętym dębem. Nie słyszała, co mówił McCaleb, ale policjanci nadąsali się i stanęli przy samochodzie, jakby nie wiedzieli, czy mają zostać, czy odjechać.

Mitchum i Wintergreen przyjechali pierwsi. McCaleb kazał im zająć się miejscem zbrodni. Elizabeth i Shana wysłał do szpitala, żeby zabezpieczyli osobiste rzeczy Beccantiego i porozmawiali z sanitariuszami, którzy odpowiedzieli na wezwanie do domu Loogana. Usiedli z nimi w poczekalni na izbie przyjęć. Żadne z nich nie widziało Loogana, ale kobieta miała wrażenie, że ktoś mógł chować się na górze. Opowiedziała o tym, jak zabezpieczono rany Beccantiego.

- Czy sądzi pani, że to on? - spytała.

Potem Elizabeth i Sean dowiedzieli się, że nikt nie skontaktował się z rodziną Beccantiego. Pojechali do Saline, żeby porozmawiać z jego dziewczyną, Karen Fenton. Jej twarz spochmurniała, kiedy tylko ich zobaczyła. Nie chciała usiąść, stała w drzwiach swojej przyczepy w długiej koszulce i spodniach od dresu, obejmując rękami swój ogromny brzuch. Elizabeth chciała chwycić ją za ramię, ale ona wycofała je, potem upadła na kolana i zapłakała. Shanowi udało się posadzić ją na fotelu, gdzie szlochała dalej, rękami zasłaniając oczy. Zrobili, co tylko mogli, żeby ją pocieszyć. Potem pojawiła się sąsiadka, starsza kobieta w wełnianym płaszczu, zarzuconym na błękitną nocną koszulę. Nadejście kobiety uspokoiło Karen. Sąsiadka nastawiła wodę na herbatę i wyprosiła Elizabeth i Shana.

O zachodzie słońca byli z powrotem na ulicy Loogana. Poszli sprawdzić, co dzieje się u Harveya Mitchuma i pozostałych detektywów, którzy pracowali na miejscu zbrodni. Nie było żadnych wiadomości o Looganie. Wysłano list gończy za jego samochodem, ale nie było żadnych śladów wskazujących, dokąd mógł pojechać.

Elizabeth spędziła poranek na spotkaniach i nad papierami. Udało jej się zjeść późne śniadanie, wziąć prysznic i przespać dwie godziny. Po południu wróciła do domu Loogana. Mitchuma i pozostałych już tam nie było; miała cały dom dla siebie.

Najpierw zrobiła rundkę po domu, zaczynając od piwnicy, a kończąc na drugim piętrze. Była zdziwiona tym, jak niewiele zostało po Davidzie Looganie. Czyste pranie na suszarce w piwnicy. Kilka koszul i kurtka w szafie w sypialni. Papiery na

biurku w salonie - rachunki, na wpół zredagowane maszynopisy do „Szarych Ulic”.

Wiedziała, że Loogan wynajmował dom. Sąsiedzi podali im nazwisko właściciela, profesora historii, który wyjechał na urlop naukowy i obecnie robił badania na uniwersytecie frankfurckim. Loogan spał w jego łóżku, jadł z jego talerzy, pracował w jego biurze. Najwyraźniej nie przywiózł ze sobą wielu rzeczy. Nie było pudełek z pamiątkami, żadnych śladów jego przeszłości.

Elizabeth spędziła chwilę w sypialni Loogana. Wyobrażała go sobie, jak pakuje się w pośpiechu, podczas gdy sanitariusze pracują na dole. Co by zrobił, gdyby ktoś postanowił zajrzeć na górę? Spojrzała przez okno - skacząc, co najmniej skręciłby kostkę, być może złamał nogę. Złe wyjście. Był w pułapce. A jednak został w domu z Beccantim, zrobił, co mógł, żeby zabezpieczyć jego rany.

Zeszła do salonu. W powietrzu unosił się zapach krwi. Badała pokój, próbując zrozumieć, co się tam wydarzyło. Beccanti przyjechał do domu Loogana - jego samochód stał po drugiej stronie ulicy. Wszedł przez okno - zostawił swój znak na okiennej siatce.

Gdzie był Loogan, kiedy Beccanti wszedł przez jego okno? Koldra na jego łóżku była zmięta. Czy Loogan spał?

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Loogan został obudzony przez intruza. Schodzi po schodach. Dobrze. Ale kiedy bierze do ręki nóż? Spał z nożem pod poduszką?

Wszystko miało więcej sensu, jeśli założyć, że zabójca Beccantiego schował się w gabinecie na dole. Zrobiła kółko, patrząc na wejście do gabinetu, na lampę, krzesło i sofę. Był tam wzór z krwi Beccantiego, wzór, który musiała odczytać. Widziała jego ciało w szpitalnej kostnicy, wiedziała, gdzie został zraniony. Gdyby morderca był w gabinecie, w ciemności, wszystko

nabrałoby sensu. Gdyby Beccanti wszedł przez okno, skierowałby się na środek pokoju. Stał obok lampy, może chciał ją włączyć. Stał tyłem do drzwi gabinetu. Morderca chwyciłby go za włosy, nożem przeciąłby jego gardło.

Nie trafił w tętnicę szyjną - to znacznie trudniejsze, niż się ludziom wydaje. Beccanti upadając, chwycił się oparcia fotela. Zostawił na nim nieco krwi. Odwrócił się twarzą do mordercy i ledwo udało mu się dostrzec nóż, który przeciął mu brzuch. Upadł i znowu się podniósł, opierając się o fotel. Nóż trafia go jeszcze trzy razy. Beccanti poddał się, upadł. Nóż tkwił w jego brzuchu. Miał jeszcze siłę, żeby go wyciągnąć, odwrócić się i wspiąć na kanapę. Udało mu się usiąść. Nóż wylądował obok niego.

A co z mordercą? Są dwie możliwości. To Loogan był mordercą i zmienił zdanie: zrobił, co mógł, żeby zatrzymać krwawienie. Albo mordercą był ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto zakradł się do gabinetu, kiedy Loogan spokojnie spał na górze.

„Chcesz, żeby to był ktoś inny” - pomyślała Elizabeth. Nie chcesz wierzyć, że to David Loogan przeciął gardło mężczyzny i cztery razy uderzył go nożem w brzuch.

Spojrzała na wiszące nad kominkiem zdjęcie - papierowe liście, kawałki kolorowego szkła. Dotknęła koralików na swojej szyi.

- Nieznany sprawca - powiedziała na głos.

Jeśli Beccanti został zamordowany przez nieznanego sprawcę, jego morderca musiał wydostać się z domu. Czy wyszedł przez frontowe drzwi? Nie. Po co nadkładać drogi, skoro ma się tuż za sobą otwarte okno? Musiał mieć na sobie krew Beccantiego. Zasłony były jednak szeroko odsłonięte. Mógł je ominąć, nie brudząc ich krwią.

A co z siatką? Elizabeth podeszła do okna. Resztki siatki były zgięte do wewnątrz. Gdyby ktoś wyszedł w ten sposób, wyginałyby się na zewnątrz.

Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Harveya Mitchuma. Jego głos wydawał się zaspany.

- Coś mi przyszło do głowy, Harv - powiedziała. - Chciałabym ci o tym powiedzieć.

Mówiła spokojnie, z szacunkiem. Znajdowała się na miejscu zbrodni.

- O co chodzi? - spytał.

- Może kazalibyśmy zbadać siatkę okienną w laboratorium, żeby poszukać śladów krwi?

Milczał przez chwilę, zastanawiając się nad pomysłem.

- Krwi Beccantiego? Myślisz, że morderca wyszedł przez okno?

- Możliwe.

- To nie pasuje do hipotezy, że mordercą jest Loogan.

- Nie.

- Poza tym siatka była wygięta do wewnątrz - Mitchum zawsze miał dobre oko.

- Załóżmy, że morderca wyszedł tamtędy, a potem specjalnie zagiął tak siatkę.

Kolejna chwila ciszy.

- Dobrze, Lizzie. Wyślę po nią kogoś.

- Dzięki.

Skończyła rozmowę i stanęła z powrotem na środku pokoju. Jej wzrok znów przyciągnęło zdjęcie wiszące nad kominkiem. Loogan powiedział jej, że to prezent od Toma Kristolla. Po jego śmierci zdjął z niego ramę, mając nadzieję, że znajdzie wiadomość od przyjaciela.

Stanęła na palcach, żeby zdjąć ramę z okna. Odwróciła ją - z tyłu nie było żadnej ukrytej koperty, nic poza białą powierzchnią plakatu.

Jej telefon zadzwonił. Odebrała, wciąż trzymając zdjęcie w drugiej ręce. Od razu rozpoznała głos w słuchawce.

- Witam, pani detektyw.

Ostrożnie oparła ramę o kominek.

- Pan Loogan.

- Mam nadzieję, że nie dzwonię w nieodpowiednim momencie - powiedział. - Musimy porozmawiać. Domyślam się, że była pani w moim domu.

Spojrzała przez okno, przestraszona nagłą myślą, że Loogan ją obserwuje.

- Tak - odpowiedziała.

- Ktoś napadł na Michaela Beccantiego w moim salonie.

- Wiem.

- Próbowałem zdecydować, co powinienem pani powiedzieć. Wiem, jak to wygląda. Nóż pochodzi z mojej kuchni. Prawdopodobnie znaleźliście na nim moje odciski palców.

Zbliżyła się do okna. Nie było go na ulicy.

- Jeśli tam są, znajdziemy je.

- Wygląda to tak, jakbym zabił go po tym, jak włamał się do mojego domu. Nie było tak.

- Wierzę panu, panie Loogan - powiedziała cicho, częściowo do siebie.

- Słucham?

- Powiedziałam, że panu wierzę. Ale to nie ma znaczenia. Musi pan przyjść na komisariat. Porozmawiamy. Powie mi pan, co naprawdę się stało.

- Nie przyjdę.

- A zatem ja przyjadę do pana. Proszę mi powiedzieć, gdzie pan jest.

Usłyszała w słuchawce jego westchnienie.

- Trudno mi podać jedno miejsce. Jak się pani domyśla, jestem w trasie. Czy przeszukaliście kieszenie Beccantiego?

To pytanie zaskoczyło ją, ale nie chciała, żeby zaskoczenie przebiło się w jej głosie.

- Zawsze przeszukujemy kieszenie. To część naszej pracy.

- Znaleźliście płytę albo list adresowany do Toma Kristolla?

- Nie. O co chodzi?

- Chciałbym wiedzieć. Nie byłem z panią całkiem szczery.

- Ach tak?

- Powiedziałem, że przestałem szukać Michaela Beccantiego i to była prawda. Ale przestałem dlatego, że to on znalazł mnie. Przyszedł do mojego domu w dniu pogrzebu Toma.

Wyprostowała się, nasłuchując uważnie.

- Proszę mówić dalej.

- Wszedł nocą przez okno. To wtedy przeciął siatkę. Wiedział, że go szukam. Myślę, że chciał się ze mną spotkać na własnych zasadach. Obaj przyjaźniliśmy się z Tomem. Uważał, że powinniśmy poszukać jego mordercy.

- To nie jest opowiadanie w „Szarych Ulicach”, panie Loogan.

- Wciąż pani to powtarza. Ale coraz bardziej się nim staje. W sobotę Beccanti pojechał do biura Toma, żeby się rozejrzeć. Nic nie znalazł. Wczoraj pojechał do jego domu. Znalazł list i płytę CD i przyjechał do mnie, żeby mi je pokazać. Znów wszedł przez okno. Myślę, że go to bawiło. Rozmawialiśmy na górze. Chciał zaplanować nasz następny krok. Zszedł do salonu, a ja miałem ubrać się i dołączyć do niego. Ktoś jednak albo obserwował dom, albo śledził go. I, kimkolwiek był, zobaczył, jak Beccanti wchodzi przez okno. Zapewne zrobił to samo. Musiał być na dole, kiedy rozmawiałem z Beccantim. Czekał tam na niego z nożem -

energia zdawała się opuszczać głos Loogana. - Kiedy zszedłem, już go nie było. Beccanti krwawił na podłodze. Nie przeszukałem jego kieszeni, miałem inne rzeczy na głowie. Ale jeśli nie znaleźliście listu i płyty, to znaczy, że zabrał je morderca.

Przez chwilę Elizabeth nic nie słyszała. Z ulicy nie dobiegały żadne dźwięki, nie nadjeżdżał żaden samochód. Wyobraziła sobie, że Loogan chodzi po pustym hotelowym pokoju.

- Beccanti nic nie powiedział. Myślę, że był w szoku. Spojrzał na mnie kilka razy. Sądzę, że wiedział, że umiera - usłyszała, jak oddycha ciężko. - Przepraszam. Jestem zmęczony. To była długa podróż.

Znow zamilkł, a ona wpatrywała się w liście na zdjęciu nad kominkiem.

- Davidzie - powiedziała. - Powinieneś przyjechać. Wynająć prawnika. Wyjaśnić to wszystko.

- Czy możesz zagwarantować, że nie zostanę zaaresztowany?
Zawahała się.

- Chciałabym, ale to nie ode mnie zależy.

- Ale to nie od ciebie zależy. Tak właśnie myślałem. Wiem, w co się wpakowałem. Beccanti nie żyje, a ja jestem podejrzanym. Gdyby to było opowiadanie w „Szarych Ulicach”, sam musiałbym rozwiązać tę zagadkę. Musiałbym znaleźć mordercę i oczyścić się z zarzutów.

Zamknęła oczy.

- Davidzie, to nie jest opowiadanie w „Szarych Ulicach”.

- To ty tak mówisz. Powinieneś powiedzieć jeszcze więcej, ale to skomplikowane. Wszystko zaczyna się od płyty i listu. Na płycie jest maszynopis. List został wysłany przez szantażystę. Masz długopis? Powinnaś to zapisać.

Rozdział 24.

Elizabeth otworzyła oczy.

- Powiedziałeś „włamywacz”?

- Nie pamiętam dokładnie treści listu, ale zaczynał się od: „Drogi panie Kristoll. Wiem, co się stało z Seanem Wrentmore'em”. Żądał pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Podał adres w Chicago, na który należało je wysłać. List został podpisany, ale to ci nie pomoże. Ktokolwiek go napisał, użył pseudonimu: „M.L. Black”.

Elizabeth wróciła do kuchni, gdzie zostawiła płaszcz.

- Powinnam wiedzieć, kim jest Sean Wrentmore?

- Właśnie do tego zmierzam - powiedział Loogan. - Jest jeszcze coś, czego ci nie powiedziałem. Pewnie powinienem. Sean Wrentmore nie żyje. Znalazłaś długopis? - jego ton był zdecydowany, wydawało się, że wróciła do niego energia.

Wyjęła notes z kieszeni płaszcza.

- Tak. Proszę mówić.

- Sean Wrentmore był pisarzem. Zmarł siódmego października w gabinecie Toma Kristolla. Wrentmore napisał powieść, a Tom redagował maszynopis - swoją drogą, to właśnie on znajduje się na płycie. Adrian Tully mu pomagał. Pokłócili się o zmiany redakcyjne i skończyło się na tym, że Wrentmore zginął. Sądzę, że to Tully go zabił. Jeśli chcesz sprawdzić moją historię, porozmawiaj z Laurą Kristoll. To ona powiedziała mi, co się stało. Dowiedziała się tego od Toma.

Elizabeth odwróciła stronę w notesie.

- Powiedziałeś mi, że wiesz, że Sean Wrentmore nie żyje. Skąd? I co stało się z ciałem?

- Zostało zakopane w lesie - powiedział Loogan. - Jest jeszcze kilka rzeczy. Mogę ci oszczędzić czasu, jeśli chodzi o Wrentmore'a. Mieszkał w domu przy Carpenter Road - wyrecytował adres. - Wynajmował też magazyn w Self Storage USA. Budkę numer 401. Myślę, że trzymał tam coś ważnego. Dał klucz swojej sąsiadce i powiedział jej, żeby tam poszła, jeśli jemu coś się stanie. Sąsiadka nazywa się Delia Ross. Pojechaliśmy do magazynu w sobotę, ale cokolwiek trzymał tam Wrentmore, już tego tam nie ma. Warto byłoby dowiedzieć się, kto zaglądał do jego budki w ostatnim czasie.

Elizabeth zastukała długopisem o kartkę.

- Czy Tom Kristoll zakopał ciało Seana Wrentmore'a?

- Czy właśnie tego nie powiedziałem?

- Niedokładnie. Czy mu w tym pomogłeś?

Jego milczenie trwało tak długo, że zaczęła podejrzewać, że odłożył słuchawkę.

- Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie - powiedział wreszcie.

- Panie Loogan, muszę się dowiedzieć, gdzie znajduje się ciało Seana Wrentmore'a.

- Wolałem, kiedy mówiłaś do mnie po imieniu. Spójrz na to z mojej perspektywy. Gdybym rzeczywiście pomógł mu zakopywać ciało, byłbym jedyną żyjącą osobą, która wie, gdzie znajduje się ciało. A to dawałoby mi pewną przewagę.

- Posłuchaj - powiedziała. - Historia, którą mi opowiedziałeś, jest bardzo dziwna. Ten Wrentmore został zabity z powodu jakiegoś maszynopisu. Jeśli nie będę miała ciała, nie ma szans, żeby ktokolwiek potraktował to poważnie.

- Powiedziałem wszystko, co zamierzałem teraz powiedzieć. Myślę, że potraktują to poważnie.

- Nie wiem, dlaczego ja sama miałabym się nie roześmiać.
- Wierzysz mi.
- Nic takiego nie powiedziałam.
- Wierzysz mi i chcesz się dowiedzieć, kto zabił Toma - powiedział, jakby sprawa została właśnie rozstrzygnięta. - Muszę kończyć. Zrobisz to, co uznasz za stosowne.

Próbowała wymyślić jakiś pretekst, żeby zmusić go do pozostania na linii.

- Davidzie... - zaczęła, jednak połączenie zostało już przerwane.

Kiedy dojechała na koniec ulicy Loogana i skręciła w stronę komisariatu, jej telefon znowu zadzwonił. Usłyszała w słuchawce głos Sary.

- Hej, mamó. Dzwonił do ciebie?

Elizabeth dobrze wiedziała, jaka będzie odpowiedź, spytała jednak:

- Kto?

- David. Dzwonił tutaj jakiś czas temu, szukał cię. Podałam mu numer twojej komórki. Powiedział, że to nie on zabił tego faceta.

Elizabeth jechała wzdłuż rzędów nagich drzew.

- Powiedział mi to samo. Myślę, że to prawda.

- No, bez żartów - powiedziała Sarah. - Facet jest redaktorem. Umie żonglować. Nie może być niebezpieczny.

Elizabeth nie musiała nikogo przekonywać, że śmierć Seana Wrentmore'a należy potraktować poważnie. Loogan się nie mylił.

Kiedy dojechała do urzędu miasta, okazało się, że Laura Kristoll właśnie z niego wyszła. Ona i jej prawnik, Rex Chatterjee, spotkali się z Owenem McCalebem w jego gabinecie. Celem jej wizyty było wydanie krótkiego oświadczenia - trzy strony, pojedyncza interlinia. Kopia leżała na biurku Elizabeth. Był to opis okoliczności śmierci Seana Wrentmore'a, sporządzony zgodnie z relacją jej męża.

Carter Shan był na tym spotkaniu i opowiedział o nim Elizabeth.

- Spytałem ją, dlaczego nie przyszła wcześniej - powiedział - jednak Chatterjee nie pozwolił jej odpowiadać. Powiedział, że wszystkie pozostałe pytania mają zostać wysłane do jego biura. Najwyraźniej powinniśmy być szczęśliwi, że w ogóle przyszła zeznawać. Mamy nie zwracać uwagi na to, że przez ponad miesiąc ukrywała morderstwo.

Elizabeth rozumiała, dlaczego Laura postanowiła wydać oświadczenie właśnie teraz. Loogan najprawdopodobniej ostrzegł ją, że zamierza mówić o Seanie Wrentmore.

Sean wskazał gestem głowy biuro McCaleba.

- Szef rozmawia właśnie przez telefon z prokuratorem okręgowym. Zachowanie Chatterjee'ego zirytowało go. Chce się dowiedzieć, czy można postawić Laurze Kristoll jakieś zarzuty.

Chwilę później McCaleb pojawił się w drzwiach i wezwał Elizabeth i Seana do swojego biura. Kiedy Shan spytał o rezultat rozmowy z prokuratorem, ze zmęczeniem pokręcił głową.

- Chce, żebyśmy obchodzili się z Laurą Kristoll łagodnie - powiedział McCaleb. - Uważa, że wystarczająco się już nacierpiała po śmierci męża - skrzywił się. - Nie chce się do tego przyznać, ale jestem pewien, że już rozmawiał z Chatterjeem. Studiowali razem.

Usiadł za biurkiem, a Elizabeth zaczęła opowiadać mu o rozmowie z Davidem Looganem. Podała jego wersję tego, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Fragment o liście szantażysty zostawiła na koniec.

- A zatem ktoś szantażował Toma Kristolla? Ktoś, kto wiedział, że Sean Wrentmore nie żyje? - spytał McCaleb.

- Na to by wyglądało.

Shan podniósł z biurka McCaleba oświadczenie Laury Kristoll.

- Nie ma tu nic o szantażu.

- Nie - powiedział łagodnie McCaleb. - Pani Kristoll postanowiła o tym nie wspominać.

- Czy to możliwe, że nic o tym nie wiedziała?

- Tak. Musimy ją o to zapytać.

- Czy wolno nam ją zapytać? - powiedziała Elizabeth z sarkazmem.

McCaleb uśmiechnął się do niej gorzko.

- Spytamy ją grzecznie, przez prawnika. A tymczasem będziemy wykorzystywać informacje, które już mamy. Sprawdźmy, czego możemy się dowiedzieć o Seanie Wrentmorze.

W sypialni Wrentmore'a znajdowały się zasłonięte pionowymi roletami szklane drzwi, za którymi rozciągał się betonowy prostokąt, służący za patio.

Elizabeth stanęła na betonie. Słońce już zaszło, a rosnąca wokół tarasu trawa wyglądała w ciemności na zwiędłą. Na granicy podwórka Wrentmore'a rosło kilka sosen. Za drzewami znajdował się parking restauracji. Neon nad jej drzwiami był jasnym półkolem, które wyglądało jak ogromny księżyc, zawieszony nisko nad ziemią.

Elizabeth zaczęła tworzyć sobie w głowie obraz Seana Wrentmore'a. To było jego otoczenie, świat, w którym żył. Siedząc przy biurku w swojej sypialni, musiał widzieć co noc ten sam sztuczny półksiężyc.

Miał trzydzieści dwa lata, był cichy, zdyscyplinowany, nieco ekscentryczny. Tych słów użyła jego sąsiadka, Delia Ross. Zdjęcie na starej legitymacji studenckiej ukazywało bladą, szczupłą twarz, jasne włosy, oczy, które wydawały się zdeterminowane, by nie patrzeć w obiektyw.

Z oświadczenia Laury Kristoll wynikało, że Wrentmore miał laptopa. Tom Kristoll zabrał go i wyrzucił po śmierci Wrentmore'a. Dzięki laptopowi Wrentmore mógł pisać wszędzie - w miejscu publicznym i w dowolnym pokoju. Elizabeth wyobrażała go sobie jednak siedzącego przy biurku, co noc wpatrującego się w biały ekran.

Kiedy wstawał zza biurka, chodził po domu. Spoglądał na ściany i widział na nich czarno-białe zdjęcia nieznanymi mieszkańcóm Trzeciego Świata, o skupionych twarzach, oczach patrzących w ziemię. Patrzyłby na ich twarze, zamiast na twarze swojej rodziny i przyjaciół. Nie było żadnych rodzinnych pamiątek, żadnych zdjęć dawnych dziewczyn. Żadnego dowodu na to, że jakakolwiek kobieta weszła kiedykolwiek do jego domu.

Wrentmore nie był jednak zupełnym samotnikiem. Rozejrzał się wokół i znalazł Delię Ross. Dał jej swój maszynopis do przeczytania i podzielił się z nią dziwną tajemnicą. Dał jej klucz do kłódki.

Następnego ranka Elizabeth pojechała do magazynu, gdzie Sean Wrentmore trzymał swoje rzeczy - budka numer 401 w Self-Storage USA. Towarzyszył jej Carter Shan. Kiedy uniosły się metalowe drzwi, ich oczom ukazały się żalosse rzeczy osobiste Wrentmore'a.

Niebo było zachmurzone. Ruszyli żwirową dróżką do małej wypożyczalni. Dyżurny pracownik miał jakieś dwadzieścia lat i mnóstwo tatuaży na szyi i ramionach. Oparł potężne przedramiona o ladę i spojrzał na zdjęcie Wrentmore'a.

- Tak, już go widziałem - powiedział. - Naprawdę jesteście glinami?

Jego twarz była zaciekawiona, głos brzmiał entuzjastycznie.

- Tak, naprawdę jesteśmy glinami - powiedział Shan.

- A więc jeśli powiem wam, co wiem o tym facecie, okażę się porządnym obywatelem?

- Pewnie - potwierdził Shan.

- Będziecie mieć u mnie dług - powiedział mężczyzna z lekkim uśmiechem. - Darowalibyście mi, gdybym przejechał na czerwonym świetle?

- Skończyłoby się na pouczeniu - powiedziała Elizabeth.

- Super - ucieszył się mężczyzna. - Przygotujcie się zatem, bo powiem wam teraz wszystko, co wiem o Seanie Wrentmore. Wszystko od początku. - Zaczął pisać coś na klawiaturze komputera. - Sean Wrentmore wynajął budkę numer 401 pięć lat temu, zanim jeszcze przyszedłem tu do pracy.

- Od jak dawna tu pracujesz? - spytał Shan.

- Od mniej więcej dwóch lat. Ale, jak już mówiłem, widywałem go. Rozmawiałem z nim raz. Mamy taki sam tatuaż. - Mężczyzna podniósł lewe ramię, żeby pokazać im łańcuch z czarnych pierścieni, który otaczał jego nadgarstek. - On pokazał mi swój i spytał, gdzie ja go zrobiłem. Obawiam się, że na tym skończyły się moje rozmowy z Seanem Wrentmore'em.

Elizabeth spojrzała chmurnie na Shana.

- Nie jesteśmy powaleni.

Mężczyzna znów się uśmiechnął.

- Jeszcze nie skończyłem. Nie powiedziałem wam nic o dziewczynie.

- O jakiej dziewczynie? - spytał Shan.

- O dziewczynie od budki numer 401. Przyjechała tu dwa czy trzy tygodnie temu szarym albo może jasnozielonym chevroletem. Zaparkowała pod 401. Otworzyła drzwi. Spędziła tam chwilę. Podszedłem do niej, bo niewiele się tutaj działo. Poza tym była atrakcyjna. Pomyślałem, że jej pomogę, jeśli będzie chciała załadować coś do samochodu.

- I pomogłeś jej?

- Włożyłem pudło do bagażnika. Tylko to ze sobą zabrała. Było ciężkie, jak ognioodporny sejf na dokumenty.

- Widziałeś, co jest w środku?

- Nie, ale wydaje mi się, że otworzyła je, zanim przyszedłem. W zamku był klucz. - Oparł się o ladę i ściszył nieco głos.

- Chciałbym móc wam powiedzieć, że mam jej imię i numer telefonu. Próbowałem je zdobyć. Dała mi numer, ale okazało się, że to chińska restauracja. Imię to też pewnie jakiś wymysł - Mary-Louise.

Elizabeth nadstawiła uszu. Przypomniała sobie list, o którym mówił jej Logan - list podpisany nazwiskiem M.L. Black.

- Jak wyglądała?

- Jak już mówiłem, była atrakcyjna. Wysoka, ale nie za bardzo. Miała jakieś dwadzieścia cztery lata. Jej nos nie był całkiem prosty, ale co z tego? Piękna cera. Długie włosy - nie całkiem rude i nie całkiem brązowe.

- Kasztanowe - powiedziała miękko Elizabeth.

Shan zwrócił się do niej.

- To Valerie Calnero. Co ona ma wspólnego z Seanem Wrentmore'em?

Elizabeth zamknęła notatnik.

- Chodźmy się dowiedzieć.

- To wystarczy, prawda? - powiedział ochoczo mężczyzna.

- Macie już u mnie dług?

- Tak - powiedziała Elizabeth. - Bardzo nam pomogłeś.

Dziękujemy - odwróciła się od lady. Shan stał już przy drzwiach.

- Super - ucieszył się mężczyzna. - Ale dokąd jedziecie? Jeszcze nie skończyłem.

- Jak to? - Elizabeth odwróciła się.

- Wciąż muszę wam jeszcze powiedzieć o facecie, z którym rozmawiałem wczoraj. Nie tylko was interesuje skrzynka numer 401.

Rozdział 25.

Z miejsca, w którym zaparkował, David Loogan dobrze widział skromny blok - trzy piętra, szklane drzwi wejściowe, cegła koloru piasku. Patrzył, jak Valerie Calnero schodzi po schodach, z małą walizką w jednej ręce i podłużną torbą na ubrania w drugiej. Zniosła je do jasnozielonego, zaparkowanego przed budynkiem chevroleta, gdzie znajdowały się już inne walizki, kartonowe pudła i kosz pełen książek.

Była środa rano. Przyjechałby do niej wcześniej, ale nielato było ją znaleźć. Jej adresu nie było w książce telefonicznej. Był na liście pracowników „Szarych Ulic”, ale tę Loogan zostawił w domu.

Teraz już miał tę listę, złożył ją i ukrył w schowku w samochodzie. Zdobył ją wcześniej rano - było to ryzyko, ale

podejrzewał, że policjanci są zbyt zajęci, żeby nieustannie pełnić wartę w jego domu.

Mimo to jednak był ostrożny. Zaparkował kawałek od domu i wspiał się po niskim drucianym płocie, który ogradzał tylne podwórze. Wszedł przez tylne drzwi, za którymi znajdował się schowek. Lista pracowników „Szarych Ulic” znajdowała się w gabinecie, między innymi papierami, w górnej szufladzie biurka.

Z listą w dłoni zaryzykował wejście na górę. W kącie wolnej sypialni stała gitara w solidnym czarnym futerał. Po raz pierwszy zobaczył ją, kiedy wprowadzał się do domu. Sama gitara była błyszcząca i niezniszczona, tak jakby nikt nigdy na niej nie grał. Loogan zostawił ją w sypialni. Futerał zabrał ze sobą.

Valerie Calnero zatrzasnęła bagażnik i z powrotem weszła do budynku. Loogan patrzył na nią przez szybę. Była szczupła, ubrana w cienką, zwężaną marynarkę i dżinsy. Wysiadł z samochodu, wyciągnął futerał i podbiegł do drzwi. Były otwarte, Valerie wetknęła pod nie złożoną gazetę, żeby się nie zamknęły.

W korytarzu na drugim piętrze nie było nikogo. Valerie mieszkała pod numerem 203. Loogan zawahał się, sięgając do klamki. Skoro kilkakrotnie wchodziła i wychodziła z domu, żeby załadować samochód, prawdopodobnie zostawiła drzwi otwarte. Nie było to jednak pewne.

Nacisnął klamkę. Uchylił drzwi i przytrzymał je stopą. Oparł futerał o ścianę i otworzył jego pokrywę. W środku znajdował się pistolet Seana Wrentmore'a.

Loogan wciąż miał klucze do domu Wrentmore'a. Poprzedniego dnia zabrał z niego pistolet.

Idąc przedpokojem mieszkania Valerie, luźną pistoletu trzymał skierowaną w dół. Drzwi zamknęły się za nim. Pokoje wyglądały na opuszczone. Meble w nich zostały, były to jednak tylko otwarte szafy i puste kartonowe pudła. Na blacie, oddzielającym kuchnię

od salonu, stała plastikowa klatka. Biało-szary kot przyglądał się Looganowi zza kraty. Miauknął cicho.

Na blacie stała też torebka, a na ziemi walizka, kilka niedużych toreb podróжных i ognioodporne pudełko na dokumenty, z kluczykiem wetkniętym w zamek.

Loogan usłyszał dźwięk spuszczonej wody i otwieranych drzwi. Valerie weszła do przedpokoju. Zamarła, kiedy go zobaczyła. Ukłął przy pudełku, przekręcił klucz i otworzył je. Było puste.

Valerie podeszła bliżej.

- Pan Loogan - powiedziała.

- Pani Calnero - Loogan podniósł się.

- Może pan zabrać pudełko, jeśli pan tylko chce - powiedziała. - Oszczędzi mi pan trudu pozbywania się go.

Patrzyła na niego chłodnym wzrokiem. Oczy za szkiełkami okularów w plastikowych czarnych oprawkach. Kasztanowe włosy związane w kucyk.

W tym momencie Loogan pomyślał o czymś, co powiedział mu Michael Beccanti. „Niektórzy ludzie dostają histerii, kiedy ktoś włamie się do ich domu”. Valerie Calnero do nich nie należała.

- Usiądzie pani ze mną na chwilę? - spytał, równie spokojnym tonem.

- Czas mnie nagli - odparła.

Lufa pistoletu u jego boku zakołysała się jak wahadło. Wolną ręką wskazał salon.

- To nie będzie trwać długo.

Cofnęła się, żeby mógł przejść. Ominęła puste pudełka i płachty folii, i usiadła na sofie. Loogan przysunął sobie krzesło.

- Wiem, czego pan chce - powiedziała. - Nie mogę panu pomóc.

Jej brew uniosła się nieco, jakby w zmartwieniu. Loogan przyglądał się jej.

- Sądzę, że pani może - powiedział. - Może mi pani opowiedzieć o tym pudełku. Wiem, że pochodzi z magazynu Seana Wrentmore'a. Może mi pani powiedzieć, co w nim było. I co to ma wspólnego ze śmiercią Toma.

Patrzyła na niego z ukosa.

- A to ma coś wspólnego ze śmiercią Toma?

- Szantażowała go pani. Te dwie sprawy nie mogą nie mieć ze sobą związku.

- Czy uważa pan, że wyrzuciłam Toma przez okno, panie Loogan?

- Myślę, że wie pani, kto to zrobił. A przynajmniej ma jakieś podejrzenia.

- A gdybym nawet miała, czy jest pan pewien, że chciałabym się nimi z panem podzielić?

Specjalnie nie spojrzął na pistolet, który leżał na podłokietniku jego fotela.

- Sądzę, że chce pani wyjść, a ja pani nie pozwolę, póki nie opowie mi pani, co wie.

- Mogłabym powiedzieć panu, że Sean był moim przyjacielem i pozwolił mi trzymać swoje rzeczy w jego skrzynce. Pamiątki, rozdziały mojej pracy magisterskiej. Kiedy byłam dzieckiem, w domu mojej babci wybuchł pożar. Boję się, że moje rzeczy spłoną.

- Nie wierzę pani.

- Ale to niezła historia, a fragment o domu babci to akurat prawda.

- Nie sądzą, by udało się pani przekonać policję.

- Być może nie będą mieli okazji spytać. Mam zamiar jak najszybciej znaleźć się poza ich jurysdykcją.

Loogan założył nogę na nogę, układając kostkę na kolanie. Lufa pistoletu wylądowała obok jego podeszwy.

- Sądzi pani, że to mądre? Wyjeżdżać z miasta teraz, po tym wszystkim, co się stało? Zachowuje się pani tak, jakby była winna.

- Nie wiem, dlaczego pan tak uważa. Jeśli ktoś będzie chciał się dowiedzieć, dlaczego wyjechałam, odkryje, że poprosiłam o urlop na uniwersytecie. Porozmawia z Laurą Kristoll, a ona wyjaśni, że nie byłam zadowolona ze swojej pracy. Trudno podchodzić z entuzjazmem do piętnastowiecznych szkockich poetów piszących w stylu Chaucera. Śmierć Toma, samobójstwo Adriana - tego było już dla mnie zbyt wiele. Czasami trzeba zrobić sobie przerwę, odzyskać właściwą perspektywę.

- A co z szantażem? - spytał. - Może i tym ktoś się zainteresuje? Porozmawia z człowiekiem, który wynajął pani skrzynkę pocztową w Chicago...

Kąciki jej warg uniosły się leciutko.

- Życzę powodzenia. Ci urzędnicy nie zwracają na nic uwagi. Miałam raz z jednym do czynienia - nie wykonywał zbyt dobrze swoich obowiązków. Powinni sprawdzić prawo jazdy i spisać jego numer, ale ja go wtedy ze sobą nie wzięłam. A on zrobił mi przysługę. Powiedział, że wyglądam na miłą osobę. Niektórzy mężczyźni są tacy zabawni. Gdyby jednak miał mnie rozpoznać, trzeba by mu było pokazać mój dekolt. Nie sądzę, by zapamiętał twarz.

Pochyliła się do przodu i dotknęła palcami dekoltu. Loogan patrzył, jak jej dłoń muska obojczyk.

- Cóż, ja myślę, że to godne podziwu - powiedziała miękko. - Chce się pan dowiedzieć, kto zabił Toma. Chciałabym, żeby on

żył. Chciałabym też, żeby Adrian żył. Chciałabym, żeby to wszystko wcale się nie stało. Ale teraz nie mogę już nic zrobić. Nie mogę panu pomóc.

Wyprostował nogi. Wylot lufy otarł się o dywan.

- To nie wystarczy. Jeśli mi pani nie powie, co znajdowało się w tym pudle, sam będę musiał się tego dowiedzieć.

- Nie dowie się pan - powiedziała. - Cokolwiek to było, zniknęło dawno temu.

- Zobaczymy. Możemy zacząć od tego. - Wskazał na stojące na podłodze torby. - Potem wyjdziemy i przeszukamy samochód. Jestem gotów spędzić tu cały dzień.

- A ja nie - powiedziała. - Muszę wyjść.

Już miała wstać z sofy, on jednak zerwał się na równe nogi, chwycił ją za ramię i popchnął z powrotem.

Okulary spadły jej z nosa. Po raz pierwszy wyraźnie zobaczył jej oczy. Były ciemne, stanowcze i nieruchome.

- Tak już lepiej - powiedziała. - Wcześniej był pan zdecydowanie zbyt uprzejmy, teraz widzę, że jest pan po prostu brutalny.

- Siedź tam - wyciągnął walizkę spośród pozostałych toreb i postawił ją na kartonowym pudle. - Zacznijmy od tego. Gdzie jest klucz?

- W mojej kieszeni.

- Daj mi go.

- Dlaczego?

- Bo mam broń.

- Nawet pan we mnie nie celuje.

Wycelował lufę w jej kolana.

- Tak lepiej - powiedziała. - Ale nie wierzę, żeby pan do mnie strzelił.

- Jestem niebezpiecznym wariatem - odparł. - Dwa dni temu poderżnąłem facetowi gardło.

Włożyła rękę do kieszeni i wyciągnęła z niej pęk kluczy.

- Tam je rzuć.

Zacisnęła pięść na małym, czarnym walcu, przyczepionym do kluczy. Kciukiem wymacała jego końcówkę.

- Gaz pieprzowy - powiedziała. - Teraz mamy remis.

Z wściekłą miną chwycił pistolet w obie ręce i wycelował go w jej pierś.

- Daj mi klucze.

Valerie Calnero powoli wstała z kanapy, wciąż wpatrując się w niego czarnymi oczyma. Lufa znajdowała się kilka centymetrów od jej piersi. Zamknięty w klatce kot miauknął żałośnie.

Całkiem spokojnym głosem Valerie powiedziała:

- Czy pan myśli, że nikt wcześniej nie celował do mnie z pistoletu? Miałam kiedyś ojczyma, a przynajmniej tak kazała mi go nazywać matka. Nie mieli ślubu. On miał pistolet, pamiątkę z wojska. Wyciągał go po wypiciu paru piw, kiedy mamy nie było w domu. Celował nim w moją głowę i kazał mi się rozbierać. Miałam jedenaście lat. Nigdy mnie nie dotknął. Uważał, że faceci, którzy to robią, są zbrodni. Miał swoje zasady. Mówił, że jestem przy nim bezpieczna. Parę lat później, kiedy moje ciało się zmieniło, zmienił zasady i już nie byłam.

Lewą ręką sięgnęła po walizkę, nie odrywając wzroku od Loogana. W prawej wciąż trzymała gaz pieprzowy.

- Albo mnie pan zastrzeli, albo puści - powiedziała. - Jestem gotowa użyć swojej broni.

Zrobił krok w tył, opuszczając pistolet. Patrzył, jak chwytając ręczki pozostałych na ziemi walizek. Czarny breloczek wciąż trzymała w prawej dłoni. Kiedy ruszyła ku drzwiom, klatka z kotem wciąż stała na blacie.

- Wrócisz po kota? - spytał Loogan.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Kot został sam. Mam zamiar wyjść stąd tylko raz.

Kotek zamiauczał cicho jeszcze raz, kiedy Loogan wkładał pistolet Wrentmore'a do futerału.

Kiedy położył jego klatkę na przednim siedzeniu samochodu Valerie Calnero, kot zamruczał z zadowoleniem.

Słońce wyjrzało zza chmury, kiedy Valerie układała torby na tylnym siedzeniu. Odwróciła twarz w stronę Loogana.

- To ja jadę - powiedziała. - To dobry dzień na jazdę samochodem.

Z boku, dyskretnie, wciąż trzymała gaz.

- Dokąd? - spytał.

Nagły atak śmiechu sprawił, że aż odrzuciła głowę w tył.

- Jest pan zabawnym człowiekiem - powiedziała.

Oparł ramiona o futerał na gitarę.

- To, co powiedziałaś o swoim ojczymie, to prawda?

Zdjęła okulary i spojrzała na niego ostro.

- Jest pan zabawnym człowiekiem i fatalnym strzelcem. Ale rozumiem, dlaczego podoba się pan Laurze.

Uniosła podbródek, stanęła na palcach i delikatnie pocałowała go w usta.

Kiedy odjeżdżała, wyciągnął telefon. Wybrał numer i po trzech dzwonekach usłyszał głos Elizabeth Waishkey.

- Pan Loogan! Gdzie pan jest? - wydawała się nieco rozbawiona.

- Musicie porozmawiać z Valerie Calnero.

- Właśnie do niej jedziemy. Jesteśmy nieco spóźnieni, bo właśnie słuchaliśmy opowieści o twojej wizycie w Self-Storage USA.

- Ona właśnie ucieka z miasta - powiedział spokojnie. - Jeśli chcecie ją złapać, to to jest właściwy moment. Już wyszła z mieszkania.

Rozbawienie znikło.

- Czy to tam pan jest? Niech się pan nie rusza. Będziemy tam za parę minut.

- Pojechała na wschód zielonym chevroletem - z pamięci podała numer rejestracyjny. - Powinniście się pospieszyć.

- Spieszymy się. Proszę się stamtąd nie ruszać, panie Loogan.

Dotarł do samochodu, otworzył bagażnik i włożył do niego futerał.

- Już mnie tu nie ma - powiedział.

Rozdział 26.

W środę wieczorem Elizabeth siedziała sama w salonie. Sarah poszła do biblioteki, żeby popracować nad szkolnym projektem. Elizabeth usadowiła się na kanapie, na stoliku postawiła kieliszek wina, na poduszkach ułożyła dokumenty i raporty. Włączyła płytę z etiudą Chopina.

Plan jej dnia został podporządkowany pogoni za Valerie Camero. Owen McCaleb przyjął wiadomość spokojnie, wreszcie stojąc zupełnie nieruchomo pośrodku swojego gabinetu. Nie robił

Elizabeth i Shanowi wyrzutów, powiedział tylko: „Znajdźmy ją, a przy okazji znajdziemy też Davida Loogana”.

Elizabeth przez większość czasu myślała o znalezieniu Davida Loogana. Przez całe popołudnie stopniowo docierało do niej, że wie o nim bardzo mało. Skąd pochodził? Gdzie mieszkał przed przyjazdem do Ann Arbor? Co robił, zanim Tom Kristoll zatrudnił go jako redaktora?

Jedynym powiązaniem z jego przeszłością był profesor historii, od którego wynajmował dom. Profesor aktualnie przebywał we Frankfurcie i Elizabeth udało się porozmawiać z nim przez telefon. Mężczyzna nie znał jednak Loogana osobiście - Loogan wynajął dom przez internet. Profesor mógł służyć jedynie poprzednim adresem Loogana - który okazał się mieszkaniem w Cleveland - i nazwiskiem jego poprzedniego landlorda.

Nie udało jej się z nim skontaktować i przekazała to zadanie Alice Marrowicz.

- Jeśli dowiemy się, gdzie był Loogan - powiedziała - i znajdziemy kogoś, kto go wtedy znał, może ten człowiek pomoże nam przekonać go, żeby wrócił. - Argument brzmiał słabo w uszach samej Elizabeth, ale Alice była chętna do pomocy.

Carter Shan zasugerował, żeby namierzyć Loogana przez jego telefon komórkowy. Elizabeth wiedziała, że to możliwe w teorii. Każda włączona komórka wysyła regularne sygnały, nawet kiedy nikt z niej akurat nie dzwoni. Sygnały są odbierane przez wieże nadawcze i pozwalają operatorom komórkowym ustalić, gdzie kierować połączenia. Mogą zostać użyte również do określenia pozycji telefonu. Każdy sygnał trafia do jednej lub dwóch wież, a jego siła w każdej z nich pozwala ustalić, gdzie telefon się znajduje, czasami z dokładnością do kilku ulic. Jeśli telefon posiada GPS, jego położenie może być określone jeszcze precyzyjniej.

Tyle teorii. W praktyce sprawy były znacznie bardziej skomplikowane. Sprawdzili telefon Loogana i okazało się, że jest to tani, kupiony od ręki model, bez GPS-a. Ponadto Loogan wyłączał go, kiedy akurat nie rozmawiał - najprawdopodobniej zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Wyłączony telefon jest niewidzialny. Jedyne, co mogli zrobić, to poczekać, aż znowu go użyje. Shan rozmawiał z technikiem w biurze operatora sieci, który zaznaczył numer Loogana w systemie firmy. Firma miała powiadomić policję i spróbować określić położenie Loogana, gdyby ten włączył telefon. To by jednak potrwało, dłużej jeszcze potrwałoby wysłanie na miejsce wozów patrolowych, także Loogana mogłoby już dawno tam nie być.

- Nie sądzę, żeby to zadziałało - powiedziała Elizabeth do Seana. - On nigdzie nie zatrzyma się wystarczająco długo, żeby dać się złapać.

Shan ledwo wzruszył ramionami.

- Może i nie. Ale przynajmniej zdobywamy bazy. Mógł też wyrzucić ten telefon. Może nie zamierza już do nikogo dzwonić.

Elizabeth miała wątpliwości, czy uda się namierzyć telefon Loogana, była natomiast pewna, że będzie on jeszcze dzwonił. Że jeszcze go usłyszy. Że będzie chciał pogadać. Wybrała jego numer i zostawiła wiadomość na sekretarce, zachęcając go, by do niej zadzwonił.

Teraz, wieczorem, przeglądała raporty i dokumenty o Kristollu, Tullym i Beccantim. Przez na w pół otwarte okno wpadało chłodne, listopadowe powietrze. Smutne nuty Chopina powoli przepływały przez pokój.

Jej telefon zadzwonił około ósmej i zanim jeszcze spojrzała na ekran, wiedziała, że to Loogan.

- Gdzie jesteś? - spytała.

- Pytasz tak, jakbyś liczyła na to, że odpowiem.

- Liczę.

- Powiedzmy, że zatrzymałem się w Ohio, Turnpike. Pomyślałem, że bezpiecznie będzie zadzwonić do ciebie stąd. Ile czasu zajmie ci zorganizowanie pogoni przez Ohio?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nie jestem pewna - powiedziała. - Ale zaraz się tym zajmę.

- Znaleźliście Valerie Calnero?

Zastanawiała się, czy mu odpowiedzieć. Zdecydowała, że nic złego się nie stanie.

- Valerie się nam wymknęła. Nasi ludzie szukali jej na międzystanowych, na wszystkich głównych drogach za miastem. Prawdopodobnie trzymała się bocznych drózek.

- Co zrobicie teraz?

- Wysłaliśmy za nią list gończy i skontaktowaliśmy się z policją w Milwaukee. Tam dorastała, być może postanowiła wrócić.

- Nie podejrzewam. Jest sprytniejsza, niż wam się wydaje.

- Zobaczymy.

- Znaleźliście w jej mieszkaniu pudełko na dokumenty?

Elizabeth wstała i ściszyła muzykę.

- Znaleźliśmy, ale nie wiem, co nam to daje. Poza tym w mieszkaniu nie było nic ciekawego. Porozmawialiśmy natomiast ze świadkami.

- Ze świadkami?

- Ludźmi, którzy widzieli, jak odjeżdża. Widzieli cię z nią. Powiedzieli, że włożyłeś coś do jej samochodu.

- To był jej kot.

- Widzieli, jak ją całujesz.

- To ona całowała mnie.

- Ach, tak? - Elizabeth stanęła przy oknie i położyła dłoń na chłodnej szybie. - Naprawdę jesteś tak biernym mężczyzną? Szantażystki cię całują, żony redaktorów cię uwodzą. Przydałoby się trochę inicjatywy. - Przeciągnęła palcami po szkłe. - Podobno miałeś ze sobą futerał na gitarę. Ładne.

Roześmiał się.

- Potrzebowałem jakiegoś sposobu, żeby zaszantażować Valerie. Powiedziałem jej, że jeśli nie zacznie mówić, walnę ją swoją gitarą. Ale w końcu nie mogłem się na to zdobyć.

- Nie dziwię się, że pana pocałowała, panie Loogan. Chciałabym przypomnieć, że ukrywanie broni to przestępstwo. Chciałabym również przypomnieć, że są już dwa powody, by pana zamknąć. Po pierwsze, był pan świadkiem śmierci Michaela Beccantiego, po drugie, utrudnia pan policji śledztwo. Radzę, żeby znalazł pan prawnika i oddał się w nasze ręce.

- Już mi to mówiłaś.

- I będę powtarzać.

Zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

- Czy znaleźliście już powiązanie między Valerie Calnero a Seanem Wrentmore'em?

- Mniej więcej - odparła Elizabeth. - Wiemy, że Wrentmore zostawił klucz do swojej szafki Delii Ross, na wypadek, gdyby coś mu się stało. Prawdopodobnie zrobił to samo z Valerie. Redagowała jedno z jego opowiadań, kiedy była na praktyce w „Szarych Ulicach”. Nie wiem, dlaczego chciał, żeby dwie osoby miały klucz. Być może uważał, że jedna z nich nie jest godna zaufania.

- Delia Ross kończy właśnie studia i planuje wyjechać z Ann Arbor. Jeśli Wrentmore się o tym dowiedział, mógł wybrać Valerie na zastępstwo.

- To możliwe.
 - Poza tym Sean Wrentmore był samotnikiem, a Valerie Calnero jest piękną kobietą. Być może chciał się do niej zbliżyć?
 - Zastanawiałeś się nad tym.
 - Miałem sporo czasu - powiedział sucho. - Właśnie, myślałem też o Michaelu Beccantim. Ten, kto go zabił, albo czekał w moim domu, albo przyjechał za nim. Myślę, że to drugie.
 - Dlaczego ktoś miałby za nim jechać?
 - Bo wiedział, że Michael interesuje się morderstwem Toma Kristolla. Mówiłem ci już, że w sobotę przeszukał jego biuro, zapomniałem natomiast powiedzieć, że ktoś go na tym przyłapał. Była to sekretarka, Sandy Vogel. Możliwe, że powiedziała komuś jeszcze. Warto to zbadać, prawda?
 - Tak.
 - Sam bym z nią pogadał, ale obawiałem się, że ci się to nie spodoba.
 - Nie podoba mi się. Nie próbuj się kontaktować z Sandy Vogel.
 - Dobrze. Jak się trzymasz?
- Elizabeth cofnęła się spod okna.
- Dobrze - powiedziała.
 - To już cztery morderstwa. Pewnie masz mnóstwo roboty.
 - Mam kolegów, panie Loogan. Nikt nie oczekuje, że sama rozwikłam zagadkę czterech morderstw.
 - Ale i tak musisz być zajęta.
 - Mnóstwo papierkowej roboty - powiedziała, wracając na kanapę. - Formularze, notatki, raporty. Do tego sprowadza się praca detektywa - dokumenty, papiery. Część z nich mam tutaj. - Podniosła jeden z folderów. - Zrobiliśmy na przykład plan twoich działań. Kiedy dzwoniłeś do mnie wczoraj, powiedziałeś, że jesteś

gdzieś bardzo daleko, było to jednak lekkie oszustwo. Musiałeś być w Ann Arbor albo przynajmniej niedaleko, bo chwilę później pojechałeś do Self-Storage USA. Potem mogłeś co prawda wyjechać z miasta, wróciłeś jednak rano na spotkanie z Valerie Calnero. Zdobyłeś też futerał na gitarę. Dla kogoś innego to może być szczegół, ja jednak przeszłam wczoraj przez każdy z pokoi w wynajmowanym przez ciebie domu. W sypialni stał futerał na gitarę. Wróciłam tam dzisiaj i znalazłam gitarę, jednak bez futerału. Czy wiesz, co to oznacza?

- Co?

- To oznacza, że musiałam sporządzić notatkę na temat tego futerału. Przez ciebie mam więcej pracy.

- Przykro mi.

- Gdyby było ci przykro, zgłosiłbyś się na policję. - Sięgnęła po kolejny pakiet dokumentów. - Tu mam inny raport - o nożu, który wykończył Michaela Beccantiego. Większość odcisków palców, jakie na nim znaleźliśmy, należało do samego Beccantiego i nie ma w tym nic dziwnego. To on dotknął go po raz ostatni, wyciągając go sobie z brzucha. Znaleźliśmy też jednak odcisk kciuka, który nie należał do niego i porównaliśmy go z twoim. Jak zapewne pamiętasz, dałeś nam swoje odciski palców po śmierci Toma. Poprosiliśmy o nie wszystkich, którzy mieli dostęp do jego biura. Odcisk kciuka na nożu należy do ciebie.

- Łatwo to wytłumaczyć - powiedział łagodnie Loogan. - Mówiłem już, że nóż pochodził z mojej kuchni.

- To prawda, mówiłeś mi o tym - powiedziała Elizabeth. - Twoje odciski palców znaleźliśmy jednak również w samochodzie Adriana Tully'ego. Jak to wytłumaczysz?

Dowiedziała się o tym wcześniej tego dnia. Umilkł. Najwyraźniej zaskoczyła go.

- Mógłbym pomyśleć, że to jakiś podstęp - powiedział miękko.

- Uznam, że to komplement - powiedziała.

- Moich odcisków palców nie może być w samochodzie Adriana Tully'ego.

- Tak też sądziłam. A jednak są.

- Gdzie? Na czym dokładnie je znaleźliście?

Odłożyła folder i wstała.

- W schowku znaleźliśmy pudełko z amunicją. Zostało zapakowane w plastikową torebkę. Odciski były na torebce.

Kolejna przerwa. Przeszła przez pokój, wsłuchując się w ciszę w słuchawce.

- Jest pan wciąż na linii, panie Loogan?

- Jestem. Chciałbym o coś spytać. Czy Tully jeździł błękitną, lekko zardzewiałą hondą civic?

Zatrzymała się.

- Tak, to dobry opis.

Byłem w tym samochodzie.

- Niektórzy ludzie, z którymi pracuję, są pewni, że był pan w tym samochodzie tej nocy, kiedy zginął Tully.

- Nie, to było wcześniej. Wtedy, kiedy zginął Sean Wrentmore. To wszystko jest nieco skomplikowane.

Uśmiechnęła się lekko.

- Sprawdźmy, czy dam sobie radę.

- Tom zadzwonił do mnie i poprosił, żebym przyjechał do niego i pomógł mu z ciałem. Nie powiedział mi jednak, że to Wrentmore, tylko że zabił złodzieja, który włamał się do jego domu. Chciał ukryć tożsamość Wrentmore'a. Ten samochód, niebieska honda civic, stał w garażu Toma. Tully zostawił go tam tego wieczora, ale o tym Tom też mi nie powiedział. Miałem myśleć, że to samochód martwego złodzieja. Kiedy pozbyliśmy

się ciała, pozbyliśmy się też samochodu. Tom jechał swoim fordem, ja jechałem hondą i zostawiłem ją na chodniku w kiepskiej dzielnicy. Tom wymyślił tę zabawę, żebym nie domyślił się, że Tully był z nim tamtej nocy.

- Ale dlaczego Tully zostawił tam samochód? - spytała.

- Mogę tylko podejrzewać, że odjechał stamtąd samochodem Wrentmore'a, planując, że się go pozbędzie.

- No dobrze. Ale nadal nie wytłumaczyłeś, jak znalazły się tam odciski palców.

- Po drodze do domu Toma zatrzymałem się w sklepie - powiedział. - Kupiłem kilka rzeczy - łopatę, wodę mineralną, skórzane rękawice. Przeniosłem te rzeczy ze swojego samochodu do hondy Tully'ego, a potem do forda Toma. Najprawdopodobniej zostawiłem jednak torebkę w samochodzie Tully'ego. Leżała tam pewnie, kiedy został zabity. Morderca wziął ją, podejrzewając pewnie, że są na niej odciski palców Tully'ego, spakował w nią amunicję i włożył do schowka. To brzmi prawdopodobnie, prawda?

- Nieźle - powiedziała Elizabeth. - Chętnie uwierzę. Moja opinia nie ma jednak znaczenia. Wkurzyłeś sporo osób, uciekając z miejsca zbrodni po śmierci Beccantiego, przychodząc do mieszkania Valerie Calnero i pozwalając jej odjechać. Mojemu szefowi się to nie podoba. Jest spokojnym, zrównoważonym człowiekiem, ale uważa, że kiepsko to wygląda, kiedy umiera po kolei parę osób. A ty nam nie pomagasz. Niektórzy uważają, że zabiłeś Beccantiego, a potem zainscenizowałeś włamanie. Inni są pewni, że zastrześliłeś Tully'ego. Inni jeszcze, że popełniłeś oba te morderstwa. A to, że się do nas nie zgłosiłeś, tylko pogarsza sprawę. Im dłużej będziesz zwlekać, tym więcej ludzi uzna, że jesteś winny. Musisz tu przyjechać.

- Nie mogę tego zrobić.

- Nie chciałabym, żeby mnie pan źle rozumiał, panie Loogan - powiedziała stanowczo. - Sądzę, że uważasz, że robisz coś dobrego, że możesz coś uzyskać, ganiając w tę i z powrotem, że uda ci się odkryć, kto zabił twojego przyjaciela. Być może uważasz, że namawiam cię do przyjechania tu, bo tego wymaga ode mnie moja praca, a tak naprawdę sekretnie cię wspieram. Nie jest tak. Nie podoba mi się to, co robisz. Uważam, że nic nie osiągniesz.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję. Nie powinnam ci tego mówić, ale jutro twoje zdjęcie ukaże się w gazecie. Prawdopodobnie również w wiadomościach. Ukazałoby się już dzisiaj, ale nie mogliśmy znaleźć zdjęcia. Nie ma go w twojej teczce w „Szarych Ulicach”.

- Nigdy go nie zrobili.

- W końcu musieliśmy użyć zdjęcia z twojego prawa jazdy. Musieliśmy nad nim trochę popracować. Kiedy je zrobiono, miałeś wąsy i brodę.

- Była zima.

- Grafik obrobił je w Photoshopie. Jutro zobaczysz rezultat. Powinieneś się zgłosić z własnej woli. Tak będzie dla ciebie lepiej.

- Chciałbym móc się zgłosić - wydawało jej się, że w ciszy słyszy jego wahanie. - Ale nie mam takiego zamiaru.

- Nie bardzo rozumiem.

- Czy naprawdę tak trudno to zrozumieć?

Poczuła, że się jej wymyka.

- Wytłumacz mi to.

- Chciałbym, ale nie mogę.

- Dlaczego?

- I tak już ci się nie podobam - powiedział, po czym odłożył słuchawkę.

Wybrała jego numer, mając nadzieję, że uda jej się go złapać, nim wyłączy telefon. Po jednym dzwonku usłyszała jednak automatyczną sekretarkę. Zadzwoiła na komendę i dowiedziała się, że Shan skontaktował się z operatorem Loogana i że właśnie rozmawiał z policją stanową. Shan oddzwonił do niej po kilku minutach.

- Jest w Livonii - powiedział.

Elizabeth musiała stłumić śmiech.

- Powiedział mi, że jest w Ohio. - Livonia znajdowała się na obrzeżach Detroit.

- Znajduje się gdzieś między Newburgh Road a Six Mile. Jest tam centrum handlowe Laurel Park Place. Mnóstwo samochodów. Może się wmieszać w tłum.

- Wie, co robi.

- Policja z Livonii wysłała już za nim jeden samochód i zaraz wyśle drugi. Ale może być już za późno.

- Na pewno będzie za późno.

- Jest tuż obok autostrad 1-275 i 1-96 - powiedział Shan. - Stamtąd może pojechać, gdzie tylko chce. Rozmawiałem z policją stanową i z biurem szeryfa Wayne County. Mają jego opis i opis samochodu. Będą go szukać. - Głos Shana nie brzmiał zbyt wesoło.

- Nie znajdą go - odpowiedziała Elizabeth.

Rozdział 27.

Sarah wróciła z biblioteki około dziewiętej. Elizabeth odłożyła swoje papiery. Zjadły razem późną kolację i obejrzały na PBS kawałek dokumentu o łamaniu praw człowieka w różnych krajach.

Nie rozmawiały o Davidzie Looganie. Elizabeth nie chciała nawet o nim myśleć, wciąż jednak jakby był w pobliżu. Późnym wieczorem zajrzała do pokoju Sary. Dziewczyna stała pośrodku pokoju, żonglując trzema tenisowymi piłeczkami, z pełną koncentracją w oczach.

Potem, kiedy Sarah już spała. Elizabeth kręciła się trochę po mieszkaniu. Składała gazety na kupki, zbierała brudne naczynia. Przeniosła książki Sary do jadalni. Z czystej ciekawości otworzyła jeden z zeszytów i zobaczyła w nim rysunek przedstawiający Loogana - ostre pociągnięcia ołówka na jego szczęce, jasne, szare oczy. Niezłe podobieństwo - pomyślała - większe niż na zdjęciu, które wysłali do prasy.

Rano postanowiła skupić się na jednej z rzeczy, o których powiedział jej Loogan - na wizycie Beccantiego w redakcji „Szarych Ulic”. Pojechała tam, wjechała windą na górę, zapukała do szklanych drzwi. Wpuściła ją Sandy Vogel. Elizabeth pomyślała, że wygląda na przygaszoną. Oparła się o szafkę ze skrzyżowanymi ramionami. Była szczupłą, czterdziestoletnią szatynką, miała na sobie schludny kostium.

- Był tutaj - powiedziała, kiedy Elizabeth spytała ją o Beccantiego. - Przyszłam tu w sobotę wieczorem, koło ósmej, żeby skorzystać z ksera. Światło było zapalone, drzwi do biura Toma otwarte. Był tam Beccanti.

- Rozpoznała go pani? - spytała Elizabeth.

- Tak. Przychodził czasem do Toma. Nie pamiętałam jego nazwiska, ale podszedł do mnie i przedstawił się. Pewnie zrozumiał, że się przestraszyłam. On był w więzieniu.

- Wiem.

- Powiedział, że David Loogan zatrudnił go do jakichś prac redakcyjnych. Nic o tym nie wiedziałam. Zaraz potem wyszedł. Wydało mi się to nieco dziwne.

- Powiedziała pani komuś o tym?

- Tylko zespołowi ekspertów.

- Słucham?

- Wszystko się tu zmieniło po śmierci Toma - wyjaśniła Sandy Vogel. - David Loogan miał przejąć jego zadania, ale teraz chyba już nie ma na to szans, prawda? A tymczasem wciąż musimy prowadzić czasopismo. Większość obowiązków spadła na mnie, ale to nie ja podejmuję decyzje. Od tego jest rada ekspertów. Laura Kristoll, Bridget Shellcross, Nathan Hideaway, Casimir Hifflyn. Oficjalnie stanowią zespół dyrektorów, chociaż nie byli nim przed śmiercią Toma. Mam ich informować o wszystkim, co się tu dzieje.

- A więc powiedziała im pani, że Beccanti tu był?

- Wysłałam im maila.

- Ktoś odpowiedział?

- Nathan Hideaway odpisał w poniedziałek. Napisał, że wszystko w porządku, a Loogan może zatrudniać, kogo tylko chce.

- A kiedy dowiedziała się pani, że Beccanti został zabity?

Sandy Vogel zmarszczyła brwi.

- Zapewne powinnam do pani zadzwonić, ale nie widzę żadnego związku pomiędzy jego wizytą tu a śmiercią. Poza tym najbardziej oczywistym.

- Jaki jest ten oczywisty związek?

- David Loogan zatrudnił go do pracy, a potem go zabił. Czytałam gazety i wiem, że nie muszę pani tego tłumaczyć. Prawda jest taka, że dramaty i tajemnice niespecjalnie mnie interesują. Historie, które publikujemy, podobają mi się, ale co innego prawdziwe morderstwa, śmierć prawdziwych ludzi - od tego chciałabym trzymać się jak najdalej. Mam zatem nadzieję, że mi pani wybaczy, że nie pobiegłam do telefonu, kiedy umarł Michael Beccanti.

Później Elizabeth pojechała do domu Bridget Shellcross. Nie została przyjęta tak chętnie, jak za pierwszym razem.

Najpierw zobaczyła Rachel Kent, która ćwiczyła stretching na chodniku przed domem. Miała na sobie legginsy i luźną koszulkę. Najwyraźniej właśnie wróciła z joggingu.

- Czy Bridget jest w domu? - spytała Elizabeth.

- Jest. Ale nie chce z panią rozmawiać.

- Dlaczego?

- Nie ja powinnam o tym mówić.

Elizabeth minęła ją, weszła po schodach i zadzwoniła do drzwi. Bridget Shellcross wpuściła ją do przedpokoju, ale nie zaprosiła do środka.

- Mam nadzieję, że nie jest to nieodpowiedni moment - powiedziała Elizabeth, próbując wyczytać z jej twarzy, w jakim jest humorze. - Chciałabym porozmawiać o Michaelu Beccantim.

- Oczywiście - powiedziała obojętnie Bridget.

- Znała go pani?

Bridget stała w rozkroku, z rękami na biodrach. Światło dobiegające zza okien rzucało jej cień na podłogę.

- Dziwię się, że pani tu przyszła. Widziałam wiadomości. Beccanti został zamordowany w salonie Davida Loogana, a Loogan zniknął. Chyba nie musi już pani szukać podejrzanego. Już go pani ma.

- Wciąż musimy porozmawiać z ludźmi, którzy znali Beccantiego - wyjaśniła Elizabeth. - To rutynowa procedura. Znała go pani?

- Chciałabym pani pomóc - powiedziała Bridget. Jej ton stał się nagle poważny.

- Był przyjacielem Toma Kristolla. Myślałam, że poznała go pani przez niego.

- Chciałabym być w posiadaniu jakiejś ważnej informacji, która zaprowadziłaby panią prosto do mordercy Michaela Beccantiego - powiedziała Bridget. - Bo wtedy mogłabym czerpać przyjemność z ukrywania jej przed panią.

Jej krótkie włosy błyszczały w słońcu.

- Spędziłam w tym mieście ponad połowę życia - ciągnęła. - Mam tutaj przyjaciół. Jedna z moich przyjaciółek jest hostessą w restauracji w centrum. Powiedziała mi, że jakiś policjant przyszedł do niej z moim zdjęciem i zdjęciem Toma, i spytał, czy widziała nas razem.

Jej spojrzenie było ostre. Elizabeth zmusiła się, żeby je odwzajemnić.

- Przykro mi. To nie byłam ja.

- Nie. Powiedziała mi, że to był mężczyzna. Nie opisała go, ale domyślam się, że jest gruby, ma tłuste włosy i koszulę z żółtym kołnierzykiem. Że śmierdzi cygarami. I że jest wielu takich jak on, którzy chodzą po tanich hotelach i pokazują moje zdjęcie recepcjonistkom.

- Przykro mi.

- Podejrzewam, że dowiedzieliście się, że spotykałam się z Tomem w liceum, a to wystarczyło, żebyście zaczęli węszyć, licząc na to, że dokopiecie się do czegoś - powiedziała Bridget. - Cóż, tak bywa. Ale teraz, jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś o Michaelu Beccantim, mogę tylko zasugerować, żebyście znaleźli dobre zdjęcie i zaczęli wypytywać. Ode mnie niczego się nie dowiecie.

Mocno podkreśliła ostatnie słowa, po czym odwróciła się i wyszła, zostawiając Elizabeth samą w korytarzu.

Rachel Kent wciąż się rozciągała. Między domem a chodnikiem stał zdobiony płot, z metalową sztachetą na górze. Rachel położyła na niej nogę, niczym baletnica. Kiedy zobaczyła Elizabeth, skinęła głową.

- Mówiłam, że nie będzie chciała z panią rozmawiać - powiedziała.

Wczesnym popołudniem Elizabeth zadzwoniła do Casimira Hifflyna. Zaprosił ją do swojego gabinetu, który okazał się dużym, oszczędnie umeblowanym pokojem. Był tam regał, kanapa, komputer z płaskim monitorem ustawiony na zabytkowym biurku, a z tyłu dwa okna, za którymi rozciągał się taras.

- Rex Chatterjee ostrzegł mnie, żebym z panią nie rozmawiał - powiedział delikatnie.

- Ach tak?

- On i Laura rozmawiali ze mną wczoraj. Rex nie ufa policji z Ann Arbor. Podejrzewam, że zgadza się z nim wielu prawników. Chyba obawia się, że mogę zostać w coś wrobiony. Są już cztery morderstwa. Jeśli nie będę uważał, uznacie, że biegam po nocy z nożem albo pistoletem, albo wyrzucam ludzi przez okna. A może

jeszcze walę ich w głowę butelkami z alkoholem. Okazałbym się dość eklektyczny.

- To prawda.

- Nie mam jednak nic przeciwko pani pytaniom o Michaela Beccantiego - powiedział Hifflyn. - Dostałem maila na jego temat od Vogel. Spojrzałem na niego i wyrzuciłem do kosza. To samo robię z większością jej maili. Gdybym je czytał, nie miałbym już czasu na nic innego. Kiedy ktoś odnawia prenumeratę „Szarych Ulic”, Sandy Vogel natychmiast powiadamia mnie o tym mailowo.

- Znał pan Beccantiego? - spytała Elizabeth.

Hifflyn potarł swoją brodę.

- Próbowałem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek nas sobie przedstawiono. Nie wydaje mi się. Pamiętam jednak, że ktoś kiedyś wskazywał mi go na przyjęciu. „Nie odwracaj się, ale tam jest złodziej Toma”, czy coś w tym stylu. Tom miał paru nietypowych przyjaciół.

- A Sean Wrentmore? Czyjego pan poznał?

- Tak. Podszedł do mnie na jednym z przyjęć, wiele lat temu. Opowiedział mi o książce, nad którą pracował. Podejrzewam, że chodziło właśnie o tę, którą redagował Tom, o tę, przez którą Wrentmore zginął. Bardzo zagmatwana historia. Sądzę, że miał nadzieję, że będę chciał ją przeczytać.

- Rozumiem, że nie chciał pan.

- Chętnie poświęcam ludziom swój czas, ale bez przesady. - Hifflyn spojrzał na swoje biurko i uśmiechnął się przepraszająco. - Tak naprawdę mam teraz mnóstwo pracy. Muszę zapłacić mnóstwo stron mnóstwem słów. Przepraszam, że muszę panią pożegnać. Chciałbym móc powiedzieć więcej.

- Nie ma problemu.

- Muszę trzymać się harmonogramu, inaczej nigdy nie skończyłbym książki - powiedział Hifflyn, prowadząc ją do drzwi.

- A wtedy miałbym kłopoty. Nate Hideaway kończy książkę co dwa lata i jego wydawca jest zadowolony. To samo z Bridget. Kiedy natomiast ja nie napiszę jednej na rok, mój wydawca patrzy na mnie, jakbym właśnie kopnął jego szczeniaka.

Nathan Hideaway powiedział Elizabeth, że chciałby wyjść na powietrze. Poprowadził ją dróżką, która znajdowała się za jego chatą i prowadziła do drewnianego pomostu nad stawem. Patrzyli na trzy powoli przepływające przez staw kaczki.

- Raz próbowałem porozmawiać z Michaelem Beccantim - powiedział Hideaway. - Jeśli się nie mylę, było to w zeszłym roku, a on właśnie został zwolniony z więzienia. Miałem spotkanie z czytelnikami w księgarni w centrum. Tom na nie przyszedł, a z nim Beccanti. Posiedzieli trochę i Tom przedstawił nas sobie. Poszliśmy na drinka. Chciałem wtedy napisać książkę o włamywaczu i pomyślałem, że spróbuję się czegoś dowiedzieć. Jak to jest wchodzić przez cudze okno, wiedząc, że w każdej chwili można zostać złapanym? Co motywuje człowieka, żeby robić to wiele razy, tak jak Beccanti? Na pewno mógłby mi opowiedzieć parę historii, ale nic nie udało mi się z niego wyciągnąć.

Hideaway umilkł. Jesienny liść upadł tuż przed jego nogami.

- Zdziwił się pan, kiedy Sandy Vogel doniosła, że kręcił się po biurze Toma? - spytała Elizabeth. - Że Loogan zatrudnił go do pracy w „Szarych Ulicach”?

- Oczywiście, to było nieoczekiwane. Wiedziałem jednak, że jeśli chcemy, żeby David Loogan przejął kierownictwo nad pismem, musimy dać mu nieco wolności. Beccanti pisywał do

„Szarych Ulic”, być może miał też talent redaktorski, o którym nie wiedziałem.

- A co, gdybym powiedziała panu, że Michael Beccanti nie poszedł do biura Toma, żeby pracować? Że poszedł tam, żeby się rozejrzeć, dowiedzieć czegoś o śmierci Toma?

- A to prawda?

- Tak podejrzewam. On i Loogan pracowali razem, prowadzili własne śledztwo.

Hideaway spojrział w taflę wody.

- Powinienem być zaskoczony, a jednak nie jestem. W zeszłym tygodniu, kiedy zaproponowaliśmy panu Looganowi pracę w „Szarych Ulicach”, porozmawiałem z nim na osobności. Zasugerowałem, że powinienem zatrudnić go do przeprowadzenia śledztwa i odkrycia mordercy Toma. Nie wziąłem tego na poważnie. On najwyraźniej tak. - Doszedł do końca pomostu i odwrócił się. - A teraz Beccanti nie żyje. W telewizyjnych wiadomościach są przekonani, że to Loogan go zabił. A pani co uważa? Pokłócili się?

- Loogan twierdzi co innego - powiedziała Elizabeth.

- Rozmawiała z nim pani? Myślałem, że zaginął.

- To prawda. Ale rozmawialiśmy przez telefon. Mówi, że nie zabił Beccantiego, że to ktoś inny. Prawdopodobnie ta sama osoba, która zabiła też Toma.

- Niesamowite. Wierzy mu pani?

- Możliwe, że mówi prawdę. Co pan o tym sądzi?

Hideaway zaszurał nogami po moście.

- Myślę, że David Loogan jest niezwykłym człowiekiem. Tom jednak mu ufał, więc nie chciałbym źle o nim myśleć. W zeszłym tygodniu czułem się przy nim niezręcznie, ale nie wiedziałem do końca, o co mi chodzi. I nadal nie wiem.

- Co pan ma na myśli?

- Zastanawiam się, czy ktokolwiek z nas wie, kim naprawdę jest David Loogan - zamyślił się Hideaway. - Laura nic nie wie o jego przeszłości. Toma to nie interesowało. A ja myślę, że to mógł być zbieg okoliczności.

- Co?

- Jego nazwisko - powiedział Hideaway. - Przeprowadziłem bardzo nienaukowe badania. Przeszukałem książkę telefoniczną z Detroit. Mieszka tam prawie milion ludzi, ale nazwisko Loogan nie pojawiło się ani razu. Może to nic nie znaczy. Może Looganowie mieszkają w Kalifornii, może Teksas jest ich pełen. Albo może nie ma wcale w Stanach żadnych Looganów poza naszym Davidem. - Wiatr rozwiał siwe włosy Hideaway. - Chodzi o to, że słyszałem już kiedyś to nazwisko. Tyle tylko, że to nie jest wcale nazwisko, tylko wyrażenie slangowe. Raymond Chandler użył go w Wielkim śnie. Prawdopodobnie je wymyślił, był znany z tego, że tworzył własny slang. Philip Marlowe użył go w rozmowie z Vivian Sternwood. „Loogan” to bandyta, ktoś, kto funkcjonuje poza prawem.

Kiedy Elizabeth wyszła z domu Hideaway, pojechała na północny wschód, wzdłuż rzeki Huron. Wjeżdżała na wzgórze, kiedy zadzwonił telefon. Był to Carter Shan.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- Jakieś trzy minuty drogi od domu Laury Kristoll.

- Mamy z nią nie rozmawiać.

- Pomyślałam, że zaryzykuję. Będę ostrożna.

- Powinnaś tu jak najszybciej wrócić - powiedział. - Coś się wydarzyło.

- O co chodzi?
- Sprawa Davida Loogana przyjęła ciekawy obrót.
- Znaleźliście go?
- Nie, ale powinnaś wrócić. Z pewnością chcesz tego wysłuchać.

Rozdział 28.

Elizabeth dotarła na spotkanie ostatnia. Carter Shan spotkał się z nią w drzwiach gabinetu szefa. Harvey Mitchum i Ron Wintergreen już tam byli. Owen McCaleb opierał się o biurko. Rozmawiał cicho ze starszym mężczyzną w pogniecionym garniturze.

W drzwiach Shan podał Elizabeth zdjęcie z kroniki policyjnej, na którym rozpoznała młodego Davida Loogana. Jego włosy były dłuższe i kręcone. Miał krótko przyszyzoną brodę. Wyglądał jak ktoś, kto stracił cierpliwość, ofiara żartu, który ciągnie się zbyt długo. W rękach trzymał tabliczkę z numerem i nazwiskiem. Brzmiało ono Darrell Malone.

Elizabeth wciąż wpatrywała się w fotografię, kiedy zaczęło się zebranie. McCaleb przedstawił mężczyznę w pogniecionym garniturze. Jego nazwisko brzmiało Roy Denham, był emerytowanym detektywem z północy stanu Nowy Jork, z miasta o nazwie Nossos.

Odłożyła zdjęcie i skupiła się na Denhamie, który zaczął swoją opowieść. Miał zmęczone oczy i zachrypnięty głos wieloletniego palacza, mówił jednak stanowczo, nie korzystając z notatek. Powiedział:

- Darrell Malone - mężczyzna, który nazywa siebie Davidem Looganem - dziewięć lat temu został zatrzymany pod zarzutem morderstwa drugiego stopnia. Chodziło o wypadek, który miał miejsce pewnej czerwcowej nocy, na dachu parkingu w centrum Nossos. Policjanci odpowiedzieli na zgłoszenie z jednego z umieszczonych tam telefonów alarmowych. Na miejscu znaleźli wielokrotnie ugodzonego nożem mężczyznę, poważnie ranną kobietę i Darrella Malone z nożem w dłoni. Zmarły mężczyzna miał dwadzieścia pięć lat. Nazywał się

Jimmy Wade Peltier. Był wcześniej wielokrotnie aresztowany za napady i włamania do samochodów, i został wypuszczony z więzienia zaledwie sześć tygodni wcześniej. Ranna kobieta nazywała się Charlotte Rittenour, była ładną, jasnowłosą dziewczyną. Miała dwadzieścia osiem lat i pracowała jako dentystka. Malone wszystko nam opowiedział. Chętnie z nami współpracował. Był lekko ranny - płytkie skaleczenie ramienia - i kiedy go opatrzone, zabraliśmy go na komisariat i przesłuchaliśmy razem z moim partnerem. Zrzekł się prawa do obrony. Chętnie zeznawał.

Okazało się, że był z tą dziewczyną na randce. Kolacja i kino. Potem poszli na dach parkingu, żeby popatrzeć na gwiazdy. Jimmy Peltier dojrzał ich tam i próbował ukraść ich samochód. Problem polegał na tym, że ich samochód - a właściwie oba ich samochody - były zaparkowane gdzie indziej. Kiedy Peltier do nich podszedł, stali obok cudzego wozu. Próbowali mu to wyjaśnić, ale to zdenerwowało go jeszcze bardziej. Kiedy później zbadaliśmy jego krew, okazało się, że był pod wpływem alkoholu i amfetaminy.

Peltier miał nóż. Złapał dziewczynę za nadgarstek. Malone chciał mu odebrać broń, Peltier jednak zamachnął się na niego. W tym momencie dziewczynie udało się wyrwać. Pobieгла do windy,

a Peltier za nią. Dogonił ją i przystawił jej nóż do gardła. Malone ruszył za nimi, zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, Peltier przeciął szyję dziewczyny i rzucił ją na ziemię.

Potem była bójka, a Malone'owi udało się przejąć nóż. Koroner znalazł na ciele Peltiera siedemnaście osobnych ran. Było jasne, że część z nich została zadana, kiedy mężczyzna leżał już nieprzytomny. Malone nie próbował temu zaprzeczać. Powiedział, że zostawił krwawiącego Peltiera na ziemi i poszedł zadzwonić na policję - telefon znalazł piętro niżej - a kiedy wrócił, Peltier wciąż się poruszał, więc dźgnął go nożem jeszcze parę razy. Dziewczyna - Charlotte Rittenour - przeżyła. Choć jej rany były poważne, okazały się mniej groźne, niż się wydawało. Kiedy Peltier ją ranił, opuściła podbródek, trafił więc głównie w brodę i policzek. Potrzebowała operacji, a jej twarz nigdy już nie miała wyglądać tak jak wcześniej, kiedy jednak wydobrzała na tyle, żeby móc z nami rozmawiać, potwierdziła wersję wydarzeń Malone'a. Była mu wdzięczna za to, co zrobił.

Malone utrzymywał, że działał w jej i własnej obronie. Powiedział, że zrobił to, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek i że zgodziłoby się z nim wielu ludzi. Ja i mój partner chcieliśmy mu pomóc, są jednak pewne granice, niezależnie od poziomu współczucia, jaki mieliśmy dla faceta. Istniał namacalny dowód - siedemnaście ran. Koroner powiedział, że jeśli była to obrona własna, była to najdokładniejsza obrona własna, jaką kiedykolwiek widział.

Prokurator okręgowy musiał podjąć decyzję. I musiał mieć w pamięci także Jimmy'ego Peltiera. Peltier był gnidą, ale miał rodziców i niezależnie od tego, jakie popełnił zbrodnie, należało poświęcić mu nieco uwagi. Żaden sąd nie skazał go na śmierć - Darrell Malone sam podjął tę decyzję. Prokurator postanowił oskarżyć go o morderstwo drugiego stopnia, sądząc, że wystąpi o

uznanie jego czynu za nieumyślne spowodowanie śmierci i odbędzie minimalną karę.

Malone jednak o nic nie wystąpił i wyznaczono termin rozprawy. Był zatem wolnym człowiekiem - współczujący sędzia zgodził się zwolnić go za kaucją. Malone miał własną firmę. Studiował inżynierię budowlaną i pracował jako konsultant na placach budowy. Dobrze zarabiał i miał duże oszczędności. Zapłacił swojemu prawnikowi, a resztę pieniędzy zabrał ze sobą.

Oczywiście uciekł. Kiedy nadszedł dzień rozprawy, nikt nie zdołał go znaleźć. Z nikim nie rozmawiał. Jego rodzice już nie żyli i nie miał rodzeństwa. Przyjaciele okazali się niezbyt bliskimi przyjaciółmi. Nikt nie mógł dać nam żadnych wskazówek. Jego prawnik był bezradny.

Poszukiwania do niczego nie doprowadziły. Jego samochód znaleźliśmy w Newark - sprzedał go komuś za gotówkę. Podobno widziano go w Baltimore, ale był to fałszywy trop. Potem, kilka tygodni temu, zauważono go w supermarkecie w Ann Arbor - Value Mart przy Oak Valley Drive. Kupił łopatę i kilka innych rzeczy. Kasjerce wydał się znajomy. Nazywa się Allison Wick, wychowała się w Nossos i chodziła do liceum z Malone'em. Kiedy go spotkała, podał jej fałszywe nazwisko, potem jednak zdała sobie sprawę, kto to był.

Nie miała pojęcia, że jest poszukiwany, kiedy jednak rozmawiała ze swoją siostrą, wspomniała o tym spotkaniu. Siostra знаła jego historię i skontaktowała się z policją w Nossos. Był to słaby trop i ludzie z komendy nie bardzo chcieli nad nim pracować. Nie myśleli o Darrellu Malone od wielu lat. Jeden z nich jednak wspomniał o tym mnie, wiedząc, że pracowałem nad sprawą Malone'a.

Postanowiłem przyjechać tu i sprawdzić, co da się zrobić. Od dwóch lat jestem na emeryturze i mam już serdecznie dosyć

wędkowania i golfa. Przyjechałem tutaj w piątek i jeździłem trochę po okolicy, potem spacerowałem po centrum. Pomyślałem, że to miejsce mogłoby spodobać się Malone'owi - jest trochę jak Nossos. Nie pomogło mi to jednak go znaleźć. Znałem go pod nowym nazwiskiem, tym, które podał kasjerce - Ted Carmady. To jednak donikąd mnie nie zaprowadziło. Nie zwracałem szczególnej uwagi na to, co mówiono w wiadomościach, chociaż wiem już, że ostatnie tygodnie były tu dość ekscytujące. Nie powiązałem z tym Malone'a. Podejrzywałem, że jeśli go znajdę, okaże się spokojnym człowiekiem, prowadzącym ciche, anonimowe życie. Przez ostatnie trzy dni jeździłem po firmach inżynierskich, myśląc, że Malone wrócił do pracy. Pokazałem jego zdjęcie w każdej firmie stąd do Detroit. Aż wreszcie podniosłem dzisiaj gazetę i zobaczyłem jego zdjęcie na pierwszej stronie. Dlatego jestem tutaj.

Wieczorem Elizabeth czytała o zabójstwie Jimmy'ego Wade'a Peltiera przez Darrella Malone. Dostała faksem kopię raportów na jego temat od policji w Nossos. Usiadła na kanapie, opierając się o poduszkę, z kocem na kolanach, i przeglądała kolejne strony. Były tam zdjęcia z autopsji Peltiera, obrzydliwe nawet w niewyraźnej, przefaksowanej wersji. Odłożyła je na bok, kiedy Sarah przyszła spytać, co czyta.

Przez chwilę wahała się, czy powiedzieć dziewczynie o tym, czego dowiedziała się o Davidzie Looganie, zdała jej jednak krótką relację z jego zbrodni. Sarah słuchała, przez cały czas wpatrując się w zdjęcie z kroniki policyjnej.

- Powinnyśmy mu pomóc - powiedziała, kiedy Elizabeth dotarła do końca opowieści. - Zdaje się, że Peltier sobie na to zasłużył.

- Ja zrobię, co będę mogła - powiedziała Elizabeth. - Ale ty w niczym nie możesz pomóc. Jeśli tu przyjdzie, nie wolno ci wpuścić go do domu.

- Nie sędzę, żeby tu przyszedł.

- Ja też nie. Ale jeśli to zrobi, zadzwoń na policję. A potem do mnie. Nie otwieraj drzwi.

Sarah spojrzała na matkę ze zniecierpliwieniem.

- Nigdy nie otwieram drzwi.

- A zatem nie będzie żadnych kłopotów. Obiecuj mi, że zrobisz to, o co cię prosiłam.

- Obiecuję - powiedziała twardo Sarah. - Ale nie będę się bała Davida Loogana.

W aktach znajdowała się kopia notatki Denhama z rozmowy z kasjerką Allison Wick. Elizabeth podkreśliła pseudonim, którego użył Loogan: Ted Carmady. Tego samego nazwiska użył w rozmowie z sąsiadką Wrentmore'a, Delią Ross. Elizabeth zastanawiała się, czy ma ono jakieś znaczenie. Chciała zadzwonić do Denhama, żeby go o to spytać. Wciąż był w mieście, miała jego numer i numer do jego hotelu. Jego notatki były jednak wyczerpujące, więc doszła do wniosku, że gdyby miał jakieś obserwacje na ten temat, zapisałby je.

Nie wiedziała, jak długo Denham zamierza zostać w mieście. Owen McCaleb rozmawiał z jego byłą szefową z policji - kobietą, która, wedle jego słów, brzmiała przez telefon jak „twarda, starsza pani”. Popierała ona działania Denhama.

- Powiedziała, że jest rzetelny. Godny zaufania, dobry we współpracy - wyjaśnił Elizabeth. - Trochę niespokojny. Uważa, że nie był gotowy na emeryturę, ale zasady panujące w ich

departamencie zmusiły go do tego. Nie będzie stwarzał problemów, ale gdyby coś się działo, mamy go wysłać do domu. Zdaje się, że będzie chciał tu zostać przez jakiś czas i zobaczyć, co stanie się z Looganem.

Elizabeth odłożyła dokumenty i wstała, żeby zrobić sobie herbatę. Kiedy wróciła, przejrzała swoje notatki i znalazła w nich numer do Nathana Hideaway. Zadzwoiła do niego, wiedzona nagłym impulsem, a kiedy tylko odebrał, powiedziała:

- Przepraszam, mam nadzieję, że nie dzwonię za późno.

- Absolutnie nie, pani detektyw - odparł Hideaway. - Miło mi panią słyszeć.

- Mam pytanie. Czy coś panu mówi nazwisko Ted Carmady?

Przez chwilę słyszała w słuchawce jego oddech.

- Niech się zastanowię - powiedział potem. - Myślę, że to odniesienie literackie. Bohater kilku wczesnych opowiadań Chandlera nazywa się Ted Carmady.

- Rozumiem.

- Ciekawy jestem, czy pani pytanie ma coś wspólnego z naszym panem Looganem?

Odpowiedziała mu na wpół rozbawionym tonem:

- Nie powinnam nic mówić. To sprawa policji. Dziękuję za pomoc.

- Jakież to tajemnicze. No cóż. Dobranoc, pani detektyw.

Popijając herbatę, Elizabeth zastanawiała się, jak bardzo David Loogan przywiązany był do tego nazwiska. Czy byłby na tyle nieostrożny, żeby się pod nim zameldować w hotelu? Być może warto było to sprawdzić. Zrobiła sobie notatkę, żeby następnego dnia rano poprosić o to Alice Marrowicz.

Znów podniosła telefon i wybrała numer Loogana, dobrze wiedząc, że nie odbierze. Na pewno ma wyłączony telefon. A

nawet gdyby odebrał, nie była pewna, co powinna powiedzieć. Czy powinna poinformować go, że zna już jego przeszłość? Rozmawiała o tym na zebraniu z McCalebem i resztą. Uznali, że na razie należy trzymać historię Loogana w sekrecie przed prasą. Jeśli jednak chodzi o Loogana, McCaleb pozostawił decyzję jej, ona bowiem jako jedyna była z mężczyzną w kontakcie.

Na razie nie musiała jednak podejmować żadnej decyzji. Zostawiła na sekretarce Loogana wiadomość z prośbą o telefon, dopiła herbatę i poszła spać.

Rozdział 29.

W piątek rano Elizabeth odłożyła na bok akta dotyczące zabójstwa Jimmy'ego Wade'a Peltiera. Nie rozmawiała jeszcze z Looganem i zastanawiała się, czy zostawić mu kolejną wiadomość, zdecydowała jednak, że tego nie zrobi. Wiedziała, że zadzwoni do niej, kiedy będzie gotowy.

Loogan rozpraszał jej uwagę. Powinna wrócić do samego początku, zabrać się do tego wszystkiego od nowa. Wyjęła notes i ołówek z szuflady swojego biurka na komendzie. Pośrodku kartki napisała nazwisko Toma Kristolla i datę jego śmierci: 23 października. To jednak nie był początek. Jeśli wierzyć Looganowi i Laurze Kristoll, Sean Wrentmore zginął siódmego października.

Zapisała nazwisko Wrentmore'a nad Kristollem. Poniżej dodała jeszcze dwa: Adrian Tully, 31 października; Michael Beccanti, 3 listopada.

Pomiędzy nazwiskami Wrentmore'a i Kristolla napisała: Valerie Calnero jedzie do magazynu Wrentmore'a; wysła list do Toma Kristolla.

Na górze kartki zapisała kilka szczegółów: Wrentmore pisze powieść: Kłamcy, złodzieje i niewinni ludzie. Tom Kristoll redaguje jego maszynopis. Śmierć Wrentmore'a jest wydarzeniem kluczowym. Wszystko, co wydarzyło się później, było z nim w jakiś sposób powiązane. Gdyby udało jej się zrozumieć Seana Wrentmore'a, zrozumiałaby całą resztę.

Uwierzyła Looganowi, kiedy powiedział jej, że Wrentmore nie żyje. Teraz miała już jednak więcej dowodów niż tylko słowa Loogana. Ślady krwi zostały znalezione między deskami podłogi w biurze Toma Kristolla - Laura Kristoll i jej prawnik zgodzili się na przeszukanie go.

Pozwolili również przeszukać las wokół domu Kristollów. Ron Wintergreen wszedł tam jako pierwszy z psem policyjnym na smyczy. Potem jego ludzie ruszyli za nim, okrążając teren coraz szerszą spiralą. Nie znaleziono jednak szczątków ani żadnych śladów pochówku.

Rodzina Wrentmore'a mieszkała w Dayton. Carter Shan pojechał tam w środę po południu, a wrócił następnego dnia rano. Ojciec Wrentmore'a zmarł w młodości. Jego matka wyszła ponownie za mąż za sprzedawcę dywanów, z którym miała dwie córki. Obie miały po około dwadzieścia lat i wciąż mieszkały z rodzicami.

Nie mieli od Wrentmore'a wieści od ośmiu tygodni, byli jednak przyzwyczajeni do jego milczenia. Jego matka, tęga, siwiejąca kobieta, z początku była oszołomiona opowieścią Shana o śmierci jej syna. Potem zaczęła szlochać. Jej córki robiły, co mogły, żeby ją pocieszyć. Wreszcie zabrały ją na górę i poprosiły, żeby się położyła.

Jej mąż zaczął zadawać Shanowi pytania- czy policja chciałaby, żeby pojechał do Ann Arbor? Może mógłby pomóc w poszukiwaniach grobu Seana? Uważał, że powinien jakoś pomóc.

Shan delikatnie odwiódł go od tego pomysłu i zapewnił, że odezwie się do nich, kiedy dowie się czegokolwiek nowego.

Teraz, w piątek rano, kiedy Elizabeth usiadła przy biurku, rozpisując plan wydarzeń, Sean siedział naprzeciwko niej, przeglądając korespondencję Wrentmore'a. Jego sąsiadka oddalają policji - były to głównie śmieci, trochę rachunków i czasopism, list odmowny z wydawnictwa, w którym dziękowano mu uprzejmie za przysłanie przykładowego rozdziału jego powieści.

Shan spojrział na Elizabeth zza listów.

- Jak myślisz, ile płacą za publikację w „Szarych Ulicach”?

Elizabeth uderzyła ołówkiem o blat.

- Nie wiem. Myślę, że niewiele.

- Wrentmore publikował tam opowiadania, prawda? Chyba oczywiste jest, że nie mógł się z tego utrzymać?

- Tak.

- A to jego dzieło, wielka powieść na tysiąc dwieście stron, okazała się fiaskiem. Można więc nazwać go niespełnionym pisarzem.

- Myślę, że to zależy od punktu widzenia - stwierdziła Elizabeth. - Tom Kristoll uważał, że jest zdolny.

- Mógł być nawet bardzo zdolny. Mógł być absolutnym geniuszem. Ale nie zmienia to faktu, że w sensie finansowym był leszczem. Ktoś taki powinien mieszkać w jakiejś norze i cierpieć dla sztuki. A Wrentmore był właścicielem apartamentu.

- Może rodzina mu pomogła?

- Nie. O apartamencie nie mieli pojęcia. Mieli oczywiście jego adres, ale byli pewni, że Sean go wynajmował. Wedle ich stanu wiedzy pracował w księgarni.

Elizabeth wyciągnęła zeszyt i znalazła w nim notatki z rozmowy z Delią Ross.

- Wrentmore powiedział swojej sąsiadce, że zarabia, sprzedając używane książki przez internet.

- Tylko że w jego mieszkaniu nie znaleźliśmy wcale tony książek - zauważył Shan. - Tylko jego osobistą kolekcję. W magazynie były książki, ale jeżeli je sprzedawał...

- Nie miałyby to sensu. Musiałby jeździć tam w tę i z powrotem przy każdym zamówieniu - Elizabeth zamknęła swój notatnik. - Skąd Wrentmore miał pieniądze?

Shan spojrzał na oświadczenie bankowe Wrentmore'a.

- Jest tu tylko jeden przelew na cały miesiąc. Pięć tysięcy dolarów. Bezpośredni przelew od czegoś, co nazywa się InnMan, Limited.

Podniósł słuchawkę i Elizabeth wsłuchiwała się przez chwilę w jego flirt z recepcjonistką z banku Wrentmore'a. InnMan okazało się skrótem od „Innocent Man”². Bezpośrednie przelewy zlecano co miesiąc od kilku lat. Kwota nieco urosła - najpierw były to cztery tysiące dolarów, potem cztery i pół, w końcu - pięć.

Następnie Shan zadzwonił do sekretarza stanu Michigan. Dowiedział się, że Innocent Man to jednoosobowa spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, należąca do Seana Wrentmore'a. Podano mu również nazwisko notariusza, który sporządził dla niej umowę założycielską.

Kiedy Shan odkładał słuchawkę, Elizabeth miała już na kolanach otwartą książkę telefoniczną.

- Kto prowadzi? - spytał ją.

Znalazła adres prawnika.

- To blisko - powiedziała. - Możemy iść na piechotę.

² „Niewinny człowiek”

Todd Barstow miał spokojną, nieruchomą twarz. Jego czoło było gładkie, jasne włosy zaczesane do tyłu. Ściany jego biura wyłożone były ciemnym drewnem, dywan był beżowy, a brąz garnitur, który miał na sobie, plasował się gdzieś pomiędzy kolorem ścian a kolorem dywanu.

Trzymał w szczupłych palcach trzy spięte kartki. Czytając je, coraz mocniej zaciskał wargi. Znajdowało się na nich oświadczenie Laury Kristoll na temat śmierci Wrentmore'a. Elizabeth i Shan czekali w milczeniu, aż skończy.

Położył kartki na biurku i powiedział:

- Zgodziłem się rozmawiać z państwem z wahaniem i jedynie z uprzejmości.

- Doceniamy to - powiedziała Elizabeth. - To znaczy, uprzejmość.

- A niekoniecznie wahanie - dodał Shan.

- Ten dokument - Barstow wskazał na oświadczenie - to pogłoski. Pani Kristoll opisuje wydarzenia, które zrelacjonował jej zmarły mąż. Chcecie natomiast, żebym uznał to za dowód śmierci pana Wrentmore'a. Nie mam zamiaru tego zrobić. Czy mają państwo jakiś inny dowód? Namacalny dowód?

Shan pokiwał głową.

- Mamy próbkę krwi z podłogi gabinetu Kristolla. Grupa odpowiada tej Seana Wrentmore'a.

- To nie wystarczy - stwierdził Barstow.

Elizabeth patrzyła na pajaka, który wspinał się po krawędzi skrzynki na listy prawnika.

- Mamy również oświadczenie przyjaciela Toma Kristolla - mężczyzny o nazwisku David Loogan - który twierdzi, że pomógł pozbyć się ciała Wrentmore'a.

- Czy to ten sam David Loogan, którego zdjęcie widziałem na pierwszej stronie wczorajszej gazety? David Loogan, którego obecnie wiąże się ze sprawą innego zabójstwa?

- Tak.

- Nie jest zatem wiarygodnym świadkiem.

Pająk doszedł na koniec biurka i zaczął się z niego zsuwać.

- Czy ma pan jakiś powód, by wierzyć, że Sean Wrentmore żyje? - spytała Elizabeth.

- Nie dali mi państwo wystarczającego powodu, bym uwierzył, że umarł.

- Kiedy rozmawiał pan z nim po raz ostatni? - spytał Shan.

- Kilka tygodni temu. Może osiem? Albo dwanaście? Coś w tym stylu. Ale to nic dziwnego. Nie musimy rozmawiać regularnie.

- Cóż, jego sąsiedzi nie widzieli go od miesiąca - powiedział Shan. - Jego rodzice nie rozmawiali z nim jeszcze dłużej.

- Sean Wrentmore jest dorosłym człowiekiem. Może robić to, co chce i nie musi meldować się rodzicom. - Barstow uniósł rękę. - Odlóżmy to jednak na bok. Uważacie, że nie żyje. Nic nie wiem o jego domniemanej śmierci. Nie mogę wam w żaden sposób pomóc.

Shan wiercił się na krześle.

- Co może nam pan powiedzieć o Innocent Man Limited?

- O Innocent Man Limited nie mogę państwu nic powiedzieć - odparł Barstow.

- Przygotował pan dokumenty ustanawiające spółkę. To należy do domeny publicznej.

- To prawda.

- Co ta spółka robi?

Prawnik skrzywił się lekko.

- Pan Wrentmore jest moim klientem. Nie wolno mi rozmawiać o tych sprawach.

- Dokumenty wskazują na to, że firma prowadziła konsultacje - powiedział Shan.

- A zatem wiedzą państwo, czym się zajmowała.

- Jakie konsultacje prowadził Sean Wrentmore? Komu pomagał?

- Powiedziałem już, że nie będę omawiał spraw mojego klienta.

- Firma Innocent Man przynosiła Seanowi Wrentmore'owi pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Skąd pochodziły te pieniądze?

- Nie wolno mi o tym mówić.

- Czy pochodziły one od Toma Kristolla? - wtrąciła się Elizabeth.

- Nie wolno mi o tym mówić - twarz Barstowa była nieodgadniona.

Elizabeth wstała i podeszła do okna. Zaslony były pokryte kurzem i pajęczynami.

- Panie Barstow, czy wie pan, że Sean Wrentmore przez ostatnich pięć lat wynajmował pomieszczenie w samoobsługowym magazynie?

Barstow spojrzał na nią obojętnie.

- Nie.

- A więc nie ma pan pojęcia, co tam trzymał?

- Nie.

- Czy sądzi pan, że to tylko zbieg okoliczności - to, że stworzył firmę i wynajął magazyn mniej więcej w tym samym czasie?

- A o cóż innego mogłoby chodzić?

- Czy wie pan, co łączyło Seana Wrentmore'a i kobietę o nazwisku Valerie Calnero?

- Nic nie wiem o osobistych relacjach pana Wrentmore'a.

- A gdybym powiedziała panu, że po jego śmierci...

- Domniemanej śmierci.

- Że po jego śmierci Valerie Calnero zabrała coś z jego pomieszczenia w magazynie? A niewiele później zaczęła szantażować Toma Kristolla?

Barstow spojrział na nią protekcjonalnie.

- Powiedziałbym, że ta kobieta potrzebuje prawnika. Nie rozumiem jednak, co jej działania mają wspólnego z panem Wrentmore'em.

- Jestem pewna, że potrafi pan na to spojrzeć z naszego punktu widzenia - powiedział Shan. - Sean Wrentmore miał tę tajemniczą firmę, zarabiał te tajemnicze pieniądze. Jeśli dodamy do tego szantaż...

- Powinniście uważać na to, co dodajecie - powiedział ostro Barstow. - Macie dowody na to, że pan Wrentmore winien jest szantażu lub jakiegokolwiek innego przestępstwa?

Elizabeth powoli pokręciła głową.

- Nie. Chcielibyśmy wyeliminować tę możliwość i przejść do innych kwestii.

Barstow wstał i podniósł oświadczenie Laury Kristoll.

- Powinniście to zrobić - powiedział. - Dochody pana Wrentmore'a pochodzą ze sprawdzonych źródeł. Macie na to moje słowo.

W windzie i na korytarzu Shan nie odezwał się ani słowem. Kiedy wreszcie wyszli na ulicę, powiedział:

- Cóż, skoro mamy jego słowo...

Urząd miejski znajdował się już w zasięgu ich wzroku, kiedy zadzwonił telefon Elizabeth.

- Gdzie jesteś? - spytał ją Harvey Mitchum.

Kiedy odpowiedziała, spytał z kolei:

- Czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę i pójść do domu Seana Wrentmore'a?

- Po co?

- Chciałbym poznać jego numer buta.

Rozdział 30.

Mitchum zadzwonił z Nichols Arboretum, parku położonego na brzegu rzeki Huron. Elizabeth i Shan pojechali tam razem, zostawili samochód na parkingu nad wodą i szeroką, zwirową drogą ruszyli do miejsca u zbrocza wzgórza, gdzie czekał na nich Mitchum razem z wysoką, szczupłą, około pięćdziesięcioletnią murzynką.

Kobieta trzymała na smyczy szarego kundelka. Wytłumaczyła Elizabeth i Shanowi, że spuściła psa ze smyczy, a on pobiegł na wzgórze, pomiędzy drzewa. Nie było go przez dłuższą chwilę. Wrócił, niosąc w pysku sportowy, biały but, ubrudzony piachem i poplamiony czymś, co wyglądało jak krew.

But miał rozmiar 10. Wrentmore nosił 9,5 - na tyle podobny, że nie można było wykluczyć związku. Elizabeth miała jednak wątpliwości. Laura Kristoll mówiła, że Wrentmore został uderzony w głowę - nie wiadomo, w jaki sposób krew miała

wylądować na jego bucie. Rozmowa z Davidem Looganem mogłaby wyjaśnić sprawę, gdyby tylko odebrał telefon i chciał rozmawiać. Kiedy jednak wybrała jego numer, jak zwykle usłyszała automatyczną sekretarkę.

Najlepszym, co mogli zrobić, było rozejrzenie się po okolicy. Razem z Mitchumem i Shanem weszła między drzewa. Po jakiejś godzinie dołączył do nich Ron Wintergreen razem z jednym z policyjnych psów. Około trzeciej Elizabeth z Shanem odjechali. Jego wezwano do innej sprawy, ona została w urzędzie.

Usiadła i spisała raport z rozmowy z prawnikiem Wrentmore'a, potem zgarnęła z biurka Shana jego korespondencję i zaczęła ją dokładnie przeglądać. Wciąż nad tym pracowała, kiedy do biura weszła Alice Marrowicz, w sukience w kwiaty, która wyglądała na uszytą ze starych zasłon.

- Dzwoniłam do hoteli - powiedziała. - Wysłaliśmy już tam faks ze zdjęciem i opisem Loogana, ale zrobiłam tak, jak prosiłaś i pytałam też, czy zarejestrował się ktoś pod nazwiskiem Ted Carmady. Dzwoniłam już do wszystkich hoteli w mieście, paru w Detroit i okolicach. Na razie nie miałam szczęścia, ale będę próbować dalej.

- Dzięki, Alice. Myślę jednak, że on jest wystarczająco sprytny, żeby wymyślić sobie nowy pseudonim. Nie odrywaj się za bardzo od innych obowiązków.

- Nie ma problemu. Chciałabym móc się jeszcze do czegoś przydać.

Elizabeth przeczesła palcami włosy.

- Możesz pomóc mi w przeglądaniu korespondencji Wrentmore'a, jeśli masz ochotę. - Podniosła jeden z rachunków za jego kartę kredytową. - Dowiedziałam się tylko tyle, że facet kupował benzynę i jedzenie, i czasami chodził do restauracji - wygląda na to, że samotnie. - Podzieliła listy na dwie kupki, jedną

z nich położyła na biurku Shana. - To już przejrzałam. Spójrz, może coś rzuci ci się w oczy.

Alice usiadła na krześle Shana i wzięła się do pracy, podnosząc każdy papierek z uwagą, jakby mógł zaprowadzić ją do ukrytego skarbu. Wciąż pracowała, kiedy Elizabeth o piątej poszła do domu.

Niebo było ciemnoniebieskie. Elizabeth zeszła po schodach urzędu i ruszyła na parking. Miała zamiar zrobić zakupy i wrócić do domu, do córki.

Wyjechała z parkingu i skierowała się na południe, na Main Street. Na latarniach wisiały plakaty. Studenci palili papierosy, stojąc pod sklepami w centrum. Posuwała się powoli, w korku, a potem mimowolnie skręciła w stronę okolicy Loogana. Znalazła jego ulicę i stanęła przed domem, którego drzwi zaklejone były policyjną taśmą.

Wysiadła z samochodu i stanęła na ganku. Powoli kroczyła po drewnianych deskach. Stanęła przy huśtawce i wyciągnęła telefon. Wybrała numer Loogana. Spodziewała się znów usłyszeć jego sekretarkę.

Odebrał po drugim dzwonku.

- Pani detektyw - powiedział. - Zostałem przyłapany. Chciałem tylko odsłuchać wiadomości.

Teraz, kiedy już udało się jej dodzwonić, nie była pewna, co powinna powiedzieć. Usiadła na huśtawce, oparła się i podwinęła jedną nogę.

- Gdzie jesteś? - spytała.

- Cóż za optymizm. Myślisz, że kiedyś ci powiem?

- Chciałabym.

- Ciekawy jestem, co by się stało. Czy wysłałabyś po mnie radiowozy? Gdybym powiedział, że jestem na cmentarzu, że stoję pod płotem, gdzie rozmawialiśmy w dniu pogrzebu Toma...

Delikatny ruch stopy sprawił, że zaczęła się huścić.

- Nie wysłałabym radiowozów. Ale nie sądzę, żebyś był tam naprawdę.

- I słusznie. Jak wam idzie? Rozmawiałaś z Sandy Vogel? Spytałaś ją, czy powiedziała komuś o tym, że spotkała Beccantiego w biurze Toma?

- Tak.

- Co powiedziała?

Poddała się ruchowi huśtawki.

- Obawiam się, że ta informacja to część śledztwa. Chciałabym móc ci powiedzieć, ale nie powinnam. Chętnie nagnę zasady, ale pod warunkiem, że dowiem się czegoś w zamian.

- Na przykład czego?

- Na przykład tego, gdzie pochowaliście Seana Wrentmore'a.

- To bardzo duże „coś”.

- Zacznijmy zatem powoli. Czy jest pochowany w Nichols Arboretum?

- Nie. Skąd ten pomysł?

- Ktoś znalazł tam dzisiaj but. Numer prawie się zgadzał.

- Nie jest w Arboretum. Nie traćcie tam czasu.

- Już straciliśmy - powiedziała. - Sporą część popołudnia. Ja, trzech detektywów i pies policyjny. I tak już teraz będzie, kiedy tylko ktoś znajdzie w lesie kawałek ubrania albo ślad łopaty na ziemi. Musisz mi powiedzieć, gdzie szukać Seana Wrentmore'a.

- Nie jestem jeszcze na to gotowy.

Wsluchiwała się w poruszane wiatrem gałęzie forsycji.

- Wiem - powiedziała. - Wrentmore to twoja karta przetargowa. Wiesz, gdzie jest i zamierzasz wykorzystać tę informację później, na swoją korzyść. - Nagie gałęzie forsycji drapały oparcie huśtawki. - Jesteś niesłusznie podejrzany o zabicie Michaela Beccantiego i uważasz, że znajdziesz jego zabójcę, a przy okazji także zabójcę Toma Kristolla. Nic takiego się jednak nie stanie. Wiesz, dlaczego?

- Tak - odpowiedział bez wahania.

- Bo to nie jest opowiadanie w „Szarych Ulicach” - powiedziała.

- Dobrze wiesz, że mam rację. Musisz powiedzieć mi, gdzie jest Sean Wrentmore. To pozwoli nam pracować dalej.

- Zastanowię się nad tym. Daj mi jeszcze parę dni.

- Nie zastanawiaj się, tylko to zrób. Jestem teraz w twoim domu. Poczekam tu na ciebie. Razem zastanowimy się, co zrobić.

Zamilkł, a jego milczenie dało jej nadzieję. Tylko przez chwilę jednak.

- To kusząca propozycja - powiedział. - Nie jestem jednak gotowy. Jeszcze kilka dni.

Loogan wyłączył telefon i wrzucił go do kieszeni. Spojrzał na grób Toma Kristolla, odwrócił się i pobiegł do samochodu. Krętą ścieżką dojechał do bramy i skierował się na wschód - do centrum Ann Arbor.

Kilka minut później udało mu się znaleźć miejsce parkingowe na jednej z bocznych ulic. Wrócił na Main Street, wszedł do kawiarni i znalazł stolik przy oknie. Stamtąd miał dobry widok na budynek, w którym znajdowała się redakcja „Szarych Ulic”.

Jego własna twarz wpatrywała się w niego z porzuconego egzemplarza „Ann Arbor News”. Złożył gazetę i uśmiechnął się

do siedzącej przy stoliku obok dziewczyny, która czytała Kafkę. Koniuszki jej warg uniosły się lekko, zanim wróciła do lektury. Fotografia w gazecie była słaba, ledwo przypominał na niej sam siebie. Zgolił włosy i kupił w drogerii tanie plastikowe okulary. Wyglądał mniej więcej tak, jak wszyscy inni łysi mężczyźni w okularach.

Chwilę później drzwi do lobby budynku naprzeciwko otworzyły się. Ukazała się w nich kobieta. Sandy Vogel miała na sobie długi, granatowy płaszcz i torbę przewieszoną przez ramię. Szła na południe, wzdłuż Main Street. Kiedy zniknęła mu z oczu, Loogan wstał. Znów uśmiechnął się do dziewczyny czytającej Kafkę, popchnął drzwi i wybiegł na ulicę.

Elizabeth schowała telefon i wstała z huśtawki. Zadzwoiła na komendę. Odebrał McCaleb. Dowiedziała się, że operator sieci Loogana wysledził jego telefon na zachodzie Ann Arbor, niedaleko skrzyżowania ulic Wagner i Jackson. Tom Kristoll został pochowany na cmentarzu przy Jackson Road. Loogan mówił prawdę. Chciała pojechać tam i poszukać go, wiedziała jednak, że już go nie znajdzie. A McCaleb wysłał już wozy, żeby przeszukały teren.

Kiedy schodziła z ganku Loogana, zauważyła zaparkowany po drugiej stronie ulicy samochód. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i wysiadł z nich mężczyzna - przez głowę przeszedł jej szalony pomysł, że to Loogan. Potem dostrzegła pognieciony garnitur i siwe, zaczesane do tyłu włosy. Był to Roy Denham, detektyw z Nossos w stanie Nowy Jork.

Zamknął drzwi i na chwilę oparł się o samochód. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się, a uśmiech całkowicie zmienił jego obwisłą twarz.

- Pani detektyw Waishkey, prawda?

- Pan detektyw Denham - powiedziała. - Od jak dawna pan tu jest?

Spojrzał na zegarek.

- Od jakichś czterech godzin. Chciałem się przydać, a jednocześnie nie przeszkadzać. Stanie na straży pod domem Malone'a wydało mi się dobrym pomysłem.

Elizabeth zamrugła, słysząc prawdziwe nazwisko Loogana. Spojrzała przez szybę na przednie siedzenie i zobaczyła tam stały zestaw detektywa na czatach - wysoki termos, na w pół zjedzoną kanapkę, złożoną gazetę z wypełnioną krzyżówką. Żadnej broni, nie wyglądało też na to, by Denham miał jakąś przy sobie.

- Proszę się nie martwić - powiedział, jakby czytał jej w myślach. - Nie mam przy sobie broni. Nie zamierzam wykonywać żadnych desperackich ruchów. Jeśli zobaczę Malone'a, po prostu to zgłoszę. - Spojrzał na komórkę i z powrotem wrzucił ją do kieszeni. - Ach, ta technologia. My mieliśmy radio i pałki policyjne. Wy teraz macie komórki i elektryczne paralizatory. - Podbródkiem wskazał ganek Loogana. - Z kim pani tam rozmawiała, jeśli wolno spytać?

- Z McCalebem - powiedziała Elizabeth. - A wcześniej z Looganem czy Malone'em, jeśli pan woli. Próbuję go tu ściągnąć. Ale on ma własne pomysły. Uważa, że odkryje, kto tak naprawdę zabił Michaela Beccantiego, a dzięki temu dowie się też, kto zabił Toma Kristolla.

- Uważa pani, że mówi prawdę? Że to nie on zadzgał swojego współnika Beccantiego?

- Tak. Chociaż jestem w mniejszości, zwłaszcza od chwili, kiedy pan się pojawił i opowiedział nam o Jimmym Wadzie Peltierze.

Denham wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Wyjął jednego, ale nie zapalił go.

- Może to panią zdziwić - powiedział - ale ja się z panią zgadzam. Jak już mówiłem wczoraj, nie spodziewałem się, że Darrel Malone wplącze się w coś takiego. Nie uważam, żeby był brutalnym człowiekiem, żeby taka była jego natura. To, co wydarzyło się tamtej nocy na parkingu, było przypadkiem. Peltier go sprowokował.

Elizabeth patrzyła, jak bawi się papierosem, przygląda mu się, po czym wkłada z powrotem do kieszeni.

- Czy uważa pan, że znacie prawdę na temat tamtej nocy? - spytała.

- Co ma pani na myśli?

- Słuchałam pana opowieści i przeczytałam akta. Loogan, czy też Malone, dźgnął Peltiera, a ten się przewrócił. Nie stanowił już zagrożenia. Malone poszedł zadzwonić po pomoc. Potem wrócił i, na wszelki wypadek, dźgnął go jeszcze kilka razy. Czy uważa pan, że tak rzeczywiście było?

Denham spojrział w niebo, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Taką historię opowiedział Malone, a rany Peltiera ją potwierdzały. Jaka mogłaby być alternatywa?

- Pomyślałam sobie, że był tam ktoś jeszcze - powiedziała Elizabeth. - Kobieta, Charlotte Rittenour. Przez jakiś czas leżała nieprzytomna, założmy jednak, że obudziła się, kiedy Malone dzwonił po pomoc. Peltier leży tuż obok niej. Jest dezorientowana, przerażona. On porusza się. Ona chwyta za nóż.

- A Malone bierze winę na siebie?

- Zachowuje się szlachetnie. Dochodzi do wniosku, że ona już wystarczająco dużo przeszła.

Denham spojrział na nią zmęczonym wzrokiem.

- Gdyby rzeczywiście tak się stało, łatwiej by było to wszystko zaakceptować. Rozmawialiśmy jednak z Charlotte Rittenour i wypytywaliśmy Malone'a na wszystkie możliwe sposoby. Jego zeznania były zawsze takie same. Nie ma powodu, byśmy mieli mu nie wierzyć. - Ściszył swój przepalony głos. Elizabeth usłyszała w nim współczucie. - Lubi pani Malone'a. Nie ma w tym nic złego, ja też go lubię. Uważam, że w pewnym sensie jest honorowym człowiekiem. Nie ma jednak wątpliwości co do tego, co zrobił Jimmy'emu Peltierowi.

Loogan przeszedł przez puste lobby i wjechał windą na szóste piętro. Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczył mężczyznę trzymającego walizkę. Zamarł na chwilę, mężczyzna jednak spojrzał na niego znudzonym wzrokiem i odsunął się, żeby pozwolić mu przejść.

Loogan miał przygotowany klucz do biura. Przez chwilę nasłuchiwał, zbliżając ucho do szklanych drzwi. Żadnego dźwięku, żadnego światła w środku.

Przekręcił klucz, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. Włożył okulary do kieszeni, podszedł do biurka Sandy Vogel i zapalił nad nim lampę. Na blacie leżały koperty - opowiadania chętnych pisarzy, niezamawiane i, prawdopodobnie, nienadające się do publikacji.

Na skraju leżał notatnik w skórzanej oprawie: organizator Sandy. Loogan otworzył go i przejrzał jej notatki. Część z nich dotyczyła życia prywatnego - spotkanie w szkole jej córki, przypomnienie, by odebrać syna z próby zespołu. Z czystej ciekawości spojrzał na dzień śmierci Toma Kristolla. Nie odkrył żadnych ponurych sekretów. Kartkując dalej, zobaczył notatkę na następny dzień, siódmy listopada: „O 11 spotkanie z radą u LK”.

Zamknął notatnik, odsunął krzesło od biurka i powoli się na nim obrócił. Po chwili nacisnął spację na klawiaturze komputera Sandy Vogel i patrzył na włączający się monitor. Po dziesięciu minutach miał już to, czego potrzebował. Wsiadł do samochodu i ruszył poza miasto.

Kiedy Elizabeth wjechała na swoją ulicę, na niebie świecił księżyc w pełni.

Spędziła chwilę z Denhamem, wymieniając się opowieściami, a potem zostawiła go przed domem Davida Loogana. Obiecał jej, że nie będzie tam zbyt długo siedzieć, że pójdzie coś zjeść i odpocząć.

Jej szyba była opuszczona o kilka centymetrów. Jechała powolutku, ledwo naciskając pedał gazu. Poczula we włosach chłodny wiatr. Z daleka widziała już swój dom - rosnący przed nim wiąz, na ganku światło, otoczone okapem dachu i poręczami. W świetle zobaczyła dwie sylwetki. Jedna z nich należała do Sary, druga z pewnością do mężczyzny. Od razu wiedziała, że to nie Logan. Był to wysoki, chudy szesnastolatek z rozczochranymi włosami. Billy Rydell.

Obie sylwetki pochylały się do siebie. Sarah objęła chłopaka ramionami, dłonie położyła na jego karku. Był to wyćwiczony gest - to nie mógł być pierwszy raz. Kiedy się pocałowali, Elizabeth wiedziała też, że to nie jest ich pierwszy pocałunek.

Wcisnęła sprzęgło. Musiała się zastanowić. Nie można było przesadzić. Młode dziewczyny mają chłopaków. Żartowała z Sarą na temat romansu z Billym Rydellem. Mogła się tego spodziewać.

Odwróciła się na chwilę, bo patrzenie na tę scenę sprawiało, że dziwnie się czuła. Nie była jednak pewna, czy nie patrząc, czuje się lepiej. Znała wszystkie te historie o rodzicielstwie, o

respektowaniu prywatności dziecka, o wierze w to, że podejmie dobre decyzje. Były jednak pewne granice, a cierpliwe oczekiwanie w samochodzie na to, aż córka skończy się całować z chłopakiem, było poza tymi granicami. Daleko poza, gdzieś za polem minowym i płotem z drutu kolczastego.

Musiała zatem działać. Miała zamiar podjechać, pokazać im, że wróciła i jakoś to rozwiązać. Spojrzała w górę i zobaczyła, że ręka Billy'ego Rydella spoczęła na talii jej córki. Wciąż się całowali. Elizabeth puściła sprzęgło, samochód powoli potoczył się po ulicy, a ręka Billy'ego była już pod koszulką jej córki. Oparł ją o drzwi. Sarah przerwała pocałunek i wyśliznęła mu się. Chwyliła jego nadgarstek i odsunęła go od siebie.

Nachylił się, żeby znowu ją pocałować, ale ona pochwyciła jego rękę i odepchnęła go. Rozłożył ramiona w geście mającym oznaczać: „O co ci chodzi?”.

Oboje się odwrócili. Elizabeth nacisnęła hamulec i sprzęgło. Jej samochód zapisał, zatrzymując się na rogu. Światła padały na trawnik. Nie pomyślała o tym, żeby zgasić silnik. Wysiadła z samochodu. Billy Ryddel zauważył ją. Zrozumiał, co się dzieje. W jego twarzy Elizabeth widziała chęć ucieczki.

Nie uciekł. Zszedł ze schodków z opuszczonymi rękami, mamrocząc coś przepaszająco. Spróbował jej się wymknąć dopiero w ostatniej chwili. Złapała go za koszulkę i obróciła. Przyparła go do pnia wiązu.

Siła uderzenia sprawiła, że stracił oddech. Wpatrywał się w nią. Jej lewa dłoń ścisnęła materiał jego koszulki. Jej prawa ręka zwisała z boku. Trzymała pistolet. Musiała się powstrzymać, żeby nie wycelować go w żebra Billy'ego Rydella.

Ktoś powinien krzyżeć, pomyślała. Sąsiedzi powinni wyglądać z okien z ciekawością. Nie działo się jednak nic, słyszała tylko,

jak Billy powtarza szeptem: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”.

Jej własny głos nie był aż tak cichy.

- Co ty robisz? - spytała. - Co ty, do cholery, robisz?

Rozdział 31.

W żółtym brulionie, tanim długopisem kulkowym David Loogan pisał opowiadanie.

Otaczał go ocean samochodów. Zaparkował przed multipleksem na południe od Lansing, sześćdziesiąt mil od Ann Arbor. Na tylnym siedzeniu leżały jego torba i skórzany płaszcz. Futerał na gitarę i pistolet Wrentmore'a były zamknięte w bagażniku.

Na siedzeniu pasażera ustawił w rzędzie trzy drobne przedmioty. Pierwszym był telefon komórkowy. Drugim - małe opakowanie gazu pieprzowego. Trzecim - pendrive, który Michael Beccanti znalazł w apartamencie Seana Wrentmore'a. Pendrive występował w opowiadaniu, które pisał Loogan.

Przejrzał skrzynkę mailową Sandy Vogel i przeczytał notatkę, którą napisała o spotkaniu z Beccantim w biurze Toma Kristolla. Wysłała ją do Laury Kristoll, Nathana Hideawaya, Casimira Hifflyna i Bridget Shellcross - członków rady ekspertów „Szarych Ulic”. Wiedział, że następnego dnia mają się oni spotkać na brunch w domu Laury. Miał zamiar dołączyć do nich i opowiedzieć swoją wersję wydarzeń.

Historia była prosta, Loogan był jednak drobiazgowym pisarzem. Każdy szkic zastępował następnym i przeredagowywał. Wyrzywał z brulionu kartki i rzucał je za siebie.

Niedługo po jedenastej udało mu się stworzyć ostateczny szkic. Przeczytał go jeszcze raz, odłożył notatnik na bok i postanowił pojechać do hostelu, w którym miał rezerwację. Znajdował się on w Okemos, na wschód od Lansing, jakieś piętnaście minut drogi od multipleksu.

Trzymał się z daleka od hoteli. Pensjonaty były dosłownie wszędzie, a ich właściciele chętnie przyjmowali gotówkę i nie kazali wypełniać żadnych papierów. Szukał ich przez internet w kafejkach, dzwonił z budek telefonicznych i podawał nazwiska swoich nauczycieli z liceum. Przyjeżdżał późno, wyjeżdżał wcześniej i nigdy nie nocował w żadnym miejscu dwa razy.

Właściciel pensjonatu w Okemos zapewnił Loogana, że on i jego żona nie będą spać przynajmniej do północy. To dało mu nieco swobody. Spojrzał na telefon, który spokojnie leżał na siedzeniu obok niego. Chciał go włączyć, sprawdzić wiadomości, wyłączyć z powrotem i ruszyć w drogę. Przez kilka sekund zastanawiał się, po czym nacisnął przycisk.

Na ekranie pojawiły się dwa nieodebrane połączenia, oba od Elizabeth Waishkey, oba wykonane w ciągu ostatniej godziny. Zastanawiał się, czy powinien do niej oddzwonić. Ciekawość wzięła górę. Odebrała po trzech sygnałach.

- Pan Loogan - powiedziała. - Gdzie jesteś?

- Lubię, kiedy to mówisz - stwierdził. - Upewnia mnie to, że jeszcze tego nie wiesz. Gdybyś o to nie pytała, podejrzewałbym, że jestem otoczony.

- Nie jesteś otoczony. Czemu nie chcesz powiedzieć mi, gdzie jesteś?

Otworzył drzwi samochodu i rozprostował nogi.

- Stoję na parkingu. Na niemożliwym do rozpoznania parkingu w niezidentyfikowanym mieście.

- Widzisz niebieskie i czerwone światła.

- Jeszcze nie.

- No to jesteś bezpieczny. Na razie.

Zrobił kilka kroków wzdłuż samochodu. W oddali widział wielki neon multipleksu.

- Dzwoniłaś do mnie dwa razy. Rozumiem, że pracujesz do późna.

- Nie mogłam spać. Powiedz mi, co robiłaś dzisiaj w Ann Arbor.

- Już ci mówiłem, poszedłem na cmentarz. Odwiedziłem grób Toma. Dobrze się czujesz?

- Pewnie. Dlaczego pytasz?

- Powiedziałaś, że nie możesz spać. Czy coś się stało?

- Nie. Wszystko w porządku. Po co pojechałaś na grób Toma?

- Minął tydzień od jego pogrzebu. Jestem sentymentalnym facetem. Wiedziałaś, że położono już płytę nagrobną? Wielki kawał granitu. Nie wiem dlaczego, ale zdziwiło mnie to.

- A zatem zaryzykowałeś wyprawę do Ann Arbor, żeby odwiedzić grób Toma, tak? Dlatego, że jesteś sentymentalny.

- Tak.

- Nie wierzę ci.

- Ja też ci nie wierzę, kiedy mówisz, że wszystko w porządku.

Patrząc na neon, wsłuchiwał się w ciszę w słuchawce. Wreszcie odetchnęła głęboko.

- Omal nie zastrzeliłam dziś szesnastolatka.

Elizabeth przeszła przez pokój, trzymając telefon przy uchu. Zatrzymała się przy oknie i dotknęła palcami szyby. Zza chmury wyrzwał księżyc.

Usłyszała pytanie Loogana:

- Co się stało?

Szkło było chłodne.

- To przyjaciel Sary - powiedziała. - Jej chłopak, chociaż nie wiedziałam o tym aż do dzisiaj. Wróciłam dziś do domu i zobaczyłam, jak się całują. Zrobił się trochę agresywny.

- Nic jej nie zrobił? - spytał Loogan ostrym, twardym głosem.

- Nie. Poradziła sobie z nim. Powiedziała „nie”, odepchnęła go. Zbyt wolno to do niego docierało, a ja przesadziłam. Zanim zrozumiałam, co robię, przyparłam go do pnia drzewa, z pistoletem w dłoni. Było blisko.

Bliżej, niż chciała. Sarah musiała zakończyć całą sprawę. Mogła spanikować - z pewnością miała ku temu powody - ale nie podniosła nawet głosu. Zeszła z ganku i położyła dłoń na plecach matki.

Elizabeth poczuła jej miękki dotyk między łopatkami. Usłyszała głos córki: „W porządku. Nic mi nie jest. Puść go”.

Schowała więc pistolet, puściła Billy'ego Rydella i wysłała go do domu.

Weszła z Sarą do środka i uspokoiła się na tyle, by móc porozmawiać. Rozmowa była uspokajająca. Billy nigdy wcześniej nic takiego nie zrobił. Nigdy do niczego jej nie zmuszał.

Rozmawiały przez godzinę, a potem zrobiły sobie późną kolację. Sarah poszła do łóżka. Elizabeth nie mogła spać. A teraz stała przy oknie, w dresowych spodniach i T-shircie, z włosami związanymi w kucyk. I powiedziała do Davida Loogana:

- Chciałam go zastrzelić.

- Wiem - odpowiedział.

- To nie zostałyby dobrze przyjęte. Jest na to nawet odpowiednie określenie: „nieproporcjonalne użycie siły”.

- Nie zastrzeliłaś go - powiedział Loogan.

- Gdybym go zastrzeliła, mogłoby nie skończyć się na jednej kuli.

- Już po wszystkim.

Odeszła od okna i znów przeszła przez pokój.

- To właśnie sobie powtarzam, żeby się pocieszyć. Ale wcale nie jest po wszystkim, prawda? Wiem przecież, jak byłam blisko. Tym razem mi się udało. Ale co stanie się następnym razem?

- Teraz potrafiłaś się opanować - powiedział. - Następnym razem zrobisz to samo.

- Skąd wiesz?

- Bo jesteś szlachetną osobą.

- To wystarczy?

- Powinno.

- Ale można przecież być szlachetnym człowiekiem, a i tak zrobić coś złego. Prawda?

Pytanie wybrzmiało w pokoju. W słuchawce cisza.

- Czy wiesz, dlaczego chciałam dziś z tobą porozmawiać, Davidzie?

Chwila ciszy, zanim odpowiedział:

- Tak.

- Nie powinnam mówić „Davidzie”. Powinnam mówić: „Darrell. Darrell Malone” - oparła się o drzwi sypialni. - Ale David bardziej mi się podoba.

- Mnie też.

- Rozmawialiśmy z ludźmi z policji z Nossos. Wiemy o Jimmym Wadzie Peltierze.

Brak odpowiedzi. Zdała sobie sprawę, że miała nadzieję na zaskoczenie w jego głosie, na pytanie: „kim jest Jimmy Wade Peltier?” albo na zaprzeczenie.

- Rozmawiałam z Royem Denhamem - dodała po chwili. -
Wiesz, co o tobie powiedział?

- Co?

- Że uważa, że jesteś szlachetnym człowiekiem.

- To miło z jego strony.

- Powiedział również, że siedemnaście razy dźgnąłeś Jimmy'ego Peltiera.

David Loogan, który kiedyś był Darrellem Malone, oparł się o zderzak samochodu.

- Tak właśnie było.

- Denham powiedział, że dźgałeś Peltiera, póki nie upadł, potem wróciłeś i zrobiłeś to jeszcze kilka razy. Trudno w to uwierzyć.

Odchylił głowę i spojrzał w niebo.

- Elizabeth...

- Wymyśliłam inną wersję - ciągnęła. - Kobieta, z którą byłeś - Charlotte Rittenour. Ona mogła brać w tym udział. Ty zacząłeś, a potem poszedłeś zadzwonić po pomoc. A kiedy cię nie było, ona zakończyła sprawę.

Loogan wpatrywał się w migające światło przelatującego nad nim samolotu. Leciał powoli, ze wschodu na zachód.

- Mogłoby tak być - powiedział. - Na pewno by tak było, gdyby to było opowiadanie w „Szarych Ulicach”.

- Ale to nie było opowiadanie w „Szarych Ulicach”.

Chwycił klamkę. Poczłł nagle chłód i zmęczenie. Wsiadł do samochodu i zamknął za sobą drzwi.

- Chciałbym dać ci to, czego szukasz - powiedział. - Ale nie mogę. Naprawdę zrobiłem to Jimmy'emu Peltierowi. Nie będę teraz szukał wymówek.

Cisza na linii. Już miał wyłączyć telefon, kiedy zapytała:

- Jesteś gotów, żeby odjechać?

Włożył klucz do stacyjki.

- Za chwilę będę musiał. Nie mogę spędzić tu całej nocy.

- Miałam na myśli: odjechać tak naprawdę. Poszedłś na grób Toma Kristolla - tak zachowuje się ktoś, kto nie wie, kiedy znowu pojawi się w tych stronach.

- Jeszcze nie wyjeżdżam - powiedział. - Mam kilka rzeczy do zrobienia.

- Na przykład?

- Nie mogę ci powiedzieć - odparł spokojnie. - Nie spodobałoby ci się to.

Spodziewał się protestu. Dobrze znanej mu już prośby, żeby zgłosił się na policję. Usłyszał jednak tylko delikatny śmiech i trzy słowa:

- Uważaj na siebie.

Rozdział 32.

Jasnożółty liść oderwał się od gałęzi i frunął powoli przez jesienne powietrze. David Loogan patrzył na niego i w ostatniej chwili pochwycił w dłoń.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na skraju lasu mógł obserwować dom Kristollów - krawędź łupkowego dachu, szerokie okna, dróżkę z kamyków prowadzącą do drzwi frontowych. Widział, jak wchodzi przez nie czwórka gości. Najpierw Nathan Hideaway, potem Casimir Hifflyn i Bridget Shellcross, którzy przyjechali lexusem Hifflyna. Sandy Vogel pojawiła się ostatnia i zaparkowała swojego minivana w oddaleniu od pozostałych samochodów. Laura Kristoll przywitała w drzwiach każdego z nich.

Loogan powoli obracał między palcami żółty liść. Jego samochód stał zaparkowany milę dalej, na żwirowej drodze. Zostawił go tam, wszedł na wzgórze i między drzewa. Po chwili skręcił w ścieżkę, która - jak pamiętał - prowadziła do rzeki. Szli nią kiedyś z Tomem. Dotarł na tyły domu Kristollich i obszedł go dookoła.

Czekał już od ponad dwóch godzin. Nie był pewien, jak długo miało to jeszcze potrwać. Spokojny brunch, pomyślał, a potem rozmowa o sprawach związanych z „Szarymi Ulicami”. Puścił liść i patrzył, jak ląduje na ziemi. Ziewnął, stanął na palcach i rozciągnął ramiona.

W pensjonacie w Okemos nie spało mu się zbyt dobrze. Miał dziwne sny. W jednym z nich stał, schowany aż do ramion, w grobie Seana Wrentmore'a, z jego pistoletem uniesionym w stronę księżyca.

Teraz oparł głowę o brzozę i patrzył, jak otwierają się frontowe drzwi domu Kristolla. Zakładał, że Sandy Vogel wyjdzie jako pierwsza. Była outsiderką, cała reszta stanowiła grupę starych przyjaciół.

Miał rację. Sandy wyszła. Laura pomachała jej i wróciła do domu. Sandy, ubrana w swój granatowy płaszcz, skierowała się w stronę swojego minivana.

Loogan popatrzył, jak odjeżdża, a potem podbiegł do frontowych drzwi domu. Nacisnął klamkę i wśliznął się do środka. Przeszedł przez korytarz i dotarł do salonu. Usłyszał głosy na tyłach domu. Wszedł do pustego gabinetu Toma. Skręcił w prawo i zobaczył jadalnię. Wychodził z niej Casimir Hifflyn. Zobaczył Loogana i zamarł.

Loogan uśmiechnął się przyjaźnie.

- Chyba jeszcze nie wychodzisz, co, Cass? Nie możesz teraz wyjść. Ledwo przyszedłem.

Zasłony w jadalni były odsłonięte, za szybami widniały obrazy z jesiennych liści - plamy pomarańczy, czerwieni i żółci. Talerze zostały zebrane ze stołu, na którym leżały teraz różne papiery i egzemplarze ostatniego wydania „Szarych Ulic”.

- Nie wstawajcie - powiedział Loogan, oni jednak już wstali.

Laura podbiegła, żeby go objąć. Poczul jej palce na nagiej skórze głowy.

- Davidzie, wszystko w porządku? - wyszeptwała.

Nathan Hideaway klepnął go po ramieniu.

- Niezwykły pan Loogan - powiedział.

- Rozmawialiśmy o tobie - powiedział Hifflyn. - Zastanawialiśmy się, gdzie jest David Loogan. I jak znajdziemy kogoś, kto go zastąpi.

- Nie mów mu tego - wtrąciła się Bridget Shellcross. - Teraz jest tutaj. Nie będziemy musieli nikim go zastępować. - Stała na palcach, żeby dosięgnąć jego policzka. - Rozmawialiśmy głównie o tym, jak idiotyczny jest pomysł, że to ty zabiłeś Michaela Beccantiego.

- Oczywiście, że jest idiotyczny - potwierdziła Laura.

- Teraz jednak wróciłeś - powiedziała Bridget. - Mam nadzieję, że to znaczy, że zostałeś oczyszczony z zarzutów.

- Obawiam się, że nie.

- To wszystko nonsens - machnął ręką Hideaway. - Musimy ci znaleźć prawnika albo kogoś, kto wie, jak radzić sobie z policją.

- Nate ma rację - powiedział Hifflyn. - Lauro, zadzwoń może do Rexa Chatterjee.

- Nie przyszedłem tutaj po to, żebyście załatwili mi prawnika - powiedział Loogan. - Usiądźmy wszyscy.

Laura podała mu rękę.

- Davidzie, z przyjemnością do niego zadzwonię.

- Mam niewiele czasu - ciągnął Loogan. - Zaparkowałem niezbyt daleko. Jeśli auto zobaczy policja, domyśla się, gdzie jestem. Ale jest coś...

Hideaway przerwał mu:

- To jeszcze większy nonsens - to, że musisz się ukrywać niczym kryminalista.

- Muszę wam coś powiedzieć - kontynuował Loogan. - Przyszedłem tu tylko po to, żeby was ostrzec.

Wyciągnął zza stołu drewniane krzesło i usiadł na nim. Reszta powróciła na swoje miejsca.

- Ostrzec nas przed czym? - spytał Casimir Hifflyn. - O czym ty mówisz?

- Mówię o tym, co się działo przez ostatnie dwa tygodnie. Tom, Adrian Tully, Michael Beccanti. Ktoś zabija ludzi związanych z „Szarymi Ulicami”.

Mówiąc te słowa, Loogan patrzył na stół, potem podniósł wzrok i zobaczył uważne oczy Laury.

- Myślę, że to jeszcze nie koniec - powiedział. - Wszyscy jesteście zagrożeni - spojrział na każdego z zebranych po kolei. - Policja jest na złym tropie. Skupili się na Seanie Wrentmorze. Ja też uważałem, że on jest częścią tej historii, doszedłem jednak do wniosku, że się myliłem. Wrentmore był przypadkiem osobnym. Adrian Tully zabił go, a Tom go krył. Śmierć Wrentmore'a nie ma jednak nic wspólnego z pozostałymi trzema ofiarami: Tomem, Tullym i Beccantim. Ta trójka została zabita przez jedną osobę, której nikt nie podejrzewa.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz, kto ich zabił? - odezwał się Hideaway.

- Tak - potwierdził Loogan. - Dowiedziałem się tego wczoraj.

Pozwolił słowom zawisnąć w powietrzu. Czekał, aż ktoś zada oczywiste pytanie.

- Kto? - spytała wreszcie Laura. Loogan zwrócił się do niej.

- To ktoś, z kim właśnie zjadłaś brunch - powiedział.

Krzesło Hifflyna zaskrzypiało, kiedy pochyłał się naprzód.

- To w kiepskim guście, panie Loogan. Sugerowanie, że ktoś z nas jest mordercą.

- Nie - machnął ręką Loogan. - To nikt z was. To Sandy Vogel.

Rozdział 33.

Przy stole wymieniono się spojrzeniami. Pojawiły się pobłażliwe uśmiechy. Hifflyn chciał się odezwać, jednak uprzedziła go Bridget Shellcross.

- Chyba nie sądzisz, że uwierzymy, że Sandy Vogel jest seryjną morderczynią?

- Wiem, jak to brzmi - powiedział Loogan.

- Sandy jest matką dwójki dzieci - zauważył Hifflyn.
- Tej nocy, kiedy zginął Tom - ciągnął poważnym tonem Loogan - on i Sandy Vogel byli sami w biurze. Prawdopodobnie była to ostatnia osoba, która widziała go żywego.

Laura zmarszczyła brwi.

- Wyszła o piątej. Tom zginął po siódmej.
- Mówi, że wyszła o piątej. Ale nie jestem pewien, czy policja w ogóle sprawdziła jej alibi - Loogan wzruszył ramionami. - Pomyślcie o Adrianie Tullym. Ktoś nakłonił go, by pojechał na pole kukurydzy w środku nocy. Sandy Vogel to ładna kobieta. Zapewne bez problemu udałoby się jej go tam zaciągnąć.

- To bardzo słaby trop - stwierdził Nathan Hideaway. - To, że mogłaby to zrobić, nie znaczy przecież, że to zrobiła.

Loogan kontynuował, jakby nie słyszał słów Hideaway'a.

- A potem Michael Beccanti. To jest argument decydujący. Sandy Vogel miała bowiem motyw, żeby zabić Michaela Beccantiego. Jeden z najstarszych motywów świata. Byli kochankami, a on zostawił ją dla innej kobiety.

Muszę przyznać, że spekuluję, jeśli chodzi o Toma i Tully'ego. Romans z Beccantim jest jednak faktem. Poszedłem wczoraj do redakcji „Szarych Ulic” i usiadłem przy komputerze Sandy. Znajdują się tam dowody. Tom opowiedział mi kiedyś o tym, jak poznał Beccantiego. Beccanti siedział w więzieniu, wysłał list, a potem kilka opowiadań do wydawnictwa. Sandy zajmowała się korespondencją Toma i w pewnym momencie nawiązała z Beccantim romans. Wszystko jest na jej komputerze - listy, które wysyłała mu, kiedy siedział w więzieniu, mejle, które wymieniali po jego zwolnieniu.

Loogan rozejrzał się dokoła - na Hideaway'a po lewej, Laurę naprzeciwko, Bridget i Hifflyna po prawej stronie. Słuchali go. Nonszalancko sięgnął do kieszeni skórzanego płaszcza. Był tam

gaz pieprzowy i pendrive Seana Wrentmore'a. Za chwilę miał ich potrzebować.

- Ich romans rozwinął się, kiedy Beccanti wyszedł z więzienia - ciągnął. - To jasno wynika z mejli. Szybko jednak zaczął się psuć. Sandy podejrzewała, że Beccanti spotyka się z innymi kobietami. Z początku zaprzeczał, ona jednak nie dawała mu spokoju. Wreszcie się przyznał. Spotykał się z kobietą o imieniu Karen, sprawa robiła się poważna. Zerwał z Sandy.

Loogan wyjął z kieszeni dłoń i położył ją na stole, chowając pod spodem gaz i pendrive'a.

- Źle to przyjęła - powiedział. - Wściekła się zwłaszcza, kiedy dowiedziała się, że Karen jest od niej dużo młodsza i że zaszła z Beccantim w ciążę. Sandy poczuła się oszukana. Napisała mu o tym długi list. „Zraniłeś mnie - pisała. - Równie dobrze mógłbyś ugodzić mnie nożem”.

Bridget Shellcross spojrzała na niego sceptycznie.

- I to ma być twój dowód? Dlatego miała go zabić?

- Jeśli ktokolwiek ma lepsze wyjaśnienie, jestem gotów, by go wysłuchać.

- Dobra, panie Loogan - powiedział Hideaway. - Sandy nie jest jakąś wytrenowaną morderczynią. Jest sekretarką.

- Teraz jest sekretarką - zgodził się Loogan. - Ale nikt z nas nie wie, co robiła wcześniej. Mogła być kaskaderką w Hollywood albo służyć w marynarce. Co tak naprawdę wiemy o jej przeszłości?

Hifflyn skrzyżował ramiona.

- Nawet jeśli faktycznie miała powody, żeby zabić Beccantiego, dlaczego zabiła też Toma i Tully'ego?

- Tu zaczyna się jej pomysłowość - powiedział Loogan. - Myślę, że zaplanowała to wszystko bardzo dokładnie. Była dyskretna,

jeśli chodzi o swój romans z Beccantim, ale nie mogła być pewna, komu on o nim powiedział. Ktoś mógłby być w stanie ich ze sobą powiązać. Po jego śmierci to ona byłaby podejrzana. Znalazła więc sposób na zamaskowanie zabójstwa - sprawiła, że stało się częścią serii.

Loogan sięgnął po solniczkę i postawił ją na stole przed sobą. Obok umieścił pendrive'a i flakonik z gazem pieprzowym. Wskazał na każde z nich po kolei.

- Tom był pierwszy - powiedział. - Potem Tully. Nie miała powodu, żeby zabić któregokolwiek z nich, także nikt jej nie podejrzewał. Potem mogła zająć się swoim głównym celem - Beccantim. O jego zabójstwo też nikt nie miał jej podejrzewać.

Przerwał i spojrzał na gaz pieprzowy, tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy. Podniósł go i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Kupiłem go na wypadek, gdybyście stwierdzili, że macie obowiązek wydania mnie policji. Macie jednak tak dobre maniere. Powinienem być przewidzieć, że nie będę go potrzebował.

Włożył gaz z powrotem do kieszeni. Podniósł pendrive'a.

- To znalazł Beccanti w apartamencie Seana Wrentmore'a. Wciąż nie wiem, co się na nim znajduje - jest chroniony hasłem. Nieważne. To tylko dygresja. - Schował pendrive'a do kieszeni. - Jak już mówiłem, śmierć Wrentmore'a nie ma nic wspólnego z pozostałymi trzema.

Laura patrzyła na niego z naprzeciówka.

- Davidzie, naprawdę uważasz, że uwierzymy w tę twoją szaloną teorię?

Spojrzał na kolorowe liście za oknem.

- Zrobiłem już to, co miałem zrobić: ostrzegłem was. Możecie wierzyć, w co chcecie. Jeśli jednak uważacie, że to już koniec zabójstw, może powinniście zastanowić się jeszcze raz. Jeśli

Sandy Vogel jest seryjną morderczynią, która próbuje zamaskować zabójstwo Michaela Beccantiego, kto zagwarantuje, że już skończyła?

Powoli odsunął od stołu krzesło i wstał.

- Nie martwię się o siebie. Wyjdę stąd i tyle. Do tej pory byłem w miejscu, w którym nikt nie potrafił mnie znaleźć, a jutro już mnie tu nie będzie. Wy jednak nie jesteście bezpieczni. Ona wie, gdzie was znaleźć.

Rozejrzał się po raz ostatni. Nikt nie wstał.

- Możliwe, że się mylę. Ale jeśli nie, jedno z was może być następne.

Kiedy Elizabeth przyszła do pracy w sobotę wieczorem, na swoim biurku znalazła równiutko ułożone listy Seana Wrentmore'a. Na szczycie kupki znajdowała się tajemnicza notatka Alice Marrowicz: sprawdzam Wrentmore'a - Art Studio”.

Rzuciła płaszcz na szafkę i usiadła. Obok listów Wrentmore'a znalazła raport Shana, który miał znaleźć się w aktach Davida Loogana. Przeczytała w nim to, co już wiedziała - operator wytropił telefon Loogana w piątek, w okolicach Lansing. Loogan nie wyłączył telefonu po rozmowie i po długich poszukiwaniach policja znalazła go na parkingu multipleksu. Nie udało im się zlokalizować samego Loogana.

Pod raportem Shana znalazła notatkę Harveya Mitchuma, który napisał, że but z Nichols Arboretum najprawdopodobniej do niczego nie doprowadzi. Mitchum zostawił go na testach w laboratorium, a technik powiedział mu, że plama to prawdopodobnie nie krew, tylko olej silnikowy.

Kiedy czytała liścik Mitchuma, do pokoju weszła Alice Marrowicz. Wahala się, czy podejść. W końcu Elizabeth przywołała ją gestem.

- Siadaj, Alice. Powiedz mi, czym się zajmowałaś.

Alice usiadła na krześle Shana.

- Trochę węszyłam. Być może nie powinnam. Prosiłaś mnie tylko, żebym przejrzała listy Seana Wrentmore'a.

- W porządku - uspokoiła ją Elizabeth. - Co znalazłaś?

- Na jego rachunku z karty kredytowej widnieje wpłata dla Art Studio. Mogłaś tego nie zauważyć.

- Nie, pamiętam to. Podejrzewałam, że kupił sobie coś na ścianę. Lubił artystyczne, czarno-białe zdjęcia.

- Art Studio to studio tatuażu na Cross Street w Ypsilanti.

Ypsilanti graniczyło z Ann Arbor od wschodu - było jego mniej przyjemnym kuzynem. Elizabeth zdziwiła się nieco, że Alice zna studia tatuażu, które się w nim znajdują. Zastanowiła się nad upodobaniem kobiety do wielkich swetrów i sukienek z golfem i pomyślała, że nic nie wie o tym, co znajduje się pod nimi.

- Wrentmore miał tatuaż na nadgarstku - powiedziała. - Łańcuch z połączonych pierścieni.

- Miał jeszcze jeden - powiedziała Alice. - Zrobił go sobie we wrześniu. Zadzwoiłam do Art Studio wczoraj wieczorem, jednak facet, z którym rozmawiałam, nie tatuował Wrentmore'a. Nie są też najlepsi w prowadzeniu bazy, więc nie mógł mi wiele powiedzieć. Zadzwoiłam znów dzisiaj rano i artysta, który tatuował Wrentmore'a był już w pracy, ale nie chciał mi nic powiedzieć przez telefon. Oni są trochę jak psychologowie. Wierzą w poufność. Ale nie są aż tacy rygorystyczni, bo kiedy do niego pojechałam, zgodził się ze mną porozmawiać. Wyglądam chyba na kogoś godnego zaufania.

- Co ci powiedział? - spytała Elizabeth.

- Sean Wrentmore sam wymyślił sobie rysunek, nie wybrał niczego z katalogu. Były to dwa słowa, zapisane czarnym atramentem na lewym ramieniu. Były one jednak odwrócone, tak, by dało się je przeczytać w lustrze. Nie był to łatwy tatuaż do wykonania.

- Domyślam się - powiedziała Elizabeth. - Czy te dwa słowa to „Adrian Tully”?

Alice była zaskoczona.

- Nie. Niby dlaczego?

- Bo to jego domniemany morderca. Byłoby fajnie, gdyby wytatuował sobie na ramieniu nazwisko zabójcy.

Alice rozważała tę kwestię z powagą.

- Nie, to nie to - powiedziała, po czym zamilkła, zatapiając się w myślach. Cisza trwała tak długo, że Elizabeth musiała się uśmiechnąć.

- Co to były za słowa, Alice?

Rozdział 34.

Płyta nagrobna Toma Kristolla zrobiona była z granitu, nierówna na krawędziach. Jej powierzchnia została jednak dokładnie wypolerowana, wygrawerowano na niej nazwisko i daty. Przed nią, na trawie, leżał pęk zwiędłych czerwonych róż. Na dolnej części nagrobka stało coś jeszcze - mała butelka szkockiej whisky Glenfiddich. Robota Davida Loogana, pomyślała Elizabeth.

Późnopołudniowe słońce rzucało na trawę cień nagrobka. Elizabeth spojrzała w górę i zobaczyła, że Carter Shan został

kilkanaście metrów dalej i wpatrywał się w inskrypcję nad drzwiami do mauzoleum. Zobaczyła też dwa samochody, które zatrzymały się w tym samym miejscu, w którym ona zostawiła swój. Rex Chatterjee wysiadł jako pierwszy. Stał na poboczu i skrzyżował ramiona. Wiatr muskał jego siwe włosy.

Casimir Hifflyn wysiadł z drugiego samochodu, zamienił kilka słów z Chatterjee, a potem ruszył przez trawę. Miał na sobie garnitur z czarnej wełny, marynarkę rozwiewał mu wiatr. Pod spodem miał jasnoszarą koszulę bez krawata.

Z daleka uśmiechnął się nieśmiało i spuścił głowę, kiedy jednak stanął przed Elizabeth, spojrzał na nią.

- Witam, pani detektyw.

- Dziękuję, że pan przyszedł, panie Hifflyn - spojrzała na Chatterjee'ego za jego plecami. - Pana prawnik może podejść bliżej. Nie musi go pan zostawiać tam samego.

- Wolaliby, żebym w ogóle z panią nie rozmawiał, ale doszliśmy do porozumienia. Jeśli dojdziemy do etapu, w którym odczyta mi pani moje prawa, będę musiał go tutaj zawołać.

- Postaram się zatem nie czytać pana praw - powiedziała Elizabeth.

- To dobrze. Rozmawiajmy w cztery oczy. Tak jest bardziej dramatycznie. - Hifflyn spojrzał na leżące na ziemi róże. - Musi pani mieć wyczucie dramatyzmu, skoro poprosiła mnie pani o rozmowę na cmentarzu, nad grobem mojego przyjaciela, w dodatku nie tłumacząc dlaczego.

Znów spojrzał na nią i uśmiech sprawił, że wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- No dobrze, jestem tutaj. O czym będziemy rozmawiać?

- O Szczęściu Kendela - odparła Elizabeth. Pokiwał głową w zamyśleniu.

- To ciekawy temat.
- Szczęście Kendela to tytuł pana ostatniej książki. Wychodzi ona w twardej oprawie pod koniec miesiąca.

- W sam raz na święta.

- W zeszłym miesiącu Sean Wrentmore wytatuował sobie słowa Szczęście Kendela na lewym ramieniu - powiedziała Elizabeth. - Jak pan myśli, dlaczego to zrobił?

Hifflyn pogładził dłonią swój zarost.

- Podejrzewam, że nie będzie pani usatysfakcjonowana, jeśli powiem, że był wielkim fanem?

- Nie.

- Zatem alternatywa jest oczywista - powiedział. - Sean Wrentmore był autorem.

Elizabeth przytaknęła.

- Był mało znanym pisarzem o nieznanym źródle dochodu. A pan jest słynnym pisarzem o napiętym grafiku. Podpisywanie książek, wykłady, no i powinien pan pisać jedną książkę rocznie. Tak zresztą właśnie pan zrobił - osiemnaście powieści w ciągu ostatnich siedemnastu lat. Osobne powieści i osiem kryminałów w serii o Kendelu. Ile z nich napisał Sean Wrentmore?

- Tylko trzy - odpowiedział Hifflyn, lekko unosząc ramiona - Ostatnie trzy książki o Kendelu.

- Ile mu pan zapłacił?

- Podzieliliśmy się pół na pół. Być może zasłużył na więcej, bo to on zapisywał słowa na kartkach. Ja jednak stworzyłem głównego bohatera, a moje nazwisko na okładce pozwoliło sprzedać książki. Wydaje mi się, że był zadowolony z tego, co dostał. Zarobił więcej pieniędzy niż kiedykolwiek wcześniej.

- Ale nie zyskał żadnego uznania.

Wiatr poderwał leżące na trawniku liście. Hifflyn podążył za nimi wzrokiem.

- Nie wiem, czy go pragnął. Sean był typowym introwertykiem. Wydaje mi się, że źle by się czuł na wykładzie czy wieczorze autorskim.

- I tak musiało mu to przeszkadzać - stwierdziła Elizabeth. - Pisał książki, które trafiały na listy bestsellerów, a nie mógł nikomu o tym powiedzieć. To była część umowy, prawda?

- Oczywiście.

- Zostały mu tylko puste gesty, jak zrobienie sobie tatuażu z tytułem własnej książki na ramieniu. Wiedział pan o tym?

Hifflyn podniósł wzrok.

- Nie.

- Litery zapisane były od tyłu. Tatuaż służył do tego, żeby patrzeć na niego w lustrze. To wiele mówi o jego charakterze, prawda?

- Pewnie tak.

- Może pan się myli, mówiąc, że nie potrzebował uznania. Mnie wydaje się, że go pragnął, nawet jeśli pragnienie to nie było jednoznaczne.

- To może być prawda.

- Myślę, że oboje dobrze wiemy, że to prawda - powiedziała Elizabeth. - I że to dlatego zginął Tom Kristoll.

Badała jego reakcję. Odwrócił się i spojrzał na grób. Wydawało jej się, że powieki mu drgają, co mogło być uznane za oznakę napięcia, ale nie dawało podstaw do oskarżenia. Kiedy z powrotem na nią spojrzał, miał spokojny wyraz twarzy. Kąciki jego ust były lekko uniesione.

- Czy będę potrzebował prawnika? - zapytał.

- To zależy od pana - odpowiedziała. - Nie przeczytałam pana praw. Nie będę zadawała panu pytań. Opowiem panu bajkę. Musi pan mnie tylko słuchać.

Rozłożył ręce.

- Proszę mówić.

Elizabeth dotknęła koralików na swojej szyi.

- Część z tego jest spekulacją - powiedziała. - Załóżmy, że Seanowi Wrentmore'owi zależało na uznaniu. Był autorem trzech książek o Kendelu i chciał, żeby ludzie o tym wiedzieli. Lubił też jednak zarabiać pieniądze, podobała mu się umowa, którą zawarł. Chciał zarabiać dalej, a to oznaczało, że musi siedzieć cicho. Wrentmore uważał się jednak za poważnego pisarza. Poważni pisarze myślą perspektywicznie. W pewnym momencie - nieważne, czy za jego życia, czy już po śmierci - umowa przestałaby obowiązywać. I chciałby, żeby wtedy ludzie dowiedzieli się, kim był.

Jak mógł do tego doprowadzić? Na początek potrzebował dowodów. Załóżmy, że zachował oryginalne maszynopisy swoich powieści o Kendelu - kopie robocze, poprawiane ręcznie. Załóżmy, że włożył je do koperty, zapieczętował ją i wysłał sam do siebie listem poleconym. To załatwiłoby kwestię dat, dowodziło, że nie skopiował ich z publicznych źródeł. To nie żart - był prawdziwym autorem.

Potem musiałby schować je w bezpiecznym miejscu. Zdecydował, że jego apartament się nie nadaje - mogą tylko zgadywać dlaczego. Gdyby zmarł, rodzina zyskałaby nad nim kontrolę, a nie była mu bliska. Możliwe, że nie chciał powierzać im swojego sekretu.

Wybrał na kryjówkę ognioodporne pudełko, które ukrył w skrzynce numer 401 w magazynie o nazwie Self-Storage USA. Teraz potrzebował jeszcze współnika, kogoś, kto po jego śmierci

spełniłby jego życzenie. Wybrał dwie współpracownice, które nie wiedziały o sobie nawzajem. Dał każdej z nich klucz do skrytki, prosząc, by otworzyły ją, gdyby jemu coś się stało. Wiedziałyby, co mają robić, bo zostawił im instrukcję w pudełku z maszynopisami. Instrukcja była prosta - powiadomić prasę. Zadzwoń do „Publisher's Weekly” czy kogoś takiego i powiedz im, że prawdziwym autorem ostatnich książek o Kendelu był Sean Wrentmore.

Hifflyn uśmiechnął się na te słowa, nic jednak nie powiedział. Elizabeth ciągnęła.

- Jego współpracownice biorą zatem klucze i przystają na jego prośbę. Być może robią to z ciekawości, nie są jednak na tyle ciekawskie, żeby pojechać do Self-Storage USA i sprawdzić, co się tam kryje. Sean ma swoje dziwactwa, a w pomaganiu mu nie ma nic złego. I tak nic mu się nie stanie.

Coś się jednak dzieje. Wrentmore ma własny maszynopis - coś, nad czym pracował przez wiele lat, powieść Kłamecy, złodzieje i niewinni. Pokazuje go Tomowi Kristollowi, a Tom próbuje wyświadczyć mu przysługę. Doprowadza powieść do sensownej długości. Pomaga mu Adrian Tully. Wrentmore'owi nie podoba się jednak, że ktoś przerabia jego dzieło. To kwestia dumy, a on może być przecież z siebie dumny. Napisał dwie powieści, trzecia miała ukazać się za chwilę. Poprawki Toma, jego drastyczne skróty wściekają go. Zaczynają się kłócić i sprawy wymykają się spod kontroli. Wrentmore ginie.

Jego śmierć jest jednak trzymana w sekrecie. Tom ukrywa ją. Adrian Tully o niej wie, bo to on walnął Tully'ego butelką whisky w głowę. Laura Kristoll dowiaduje się od Toma. David Loogan nie wie, chociaż to on pomaga Tomowi pozbyć się ciała.

Elizabeth przerwała. Popatrzyła na Cartera Shana, który spacerował cmentarną alejką. Na Rexa Chatterjee, opartego o maskę swojego samochodu.

Z powrotem spojrziała na Hifflyna.

- A zatem wiedziały trzy osoby, nie licząc Loogana - powiedziała. - Ale to nie wszystko. Tom panu powiedział, prawda?

- Tak - przyznał Hifflyn.

- Ponieważ wiedział o pana umowie z Seanem Wrentmore'em.

- To Tom nas ze sobą poznał. To był jego pomysł, żeby Sean przejął pisanie serii o Kendelu.

- Jak pan zareagował na wiadomość o śmierci Seana?

Hifflyn włożył ręce do kieszeni czarnej wełnianej marynarki i schował podbródek w kołnierzu, jakby poczuł nagły chłód.

- Oczywiście uważałem, że to okropne - powiedział. - Ale obawiam się, że nie zachowałem się honorowo. Tom podjął decyzję o trzymaniu śmierci Seana w tajemnicy. Pomyślałem, że zmiana tej decyzji może tylko pogorszyć sprawę. Powiedziałem mu, że nie chcę o tym więcej słuchać. Nie chciałem nigdy więcej rozmawiać o Seanie Wrentmore.

- Ale to jeszcze nie był koniec.

- Nie.

- Wrentmore wciąż miał bowiem dwie współpracownice. Jego śmierć była trzymana w sekrecie, jednak jedna z nich dowiedziała się o niej.

Hifflyn przechylił na bok głowę.

- Może pani wypowiedzieć jej nazwisko - Valerie Calnero.

- Właśnie.

- Nie wiem, dlaczego miałyby pani ukrywać przede mną jej tożsamość. Może obawia się pani, że zrobię jej krzywdę?

- Cóż, ma pan powody, żeby nie życzyć jej najlepiej, prawda?

Hifflyn wzruszył ramionami. Elizabeth kontynuowała.

- Wrentmore źle zrobił, wybierając Valerie. David Loogan uważa, że chciał się do niej zbliżyć. Niezależnie jednak od tego, co do niej czuł, z pewnością było to uczucie nieodwzajemnione. Wrentmore wszystko zaplanował, Valerie jednak nie trzymała się planu. Dowiedziała się, że nie żyje, prawdopodobnie od Adriana Tully'ego. On na pewno potrzebował kogoś, komu mógłby się zwierzyć.

Wysłuchiwała jego wyznania i przypomniała sobie o kluczu, który dał jej Wrentmore. Pojechała do magazynu, znalazła jego maszynopisy i instrukcje, nie zadzwoniła jednak do prasy. Z tego, co się dowiedziałam, nie była szczęśliwa na uniwersytecie. Być może chciała wyjechać. Teraz miała na to sposób - wiedziała, że Tom Kristoll ukrywa śmierć Wrentmore'a. Mógłby zapłacić, żeby ją uciszyć. Wiedziała też, że Sean pisał za pana powieści - a zatem pan również mógłby jej zapłacić.

Chmura na chwilę zasłoniła słońce. Elizabeth patrzyła, jak zmienia się kolor trawy.

- A zatem pan i Tom dostaliście po liście - powiedziała do Hifflyna. - Valerie żądała od niego pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Domyślałam się, że od pana mogła zażądać znacznie więcej.

- I owszem.

- Jaka była umowa? Miał pan jej wysłać pieniądze do Chicago, a ona odesłałaby maszynopisy?

- Chciała, żebym kupował po jednym. Po sto tysięcy dolarów za sztukę - powiedział. - Uznała, że tak będę wolał. Nie musiałbym wysłać wszystkich pieniędzy naraz, nie mając pewności, czy dostanę maszynopisy w zamian.

- Czy właśnie tak to się odbyło? Zgodził się pan na jej warunki?

Hifflyn potarł trawę podeszwą. Trącił różę koniuszkiem buta, po czym pochylił się, żeby podnieść jedną z nich.

- Wiem, że uważa pani, że się zgodziłem. Tylko w takim wypadku pani teoria ma sens.

- Teoria?

Trzymał łądygę róży w obu dłoniach.

- Pani teoria zbrodni. Morderstwo Toma Kristolla. Tom i ja jesteśmy szantażowani, a ja decyduję się zapłacić. Tom jednak nie ma pięćdziesięciu tysięcy albo gryzie go sumienie, więc postanawia pójść na policję i o wszystkim powiedzieć. Nie mogę mu jednak na to pozwolić, ponieważ moja reputacja byłaby zszargana, gdyby prawda o Seanie ujrzała światło dzienne. Idę więc do biura Toma, walę go w głowę i wyrzucam przez okno. Tak to pani widzi?

- To część historii - przyznała Elizabeth.

- A co z resztą?

- Adrian Tully.

- Pewnie - zgodził się Hifflyn. - Adrian wie o śmierci Seana i jest podejrzany o zabójstwo Toma. Zabieram go więc na pole pewnej nocy i strzelam mu w głowę. Aranżuję całą sytuację tak, żeby wyglądała na samobójstwo. Śmierć Seana pozostaje w sekrecie, a wy podejrzewacie, że Adrian zastrzelił się, bo targali nim wyrzuty sumienia. Przestajecie więc szukać zabójcy Toma.

Dotknął jednego z płatków róży, który oderwał się i poszybował w powietrze.

- Ale to jeszcze nie koniec - powiedział. - David Loogan i Michael Beccanti zaczynają węszyć. Beccanti przeszukuje biuro Toma. Pewnego dnia idę więc za nim do domu Loogana i zabijam

go nożem. I oto odkryła pani, że jestem mordercą, dzięki tatuazowi Seana Wrentmore'a.

Oderwał kolejny płatek róży.

- Tak właśnie jest? - spytał. - To jest pani teoria?

- Mniej więcej - odparła.

- Czy mam pani powiedzieć, co jest w niej nie tak?

- Bardzo proszę.

Kolejny płatek powiewał na wietrze.

- Nie odpowiedziałem na list szantażysty.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Nigdy nie rozmawiałem o tym z Tomem. Nie pokłóciliśmy się.

- Następny płatek. - Nie zapłaciłem Valerie Calnero ani centa. Proszę się postawić na moim miejscu. Dowiaduję się, że Sean nie żyje. Kilka dni później otrzymuję list. Nie wiedziałem, że napisała go Valerie. Podpisała go pseudonimem. Ktokolwiek go jednak napisał, wiedział o śmierci Seana, myślałem zatem, że to Adrian Tully.

- Kiedy zrozumiał pan, że to Valerie?

- Zacząłem się nad tym zastanawiać na początku tego tygodnia, kiedy nagle wyjechała. Nie byłem pewien, póki pani właśnie tego nie potwierdziła. List musieli jednak napisać Tom, Adrian albo Laura, albo ktoś, komu się zwierzyli. Adrian wydawał się najbardziej prawdopodobnym kandydatem. A jeśli to on wysłał list, musiał to być blef. Nie wyglądał na kogoś, kto doprowadzi taki plan do końca. Gdyby ujawnił, że to Sean napisał moje książki, ludzie zaczęliby szukać Seana. Prędzej czy później odkryliby, że nie żyje. Adrian nie mógł ryzykować, skoro to on go zabił.

Oderwał naraz wszystkie pozostałe płatki i wyrzucił je.

- Nawet jednak, jeśli list nie był blefem, nie było warto płacić. Umowa, którą zawarłem z Seanem, nie była nielegalna. Taka była praktyka: jeden autor wymyślał postać, a inni kontynuowali serię pod jego nazwiskiem. Mój agent wiedział o Seanie. Wydawca też. Nie wstydzę się naszej umowy. Nie miałem zamiaru płacić okupu, żeby utrzymać ją w sekrecie. Nikogo nie zabiłem. - Upuścił łodygę na ziemię. - Gdyby naprawdę uważała pani, że jestem mordercą, czy spotkałaby się pani tutaj ze mną sam na sam?

- Nie jesteśmy sami - zauważyła Elizabeth. - Zabrał pan ze sobą prawnika.

- Nie wiedziała pani, że tu będzie.

Elizabeth wskazała głową Shana, który stanął pod płotem cmentarza.

- Mój partner też tu jest. Obserwował pana. - Odgarnęła kosmyk, który spadł jej na oczy. - Poprosiłam, żeby pan przyszedł, z prostego powodu. Miałam nadzieję, że się pan przyzna.

- Przykro mi, że panią rozczarowuję.

Spojrzała na szary kamień, który oznaczał grób Toma Kristolla.

- Historia, którą pan opowiedział, nie jest zła - zwróciła się do Hifflyna. - Nie zapłacił pan Valerie Cabero. Mógłby się pan tego trzymać i wszystko uszłoby panu na sucho. Trudno byłoby nam udowodnić, że pan kłamie, chyba że udałoby się nam porozmawiać z Valerie. Jest pan bogatym człowiekiem - domyślałam się, że udałoby się panu zapłacić szantażyście, nie pozostawiając śladu po tej transakcji.

Odwróciła się od nagrobka i zbliżyła się do Hifflyna.

- Nie jest pan jednak nietykalny - powiedziała. - Myślę, że żałuje pan tego, co stało się między panem a Tomem.

- Pomiedzy mną a Tomem nic się nie wydarzyło - zmarszczył brwi.

- Jeśli chodzi o pozostałych - Tully'ego i Beccantiego - zrobił pan to, co nakazywała logika sytuacji - powiedziała miękko. - Nie był pan do nich przywiązany. Tom był jednak pana przyjacielem. Nieważne już, że dwadzieścia lat temu odbił panu Laure. To przeszłość. Albo może i nie - dzięki temu było łatwiej.

Jestem pewna, że nie poszedł pan do jego biura z zamiarem zabicia go. Myślał pan, że zachowa się rozsądnie. Obaj byście zapłacili i śmierć Seana pozostałaby w tajemnicy. Nagle Tom powiedział jednak, że chce iść na policję. Jestem pewna, że próbował go pan od tego odwieść. W pewnym momencie jednak było już jasne, że mówi poważnie. A potem wszystko potoczyło się szybko - uderzył go pan pod wpływem chwili. Być może mocniej, niż pan zamierzał. Upadł na ziemię. A potem było okno. Zrobił pan to, nie myśląc wiele i natychmiast pożałował. Podejrzewam, że od tamtej pory ma pan obsesję w związku z tym. Próbował pan dojść do tego, co poszło źle i zastanawiał się nad tym, co mógł pan powiedzieć, żeby on zmienił zdanie.

- To brzmi tak, jakbym się zadręczał - powiedział Hifflyn sucho.

- A teraz ma pan tu swojego prawnika. Chce pan to przeczekać. Nie widzi pan żadnej korzyści w przyznaniu się do winy. Być może boi się pan, że chodzi o wszystko albo nic, że jeśli przyzna się pan do zabójstwa Toma, będzie się pan musiał przyznać także do zabicia Tully'ego i Beccantiego. Ale to nieprawda. Nikt nie oskarży pana o zabicie Tully'ego, nie bez dowodów. Śmierć Tully'ego wygląda na samobójstwo. Można by podejrzewać, że zabił się, bo odrzuciła go Laura Kristoll, bo matka go nie kochała, bo świat nigdy nie dał mu szansy. - Jej głos złagodniał jeszcze bardziej. Przyjęła ton kogoś, kto się zwierza. - Jeśli zaś chodzi o Beccantiego, on zginął w domu Loogana, a Loogan zniknął tej samej nocy. Każdy prawnik zbuduje z tego linię obrony. Rex

Chatterjee zrobiłby to, nie wstając z łóżka. Niech pan więc przestanie myśleć o Tullym i Beccantim. Skupmy się na Tomie. Byliście przyjaciółmi, pokłóciliście się, sprawy wymknęły się spod kontroli. Od czego są ugody obrończe? Są ludzie w prokuraturze, którzy chętnie dogadają się, byle znaleźć jakieś rozwiązanie. Chętnie pójdą na ustępstwa. Nie będzie pan musiał mówić, o co się pokłóciliście. Może pan nie wspominać o Seanie Wrentmorze. Książki, które napisał, listy od szantażystki - to wszystko może pozostać tajemnicą.

- Już mówiłem, że nie zależy mi na tym, by nią pozostały. - Hifflyn zmarszczył czoło.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Nie wstydzi się pan swojej umowy z Seanem Wrentmore'em. To częsta praktyka. W dzisiejszych czasach nie wiadomo jednak, jak zareagują czytelnicy, prawda? Może będą chcieli rekompensaty? Gdyby naprawdę panu nie zależało, uprzedziłby pan fakty, sam poszedł z tym do prasy. Ale pan wciąż ma nadzieję, że tajemnicę da się zachować. I być może się da.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Jeśli przyznam się do zbrodni, której nie popełniłem.

- Nie - odpowiedziała. - Nigdy nie radziłabym niewinnemu człowiekowi, żeby przyznawał się do zbrodni.

- Ale nie wierzy pani, że jestem niewinny.

Zachowała obojętną twarz. Nie odezwała się.

Wpatrywali się w siebie. Gdyby to był konkurs, ona byłaby zwyciężczynią. On odwrócił się pierwszy. Podszedł do nagrobka Toma Kristolla, pocierając włosy i kark.

- A gdybym podzielił się z panią inną teorią zbrodni, wskazał innego podejrzanego?

Nie spodziewała się tych słów.

- Kogo?

Odwrócił do niej twarz.

- Sandy Vogel - powiedział. - Proszę się nie śmiać, tylko mnie posłuchać. Założmy, że morderstwo Toma nie miało nic wspólnego z Seanem. Założmy, że Sandy zabiła Toma, Adriana i Beccantiego. Że miała motyw, żeby zabić Beccantiego - mieli romans, on zostawił ją dla młodszej kobiety. Pozostałych zamordowała, żeby ukryć fakt, że jej właściwym celem był Beccanti.

Elizabeth spojrzała na rosnącą daleko za plecami Hifflyna wierzbę, której gałęzie powiewały na wietrze.

- Czy teraz pan to wymyślił?

- Nie.

- To brzmi jak fabuła opowiadania, które Tom mógłby opublikować w „Szarych Ulicach”.

- Myślę, że to zrobił, nawet nie raz - odparł Hifflyn. - To jeden z wariantów standardowego scenariusza: ukrywanie morderstwa poprzez umieszczenie go w serii.

- Chyba nie wydaje się to panu wiarygodne.

- Jest równie wiarygodne, jak to, że to ja zabiłem Toma w obawie, że powie policji o Seanie. Ma pani tyle samo twardych dowodów na Sandy Vogel, jak i na mnie. Czyli żadnych.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Musi pan się bardziej postarać, panie Hifflyn. Nie pomoże pan sobie, wymyślając historie o Sandy Vogel.

- Nie wymyśliłem jej - powiedział, podwijając rękaw, by spojrzeć na zegarek. - No dobrze, to na czym stanęliśmy? Jestem aresztowany?

- Nie.

- W takim razie muszę już iść, chociaż bardzo chciałbym porozmawiać jeszcze o tym, że nie zabiłem Toma Kristolla - wyciągnął klucze. - Moja żona wróciła z Europy. Wczoraj wylądowała w Nowym Jorku, dzisiaj będzie w Detroit. Muszę ją odebrać.

- Ach tak?

- Mówię to na wypadek, gdybyście zamierzali mnie śledzić. Nie chciałbym, byście poczuli się zaalarmowani, że jadę na lotnisko.

Jego ton był luźny, beztroski. Jego swoboda wróciła, może zresztą wcale go nie opuszczała.

Elizabeth skopiowała jego beztroskę:

- A zatem nie zamierza pan zwać z kraju?

- Nie sądzę, by było to konieczne. Zresztą i tak zostawiłem paszport w domu.

Odwrócił się i ruszył w stronę samochodu. Poszła za nim.

- Moja żona leci liniami Northwest - powiedział. - Lot numer 1479, jak byście chcieli sprawdzić. Wolałbym, żebyście za mną nie jechali, ale róbcie, co chcecie. Uważam jednak, że moglibyście konstruktywniej spędzić czas - podrzucił klucze. - Moglibyście na przykład sprawdzić tę historię z Sandy Vogel. Nie wymyśliłem jej. Usłyszałem ją od Davida Loogana.

Rozdział 35.

Trzy samochody powoli jechały cmentarną drogą. Z przodu Rex Chatterjee, pośrodku Hifflyn, z tyłu Elizabeth i Shan. Przy bramie Chatterjee skręcił w lewo, w stronę centrum. Hifflyn skręcił w prawo.

Shan pojechał za nim, wystukując dłonią rytm na kierownicy.

Siedząca na miejscu pasażera Elizabeth zastanawiała się nad tym, co Hifflyn powiedział jej o porannej wizycie Loogana w domu Kristolla.

Dojechali za Hifflynem na drogę międzystanową i skierowali się na wschód. Shan sceptycznie wsłuchiwał się w szczegóły opowieści Loogana o Sandy Vogel.

- Ona miała romans z Beccantim?

- Tak twierdzi Loogan.

- I powiedział, że ma dowody - listy i mejle, które przeczytał na jej komputerze?

- Tak.

- Ale Loogan nie pokazał im żadnych listów - zauważył Shan.

- Jeśli faktycznie były jakieś listy, powinien był je wydrukować, żeby dowieść, że mówi prawdę.

- Carter, nie sądzę, żeby istniały jakiegokolwiek listy.

- A więc o co chodzi Looganowi?

- Próbuje odnaleźć zabójcę Kristolla - powiedziała Elizabeth.

- Poszedł spotkać się z Hifflynem i resztą, podejrzewając, że jedno z nich jest mordercą. Opowiada im szytą grubymi nićmi historię o Sandy Vogel. Nie spodziewa się, że mu uwierzą. Osiąga jednak inne cele. Po pierwsze, przypomina wszystkim, że wciąż jest w okolicy.

Michael Beccanti został zamordowany, ponieważ był zbyt ciekawski, Loogan wciąż jednak żyje. Szczegóły opowieści nie są przypadkowe: mówi im, że siedział przy komputerze Sandy Vogel. To uświadamia im, że wciąż ma dostęp do redakcji „Szarych Ulic”, że ma klucz. Hifflyn powtórzył mi jeszcze dwie inne rzeczy, które im powiedział: ukrywał się w jakimś miejscu, w którym nikt go nie szukał, a jutro zamierza wyjechać z miasta.

- Przekazał mordercy informację.

- Właśnie. Powiedział: jeśli chcesz mnie dorwać, znajdziesz mnie w „Szarych Ulicach”, ale masz to zrobić dzisiaj.

- Ale to nie zadziała. - Shan przestał uderzać w kierownicę. - Morderca byłby głupkiem, gdyby dzisiaj tam poszedł. Właśnie tego chce Loogan.

- Pewnie liczy na to, że morderca jest zbyt pewny siebie. Ale to nie ma znaczenia. - Elizabeth zaczęła wybierać numer na telefonie. - Morderca może tam nie pójść. Ale Loogan będzie czekał.

Dwie godziny później Elizabeth stała samotnie na ganku domu Loogana. W oknach ciemność. Drzwi zamknięte. Cisza na ulicy.

Dwanaście ulic dalej Harvey Mitchum siedział w kawiarni naprzeciwko redakcji „Szarych Ulic”. Miał dobry widok na drzwi do lobby. Kim Reyes obserwowała tylne wejście. Ron Wintergreen wszedł na szóste piętro, do biura Toma Kristolla. Żadne z nich nie widziało jeszcze Loogana.

Elizabeth z Shanem pojechali za Hifflynem aż na lotnisko w Detroit. Widzieli jego żonę, szczupłą kobietę o egzotycznych śródziemnomorskich rysach. Czekala na niego przed jednym z terminali. Na powitanie chwycił ją w ramiona i uniósł. Elizabeth zastanawiała się, czy powinni pojechać za nimi do domu. Rozważała też wysłanie radiowozu pod dom Hifflyna, nie była jednak pewna, co to da. Rex Chatterjee nie omieszkał jej przypomnieć, że Hifflyn ma prawo pojechać, gdzie tylko chce.

Wrócili na komisariat, gdzie przygotowywano się do wieczornej inwigilacji „Szarych Ulic”. Powiedziała Owenowi McCalebowi, że chciałyby wziąć w niej udział, a on obiecał, że będzie miała na to szansę.

- Na razie zajmują się tym Harvey, Kim i Ron - powiedział. - Nie zamierzam jednak zostawiać ich tam na całą noc. Jeśli Loogan nie pojawi się przed pierwszą, zrobimy drugą zmianę. Wtedy się włączysz - spojrzał na Shana. - Ty też. Radziłbym, żebyście pojechali do domu i odpoczęli.

Impuls nakazał jednak Elizabeth pojechać do domu Loogana. Stała na ganku, wdychając chłodne powietrze. Zaczynała wątpić, czy Loogan pojawi się w redakcji „Szarych Ulic”. Zdała sobie sprawę, że jakaś część niej wcale tego nie chciała. Nie chciała, żeby został złapany w pułapkę, którą sama pomogła zastawić.

Zeszła po schodach, wsiadła do samochodu i zapaliła silnik. Zakręciła i skierowała się w stronę domu, kiedy jednak do niego dotarła, nie zatrzymała się. Dom wyglądał spokojnie. Światło w kuchni było zapalone. Zadzwoiła do Sary i porozmawiała z nią chwilę. Wszystko było w porządku. Powiedziała córce, że niedługo wróci, że musi pojechać na zakupy.

Pojechała na południe i na wschód, wylądowała na Carpenter Road. Minęła restaurację ze znakiem półksiężyca i znalazła skręt, który miał ją zaprowadzić do apartamentu Seana Wrentmore'a. Przy wejściu rosły jesiony, ich kora łuszczyła się. Zjechała nieco w dół, mijając próg zwalniający. Elegancko ubrana para wsiadła do samochodu terenowego - byli to młodzi eleganccy ludzie biznesu, gotowi na sobotnią noc, którą spędzić mieli z innymi młodymi eleganckimi ludźmi biznesu.

Samochód Elizabeth toczył się powoli wzdłuż parkingu. Kiedy była już blisko domu Wrentmore'a, zobaczyła znajomy samochód.

David Loogan spoglądał przez lusterko na zbliżającą się do niego sylwetkę. Odwrócił się w odpowiednim momencie, by zobaczyć, jak otwierają się drzwi pasażera.

Usłyszał cichy głos.

- Gdybyś wiedział, co robisz, wyłączyłbyś światło w samochodzie. W ten sposób przyciągasz uwagę.

- No to się pośpiesz - powiedział. - I zamknij za sobą drzwi.

Zgasił światło. Laura Kristoll pochyliła się do niego, jej oddech był słodki. Zamknęła oczy, a on pocałował ją. Objął ją pod jej rozpiętym płaszczem, przesunął dłońmi po jej ciele, wzdłuż nóg.

- Davidzie - powiedziała nieco urażonym głosem. - Jesteś romantycznym skurczybykiem, czyż nie? Nie mam przy sobie broni.

- Nie powinnaś była tu przychodzić - powiedział, odsuwając się.

- Jak mnie znalazłaś?

- Chciałeś, żeby cię znaleźiono. Te słowa, że chowałeś się w miejscu, w którym nikt cię nie szukał. To była wskazówka. Musiało to oznaczać, że ktoś powinien cię szukać właśnie tam, a nie ma wielu takich miejsc.

Spojrzała przez szybę. Kawalek dalej, za kilkoma sosnami, zobaczyli szklane drzwi na tyłach domu Seana Wrentmore'a.

- Stał pusty przez ostatni miesiąc - powiedziała. - Idealna kryjówka. Naprawdę tutaj mieszkałeś?

- Nie.

- Ale chciałeś, żeby tak pomyśleli - powiedziała. - Nate, Cass i Bridget. Chciałeś, żeby któreś z nich tu przyjechało, a teraz sprawdzasz, czy ktoś chwyci przynętę. Naprawdę uważasz, że jedno z nich zabiło Toma?

- Mam zamiar się tego dowiedzieć.

- A co, jeśli ktoś przyjdzie, ale nie skorzysta z tylnego wejścia? Co, jeśli zapuka do frontowych drzwi?

- Wtedy dowiedzą się, że nikogo nie ma w domu. Czego chcesz, Lauro?

- Chcę ci pomóc. Mam ze sobą trochę pieniędzy. Pomyślałam, że przydadzą ci się, skoro wyjeżdżasz z miasta. - Wyciągnęła z kieszeni płaszcz kopertę i położyła ją na tablicy rozdzielczej.

- Są tu dwa tysiące - powiedziała. - Później mogę wysłać ci więcej.

Nie sięgnął po nie.

- Co chcesz dostać w zamian za dwa tysiące dolarów?

Znów zraniony ton.

- Skurwysyn. Pieniądze są twoje. Nie musisz dawać mi nic w zamian.

W półmroku przyglądał się jej twarzy.

- Nie mam ze sobą pendrive'a Seana Wrentmore'a. Ukryłem go w bezpiecznym miejscu. Nie mógłbym ci go dać, nawet gdybym chciał.

- To znaczy, że nie chcesz - powiedziała łagodnie. - Ale to nie szkodzi. Wierzę, że będziesz na niego uważał.

- Jak sądzisz, co na nim jest?

- Z pewnością maszynopis Seana.

- Pewnie. Cóż innego? Ale to pendrive Seana, więc jest na nim jego wersja, nie ta zredagowana.

- Nie chciałabym, żeby jakakolwiek wersja tego maszynopisu krążyła między ludźmi.

- Wciąż chcesz ją opublikować?

- Za kilka lat. Kiedy wszystko się uspokoi.

- Ale złożyłaś na policji oświadczenie dotyczące śmierci Seana. Powiedziałaś im prawdę?

- Oczywiście.

- I nie zaciekawili ich maszynopis? To w końcu powód jego śmierci. Nie chcieli kopii dla siebie?

- Nie poprosili o nią. Jeszcze nie, w każdym razie.

Loogan milczał przez chwilę. Potem spytał:

- Jeśli poproszą, co im dasz?

- Coś wymyślę - odparła Laura. - Ludzie przesyłają do „Szarych Ulic” mnóstwo rzeczy. Publikujemy tylko opowiadania, ale i tak wysyłają nam powieści. Płyt jest coraz więcej, nie zawsze odsyłamy je im z powrotem.

Pozwolił jej popatrzeć na siebie, położyła rękę na jego ramieniu.

- Mówię ci to, bo ci ufam, Davidzie. I mówię poważnie. Powieść Seana - jej zredagowana wersja, wersja Toma - zostanie opublikowana za kilka lat. Zadbam o to. Dla Toma.

Przez parking przejechał van. Loogan patrzył na niego przez lusterko. Zobaczył rodzinę, która zbliżała się do restauracji, nad którą świecił neon w kształcie półksiężyca. Kiedy jej drzwi się otworzyły, usłyszał odległe dźwięki muzyki.

- Wierzę ci - powiedział, zwracając się ku Laurze. - Wierzę we wszystko poza jednym. Policja znalazła moje odciski palców w samochodzie Adriana Tully'ego.

- O czym ty mówisz?

Palcami musnął jej złote włosy.

- Tully był w twoim domu tej nocy, kiedy zginął Sean Wrentmore. Wszedł jednak, zanim przyjechałem, żeby pomóc Tomowi z ciałem. Tully nie odjechał jednak własnym samochodem. Zostawił swoją niebieską hondę civic pod waszym domem. Tom ukrył ją w garażu, gdzie zostałby, gdybym nie zadawał zbyt wielu pytań. Tom nie chciał mi powiedzieć, że leżące w jego gabinecie ciało to Wrentmore. Powiedział, że to złodziej, który włamał się do waszego domu. Chciałem się dowiedzieć, jak się tam dostał, czy przyjechał samochodem.

Owszem, miał, nim jednak odjechał Tully. Zabrał go, żeby się go pozbyć. Czy tak właśnie było?

- Sądzę, że tak być musiało. Nie znam tych wszystkich szczegółów, Davidzie.

- Oczywiście, że nie - powiedział. - Nie było cię tam. Tom nie chciał mi tego wszystkiego tłumaczyć, ale musiał mi wyjaśnić, w jaki sposób złodziej dostał się do waszego domu. Improvizował więc. Honda Tully'ego stała się samochodem złodzieja, a my mieliśmy pozbyć się go razem z ciałem. Ja nią jechałem i zostawiłem ją pod rozpadającym się blokiem w niebezpiecznej dzielnicy, licząc na to, że zostanie skradziona. Wytarłem odciski z kierownicy, ale przez nieuwagę zostawiłem na tylnym siedzeniu plastikową torebkę. I w ten sposób policja znalazła moje odciski palców - wycofał rękę. - A teraz śmieszna sprawa: parę dni temu sprawdziłem adres Adriana Tully'ego i pojechałem tam. To rozpadający się blok. Dokładnie ten sam, pod którym zostawiliśmy niebieską hondę. Tom wybrał to miejsce - jechał przede mną własnym samochodem. - Odczekał chwilę. - Odstawiliśmy Tully'emu samochód pod same drzwi.

- Tom miał poczucie humoru - powiedziała Laura. - Nie jestem jednak pewna, o co ci chodzi.

- Być może tylko mnie interesują takie szczegóły. A jednak długo zastanawiałem się nad nimi. Pomyśl, na przykład, o samochodzie Seana Wrentmore'a. Nie został znaleziony. Gdzie Tully go zostawił?

Odwróciła się.

- Nie wiem. Być może zostawił go w jakiejś podejrzaney dzielnicy, tak jak wy.

- Postaraj się bardziej. Porzucanie samochodu to robota dla dwóch osób. Pomogłaś mu.

Przez kilka sekund siedziała nieruchomo. Nic nie dało się wyczytać z jej profilu. Potem spojrzała na niego smutno.

- Nie będę zaprzeczać, Davidzie. Wieczorem wróciłam do domu z uczelni i zobaczyłam ich trzech w gabinecie. Martwy Sean leżał na ziemi. Adrian siedział w kącie z podkulonymi nogami, a Tom nalewał sobie drinka. Zrobiłam to, co konieczne.

- Nie - powiedział Loogan szorstko. - Nie byłaś na uczelni tamtego wieczora. Byłaś w gabinecie, razem z Adrianem i Seanem. Nie wiem, gdzie był wtedy Tom. Ale ty tam byłaś, bo to ty przerobiłaś maszynopis. To ty namawiałaś Seana, żeby zaakceptował zmiany.

Wydawało mu się, że się zawahała, odpowiedziała jednak:

- Nie. To Tom był redaktorem.

- Każdy może być redaktorem - powiedział Loogan. - Nie trzeba się tego uczyć. To coś, co się przydarza, jak wpadnięcie do studni. Tom mi to powiedział. Mam dobrą pamięć do takich rzeczy. Rozmawiałem kiedyś z tobą o pracy redaktora. Powiedziałaś, że lubisz, kiedy trzeba się napracować nad maszynopisem. Kiedy od razu widać, co jest nie tak i wiadomo, jak to naprawić. Zmiany są tak oczywiste, że żaden autor nie będzie się o nie kłócił, o ile ma odrobinę zdrowego rozsądku. Sean Wrentmore nie był jednak rozsądny. Kłócił się. Czy to ty uderzyłaś go butelką w głowę?

Laura odsunęła się od niego. Patrzyła prosto przed siebie, otulając się płaszczem.

- Zapewne na to zasługuję - powiedziała głucho. - Masz powody, żeby myśleć o mnie jak najgorzej. Ale nie jestem aż tak zła. To Adrian go uderzył. Wszystko stało się bardzo szybko. Nie byłam w stanie go powstrzymać.

Znow spojrzała na niego. Wydało mu się, że zaraz się rozpłaczę.

- Przykro mi, Davidzie. Źle zrobiłam, szukając cię, mówiąc, że chciałabym opublikować powieść Seana dla Toma. Chcę tego dla

siebie samej. Wiem, że źle się do tego wszystkiego zabrałam, ale nie chciałam, żeby Seanowi coś się stało. I nie żałuję swojej pracy nad tą książką. Nie ma w tym nic złego. Wiem, co osiągnęłam. Nie będę przepraszać za to, że chciałabym ją opublikować.

- Nie musisz przepraszać - powiedział. - Wracaj do domu, Lauro. Zachowaj swoje pieniądze. Opublikuj swoją książkę, jeśli tylko będziesz mogła. Nie mam zamiaru cię powstrzymywać.

Koperta wciąż leżała na tablicy rozdzielczej. Żadne z nich na nią nie spojrzało. Ona powiedziała jednak:

- Weź te pieniądze, Davidzie. Będziesz ich potrzebował.

- Nie chcę - odparł. - Chcę od ciebie tylko jednego, chociaż wątpię, by udało mi się to uzyskać. Dam więc spokój.

Zbliżyła się do niego.

- Co to? Czego chcesz?

- Chcę odpowiedzi na proste pytanie. Czy wiesz, kto zabił Toma?

Jej oczy zwęziły się, na jej skroni pulsowała żyła. Otworzyła usta, lecz nie wydała żadnego dźwięku. Loogan patrzył, jak otwiera drzwi, jasne światło padało na jej gładką, porcelanową skórę. Zanim wysiadła, znów odwróciła się do niego, zamachnęła się i mocno uderzyła go dłonią w twarz.

Rozdział 36.

Sto jardów dalej, po drugiej stronie domu Seana Wrentmore'a, Elizabeth podeszła do samotnie zaparkowanego pod jabłonią samochodu. Siedzący w nim mężczyzna zobaczył ją i nacisnął guzik pozwalający otworzyć drzwi pasażera.

Roy Denham uśmiechnął się, sprzątając z fotela termos i gazetę.

- Detektyw Waishkey - powiedział, zmiatając dłonią okruchy.
- Detektywie Denham - przywitała go. - Czy nasz przyjaciel się pokazał?

- Nie. Ale jestem tu dopiero od godziny.

Elizabeth usiadła i zamknęła za sobą drzwi. W samochodzie pachniało dymem, a popielniczka była pełna petów. Denham otworzył okno, żeby trochę przewietrzyć wnętrze.

- Właśnie wróciłam z domu Loogana - powiedziała Elizabeth. - Podejrzewałam, że mogę pana tu spotkać. Co pana tu sprowadza?

Denham wskazał na książkę leżącą na tablicy rozdzielczej. Klucz Kendela autorstwa Casimira Hifflyna.

- Kupiłem ją w sklepie z używanymi książkami dla zabicia czasu - powiedział. - Ten detektyw, Kendel, jeździ po całym kraju, próbując rozwiązać zagadkę morderstwa kobiety. Mieszkała sama, jej dom stoi pusty, więc Kendel postanawia zamieszkać w nim, zamiast zatrzymywać się w hotelu. - Potarł skroń swoją pomarszczoną dłonią. - Pomyślałem zatem, że i tu musi być kilka pustych domów. Sean Wrentmore mieszkał sam, Adrian Tully też. Stwierdziłem, że najpierw spróbuję tutaj.

Wskazał na apartament Wrentmore'a, jednopiętrową część długiego ceglanego budynku. Dwa okna na froncie były zasłonięte. Lampa nad drzwiami nie paliła się.

- Nic ciekawego - powiedział, po czym zwrócił się do Elizabeth.
- A co u pani? Długo pani pracuje. Coś nowego?

- Nasz przyjaciel nie próżnuje - powiedziała. W skrócie opowiedziała o dziwnej wizycie Loogana w domu Kristollich i o policyjnej akcji zorganizowanej w redakcji „Szarych Ulic”. - Pojadę tam później - dodała. - Zaczęłam się jednak zastanawiać, gdzie jeszcze może być Loogan. Byłam tutaj tydzień temu i rozmawiałam z sąsiadką Wrentmore'a. Widziała tutaj Loogana. Miał klucz. Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej.

- To i tak nic pewnego - zauważył Denham. - Możliwe, że wcale się tu nie pojawi.

- Wrentmore jest jednak częścią tej historii. Być może kluczowym jej elementem. - Elizabeth podniosła książkę Hifflyna. - Rozmawiałam z nim dzisiaj. Z Cassem Hifflynem. Skrywa tajemnicę. - Rzuciła książkę na siedzenie. - On tego nie napisał.

Denham spojrział na nią zdziwiony.

- Napisał to Sean Wrentmore - wyjaśniła Elizabeth. - Zawarli z Hifflynem umowę.

Denham słuchał uważnie, jak opowiadała o swoim spotkaniu z Hifflynem na cmentarzu. Przedstawiła swoją teorię morderstwa Toma Kristolla - Kristoll ukrył śmierć Wrentmore'a, on i Hifflyn dostali listy od szantażysty, Kristoll postanowił zgłosić się na policję, a Hifflyn zabił go, żeby go uciszyć.

- Hifflyn zaprzecza - powiedziała. - Utrzymuje, że jego umowa z Wrentmore'em nie była niczym nadzwyczajnym. Niczym na tyle ważnym, by zabić, żeby utrzymać ją w sekrecie. Albo on kłamie i ja mam rację, albo mówi prawdę, a moja teoria jest bzdurą.

Denham patrzył przed siebie.

- Ale to nie jest jedyna alternatywa - powiedział. - Jest jeszcze trzecia droga, prawda?

Te słowa zaskoczyły Elizabeth. Trzecia droga. Spojrzała na Denhama z zaciekawieniem.

- Co ma pan na myśli?

- Powiedzmy, że ma pani rację co do tego, dlaczego Kristoll został zamordowany, ale myśli się pani co do mordercy. Hifflyn mówi prawdę.

Ktoś inny zabił Kristolla. - Denham uniósł krzaczaste brwi. - Komu jeszcze Wrentmore pisał książki?

David Loogan skradał się z boczem na tyłach domu Wrentmore'a. W kieszeni miał gaz pieprzowy a w dłoni skierowany lufą w dół, pistolet Wrentmore'a. Wszedł przez szklane drzwi i zamknął je za sobą.

W sypialni panowała cisza. Loogan szedł przez ciemność. Rozejrzał się po pustym domu, po czym wycofał się do łazienki. Bardzo długo siedział w samochodzie.

Dwie minuty później stanął w salonie Wrentmore'a przed jednym z frontowych okien. Wcześniej zasłonił je, teraz jednak odsunął zasłonę, żeby spojrzeć na parking. Znał samochody Hifflyna, Hideaway'a i Bridget Shellcross. Nie widział żadnego z nich. Za suchymi gałęziami drzewa zobaczył nieoznakowane auto. Siedział w nim kierowca, po chwili zauważył też sylwetkę pasażera. Nie był w stanie rozpoznać twarzy.

- Nathan Hideaway - powiedziała Elizabeth.

Myślała na głos, składając szczegóły w jedną całość.

- Żona Hideaway'a umarła sześć lat temu na raka. Nie mógł wtedy pracować. Tak mi powiedział. Potem Tom Kristoll zaprosił go do Ann Arbor, załatwił mu pracę na uniwersytecie. I wtedy wróciło mu natchnienie. Tom przedstawił Hifflynowi Seana Wrentmore'a. Mógł przedstawić go również Hideawayowi.

Denham pokiwał głową. Wyciągnął paczkę papierosów, wyjął jednego, a potem schował go z powrotem.

- Terminy się zgadzają. Wrentmore zaczął dobrze zarabiać jakieś pięć lat temu. Napisał trzy książki dla Hifflyna. Mógł napisać też jedną czy dwie dla Hideaway'a. Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej.

- Jest pani dla siebie zbyt surowa - pocieszył ją Denham. - Nie da się myśleć o wszystkim.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Ten Hideaway jest uroczym starszym panem. Siwy dziadzius. Myślę, że to mnie zmyliło.

- Trzeba uważać na staruchów - mrugnął do niej Denham. - Jeśli jednak jest winny, potrzebujemy dowodu. Jak go zdobędziemy?

Zadawała sobie to samo pytanie.

- Na początek tatuaże - powiedziała. - Wrentmore wytatuował sobie na ramieniu słowa Szczęście Kendela. To jedna z powieści, które napisał dla Hifflyna. Mógł mieć więcej tatuaży. Musimy znaleźć jego ciało. Tylko Loogan może nas do niego zaprowadzić.

Denham nagle pochylił się naprzód, wpatrując się w okna domu Wrentmore'a.

- Wydaje mi się, że tam jest. Okno po lewej jest odsłonięte, wcześniej nie było. Czekałem, aż wejdzie przez drzwi, a może on był tam przez cały ten czas.

- Mógł też dopiero wejść - zauważyła Elizabeth. - Z tyłu też jest wejście, szklane drzwi na taras.

Denham ścisnął mocno kierownicę.

- Pojadę na tył. Moglibyśmy go teraz złapać.

- Spokojnie, Roy - powiedziała. - Zadzwońię po posiłki. Zrobimy to tak, jak trzeba. Obawiam się, że nie będzie pan mógł wziąć w tym udziału.

Denham uśmiechnął się do niej lekko.

- Pewnie ma pani rację - westchnął. Sięgnął do kieszeni swojej zmechaconej marynarki. - Chce pani skorzystać z mojego telefonu?

- Mam swój. - Trzymała go w kieszeni płaszcza. Kiedy zacisnęła na nim dłoń, zaczął dzwonić.

W tej samej chwili Denham wyciągnął rękę z kieszeni. Miał w niej coś, co nie było telefonem. Elizabeth zdążyła dojrzeć kolory - żółty i czarny. Zdążyła pomyśleć: paralizator. Potem poczuła w ciele prąd, upuściła telefon i krzyknęła z bólu.

Carter Shan obudził się gwałtownie. Siedział nad papierami w urzędzie, potem zdrzemnął się w poczekalni na komisariacie. Uniósł się na poduszkach i opuścił stopy na podłogę.

Alice Marrowicz, która ledwo musnęła jego ramię, cofnęła się lekko. Pomyślała, że powinna była zapalić światło. Budzenie uzbrojonego mężczyzny nie było najmądrzejszą rzeczą na świecie.

- Przepraszam - powiedziała.

Cofnęła się do ściany i zapaliła światło. Halogeny zasyczały. Shan zamrugał.

- Co się dzieje?

- Nie jestem pewna.

- Jest już pierwsza?

- Co ma się stać o pierwszej?

- Alice - powiedział niecierpliwie - co mogę dla ciebie zrobić?

Zawstydziła się. Przez chwilę szukała odpowiednich słów.

- Próbowałam dodzwonić się do pani detektyw Waishkey. Nie odebrała komórki. W domu też jej nie ma - rozmawiałam z jej córką.

- Po co do niej dzwoniłaś?

- Chodzi o Davida Loogana. To znaczy o Darrella Malone.

Shan wyteńczył słuch.

- Słucham cię.

- W środę detektyw Waishkey poprosiła mnie, żebym dowiedziała się czegoś o Looganie. To było, jeszcze zanim pojawił się ten detektyw z Nowego Jorku, Roy Denham. Mieliśmy adres Loogana w Cleveland i nazwisko człowieka, który wynajmował mu mieszkanie. W czwartek rano udało mi się do niego dodzwonić.

Powiedział mi, że Loogan przeprowadził się do Cleveland z Filadelfii. Dał mi jego filadelfijski adres i telefon kobiety, od której wynajmował tamten dom. Próbowałam się do niej dodzwonić, ale wciąż odzywała się sekretarka.

Zniecierpliwienie na twarzy Shana stawało się coraz wyraźniejsze. Zaczęła się spieszyć.

- Denham przyjechał w czwartek wieczorem i dowiedzieliśmy się od niego, kim jest Loogan i tego, że pochodzi z Nossos. Przestałam więc dzwonić do tej kobiety z Filadelfii, sądząc, że nie ma to już znaczenia.

- Do czego zmierzasz, Alice? - przerwał jej.

- Zadzwoniła dziś do mnie. Wyjechała i dopiero teraz odebrała moją wiadomość. Była zaintrygowana tym, że policja dzwoni do niej w sprawie Loogana. Liczyła chyba na jakieś soczyste plotki. Tak czy inaczej, powiedziała mi o nim coś dziwnego - zmienił nazwisko.

Shan oparł się o poduszki.

- To już wiemy. Kiedy mieszkał w Nowym Jorku, nazywał się Darrell Malone, potem zaczął używać nazwiska David Loogan.

- Mieszkał u niej przez jakiś czas - ciągnęła Alice. - Pierwszą umowę podpisał nazwiskiem Darrell Malone. Drugą - David Loogan. Zmienił nazwisko. Legalnie.

Shan zmrużył oczy.

- To nie może być prawda.

- Dał jej dowody - powiedziała Alice. - Pokazał jej kopię petycji zaakceptowaną przez sąd. Poszuka jej w swoich dokumentach i prześle nam faksem.

- O cholera.

- Gdyby naprawdę był uciekinierem, nie mógłby tego zrobić, prawda?

„Tribune” - gazeta z Nossos - miała swoją stronę internetową, nie było na niej jednak archiwum. Carter Shan zdobył numer do jej dziennikarki śledczej. Zajmowała się sprawą Malone'a na początku swojej kariery. Po chwili narzekania - Carter przerwał jej sobotnią randkę - powiedziała mu o Darrellu Malone.

Dziewięć lat wcześniej Malone został oskarżony o zabójstwo Jimmy'ego Wade'a Peltiera - to była prawda. Nigdy jednak nie uciekł. Wziął udział w procesie o morderstwo drugiego stopnia, jednak ława przysięgłych nie mogła podjąć jednomyślnej decyzji. Podzielili się dziewięć do trzech na korzyść oskarżonego. Prokurator odmówił powtórzenia procesu. Darrell Malone jest wolnym człowiekiem.

Owen McCaleb spokojnie przyjął tę wiadomość. Stał przy oknie w swoim biurze, wpatrywał się w ciemność.

- Czy detektyw Roy Denham pracuje w policji w Nossos?

- Pracował. Zmarł dwa lata temu. Wylew.

- A więc Denham, z którym rozmawialiśmy...

- James Peltier - powiedział Shan. - Ojciec Jimmy'ego Wade'a. Reporterka opisała mi go. Rozmawiała z nim kilka razy, przed i po procesie Malone'a. Nie był zadowolony z wyniku.

Powaga sytuacji zdawała się przytłaczać McCaleba. Widać to było w jego sylwetce - wyglądał, jakby opuściła go energia.

- Pokazał mi dowód osobisty - powiedział słabym głosem.

- Dziennikarka powiedziała mi, że przez trzydzieści lat był właścicielem drukarni - powiedział Shan. - Mógł sobie sprokurować fałszywy dowód.

- Pewnie ma żonę. Twardą, starą babę. Dobrze udawała szefa policji.

- Nieźle to zaplanowali. Zadzwoniła do ciebie, żeby powiedzieć, że on przyjeżdża. On pojawia się na sygnał. Faks dokumentów załatwia sprawę. Nic nie wzbudza podejrzeń. Akta były pewnie w miarę autentyczne. Dziennikarka powiedziała mi, że prawdziwy Denham zaprzyjaźnił się z Jamesem Peltierem. Nie pierwszy raz detektyw pożałował ojca w żałobie. Peltier mógł poprosić o kopię akt i zachować ją. Wymagała tylko kilku zmian, żeby wyglądało na to, że Malone uciekł przed procesem. Prawdopodobnie żona się tym zajęła, kiedy Peltier powiedział jej, czego potrzebuje.

- Ale co doprowadziło ich do Loogana? - spytał McCaleb. - Skąd wiedzieli, że tu jest?

- Nie sprawdziłem tego jeszcze, ale prawdopodobnie Denham - Peltier nie kłamał. Loogan poszedł kupić łopatę. Kasjerka rozpoznała go, bo chodziła z nim do szkoły. Powiedziała o tym siostrze, która nie przekazała tej informacji policji, tylko Peltierom.

McCaleb odwrócił się od okna.

- Dobrze - powiedział. - Wyślę radiowóz do hotelu Jamesa Peltiera. Zobaczymy, czy uda nam się go złapać.

- Powinieneś zadzwonić do Elizabeth. Na pewno chciałyby tego wysłuchać.

Shan wziął komórkę i wybrał numer Elizabeth. Usłyszał jej automatyczną sekretarkę i zaniepokoił się, pamiętając, że Alice też próbowała się do niej dodzwonić. Zostawił wiadomość i zadzwonił do domu Elizabeth. Rozmowa z Sarą nie uspokoiła go.

- Lizzie nie odbiera - zwrócił się do McCaleba. - Dzwoniła do córki około siódmej piętnaście i powiedziała, że wybiera się na zakupy. Od tamtej pory - cisza.

McCaleb zmarszczył czoło. Obaj wiedzieli, że Elizabeth trzyma telefon przy sobie, że nie lubi być poza zasięgiem.

- Być może nic się nie stało - powiedział McCaleb. - Ale nie zadowolę się tym przypuszczeniem. Nie dzisiaj. Musimy ją znaleźć. Chcę, żebyś współpracował z Harveyem Mitchumem. Zadzwoń do niego i powiem, żeby wycofał ludzi spod redakcji „Szarych Ulic”.

- Dobrze.

McCaleb osunął się na krzesło za biurkiem.

- Może jej telefon nie działa - powiedział z nadzieją. - Może naprawdę poszła na zakupy? Myślisz, że poszła?

Shan już wychodził. Nie zatrzymując się, rzucił:

- Nie.

- Ja też nie.

Rozdział 37.

Elizabeth Waishkey czuła dreszcze przebiegające jej ciało. Mięśnie karku drgały, kiedy oparła się o ścianę w salonie Seana Wrentmore'a. Nadgarstki miała spięte kajdankami. Jej nogi, ściśnięte w kostkach taśmą klejącą, rozprostowane na podłodze, trzęsły się i drżały.

W pokoju świeciło się tylko jedno światło, stojąca na stole lampa z pergaminowym abażurem. Światło było złote i Elizabeth wydawało się, że miga. Po chwili zrozumiała jednak, że to miganie tkwi tylko w jej głowie.

Pamiętała kilka rzeczy. Żółć i czerń w dłoni Roya Denhama. Krzyk, który z siebie wydała, gdy poczuła prąd. Swoje zwisające bezradnie dłonie i Denhama, który zabiera jej pistolet. Głos Denhama.

- Moja droga pani, proszę o wybaczenie.

Potem stopy na ziemi. Trzęsące się kolana. Sztywne ramiona. Wtedy założył kajdanki. Jej własne, wyjęte z za jej skórzanego pasa. Drogę przez parking z palcami Denhama ściskającymi jej ramię.

Światło na ganku nagle się zapaliło. David Loogan stanął w drzwiach z dubeltówką w dłoni.

Denham przycisnął lufę do jej skroni. Chłodna stal. Loogan pochylił się powoli i położył broń na ziemi. Wycofał się do środka, unosząc dłonie nad głowę.

- Spokojnie, panie Peltier - powiedział.

Gdyby była mniej otumaniona, gdyby jej dłonie były wolne, uderzyłyby się w czoło. Zamiast tego, powoli zaczynała rozumieć. Palce Peltiera ściskały jej ramię. Poprowadził ją po schodach na górę.

„Jest pani dla siebie zbyt surowa” - powiedział do niej - „nie da się myśleć o wszystkim”.

Przechodząc przez drzwi, znów usłyszała jego głos.

- Bądź cicho i mów, co każe - szepnął jej do ucha. - Nic ci się nie stanie.

Teraz, w migającym złotym świetle, dojrzała Davida Loogana siedzącego pośrodku pokoju, na krześle z kuchni Wrentmore'a. Wcześniej nie zauważyła, że ogolił głowę.

Peltier musiał mieć drugie kajdanki, bo ręce Loogana były uwięzione nad jego głową.

Loogan patrzył na nią spokojnie. Spojrzała na jego usta. Zawsze uważała, że ma interesujące usta. Jego wargi poruszały się. „Elizabeth” - powiedział.

James Peltier - mężczyzna, który nazywał siebie Royem Denhamem - swobodnie uniósł rękę. Czarno-żółty paralizator dotknął piersi Loogana i zaiskrzył. Loogan skrzywił się i znieruchomiał na chwilę.

- Zamknij się - warknął Peltier i z powrotem włożył paralizator do kieszeni.

Wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. Wydmuchał dym na sufit pokoju Seana Wrentmore'a. Zaciągnął się jeszcze raz i przełożył papierosa do drugiej ręki. Wyciągnął z kieszeni spodni pistolet Elizabeth.

- Panie Peltier - powiedziała - nie chce pan tego robić. - Jej głos zabrzmiał dziwnie, jakby migotał podobnie jak światło.

Peltier nawet na nią nie spojrzał.

- Powiedziałem, że masz siedzieć cicho.

- Gdybyś naprawdę chciał to zrobić - ciągnęła - już byłoby po wszystkim. I przyniósłbyś tu własny pistolet.

Peltier wciąż nie odrywał oczu od Loogana, wyciągnął jednak papierosa z ust, rzucił go na ziemię i przydeptał. Schował pistolet Elizabeth za pas i sięgnął do kieszeni swojej marynarki. Wyciągnął z niej kilkucentymetrowy metalowy przedmiot. Wstrząsnął nadgarstkiem i ich oczom ukazał się nóż z ostrzem wypolerowanym niczym lustro.

Podniósł go, żeby Elizabeth mogła go wyraźnie zobaczyć, oczu nie oderwał jednak od Loogana.

- Zabił mojego syna takim nożem, powinien zginąć w ten sam sposób. To byłoby sprawiedliwe. Obawiam się jednak, że nie będę

w stanie tego zrobić. - Rzucił nóż na stojącą za jego plecami kanapę. - Będę musiał użyć pistoletu.

Chwycił broń dłonią, nie wyciągnął jej jednak. Elizabeth uznała to za dobry znak. Pomyślała, że może uda jej się go uspokoić. Nie miała wielu innych opcji. Mogła zacząć krzyczeć i liczyć na to, że ktoś ją usłyszy. Gdyby jednak Peltier spanikował, mógłby ją zastrzelić, nie dotrzymując złożonej obietnicy.

Rozejrzała się po pokoju. Nigdzie nie widziała dubeltówki Loogana. Możliwe, że Peltier zostawił ją na schodach na zewnątrz. Ktoś mógł ją zobaczyć, zaniepokoić się i zadzwonić na policję. Albo i nie. Gdyby światło było zgaszone - a Elizabeth podejrzewała, że było - nikt by jej nie zauważył. A wszystkie okna były zasłonięte. Nikt nie zdołałby zajrzeć do środka.

Musiała zacząć z nim negocjować, przemówić mu do rozsądku. Tylko tyle mogła zrobić.

- Panie Peltier...

Cofnął się o krok i spojrzał na nią.

- Niech pan pomyśli nad tym, co chce pan zrobić - powiedziała.

Daniel Loogan zachichotał. Niespodziewany dźwięk.

- Och, na pewno o tym myślał - powiedział. - Myślał o tym przez wiele lat. Przygotowywał się.

Peltier nie poruszył się. Złote światło padało na połowę jego twarzy.

- Wrzucał mi kamienie przez okno - powiedział Loogan. - Dzwonił do mnie w środku nocy. Zawsze z niemożliwych do wyśledzenia publicznych telefonów. Nie odzywał się. Policja nic nie mogła na to poradzić. Po pewnym czasie przeprowadziłem się. Zmieniłem nazwisko. W zasadzie jestem mu za to wdzięczny - nie podobało mi się bycie Darrellem Malone.

Elizabeth przyglądała się Looganowi. Wydawał się zaskakująco zrelaksowany jak na człowieka, którego ręce są uwięzione za plecami. Pozwoliła sobie na przeblysł nadziei może Loogan ma jakiś plan? Był żonglerem. Jest sprawny. Może ma też inne umiejętności. Może jakimś tajemniczym sposobem właśnie w tej chwili zdejmuje kajdanki.

Wciąż mówił.

- Od sześciu lat nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Już myślałem, że pan Peltier odpuścił. Że pogodził się z tym, co się stało. A jednak nie. Oto i jest tutaj, gotowy, żeby mnie zastrzelić. To znacznie więcej niż anonimowe telefony. Ale chyba rozumiem. Zestarzałeś się, Jim. Czas mija. Jeśli nie zrobisz tego teraz, pewnie nie zrobisz tego już nigdy.

- Gdybym był na twoim miejscu, nie ruszałbym się - powiedział Peltier swoim zachrypniętym głosem palacza. - Zastanowiłbym się nad swoim życiem. Zacząłbym się godzić z Bogiem.

- Mam ochotę pogadać, Jim. Kiedy jeszcze będziemy mieli szansę, żeby pogadać?

- Mam już dosyć twojego gadania. Przez dwa dni słuchałem go na procesie. - Peltier wyciągnął broń zza pasa i zwrócił się do Elizabeth. - Zeznawał na swoim procesie. Powiedział im dokładnie, co zrobił mojemu synowi. Nawet nie próbował zaprzeczyć. A oni i tak go puścili.

- Chciałabym o tym posłuchać, panie Peltier - odpowiedziała spokojnie. - Może pan usiądzie i porozmawiamy?

Jego twarz wyrażała rozczarowanie.

- To się nie uda. Nie odwiedzisz mnie od tego. I nie mam ochoty go słuchać.

- Ale my we dwojkę możemy porozmawiać - powiedziała. - Chciałabym dowiedzieć się, co pan ma do powiedzenia.

- Gadanie na nic się zda.

- Widzisz, Elizabeth - wtrącił się Loogan. - On nie chce mówić. Nie chce też słuchać. Zabiłem jego syna, Jimmy'ego Wade'a. Byłem obok, kiedy umierał. Słyszałem jego ostatnie słowa. Ale Jim nie jest tym zainteresowany.

Peltier wycelował lufę w jego stronę.

- To kłamstwo. Jimmy nie wypowiedział żadnych ostatnich słów.

- Oczywiście, że wypowiedział.

- Próbujesz zyskać na czasie. Nic o tym nie mówiłeś na procesie.

- Nie mówiłem o tym, bo to by mi nie pomogło.

Peltier wycelował pistolet w serce Loogana.

- Co powiedział?

- Nie będzie aż tak łatwo. Opowiem moją wersję historii, od samego początku.

- Mów albo cię zastrzelę.

Loogan siedział nieruchomo i powiedział cicho:

- I tak mnie zastrzelisz. Wiem, że umrę. Ale ty też, Jim. Obaj jesteśmy umierający. Chcesz odejść, nie poznawszy ostatnich słów swojego syna?

Nic nie dało się wyczytać z twarzy Peltiera. Dłoń trzymająca pistolet była nieruchoma.

- Niech pan pozwoli mu mówić - poprosiła Elizabeth. - To pan ma nad nami kontrolę, mógłby pan okazać mu nieco łaski.

- Nie zasługuje na łaskę.

- A więc może na sprawiedliwość - powiedziała. - O to właśnie chodzi, prawda? Pan nie jest mordercą, jest pan egzekutorem. On zasługuje na śmierć.

- To prawda. Zasluguje.

- Nawet skazaniec ma jednak prawo do wydania oświadczenia. Tak to działa.

- Wiem, co chcesz zrobić - powiedział Peltier, nawet na nią nie patrząc. - Chcesz go uratować. On nie zasługuje na ratunek. - Ramię Peltiera opadało powoli, aż zawisło luźno u jego boku. - Możemy go wysłuchać, ale to niczego nie zmieni. Kiedy skończy, zastrzelę go. Potem możecie mnie aresztować. Wszystko mi jedno, co się ze mną stanie, byle tylko on nie żył.

Kiedy Loogan zaczął opowiadać swoją historię, Elizabeth zdała sobie sprawę, że nie ma żadnego wspianego planu. Nie potrafił otworzyć zamka w kajdankach, zresztą i tak nie miał czym tego zrobić. Mógł tylko grać na czas, przedłużać swoje życie o kolejne minuty.

- To zdarzyło się latem - zaczął - dziewięć lat temu. Dwudziestego pierwszego czerwca. Poszedłem na randkę z Charlotte Rittenour. Charlotte była piękna. Naukowcy próbują zrozumieć, co czyni twarze pięknymi. Chodzi głównie o symetrię i proporcje. Wysokie kości policzkowe, szeroko rozstawione oczy, odpowiedni dystans między ustami a końcem podbródka. Twarz Charlotte była idealna. To nie moja opinia - sędzę, że dałoby się to matematycznie udowodnić.

James Peltier stał obok sofy, poza zasięgiem Loogana i Elizabeth. Opuścił pistolet, jego palec wciąż spoczywał jednak na spuście.

Za jego plecami wisiały oprawione biało-czarne zdjęcia Wrentmore'a. Ponure, poważne, wyzywające twarze.

- Umówiliśmy się na kolację we włoskiej restauracji - powiedział Loogan. - To była nasza pierwsza randka. Kelnerka przyniosła nam koszyk bułeczek. Kiedy zacząłem się obawiać, że zabraknie nam tematów, zacząłem żonglować trzema z nich. Mój

jedyny trick. Poszło mi nieźle, potem kelnerka przyniosła trzy butelki wody i zrobiłem to znowu. Zrobiłem nieco zamieszania. Darrell Malone, dusza towarzystwa. Charlotte wydawała się rozbawiona.

Potem poszliśmy do kina, ale nie pamiętam, o czym był film. Pamiętam, że siedziałem w ciemności tuż obok niej, czekając, aż coś jasnego pojawi się na ekranie, żebym mógł odwrócić się i spojrzeć na jej twarz. Kiedy film się skończył, było już późno. Odprowadziłem ją do samochodu - zaparkowaliśmy w tym samym miejscu. Kiedy jednak doszliśmy tam, ona chciała wejść na dach i popatrzeć na gwiazdy. Zrobiliśmy więc to. Pokazała mi radiową wieżę, która stała niedaleko domu, w którym Charlotte się wychowała. Mówiła o swojej rodzinie i dorastaniu, a ja o swojej pracy. Byłem inżynierem. Konsultowałem budowę tego parkingu, na którym staliśmy. O dziwo zainteresowało ją to, więc wytłumaczyłem jej, jak to się dzieje, że parking nie zapada się pod naszymi nogami. Nie wiem, jak to się stało, ale zaczęliśmy się całować. Była to ładna, jasna noc, a my staliśmy pod gwiazdami. Chyba nas poniosło. Zatraciliśmy się. I tam znalazł nas Jimmy Wade Peltier.

Loogan nagle zwrócił się w stronę Elizabeth.

- Nie wiem, co Jim powiedział ci o swoim synu...

- Powiedziałem jej to, co powinna wiedzieć.

- Nie był grzecznym harcerzem...

- Stąpasz po cienkim lodzie - powiedział Peltier, uderzając się pistoletem w bok. - Lepiej mów dalej. Nie masz wiele czasu.

Loogan odetchnął głęboko, zanim zaczął mówić znowu.

- Jimmy Wade był awanturnikiem. Po tym, co nam się stało, policja prześledziła jego kroki. Wchodził tamtej nocy do pięciu barów. Pobił się z jakimś studentem, wybił mu ząb. Próbował poderwać przynajmniej dwie kelnerki i z obiema się pokłócił.

Około północy, kiedy dotarł na dach parkingu, był pijany i naćpany metaamfetaminą.

- Już jej to powiedziałem - powiedział Peltier. - Nigdy nie udawałem, że Jimmy był idealny.

- Nie, myślę, że należy przyznać, że daleko mu było do ideału. Poza tym znajdował się w tarapatach. Przyjechał autostopem do miasta z kolegą kolegi, który nagle go opuścił. Kiedy więc znalazł mnie z Charlotte, szukał akurat samochodu. Na górnym piętrze stało tylko jedno auto. Nie należało do żadnego z nas, ale Jimmy tak podejrzewał, bo staliśmy obok niego. W swoich pierwszych słowach zażądał od nas kluczyków. Zaskoczył nas. Nie spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Zrobiłem krok naprzód, żeby stanąć pomiędzy nim a Charlotte. Był chudy, blady, podarł koszulę w czasie bójki. Wyciągnął rękę z kieszeni. Zobaczyłem błysk metalu i zdałem sobie sprawę, że trzyma w niej nóż.

„Klucze do samochodu” - powiedział znowu. - „Natychmiast”.

Popełniłem błąd, chcąc przemówić mu do rozsądku. „To nie nasz samochód” - powiedziałem.

„Nie pieprz, tylko daj mi klucze” - odpowiedział.

Charlotte była rozsądniejsza. Wyjęła z torebki swoje klucze i podeszła do niego.

„Facet chce kluczy” - powiedziała. - „Daj mu klucze”.

Nie wziął ich. Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

„Mądra dziewczynka - powiedział do niej. - Za mądra dla tego kretyna. Powinnaś się ze mną przejechać”.

Loogan mówił z zamkniętymi oczami, jakby pomagało mu to lepiej sobie wszystko przypomnieć. Teraz jednak otworzył je.

- Wtedy stało się kilka rzeczy. Próbowano się mu wyrwać, ale trzymał ją mocno. Niewiele myśląc, sięgnąłem do jego prawej ręki, tej, w której trzymał nóż. Poczulem ukłucie i wycofałem

dłoń. Charlotte mocno nadepnęła na jego stopę obcasem, wyrwała mu się i zaczęła uciekać przez parking. Krzyknął i pobiegł za nią. Zamarłem na chwilę. Na moim przedramieniu była kilkucentymetrowa rana. Nie była głęboka i nie bolała nawet za bardzo, kiedy jednak na nią spojrzałem, zaczęła z niej cieknąć krew.

Charlotte mogłoby się udać, gdyby pobiegła po schodach, nie chciała mnie jednak zostawiać. W windzie był telefon. Chwyliła słuchawkę. Zbyt późno zauważyła, że kabel został przecięty. Kiedy się odwróciła, Peltier ją dorwał. Chciała uderzyć go słuchawką w twarz, trafiła jednak tylko w ramię. Zabolało go to na tyle, żeby się wściekł. Rzucił nią o ścianę, chwycił za włosy, przystawił jej nóż do gardła.

Doszedłem do siebie. Straciłem kilka sekund, oszołomiony widokiem własnej krwi. Teraz jednak podszedłem do niego ostrożnie. Zawołałem coś - nie wiem nawet, czy były to jakieś konkretne słowa. Zachowywałem się, jakbym chciał przyciągnąć uwagę dzikiego zwierzęcia. Odwrócił się, postawił Charlotte pomiędzy nami, wciąż trzymając nóż na jej gardle.

Cofnąłem się o kilka metrów, pokazałem mu swoje puste dłonie.

„Idź stąd” - powiedział.

Zrobiłem krok do tyłu.

„Zabieram samochód” - powiedział.

„Dobrze”.

„Dziewczyne też”.

Pokręciłem głową: „Na to nie możemy się zgodzić”.

Patrzyłem, jak jego palce drżą, kiedy rozluźniał je i znów zaciskał na rękojeści noża. Charlotte napięła mięśnie, opuściła podbródek najniżej, jak mogła.

„Pewnie macie rację” - powiedział. Potem jego kłykcie zbieleły, nóż błysnął, ona krzyknęła, a on upuścił ją na ziemię.

Po chwili klęczałem już przy niej. Na dłoniach miałem krew, a jej oczy były zamknięte. Głową mocno uderzyła o ziemię. Kiedy jednak zbliżyłem policzek do jej ust, poczułem oddech. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę i spróbowałem zatrzymać krwawienie. Nie pomogło za bardzo.

Zdjąłem kurtkę. Jimmy Wade wrócił, kiedy zorientował się, że klucze Charlotte nie otworzą samochodu. Stał nade mną z nożem w dłoni.

„Proszę cię o to ostatni raz - powiedział. - Daj mi swoje klucze”.

Sięgnąłem do kieszeni i rzuciłem mu je, nie zastanawiając się długo. Miałem nadzieję, że sobie pójdzie. On jednak spojrzął na klucze i powiedział: „To klucze do toyoty. Ten samochód to mazda. Czy masz mnie za idiotę?”.

Miałem na to odpowiedź, ale nie uspokoiła go. Wytłumaczyłem mu więc jeszcze raz, że to nie jest mój samochód. Dałem mu portfel, w nadziei, że weźmie go i pójdzie sobie. Sięgnąłem po torebkę Charlotte, chcąc dać mu także jej pieniądze.

Sięgnąłem do niej i poczułem coś mokrego - przez chwilę myślałem, że krew w jakiś sposób znalazła się w torebce. Tak jednak nie było. Charlotte zabrała z restauracji butelkę wody - jedną z tych, którymi żonglowałem - a ona uderzyła o ziemię i pękła.

Wyciągnąłem jej portfel i podałem go Jimmy'emu. Kiedy go oglądał, zacisnąłem pięść na szyjce pękniętej butelki i wbiłem jej krawędź w jego udo.

Upadł na kolana i upuścił nóż. Zostawiłem butelkę w jego nodze i chwyciłem srebrne ostrze. Zobaczyłem w nim odbicie Jimmy'ego, a potem swoją własną twarz. Podniosłem nóż, wbiłem mu go w brzuch i wyciągnąłem. Przysięgam, że wciąż był czysty.

Jęknął i upadł na mnie, a ja znowu go dźgnąłem. Objął mnie słabymi ramionami, poczułem jego oddech na szyi. Nie wyciągałem noża, póki jego ciało nie upadło na mnie całym swoim ciężarem. Wydostałem się spod niego i ułożyłem na ziemi. Nóż został w jego brzuchu.

Stałem na nogi. Charlotte wciąż była nieprzytomna. Leżała we krwi i nie byłem pewny, czy przeżyje. Potrzebowała pomocy, więc poszedłem szukać telefonu. Nie wiem, co pomyślałby ktoś, kto spotkałby mnie na schodach, bo moja koszula była poplamiona krwią Peltiera. Nikt mnie jednak nie widział. Znalazłem telefon piętro niżej i natychmiast dodzwoniłem się na policję. Obiecali, że wyślą karetkę. Zostawiłem wiszącą na kablu słuchawkę i z powrotem wszedłem na górę.

Kiedy wróciłem, Charlotte była przytomna. Udało jej się usiąść, oparła się plecami o ścianę obok windy. Jedną dłoń trzymała się za szyję, drugą - za policzek. Krew ściekała jej po nadgarstkach. Mój widok musiał ją przestraszyć, bo zakołysała się lekko. Ukucnąłem obok niej, powiedziałem, że pomoc jest w drodze.

Po kilku sekundach wyszła z szoku. Powoli odsunęła dłoń od twarzy. Nóż nie trafił w jej szyję. Wyorał długą ranę, która zaczynała się przy jej uchu i ciągnęła się przez cały policzek i wzdłuż szczęki. Potem dowiedziałem się, że Peltier wbił go aż do kości. Jej twarz zaczęła już puchnąć. Uniosła podbródek i cicho spytała: „Jak bardzo jest źle?”

Nie spodziewałem się tego pytania, a powinienem. Gdybym był przygotowany, być może poradziłbym sobie lepiej. Ale ona zobaczyła coś w moich oczach. Udało mi się znaleźć właściwe słowa: „nie jest źle” - powiedziałem - „wszystko będzie dobrze”. Moje oczy zdradziły mnie jednak, bo wiedziałem, że jest źle i wcale nie byłem pewien, czy wszystko będzie dobrze. Odwróciła wtedy twarz i wiedziałem już, że coś pięknego bezpowrotnie

znikło. Cokolwiek zyskaliśmy tej nocy, zostało już stracone, było po wszystkim i nic nie miało już być takie samo.

Wtedy usłyszałem syreny, zbliżające się radiowóz i karetkę. Wstałem, wyczekując, w tym momencie jednak Jimmy Wade poruszył się. Gdyby leżał dalej nieruchomo, mógłby przeżyć, to mogłoby go uratować. Patrzyłem jednak, jak układa dłonie na ziemi, jak opiera się na kolanach. Po chwili był już na czworakach. Oderwał prawą rękę od ziemi. Drżała. Powoli odzyskał nad nią kontrolę, przeciągnął ją po piersi i brzuchu, póki nie dotknęła noża.

Zacisnął palce na rękojeści i powoli zaczął wyjmować z ciała ostrze. Usiadłem obok niego, nasze oczy spotkały się, ułożył dłoń dokładniej na nożu i powoli wyciągnął z siebie ostatnie milimetry ostrza. Jego kłykcie opadły na ziemię, palce zwisały bezradnie, metal uderzył o kamień. Zamknął oczy, a ja sięgnąłem po nóż. Spojrzałem na Charlotte, ona jednak odwróciła się ode mnie. Nikt nie patrzył.

Potem syreny nagle ucichły, a ja cierpliwie macałem palcami jego pierś. Jimmy Wade otworzył oczy i wiedziałem, że znalazłem właściwe miejsce. Zatopiłem w nim nóż.

W pewnym momencie, podczas opowieści Loogana, Elizabeth odkryła, że światło lampy przestało migotać, jej mięśnie przestały drgać. Wciąż trochę bolały ją ramiona, ale to dlatego, że ręce miała uwięzione za plecami. Kiedy skończył mówić, w ciszy, przyszła jej do głowy jedna myśl - on czuje ten sam ból.

Spojrzała w górę i zauważyła, że James Peltier nie poruszył się. Wciąż stał przy kanapie, za nim wisiały ramki ze zdjęciami. Wciąż miał w dłoni jej broń. Powieki opadały mu ciężko i Elizabeth pomyślała przez chwilę, że opowieść Loogana uśpiła

go. Był jednak przytomny. Opowieść przytłoczyła jednak jego ciało, opuściła jego głowę, zgięła jego plecy.

Loogan siedział cierpliwie. Zyskał czas, ale nic więcej. Nie uratował swojego życia. Gdyby to było opowiadanie w „Szarych Ulicach” - pomyślała Elizabeth - byłoby inaczej. Przypomniała sobie znowu dubeltówkę, którą Loogan położył na schodach, a którą Peltier tam zostawił. Gdyby to było opowiadanie, jakiś spozstrzegawczy przechodzień zauważyłby ją i zadzwonił na policję. Przyjechaliby i rozpoznali adres - apartament Seana Wrentmore'a. Zobaczyliby jej samochód na parkingu.

Carter Shan by przyjechał, Harvey Mitchum też i wszyscy jej koledzy. Sam Owen McCaleb. Otoczyliby dom bez użycia syren i świateł, żeby nie zdenerwować Jamesa Peltiera. Jeden z nich wszedłby do środka - najpewniej Carter. Wszedłby przez szklane drzwi w sypialni Wrentmore'a. Bezgłośnie przeszedłby przez korytarz i stanął w salonie, celując prosto w Peltiera. Stałby za nim, żeby ten go nie zauważył. Carter poczekałby, aż Peltier podniesie pistolet i wtedy strzeliłby do niego.

Gdyby to było opowiadanie w „Szarych Ulicach”.

James Peltier powoli wyprostował się i spojrzał smutno na Elizabeth. Wskazał na Loogana pistoletem.

- Widzisz, jaki on jest. Poza wszystkim - jest kłamcą. Obiecał, że powie mi, jakie były ostatnie słowa mojego syna. Pozwoliłem mu mówić i cóż dobrego z tego dla mnie wynikło?

- Panie Peltier... - zaczęła.

- Daj mi jeden dobry powód, żeby go nie zabijać. Tylko jeden. Jestem naprawdę ciekawy.

Szukała odpowiedzi, która mogłaby go powstrzymać.

- To nie przywróci życia Jimmy'emu Wade'owi - powiedziała wreszcie.

- To prawda - przyznał - ale to nie jest dobry powód.

Uniósł pistolet.

Elizabeth zgięła kolana, oparła ramiona o ścianę, próbowała podkulić stopy. Jednocześnie Loogan pochylił się do przodu na swoim krześle, jakby chciał zwalić się na Peltiera.

Palec Peltiera zaczął naciskać na spust. Nastąpiła eksplozja - huk i czerwona mgła. Skóra głowy Peltiera oderwała się od jego czaszki. Rozerwane do żywego mięsa policzek i skóra na szyi. Rozbite szkło ramek ze zdjęciami.

Jego ciało opadło na kolana, osunęło się na kanapę. Pistolet podskoczył na dywanie.

Elizabeth rozejrzała się dokoła, a Loogan, który uwolnił się już ze swojego krzesła, rzucił się na ziemię, żeby osłonić ją własnym ciałem.

Wysoka sylwetka wyłoniła się z korytarza. Mężczyzna trzymał pistolet nad głową, niczym berło. Jego włosy układały się w siwą koronę. Miał na sobie trencz i czarne skórzane rękawiczki. Nathan Hideaway.

Przez chwilę stał nad ciałem Jamesa Peltiera, trzymając w dłoni mały czarny rewolwer. Rzucił dubeltówkę na kanapę. Przez ciało Peltiera przebiegł ostatni dreszcz. Potem znieruchomiało.

Hideaway opuścił swój rewolwer. Przeszukał kieszenie Peltiera i wyjął z jednej z nich jego klucze. Podniósł z dywanu pistolet Elizabeth. Włożył je do kieszeni płaszcza.

Dopiero potem odezwał się.

- Pani detektyw Waishkey - powiedział - i niezwykle pan Loogan. - Jego ton był jowialny.

Elizabeth chciała wymówić jego imię, uciszył ją jednak, unosząc do ust palec w rękawicy.

- Jeszcze nie - powiedział.

Chwycił Loogana za kołnierzyk i odsunął od niej. Stał nad nim, trzymając rewolwer na jego karku i pchnął na ziemię. Wyjął z kieszeni płaszcz Loogana gaz pieprzowy i rzucił go na bok.

Wziął z kanapy nóż i rozciął taśmę, która więziła nogi Elizabeth.

Chwycił łańcuch jej kajdanków i pociągnął je w górę.

- Wstawać, natychmiast - powiedział. - Pan też, panie Loogan.

Rozdział 38.

Kiedy nadeszło zgłoszenie, Carter Shan był już w drodze do apartamentu Seana Wrentmore'a.

Skontaktował się z operatorem sieci komórkowej Elizabeth i kazał im namierzyć jej telefon. Nie było to trudne, kiedy już udało mu się przekonać operatora, że to pilne - telefon Elizabeth miał wbudowanego GPS-a. Kiedy operator podał mu namiary, od razu je rozpoznał. Musiał jedynie usłyszeć słowa - Carpenter Road.

Pojechał kiepską drogą przez Ann Arbor, uciekając przed korkami, i pierwszy przyjechał na miejsce. Zobaczył na parkingu samochód Elizabeth i wszedł przez frontowe drzwi, trzymając w dłoni pistolet.

Zobaczył tam sąsiadkę Wrentmore'a, stojącą nad ciałem Peltiera. Była to pielęgniarka, Delia Ross. To ona zadzwoniła na policję. Wróciła z długiej zmiany w szpitalu i zasypiała właśnie, kiedy usłyszała strzał. Próbowwała przekonywać się, że to strzał gaźnika jakiegoś samochodu na parkingu restauracji. Odwróciła

się do ściany i narzuciła na siebie koc. Po chwili pomyślała jednak, że o strzelających gaźnikach czytała w książkach, nigdy jednak nie słyszała żadnego naprawdę.

Kiedy wstała i podeszła do okna, nic nie było widać. Włożyła płaszcz, wyszła na zewnątrz i stanęła na chodniku pod ciemnogramatowym niebem. Pomyślała o pustym domu Wrentmore'a, o tym, że mogło się w nim wydarzyć coś złego. Mogły się do niego włamać jakieś dzieciaki, nastolatki z petardami. Podeszła do drzwi, nacisnęła klamkę i zanim jeszcze weszła do środka, wiedziała, że tym, co usłyszała, nie były petardy.

Jedna lampa oświetlała salon na złoto. Ciało Jamesa Peltiera leżało nieruchomo na ziemi niczym figura z brązu. Zadzwoiła na policję i czekała. Wiedziała od razu, że nie może mu pomóc.

Shan porozmawiał z nią chwilę w kuchni Wrentmore'a, potem poprosił, żeby poczekała na zewnątrz. Próbował zrozumieć, co się stało. Był pewien, że Elizabeth tam była: miał na dowód nie tylko jej samochód na parkingu, ale też przerwany naszyjnik na podłodze salonu i rozsypane szklane paciorki.

Zwrócił uwagę na odwrócone krzesło. Na pocięte fragmenty taśmy klejącej. W kieszeni Peltiera znalazł paralizator, na kanapie dubeltówkę. Otwarte na oścież szklane drzwi w sypialni. Prześledził drogę, którą musiał przejść zabójca Peltiera. Harvey Mitchum i Ron Wintergreen przyjechali i razem znaleźli inne wskazówki - samochód Jamesa Peltiera zaparkowany pod jabłonią, telefon Elizabeth na podłodze po stronie pasażera. Samochód Loogana porzucony na parkingu restauracji.

Kiedy kilka minut później na miejsce przyjechał Owen McCaleb, Shan i Mitchum wypracowali już sobie teorię na temat tego, co się stało, która była bardzo bliska prawdy. Stanęli razem z szefem na chodniku przed domem i naszkicowali ją. Wydawało

się jasne, że Elizabeth przyjechała tam w poszukiwaniu Loogana. Zamiast tego znalazła Peltiera i wsiadła do jego samochodu. Peltier zaskoczył ją, oszołomił paralizatorem i zaciągnął do domu. Nie musieli się włamywać, bo Loogan był już w środku.

- Załóżmy, że Loogan współpracował, że wpuścił Peltiera do środka, bo ten groził Lizzie - powiedział Shan. - Kiedy Peltier miał już ich oboje pod kontrolą, mógł się trochę zrelaksować. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie zakpienia z Loogana. Chciał, żeby wiedział dokładnie, co go czeka.

- Zbyt długo odwlekał jednak sprawę - dodał Mitchum. - Na tyle długo, że pojawiła się tam jeszcze jedna osoba. Ktoś z dubeltówką.

Owen McCaleb stał ze skrzyżowanymi ramionami i opuszczoną głową.

- A ten ktoś to morderca Toma Kristolla - powiedział. - Pojawił się tutaj, bo Loogan zrobił bardzo wiele, by stać się dzisiaj jego celem.

- Właśnie.

McCaleb podniósł wzrok.

- Dlaczego więc Loogan nie leży na ziemi martwy razem z Peltierem? Czego nie rozumiemy?

- Może morderca chce od Loogana czegoś innego - zasugerował Shan. - Może mają jakieś niezakończone sprawy.

McCaleb przeniósł ciężar z jednej nogi nad drugą, rozważając tę możliwość.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Loogan rozmawiał tego popołudnia z czwórką ludzi. Laura Kristoll, Bridget Shellcross, Casimir Hifflyn, Nathan Hideaway. Chcę się natychmiast dowiedzieć, gdzie jest teraz każde z nich i gdzie byli wcześniej. To starczy na początek.

W tym momencie przybiegł do nich Ron Wintergreen. Rozmawiał z kilkoma z sąsiadów Seana Wrentmore'a.

- Nie wiem, czy to ważne... - zaczął.

- Co? - spytał go szef.

- Rozmawiałem z kobietą, która mieszka cztery domy dalej. Emerytką, koło sześćdziesiątki. Powiedziała, że nic nie widziała ani nie słyszała. Przez cały wieczór oglądała telewizję.

McCaleb zmarszczył brwi. Mitchum pospieszył partnera gestem.

Wintergreen kontynuował w swoim własnym tempie.

- Wyszła na zewnątrz dopiero po naszym przyjeździe. Chciała się upewnić, że nikt nie depcze jej trawnika. Bardzo uważa na swój ogród.

Mitchum już miał przerwać, Wintergreen uniósł jednak dłoń.

- Na jej frontowych schodach stała łopata. Powiedziała, że ktoś ją ukradł.

Nie jest łatwo otworzyć kajdanki za pomocą gałązki. Miała nadzieję, że to proste, jednak dwadzieścia minut żmudnej pracy przekonało ją, że tak nie jest.

Elizabeth rozluźniła dłonie, powoli rozprostowała palce. Uważała, by Nathan Hideaway nic nie zauważył.

Stał nieco z tyłu, na skraju polany, w grubym wełnianym swetrze i sztruksowych spodniach. Zdjął płaszcz i rękawice. Być może było mu zbyt ciepło. Wciąż trzymał w dłoni czarny rewolwer.

Przystawił jego lufę do jej szyi, kiedy wyprowadzał ją z domu Seana Wrentmore'a. Upewnił się, że Loogan to widzi, i ten widok mu wystarczy. Nie musiał wypowiadać groźby na głos.

Szli gęsiego, Loogan prowadził. Kiedy dotarli do samochodu Hideaway - eleganckiego czarnego lincolna - Hideaway użył klucza Jamesa Peltiera, żeby rozpiąć kajdanki Loogana, który miał prowadzić. Elizabeth i Hideaway usiedli z tyłu.

Łopatę znaleźli w ostatniej chwili. Pokazała się w świetle reflektorów lincolna, stała przed frontowymi drzwiami domu jednego z sąsiadów Wrentmore'a. Hideaway kazał Looganowi ją zabrać i schować w bagażniku.

Przejechali przez parking do Carpenter Road. Jedną ręką Loogana była przypięta do kierownicy. W lusterku widziała jego ciemne bezbarwne oczy.

Kiedy wjechali na ulicę, zapytał:

- Dokąd teraz?

- Zabierz mnie tam, gdzie leży ciało Seana Wrentmore'a - rozkazał Hideaway.

- Po co? - ciemne oczy zwęziły się.

Elizabeth znów poczuła wylot lufy na swojej szyi. Hideaway milczał.

Loogan skręcił na północ, włączył się w ruch.

- Zabiorę cię tam - powiedział. - Ale nie wiem, dlaczego chcesz tam pojechać.

Hideaway uśmiechnął się.

- Detektyw Waishkey wie.

Zastanowiła się przez chwilę i zdała sobie sprawę, że faktycznie wie.

- Tatuże - powiedziała.

Zatrzymali się na światłach, obok nich stał samochód pełen studentów. Hideaway opuścił rewolwer i przycisnął go tym razem do jej boku.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Cassem Hifflynem - powiedziała.
- Tak, odbyliśmy ciekawą rozmowę.
- Sean Wrentmore pisał książki dla nich obu - zwróciła się do Loogana. - Tatuował sobie na ciele ich tytuły.

Loogan pokiwał głową. Zobaczyła to w lusterku.

- Valerie Calnero dowiedziała się o tym po śmierci Wrentmore'a
- powiedziała Elizabeth. - Zaczęła ich szantażować. Toma Kristolla też. Tom nie chciał z nimi współpracować. Dlatego zginął.

Światło zmieniło się i znowu ruszyli. Hideaway uciszył ją ruchem rewolweru.

- Wystarczy, pani detektyw.

Pochylił się do Loogana i zapytał:

- Jak daleko jedziemy?

Nie było to daleko. Kilka mil na północ, drogą numer 23. Skręt w Plymouth Road na wschód. Skręt w lewo, żwirowa ścieżka. Rząd miejsc parkingowych,znaczonych starymi drewnianymi belkami. Na końcu ścieżki znak z napisem: Marshall Park.

Loogan poprowadził ich na wzgórze, a potem między drzewa. Stanęli na polanie. Światło księżycy w pełni, który właśnie wyrzał zza chmur, rzucał cienie na krawędzie zwiędłych liści. Loogan wziął się do pracy - stanął pośrodku polany i wbił łopatę w ziemię. Jeden stalowy pierścień otaczał jego prawy nadgarstek, drugi zwisał na łańcuchu. Hideaway przyniósł z samochodu latarkę. Za pomocą chusteczki powiesił ją na gałęzi. Gałąź powiewała na wietrze, świetlny owal migotał pod stopami Loogana.

Elizabeth usiadła na mchu, opierając się o pień brzozy. Zastanawiała się nad swoją sytuacją. Jej pistolet znajdował się w kieszeni płaszcza Hideaway, na tylnym siedzeniu samochodu, u stóp wzgórza. Jej nogi były wolne, ręce wciąż jednak zatrzaśnięte za jej plecami. W dłoniach wciąż miała jednak gałązkę i zamierzała spróbować jeszcze raz.

Ktoś musiał usłyszeć strzał w domu Seana Wrentmore'a, ktoś musiał go zgłosić. Tutaj niewiele mogło jej to pomóc, sama myśl jednak dodawała jej odwagi.

Jej samochód i koraliki rozrzucone na podłodze Wrentmore'a uświadomiłyby jej kolegom, że była tam, na miejscu. Carter Shan rozpoznałby koraliki. Elizabeth rozerwała je specjalnie - włożyła w nie podbródek i ciągnęła, aż nitka pękła. Dwa koraliki podniosła zębami i wypluła potem w samochodzie Hideaway. Była pewna, że tego nie zauważył. Te koraliki, gdyby kiedykolwiek zostały znalezione, powiązałyby go z jej zniknięciem.

Nie brzmiało to zachęcająco. Już zaczęła myśleć o tym wszystkim jako o swoim „zniknięciu”. Czyż jednak mogło być inaczej? Szanse na wydostanie się z tej polany wydawały się niewielkie. Nie miała powodu, by podejrzewać, że Nathan Hideaway pozwoli jej odejść, kiedy załatwi już swoje sprawy.

Wsluchiwała się w dźwięk łopaty uderzającej o ziemię. David Loogan uklęknął, małe kupki ziemi rosły wokół niego. Nathan Hideaway wciąż stał na skraju polany, nieustannie trzymając w swojej wielkiej dłoni rewolwer. Zaczął padać lekki deszcz, jego krople przelatywały między gałęziami drzew. Loogan podniósł głowę.

Hideaway usiadł na leżącym pniu drzewa, kilka metrów od Elizabeth. Wciąż patrzył na Loogana, trzymał rewolwer między kolanami. Jego pokryte kroplami deszczu włosy błyszcząły.

- Kilka lat temu - powiedział do któregoś z nich, a może do obojga - jakiś turysta wspinał się na lodowiec w austriackich Alpach. Znalazł ciało, które było niemal idealnie zachowane. Być może o tym słyszeliście. To ciało ubrane było w skórę. Przy pasie miało topór i kołczan strzał. Okazało się, że był to myśliwy z Epoki Kamienia, który spadł w przepaść. Leżał tam przez ponad pięć tysięcy lat. Jego skóra była nienaruszona, podobnie jak tatuaże, które pokrywały jego plecy.

Hideaway wytarł rękawem rewolwer.

- Biedny Sean nie mógłby wytrzymać tak długo - powiedział. - Ale i tak jego skóra będzie się pewnie rozkładać przez lata. Zakopanie ciała opóźnia proces rozkładu - dzięki temu robaki i zwierzęta trzymają się od niego z daleka. Gdyby Tom porzucił je gdzieś na polu, tatuaże mogłyby zostać już zdarte przez padlinożerców. Mam jednak nadzieję, że tu nic takiego się nie stało.

Loogan roześmiał się, kręcąc głową. Hideaway uśmiechnął się przelotnie.

- Pan Loogan uważa, że jestem zabawny - powiedział do Elizabeth. - W zasadzie mu się nie dziwię. Podejrzewa, że zabiłem już trzy osoby - Toma, Adriana Tully i Michaela Beccantiego. Czemuż więc miałbym wzdragać się przed wykopaniem Seana? To byłby najłżejszy z moich grzechów. - Jego twarz spoważniała nagle. - Tak się jednak składa, że nie zabiłem trzech ludzi. Pan Loogan wiedziałby to, gdyby tylko przez chwilę głębiej się zastanowił. Zaczniemy od Michaela Beccantiego: miałbym zabić go, bo interesował się śmiercią Toma. To samo tyczy się jednak pana Loogana, ponadto obaj byli tamtej nocy w jego domu. Czemu miałbym zabić jednego z nich, a drugiemu pozwolić uciec?

Prosta logika tego pytania zaskoczyła Elizabeth. Spojrzała na Hideawaya z ciekawością, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby mówił prawdę.

- Pan Loogan opowiedział dziś po południu ciekawą historię o zabójstwie Michaela Beccantiego - kontynuował. - Mógł być jednak bliżej prawdy, niż sam podejrzewał. Powiedział, że Sandy Vogel zabiła Beccantiego, bo miała z nim romans, a on zostawił ją dla innej kobiety. Beccanti został ugodzony nożem i można by się zastanawiać, czy czterdziestoletnia sekretarka byłaby w tej sprawie dobrym podejrzanym. Pan Loogan miał na to jednak odpowiedź: co tak naprawdę wiemy o Sandy Vogel? Może była kaskaderką albo służyła w marynarce?

Loogan nie zareagował. Wciąż rytmicznie uderzał łopatą o ziemię.

- Ja wiem akurat, że Sandy przez całe życie była sekretarką i nie wierzę w jej romans z Michaeliem Beccantim. Wiem natomiast, że miał on romans z Bridget Shellcross.

Te słowa zainteresowały Loogana. Na chwilę zatrzymał się i spojrzał na Hideawaya.

- Raz widziałem ich razem w kawiarni w centrum - powiedział Hideaway. - Potem spytałem ją o to, a ona odpowiedziała. Bridget wierzy w moją dyskrecję. Niektórzy ludzie myślą wiek z cnotą.

Elizabeth oparła głowę o pień brzozy.

- Mówisz zatem, że to Bridget zabiła Michaela Beccantiego? Czy muszę przypominać o oczywistym? Ona też nie była nigdy kaskaderką.

Hideaway uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Nie, Bridget nie miałyby pojęcia, co zrobić z nożem. Ale zapomina pani detektyw o tej amazonce, z którą mieszka. Rachel Kent była instruktorką sztuk walki - odwrócił się do Loogana.

- Myślę, że o romansie Bridget z Beccantim dowiedziała się przypadkiem, po śmierci Toma. Bridget mocno to przeżyła. Byli parą w czasach studenckich. Rachel o tym wiedziała i pewnie zaczęła się zastanawiać, czy nie zbliżyli się ponownie jakoś niedawno.

Elizabeth przypomniała sobie swoją ostatnią rozmowę z Bridget Shellcross. Przypomniała sobie, jak chłodno kobieta ją przyjęła. Shellcross dowiedziała się, że jakiś detektyw pokazywał jej zdjęcie w knajpach, że o nią wypytywał. Poczula się urażona. Elizabeth podejrzewała, że tym detektywem był jeden z jej kolegów. Istniała jednak inna możliwość.

- Rachel Kent zatrudniła prywatnego detektywa - powiedziała na głos.

Hideaway przytaknął.

- Tak właśnie sędzę. Myślę też, że detektyw odkrył, że spotykała się ona nie z Tomem, lecz z Michaealem Beccantim - wzruszył lekko ramionami i kontynuował. - To oczywiste, że Rachel znalazła Beccantiego i zaczęła go śledzić. Pewnego wieczora przyszedł do domu pana Loogana. Weszła tam za nim. Włamanie do cudzego domu jest ryzykowne. Trzeba wyostrzyć wszystkie zmysły, adrenalina uderza do głowy. Od początku wyobrażała sobie, jak zabija Beccantiego. Teraz miała okazję, więc skorzystała z niej.

Loogan stał pośrodku polany oparty o łopatę.

- Kłamiesz - powiedział.

Hideaway pokręcił głową.

- Tak się składa, że wcale nie.

- To ty poszedłeś za Beccantim do mojego domu. To ty dźgnąłeś go nożem.

- Nie.

- Tak, to ty - naciskał Loogan. - Zabrałeś płytę, którą miał w ręku i list. List od szantażysty. Rachel Kent nie miała najmniejszego powodu, żeby je zabierać.

Hideaway zwrócił się do Elizabeth.

- Widzisz, jak desperacko próbuje zrobić ze mnie czarny charakter? - wskazał na Loogana swoim rewolwerem. - Nic nie wiem ani o płycie, ani o żadnym liście. Jeśli rzeczywiście miał je przy sobie i Rachel je zobaczyła, kto wie, co postanowiła z nimi zrobić? Musiała podjąć szybką decyzję: zabrać je ze sobą czy zostawić. Musiała jak najszybciej uciec.

Loogan wrócił do kopania, nic nie mówiąc. Hideaway machnął lekceważąco rewolwerem.

- To tyle, jeśli chodzi o Michaela Beccantiego - powiedział.

- Miło mi oznajmić, że to nie moja robota. Następny jest Adrian Tully. Jego miałbym zaciągnąć na pole kukurydzy, żeby tam strzelić mu w głowę. I sprawić, by wyglądało to na samobójstwo. Jeden strzał, żeby go zabić. Drugi, żeby na jego ręce wylądował proch – spojrzał uważnie na Elizabeth. - Udało wam się znaleźć tajemniczą, drugą kulę?

- Nie, nie znaleźliśmy jej - uniosła lekko ramiona.

- Bo jej tam nie ma - powiedział Hideaway. - A już na pewno ja jej nie wystrzeliłem. Adrian Tully miał wyrzuty sumienia po zabiciu Seana Wrentmore'a. Był przygnębiony, bo kochał się w Laurze Kristoll, a ona nie chciała mieć z nim nic do czynienia. Nikt go nie zamordował. Zdobył pistolet, pojechał na pustkowie i skończył ze sobą.

Hideaway patrzył w zamyśleniu na ciemny las. Przekręcił cylinder w rewolwerze, jego kliknięcie wybrzmiało powoli w ciszy polany.

- Zostaje jeszcze Tom - powiedział po chwili. - Jego śmierci nie mógłbym wyjaśnić. Nie zamierzam nawet próbować. Toma, oczywiście, zabiłem ja.

Rozdział 39.

- Powodem był Sean Wrentmore - powiedział Hideaway. - Tom od samego początku zachowywał się niepewnie. Nie wiedział, co robić. Być może w ogóle nie powinien zakopywać ciała. Może lepiej by było, gdyby od razu się przyznał. Potem przyszedł list i to całkowicie wytrąciło go z równowagi. Chodziło o dużo pieniędzy. Wiedział, że jeżeli zapłaci raz, będzie musiał płacić przez resztę życia. Mógł stracić „Szare Ulice”. Mógł stracić wszystko. Wolał powiedzieć prawdę, póki jeszcze mógł.

Elizabeth pochyliła się naprzód, słuchając uważnie. Logan stał nieruchomo nad grobem. Deszcz zamienił się w wilgotną mgłę.

- Nie wierzyłem, że mówi poważnie - powiedział Hideaway. - Jeśli chodziło tylko o pieniądze, mogłem mu je pożyczyć. Valerie żądała tylko pięćdziesięciu tysięcy. Mógłbym dać mu je od ręki. Tamtej nocy, w biurze, zaoferowałem mu je. On jednak podjął już decyzję. Postanowił zrobić to, co najważniejsze. Kiedy wszedłem, na jego biurku otwarty był notes.

Zapisywał to, co zamierzał powiedzieć policji. Nie było tam nic o mnie, nic o tym, że Sean pisał moje książki. Miał mnie w to nie włączać. Ale przecież i tak wszystko wyszłoby na jaw, gdyby opowiedział swoją historię.

Nie było trudno go oszukać, udać, że się zgadzam. „Może masz rację. Może to jedyny sposób. Przeczytaj mi, co napisałeś do tej pory, proszę”. Stałem za nim, tak jakbym chciał czytać mu przez ramię. Półka z książkami była w zasięgu ręki. Tom

Szekspira. Nigdy wcześniej go nie zauważyłem. Symbolika mnie zachwyciła - wydawca popularnego, brukowego czasopisma dostaje w głowę od samego Mistrza.

Hideaway odwrócił gwałtownie głowę w stronę Elizabeth.

- Myślałem, że będę musiał się przygotowywać – powiedział - ale to było łatwe. Łatwo było zdać sobie sprawę, że nienawidziłem Toma Kristolla, tych jego letnich przyjęć pełnych pochlebców. Jego pretensjonalnego czasopisma, które próbowało uczynić z kryminalnych opowiadań prawdziwą literaturę. A kiedy już udało mu się odkryć wielki talent, co zrobił? Sean Wrentmore był znakomitym pisarzem. Napisał dla mnie dwie książki - Grudniowy upał i Morderców w lutym - i miały one lepsze recenzje niż cokolwiek, co sam napisałem. Był kurą znoszącą złote jajka, a Tom pozwolił jakiemuś kiepskiemu studentowi uderzyć kurę w głowę butelką whisky.

Jak wiele czasu zajmuje sięgnięcie po książkę? Sekundę? Dwie? Wystarczająco długo, by dojść do wniosku, że Tom zasługuje na śmierć. Sam zbrodniczy czyn nie trwał wiele więcej. Pierwsze uderzenie nie było wystarczająco silne. Oszłomiło go. Zdołał pokręcić głową i spytać mnie, dlaczego to zrobiłem. Drugie sprawiło, że stracił przytomność. Pozostałe czynności wykonałem automatycznie: otworzyłem okno, uniosłem go, wypchnąłem na zewnątrz. Nie miałem czasu na zastanawianie się.

Hideaway uniosł wolną rękę i przeczesał grubymi palcami swoje siwe włosy.

- Myślałem o tym jednak później. Żałuję tego, co się stało, ale nie mogę się zmusić do poczucia winy. Można by powiedzieć, że Tom sam się o to prosił. Kiedy postanowił pójść na policję, wystawił mnie na niebezpieczeństwo. Mój wydawca nic nie wiedział o Seanie. Gdyby prawda wyszła na jaw, moja kariera

byłaby skończona. Tom zagroził więc mojej reputacji, mojemu życiu. To, co mu zrobiłem, to właściwie samoobrona.

Elizabeth zauważyła, że Hideaway na nią patrzy, tak jakby chciał dostrzec jej reakcję.

- Łudzisz się - powiedziała cicho. - Nikt nie zagroził twojemu życiu. To nie była samoobrona.

- Być może masz rację - powiedział. - Samoobrona to jednak trudna sprawa. To, co zrobił pan Loogan synowi tego gościa, Peltiera... Czy nazwałabyś to samoobroną?

Oparła się o drzewo, zastanawiając się nad odpowiedzią. Zanim się jednak odezwała, Loogan odpowiedział:

- Nie.

- Jak zatem się usprawiedliwiasz? - spytał Hideaway.

- Nie usprawiedliwiam się.

- A zatem musiał istnieć jakiś powód.

- Chciałem, żeby nie żył.

- Prosta odpowiedź - zauważył Hideaway. - Umówmy się zatem, że i ja chciałem, żeby Tom nie żył - spojrzał łagodnie na Elizabeth. - Nie będę szukać wymówek, tak jak pan Loogan ich nie szuka. Nie tylko zabił syna tego starszego pana, ale okłamał go, obiecując, że zdradzi mu jego ostatnie słowa. Być może było to niewielkie kłamstewko, ale można by nazwać je okrutnym.

- To właściwie nie było kłamstwo - powiedział Loogan. - Syn Peltiera powiedział coś przed śmiercią. Powiedział nawet dość dużo.

- Naprawdę? Co?

- Nie wiem. Jego usta były pełne krwi. Mamrotał, nie byłem w stanie niczego zrozumieć. - Loogan oparł się o łopatę i dodał, śmiertelnie poważnym tonem. - Czy powinienem był powiedzieć to jego ojcu?

Szum nocnego wiatru na polanie. Cisza. Mgła. Nathan Hideaway odchylił głowę do tyłu i roześmiał się. Śmiał się przez dłuższą chwilę, potem wstał, ruszył przed siebie i powiedział:

- Niezwykły pan Loogan.

Elizabeth jeszcze raz włożyła gałązkę w zamek kajdanek. Jej ruchy były jednak mechaniczne, bo myślała o czymś innym. Myślała o córce, która czekała na nią w domu, o tym, że Sara może już nigdy jej nie zobaczyć, żywej ani martwej. Nietrudno było domyślić się, co Hideaway zamierza zrobić. Pozwoli Looganowi dokopać się do ciała Wrentmore'a, wyciągnąć je. Potem wyjmie rewolwer - jedna kula dla Loogana, jedna dla niej. Potem spokojnie zajmie się tatużami Wrentmore'a - wciąż ma przy sobie nóż Jamesa Peltiera. Potem ponownie zakopie grób, tym razem znajdą się w nim trzy ciała. Wróci do samochodu i odjedzie do domu. Nic nie będzie łączyć go ze zbrodnią. Nic prócz kilku szklanych koralików, których nikt nigdy nie znajdzie.

Elizabeth spojrzała na Davida Loogana, schowanego po pas w ziemi. Patrzyła, jak poruszają się jego ramiona, jak unosi się trzonek łopaty. Czowała, jak gałązka łamie jej się w palcach - gałązka nie jest odpowiednim narzędziem do otwierania zamka. Zamknęła oczy i pozwoliła sobie na nadzieję.

Loogan przekazał jej bowiem wiadomość, tuż po tym, jak zaczął kopać. Hideaway odwrócił się na chwilę, zaciekawiał go dźwięk, jaki wydało z siebie jakieś małe zwierzątko. I wtedy Loogan odezwał się do niej. Nie mógł pozwolić, by Hideaway to usłyszał, mógł tylko bezgłośnie poruszać ustami, to jednak wystarczyło. Latarka świeciła nad nimi, mogła dostrzec ruch jego warg.

Były to te same słowa, które wcześniej wypowiedział James Peltier:

- Przeżyjesz to.

Uniosła brwi i wyszeptała:

- Naprawdę?

Potem powiedział coś jeszcze. Nie była pewna jego słów, wydawało jej się jednak, że rozumie, bo jego kciuk i palec wskazujący składały się w kształt pistoletu.

„Niewykluczone, że będę musiał go zastrzelić”.

Hideaway z powrotem skierował swoją uwagę na środek polany. Elizabeth zdawało się, że rozumie, co chce jej przekazać. Przypomniała sobie, co Laura Kristoll powiedziała jej o nocy, kiedy umarł Sean Wrentmore. Wrentmore miał wtedy ze sobą broń, pistolet przyczepiony do łydki. Laura nie powiedziała, co się z nim stało, Loogan musiał jednak o tym wiedzieć. Loogan pomógł zakopać ciało.

„Niewykluczone, że będę musiał go zastrzelić”.

Elizabeth pozwoliła sobie na nadzieję. Pistolet był w grobie. Loogan kopał go i każde uderzenie łopaty zbliżało go do broni.

Światło księżyca padało na płoty, okalające trawnik wokół domu Casimira Hifflyna. Krople deszczu spadały na trawę. Carter Shan wszedł po schodach i zapukał do drzwi.

Nie było odpowiedzi, więc zakręcił i stanął na bocznym trawniku. Doszedł na taras na tyłach domu i usłyszał sygnał swojego telefonu. Nacisnął guzik.

- Tu Shan.

- Zgłaszam się - powiedział Harvey Mitchum. - Byłem w domu Kristollich i w chacie Nathana Hideaway. Ani tu, ani tu nikogo nie było.

- Cóż, to sobotni wieczór.

- Pewnie. A co u ciebie? Coś nowego?

Shan podszedł do okien gabinetu Hifflyna.

- Bridget Shellcross nie ma - powiedział Mitchumowi. - Jej dom jest całkiem opuszczony. Samochód Casimira Hifflyna stoi przed domem, w oknach widzę światło, ale nikt nie odpowiada na pukanie.

- To tam teraz jesteś? - spytał Mitchum. - Może powinienem do ciebie przyjechać?

- Poczekaj chwilę, Harv.

- Dobra.

Trzymając telefon w lewej dłoni, na prawą założył bawełnianą rękawiczkę i dotknął okna. Było zamknięte. Przez okno zobaczył sylwetkę siedzącego przy biurku mężczyzny. Jedno z jego ramion zwisało bezradnie. Shan mocno zapukał w szybę. Mężczyzna nie poruszył się.

Shan uniósł prawą stopę i mocno kopnął w spoinę pomiędzy dwoma oknami. Drewno rozpadło się i obie połowy wygięły się do wewnątrz. Włożył telefon do kieszeni i wyciągnął pistolet. Wdrapał się przez okno do pokoju.

Podbiegł do biurka i upewnił się, że sylwetka przy biurku to Casimir Hifflyn. Shan dwoma palcami wymacał tętnicę szyjną. Brak pulsu. Nie spodziewał się go. Rana na skroni Hifflyna wyglądała makabrycznie.

Drugie ciało leżało w drzwiach do pokoju. Prześliczna śródziemnomorska żona pisarza. Jeden strzał w brzuch, drugi w pierś. I jeszcze jeden - ten przedziurawił ścianę tuż obok drzwi.

Z kieszeni dobiegł go krzyk Mitchuma. Shan wyciągnął telefon.

- Co się tam dzieje, do cholery?

- Przepraszam - odpowiedział Shan. - Niestety, musiałem się włamać. Przyjedź tutaj. Najlepiej z szefem i lekarzem sądowym. Hifflyn nie żyje. Jego żona też.

Podał Mitchumowi szczegóły i zakończył rozmowę, po czym przeszukał dom, pokój po pokoju, włączając w każdym z nich światło. Nikogo nie zauważył. Kiedy wrócił do gabinetu Hifflyna, usłyszał pierwsze syreny.

Przeczytał notatkę, która spoczywała na biurku. Obok niej leżał długopis.

„Przepraszam za wszystko - za Toma, Tully'ego i Beccantiego. Teraz nie ma już przyszłości. Mam nadzieję, że starczy mi na to odwagi.”

Liścik został podpisany inicjałami Hifflyna. Na jego palcach widniała plama z niebieskiego atramentu.

Na ziemi, obok krzesła Hifflyna leżały cztery łuski, za stołem - pistolet. Carter Shan schylił się, żeby go podnieść. Samopowtarzalny pistolet, niklowana trzydziestka dwójka. Podniósł go dłonią w białej, bawełnianej rękawiczce.

Numer seryjny był nienaruszony. Po chwili Shan zgłosił go, sprawdził go w komputerze. Dowiedział się, że pistolet jest zarejestrowany na nazwisko Seana Wrentmore'a.

Tymczasem zauważył, że jego rękawice zabrudziły się. Słyszając głos Harveya Mitchuma, wołającego go spod frontowych drzwi, patrzył na drobiny ziemi pozostałe w bruzdach na lufie pistoletu, na śrubie, która łączyła ją z rękojeścią. Czarne plamy na białej bawełnie. Tak jakby pistolet został wykopany spod ziemi.

Złamana gałązka leżała na mchu gdzieś za nią, a Elizabeth poddała się. Spędziła pół godziny na zastanawianiu się, czy uda jej się przełożyć uwięzione w kajdankach ręce przed siebie. Musiałaby przeciągnąć łańcuch pod swoją pupą i wzdłuż ud, zgąć mocno kolana. Mogłoby jej się to udać - myślała - gdyby była

magikiem, gdyby miała czas na ćwiczenia, gdyby tuż nad nią nie stał uzbrojony mężczyzna.

Nathan Hideaway z powrotem usiadł na pniu drzewa. Pochylił się, oparł łokcie na kolanach, w jego prawej dłoni spoczywał rewolwer.

Z ziemi wystawały już tylko ramiona i głowa Davida Loogana. Za nim, na krawędzi grobu, widniały ciemne kupki ziemi. Przednią krawędź pozostawił w miarę czystą, jakby chciał mieć dobry widok na Hideaway'a i Elizabeth. Patrzyła, jak zgina i prostuje plecy, kolejna porcja ziemi wylądowała tuż za nim.

Każde uderzenie łopaty zbliżało go do celu, pomyślała.

„Być może będę musiał go zastrzelić”.

Miała nadzieję, że Loogan da jej znać, kiedy będzie gotowy. Jej ręce uwięzione były za plecami i tam musiały pozostać, jej nogi były jednak wolne. Gdyby Loogan ją ostrzegł, mogłaby spróbować wstać. Mogłaby odwrócić uwagę Hideaway'a. Dać Looganowi chwilę, by udało mu się wycelować i strzelić. Mogłaby się do czegoś przydać. Plan Loogana mógłby zadziałać.

Spojrzała na Hideaway'a, zobaczyła, że się jej przygląda. Jego oczy były wielkie i ciemne, nie mrugał. Kiedy się do niej odezwał, włoski na karku stanęły jej dęba, bo wydawało się, że czyta w jej myślach.

- Nadzieja - powiedział.

- Co? - udało jej się powstrzymać przed zbyt gwałtowną reakcją.

- Nadzieja - powtórzył. - Ciekawa sprawa. Zastanówmy się nad panem Looganem. Chce mnie zabić. Nie mam co do tego złudzeń. A jednak poprosiłem go, żeby wykopał ciało, a on próbuje je wykopać. Pewnie jest już obolały, wykończony i spragniony, a ja nie mogę nawet zaproponować mu czegoś do picia. Może zrobić sobie przerwę - tyle mogę mu zaoferować. Chciałby pan zrobić sobie przerwę, panie Loogan?

- Nie - odpowiedział Loogan, nie przerywając pracy.

- Nie, nie chce zrobić sobie przerwy - powtórzył Hideaway. - Myśli tylko o jednym. Mógłby uciec do lasu. Oczywiście strzeliłbym do niego, ale mogłoby mu się udać uciec. Mógłby też zaatakować mnie łopatą. Byłby to jakiś pomysł, choć łopata jest kiepską bronią w porównaniu z pistoletem. A jednak kopie. Tak jakby kopanie miało uratować mu życie. Musi zdawać się sobie sprawę, że grób, który kopie, może stać się jego własnym grobem. Dlaczego więc nie przerywa pracy? Bo ma nadzieję.

W półmroku oczy Hideaway'a wydawały się głębokie niczym studnia. Elizabeth patrzyła w nie z przestrochem.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała.

- Myślę, że wiesz. Ale to nieważne. Powtórzę swoją propozycję. Panie Loogan, proszę sobie zrobić przerwę. Sean nigdzie się nie wybiera.

Ruch łopaty ustał, metal zaświstał w powietrzu.

- Nie - powiedział ponuro. - Chcę, żeby było już po wszystkim.

- Widzisz, jak to jest - powiedział Hideaway do Elizabeth. - Nadzieja go opuszcza. Graliśmy z panem Looganem w pewną grę: on udawał, że w grobie Seana Wrentmore'a nie ma pistoletu, ja udawałem, że nic o tym nie wiem. Teraz już jednak koniec z udawaniem. Tak się składa, że w grobie nie ma pistoletu. Nie ma w nim też Seana.

Hideaway wstał i wycelował rewolwer w Loogana.

- Możesz już odłożyć łopatę - powiedział. - Już starczy tego kopania.

Loogan wahał się przez kilka sekund, potem uniósł łopatę i rzucił ją pomiędzy kopce ziemi na tyłach grobu.

Hideaway opuścił rewolwer, wciąż trzymał go jednak u boku.

- Kiedy Tom spisywał swoją opowieść dla policji, narysował też mapkę. Zazaczył krzyżykiem polanę w Marshall Parku. Wziąłem jego notatki, kiedy już wyrzuciłem go przez okno. Spaliłem je, kiedy dotarłem do domu. Wykorzystałem jednak mapkę. Chciałem upewnić się, że Sean nie zostanie znaleziony, przenieśliśmy go więc.

Loogan na chwilę zapomniała o bólu w trzewiach, o zmęczeniu. Teraz wszystko wróciło.

- Gdzie on jest?

Hideaway lekceważąco machnął rewolwerem.

- Daleko stąd. Być może tylko tyle powinienem wam powiedzieć. Ale dodam jeszcze, że nie ma już swoich tatuaży. Jego ciało nie przylega już do kości. Zanim Sean się tym zajął, sam napisałem pięć kryminalów. Musiałem dowiedzieć się, jak radzić sobie z ciałem - znów machnął ręką. - Zapomnijmy o Seanie.

Elizabeth spojrzała w ciemność, a potem znów na Hideaway. Zmarszczyła brwi.

- Po co nas tu przywiozłeś, skoro nie po to, żeby znaleźć Seana? Musi istnieć jakiś motyw. Jeśli po prostu chciałeś nas zabić, czy nie mogłeś zrobić tego w mieszkaniu Wrentmore'a?

- Miałem motyw. Sądzę, że pan Loogan się go domyśla - zwrócił się do Loogana. - Powiedz jej, dlaczego tu jesteśmy.

Loogan oparł się o tylną ścianę wykopanego grobu.

- Pendrive - powiedział. - To przez niego całe to zamieszanie.

Hideaway pokiwał głową.

- Pendrive. Pan Loogan pokazał go nam dzisiaj, opowiadając historię o Sandy Vogel. Ta opowieść miała tylko odwrócić uwagę. Tak naprawdę złożył nam wizytę, żeby pokazać, że ma ten

pendrive. Powiedział, że Michael Beccanti znalazł go w domu Seana Wrentmore'a.

- To prawda - powiedział Loogan.

- Powiedział, że nie wie, co na nim jest.

- To też prawda. Jest chroniony hasłem. Prawdopodobnie jest jednak jakiś sposób, żeby sobie z tym poradzić. Ktoś doświadczony byłby pewnie w stanie złamać kod i poznać jego zawartość.

Wiatr wstrząsnął gałęziami na skraju polany. Hideaway głęboko odetchnął nocnym powietrzem.

- Jestem gotów zgadywać, co jest na tym dysku - powiedział. - Dwie powieści, które Sean napisał dla mnie i książki o Kendelu, które napisał dla Cassa Hifflyna. Prawdopodobnie kilka wersji każdej z nich. Sean miał różne dziwne zwyczaje. Pracował nad swoimi książkami także po ich publikacji. Uważał, że nigdy nie są skończone. Wysłał mi raz poprawioną wersję Morderców w lutym. Powiedział, że jest znacznie lepsza od tej, którą sprzedają w księgarniach. Miał rację.

W tej wersji na tytułowej stronie widniało jego nazwisko. Zawsze tak robił. Był to jeden z jego żarcików. Już rozumiesz, dlaczego potrzebuję tego dysku. Miałbym mnóstwo kłopotów, gdyby trafił w niewłaściwe ręce.

Loogan skrzyżował ramiona.

- Masz pecha - powiedział. - Nie mam go.

- Wiem - odparł Hideaway. - Przeszukałem twoje kieszenie jeszcze u Seana w domu. Nie miałem jednak czasu, żeby cię o to spytać. Nie mogliśmy zostać tam zbyt długo. Pytam cię więc teraz.

- Jest w bezpiecznym miejscu. U przyjaciela. Jeśli coś mi się stanie, trafi na policję.

Hideaway pokręcił głową.

- Kiepski z ciebie kłamca. Spojrzałeś najpierw w górę, potem na prawo. Właśnie to robimy, kiedy zmyślamy. Nie sądzę, byś zawarł z kimś taką umowę. Myślę, że gdzieś go schowałeś. I że powiesz mi, gdzie on jest.

Hideaway ponownie odetchnął głęboko.

- Można by pomyśleć, że tracę przewagę, skoro planuję cię zabić, niezależnie od tego, czy mi powiesz, czy nie. To jednak niezwykle, co człowiek jest w stanie zrobić, kiedy zagrażasz komuś, na kim mu zależy. Wystarczy powiedzieć facetowi, że zabijesz jego żonę, a on przyzna się do zbrodni, z którymi nie miał nic wspólnego. Własnoręcznie napisze zeznanie i podpisze je, po to tylko, by zyskała trochę czasu. Kilka minut - spojrzał na Loogana w zamyśleniu. - Ty nie masz żony, muszę więc skorzystać z tego, co mam pod ręką. Detektyw Waishkey. Możesz zaprotestować, powiedzieć, że ona nic dla ciebie nie znaczy, ale ja wiem lepiej. Słuchałem twojej opowieści o synu Peltiera - usłyszałem wystarczająco dużo, by zrozumieć, dlaczego ją opowiedziałeś. Nie zrobiłeś tego, by zyskać na czasie - nie spodziewałeś się, że ktoś wam pomoże. Byłeś pewien, że umrzesz i opowiedziałeś tę historię, bo chciałeś, żeby detektyw Waishkey ją usłyszała. Chciałeś, żeby cię zrozumiała, bo zależy ci na jej opinii.

Hideaway uniósł rewolwer i wycelował go w Elizabeth.

- Nawet jednak, gdyby nic dla ciebie nie znaczyła, nawet gdyby była całkiem obca, czułbyś się za nią odpowiedzialny. Takim jesteś facetem. To dlatego powiesz mi, gdzie schowałeś dysk. Jeśli tego nie zrobisz, zastrzelę ją.

Elizabeth utkwiała wzrok w Looganie.

- Nic mu nie mów, Davidzie.

- Być może uważasz, że to słaba groźba - ciągnął Hideaway - bo przecież zabiję ją tak czy inaczej, niezależnie od tego, czy odpowiesz na moje pytanie, czy też nie. Można jednak umrzeć szybko lub umierać bardzo długo. Jeśli nie zrobisz tego, czego żądam, będzie umierać długo. Będzie cierpieć.

- Davidzie...

- Być może uważasz, że istnieją granice cierpienia, ale prawda jest taka, że mogę zrobić jej krzywdę, nawet kiedy już umrze. Ma córkę. Kiedy z wami skończę, będę mógł pojechać, gdzie tylko będę chciał. Jeśli będziesz milczał albo skłamiesz, jej córka też zginie.

Słyszając te słowa, Elizabeth napięła ręce z całej siły, mając nadzieję, że jej złość pozwoli rozerwać kajdanki. Metal jednak zwyciężył, wbił się w jej ciało. Z trudem rozluźniła dłonie.

- Nie słuchaj go, Davidzie - powiedziała. Była zaskoczona spokojem swojego głosu. - Jeśli ma odrobinę oleju w głowie, od razu ucieknie. Jest już podejrzany o zabójstwo Toma Kristolla, nie wspominając nawet o Tullym i Beccantim. Policja nie spuści go z oczu. Zaginięcie detektywa to poważna sprawa. Nie będzie miał szansy, żeby zabić kogokolwiek innego.

Hideaway patrzył na nią, wciąż wyciągając w jej stronę rewolwer.

- Nie byłbym tego taki pewny - powiedział. - Myślę, że dzisiejszy wieczór może być przełomowy dla śledztwa. Zagadka zabójstwa Toma może zostać rozwiązana, podobnie jak pozostałe.

- Z powrotem odwrócił się do Loogana. - Nawet jeśli detektyw Waishkey ma rację, nawet jeśli od dzisiaj będę poszukiwany, nie wiadomo, co zrobić. Niczyja córka nie będzie bezpieczna.

Przerwał na chwilę. Powietrze zdawało się gęstnieć. Położył kciuk na bębenku rewolweru.

- Spytam cię raz i dam ci jedną szansę na odpowiedź. Zastanów się przez chwilę nad konsekwencjami swojego kłamstwa. Gdzie jest dysk?

Przez kolejne sekundy Elizabeth notowała kolejne szczegóły - nocny wiatr, drzenie przywiązanej do gałęzi latarki, delikatna zmiana światła, cienie rzucone przez kupki ziemi.

Kosmyki jej własnych kruczonych włosów, które opadły jej na oczy, przypominając jej o włosach jej córki.

Zapach deszczu na rozkopanej ziemi.

Sylwetka Nathana Hideawaya, ułożenie jego bioder, jedna noga wyprostowana, druga - zgięta. Jego palce zaciśnięte na rewolwerze. Skierowana w jej stronę lufa, metalowy pierścień jej wylotu.

Twarz Davida Loogana, cienie pod jego oczami. Odwrócił głowę, jakby chciał spojrzeć na odrzuconą w tył łopatę. Rozczarowanie - łopata w niczym mu nie pomoże. Powoli uniósł prawą rękę, palce dłoni rozstawione. Myślała, że dotknie nią podbródka, potrze się po szyi. Zawiesił ją w powietrzu. Szeroko otworzył oczy, wpatrując się we własną dłoń.

Wydało jej się, że jego ręka zadrżała. Panował jednak półmrok, nie mogła być pewna.

Napięcie wokół jego ust. Tego już była pewna. Jego wargi rozchyliły się, a ona zaczęła wypowiadać jego imię. Chciała poprosić, żeby zamilkł.

Złapał oddech, gdy już podjął decyzję. Od razu wiedziała, że mówi prawdę.

- W moim domu, w salonie - powiedział Loogan. - Nad kominkiem wisi oprawiona fotografia. Zdjęcie papierowych liści i odłamków kolorowego szkła. Pendrive jest przyklejony z tyłu.

Jego głos był spokojny, załamywał się jednak. Skrzyżował ramiona, jego ciało wygięło się, jakby chciało odsunąć się od Nathana Hideaway. Pochylił głowę.

Pierścień wylotu lufy zniknął, kiedy Hideaway wycelował rewolwer w Loogana.

- Dobrze - powiedział łagodnie. - Wierzę ci.

Elizabeth spróbowała wstać, opierając plecy o pień brzozy. Hideaway na sekundę, ostrzegawczo, z powrotem skierował broń w jej stronę. Usiadła.

Lufa rewolweru była teraz wycelowana w serce Loogana. Patrzyła, jak jego ciało wygina się. W końcu musiał ugiąć kolana. Zniknął w grobie.

Rewolwer nie zmienił pozycji. Hideaway zmarszczył czoło.

- Panie Loogan, to się nie uda.

Hideaway ostrożnie zrobił krok naprzód, macając trawę czubkiem buta.

- Wstawaj! - powiedział do Loogana. - Lepiej się z tym zmierzyć niż chować.

Elizabeth pomyślała, że krawędź grobu zaburza jego linię strzału. Patrzyła, jak powoli, ostrożnie idzie przed siebie.

- Widzę pana, panie Loogan.

Hideaway szedł już bardziej pewnie. Znajdował się wciąż o krok od krawędzi grobu, kiedy ziemia zapadła mu się pod stopami.

Rozdział 40.

Pistolet wystrzelił, gdy Hideaway upadał.

Pomarańczowa iskra i głuchy, ostry dźwięk, głośny jak wystrzał z armaty. Elizabeth postawiła nogi na ziemi, podniosła się, opierając o pień. Cztery szybkie kroki i znalazła się na skraju grobu. Nathan Hideaway klęczał na ziemi, wciąż trzymając w dłoni rewolwer. Loogan siedział pod nim, na wpół uwięziony.

Wskoczyła do dziury, jej nogi wylądowały na ramionach Hideaway. Uwięzione ręce uniemożliwiły jej utrzymanie równowagi, upadła twardo na ziemię. Usłyszała trzask, zbyt cichy, by mógł być wystrzałem - jej bark wyskoczył ze stawu. Ból nasilał się stopniowo.

Przez chwilę widziała tylko ciemność, a potem odzyskała wzrok i zobaczyła leżącego pod jej nogami Nathana Hideaway, próbującego oprzeć się na ramionach, próbującego wykorzystać to, że wciąż miał w ręce pistolet. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, a ona kopnęła go w twarz prawą nogą. Uderzenie rzuciło go do tyłu, próbował znowu podnieść się na ramionach i kolanach. Ona znów uniosła stopę i kopnęła go w tył siwej głowy. Uderzył twarzą w ziemię.

Czarny rewolwer upadł i wystrzelił w pustkę. Szerokie plecy Hideaway zaczęły się podnosić, więc Elizabeth znów kopnęła go w tył głowy, a Loogan, który uwolnił jedną nogę spod jego ciężaru - w żebra. Elizabeth położyła obie stopy na grubym karku Hideaway i zaczęła go popychać. Jej podeszwy ześlizgnęły się na jego głowę, a ona wciąż popychała, opierając się ramionami o ziemię. Z całej siły wpychała jego twarz w glebę. Jego ciało drgało. Ona wciąż pchała, a jego głowa znikwała w ciemności. Nad ich głowami świeciły latarka i księżyc, a Nathan Hideaway zatonął w mroku.

Usłyszała łagodny głos Loogana. Wiatr chłodził jej ciało. Jej ramię paliło, nogi bolały. Liść spadł z drzewa i wylądował w jej włosach. Głos Loogana.

- Elizabeth, już po wszystkim.

Powoli poruszyła nogami, wpatrując się w na wpół zakopany w ziemi rewolwer. Oparła stopy o plecy Hideaway'a i usiadła na zboczu. Loogan uwolnił nogę spod jego ciała i wstał chwiejnie. Pochylił się nad Hideaway'em i przeszukał jego kieszenie. Znalazł jego klucze i klucze, które zabrał Jamesowi Peltierowi.

Wciąż siedząc, powiedziała:

- Weź pistolet.

- Nie chcę go.

- Nie możesz zostawić mu go w ręce.

Loogan rzucił pistolet na kępkę trawy obok Elizabeth. Potem klęknął i otworzył jej kajdanki kluczami Peltiera.

Chciał chwycić ją za ramię, żeby pomóc jej się podnieść. Poczula przeszywający ból.

- Poczekaj - powiedziała. - Chyba mam wybity bark - poczuła napływające do oczu łzy i przymknęła powieki. - Możemy to naprawić. To nie powinno być trudne.

Usłyszała brzęk kluczy, które Loogan włożył do kieszeni.

- Żartujesz? - spytał.

- Położę się na plecach. Zegniesz mi ramię w łokciu - sama nie jestem w stanie nim ruszać. Kąt prosty, palce do góry. Potem po prostu popchniesz ramię do siebie.

- To chyba nie jest dobry pomysł - powiedział zmartwionym głosem.

- Zrobisz to delikatnie, zegniesz je tak, jakbym miała rzucać piłkę bejsbolową. Widziałam, jak to się robi.

Otworzyła oczy. Wstał.

- Zabiorę cię do szpitala.

Odwróciła się i chwyciła jego nadgarstek prawą ręką.

- Nagle zabrakło ci odwagi? - spytała.

Elizabeth prowadziła lincolna Hideawaya jedną ręką, podczas gdy druga spoczywała na kolanie. Uniosła ramię, żeby upewnić się, że jest w stanie to zrobić. Ból zelżał znacznie.

Spojrzała na Loogana. Siedział z odchyloną głową, słyszała jego oddech. Wydawał się wykończony.

- Tam - powiedziała, kiedy przejechali jakąś milę - ten grób...

Niedokończone pytanie zawisło w powietrzu.

Uniósł się powoli. Po chwili odpowiedział.

- Wykopane doły są niebezpieczne. Niestabilne.

- On nie zapadł się sam.

- Pomogłem mu w tym. Kopalem pod spodem. - Opony lincolna zapuszczają na szosie. - Sam jest sobie winien. Nie powinien był dawać mi łopaty.

Elizabeth poprowadziła samochód przez zakręt.

- Nie wiedziałam, że taki jest plan. Powiedziałeś, że go zastrzelisz.

- Powiedziałem, że być może będę musiał go zastrzelić.

Dojechali do światła, żółte zmieniło się w czerwone. Elizabeth zatrzymała lincolna, chociaż na skrzyżowaniu nie było innych samochodów.

- Blisko stąd do szpitala, prawda? - spytał Loogan.

Wpatrywała się w czerwoną kropkę.

- Nie jadę do szpitala. Moim ramieniem mogę zająć się później.

- Myślę, że powinniśmy pojechać - powiedział.

Światło się zmieniło. Spojrzała na niego. Skrzyżował ramiona, schował dłonie pod pachami.

- Popelnilem błąd - powiedział.

Rozłożył ramiona. Palce jego prawej ręki były poplamione krwią.

- Wydawało mi się, że nie trafił.

David Loogan wszedł do izby przyjęć szpitala imienia świętego Józefa o własnych siłach. Kiedy szklane drzwi zamknęły się za nim, fluorescencyjne, białe światła zapaliły się nagle. Zakaształ w dłoń, zobaczył krew, poczuł, jak miękną mu kolana.

Pocisk z rewolweru Hideaway trafił w kamyk na ścianie grobu. Potem odskoczył. Trafił w ciało Loogana po lewej stronie, pod ramieniem. Odbił się od żebra, przebiegł przez płuco i zatrzymał się o kilka centymetrów od serca.

Kiedy zajęli się nim lekarze na pogotowiu, odkryli, że część lewego płuca przestała pracować. Zainstalowali mu plastikową rurkę, żeby zmniejszyć napięcie i napompować je na nowo. Potrzebna była operacja, która miała zatrzymać wewnętrzne krwawienie. Chirurdzy zdecydowali, że nie usuną kuli - mogła pozostać na swoim miejscu, nie czyniąc dalszej szkody.

Przez wiele godzin po operacji Loogan był na wpół nieprzytomny. Pielęgniarki przychodziły do niego, żeby sprawdzić, czy jego płuca pracują. Kazały mu dmuchać w rurki. Miały obsesję na punkcie jego oddechu, wciąż sprawdzały, czy nie tworzy się flegma. Budziły go o dziwnych godzinach, żeby osłuchać jego piersi.

Widział Elizabeth przez chwilę w niedzielę po południu, potem odwiedziła go znowu w poniedziałek wieczorem. Powiedziała mu o tym, że Casimir Hifflyn i jego żona zostali znalezieni we własnym domu, że ich śmierć została zaaranżowana tak, by wyglądała na morderstwo i samobójstwo. Opowiedziała o ręcznie napisanej notatce, która stanowić miała fałszywą spowiedź. Nie musiała przypominać mu słów Hideaway: „To niezwykle, co człowiek jest w stanie zrobić, kiedy zagrażasz komuś, na kim mu zależy. Wystarczy powiedzieć facetowi, że zabijesz jego żonę, a on przyzna się do zbrodni, z którymi nie miał nic wspólnego”.

Następnego dnia odwiedziły go dwie osoby. Pierwszą była Sarah Waishkey, która odwiedziła go, kiedy drzemał wczesnym popołudniem i zostawiła mu prezent - bransoletkę ze splecionej skóry.

Drugim gościem był policjant o nazwisku Mitchum. Loogan przeszedł się z nim po szpitalnych korytarzach i opowiedział mu o wszystkim, co robił Nathan Hideaway od chwili, kiedy pojawił się w domu Seana Wrentmore'a. Mitchum był zainteresowany wszystkim - od wystrzału, który zabił Jamesa Peltiera do finałowej sekwencji wokół grobu, na polanie w Marshall Parku. Loogan podkreślił, że Hideaway wciąż trzymał w dłoni rewolwer, po tym jak wpadł do grobu. Do samego końca stanowił zagrożenie. Elizabeth działała w obronie własnej. Mitchum kiwał tylko głową: „nie mam zamiaru temu zaprzeczać”.

Cały dzień minął, nim Loogan znów zobaczył Elizabeth. Siedzieli przy oknie w jego pokoju, za oknem rozciągało się szare, listopadowe niebo, a ona opowiedziała mu o wizycie w domu Nathana Hideaway. Razem z Carterem Shanem przeszukali jego rzeczy i znaleźli list, podobny do tego, który otrzymał Tom Kristoll. W piwnicy za domem znaleźli beczkę z lanego żelaza i ślady ługu. Domyślili się, że ciało Wrentmore'a wylądowało w beczce.

„Jego ciało nie przylega już do kości” - powiedział Hideaway.

- Możliwe, że nigdy nie znajdziemy kości - powiedziała Elizabeth do Loogana. - Myślałam, że będą na dnie stawu na tyłach domu, ale wczoraj wysłaliśmy tam nurka, który niczego nie znalazł.

Miała też inne wiadomości. Aresztowano podejrzaną o zabicie Michaela Beccantiego.

- To Rachel Kent - powiedziała. - Znaleźliśmy detektywa, którego zatrudniła, żeby śledził Bridget Shellcross. Potwierdził romans pomiędzy nią a Beccantim i to, że Kent o nim wiedziała.

Istnieją również materialne dowody. Małe ślady skóry i krwi. Podrapała się w ramię, wchodząc przez rozdartą siatkę w twoim oknie. W piątek pracownicy laboratorium pobrali próbki. Jej grupa krwi będzie się zgadzać, potem potwierdzą to badania DNA, wszystko to nie ma jednak znaczenia, bo Rachel Kent przyznała się do winy dzisiaj po południu. Pojechaliśmy do niej, żeby poprosić o próbkę krwi. Odmówiła, ale dwie godziny później przyjechała na komisariat ze swoim prawnikiem. Zabrała ze sobą dysk i list, które zabrała Beccantiemu. Jej prawnik uznał, że będziemy się o nie targować i tak się stało. Z tego, co słyszałam, prokurator zaproponował jej niezłe porozumienie.

Loogan wpatrywał się w szare niebo.

- Rachel Kent - powiedział.

- Rachel Kent - powtórzyła Elizabeth. - Hideaway miał rację.

David Loogan opuścił szpital siódmego dnia po operacji. Miał na sobie nową parę bawełnianych spodni, niebieską koszulę i denimową kurtkę, która miała chronić go przed listopadowym chłodem. Swój skórzany płaszcz zostawił w Marshall Parku.

Nowe ubrania dostał w prezencie od Bridget Shellcross, która odwiedziła go poprzedniego dnia. Rozmawiali o Cassie Hifflynie i o Michaelu Beccantim, których pogrzeby odbyły się wcześniej tego tygodnia.

Dała Looganowi swój numer telefonu i kazała obiecać, że zadzwoni do niej, kiedy będzie mógł opuścić szpital. Chciała odwiedzić go do domu. Numer był zapisany na kartce, którą włożył do kieszeni. Zadzwonił po taksówkę.

Kierowca zawiózł go pod dom. Drzwi wciąż były zaklejone żółtą taśmą. Zerwał ją, wszedł do środka i otworzył wszystkie okna. Zmienił pościel, położył się i spał do późnego popołudnia.

Obudził się głodny, umył się i zamknął okna. Zatrzasnął za sobą drzwi i zszedł po schodkach, trzymając w dłoni kluczyki. Wtedy zorientował się, że po raz ostatni widział swój samochód na parkingu pod domem Seana Wrentmore'a.

Powoli poszedł piechotą do centrum. Zjadł wczesną kolację w knajpie, w której był kiedyś z Tomem Kristollem. Potem poszedł do kina na francuską komedię.

Wyszedł z kina parę minut po dziewiątej. Po ulicach kręciły się tłumy studentów. Ruszył na zachód, na Liberty Street. Banki, restauracje, galerie. Dotarł do Main, przeszedł na światłach na jej drugą stronę. Żeby wrócić do domu, powinien pójść na południe. Poszedł na północ.

Przed kawiarnią naprzeciwko budynku, w którym mieściła się redakcja „Szarych Ulic”, zebrała się grupka studentów. Kolczyki w nosach, farbowane włosy, chmury papierosowego dymu. Loogan przeszedł obok nich, trzymając się poza zasięgiem dymu, i oparł się o okienną ramę. Spojrzał na budynek po drugiej stronie ulicy, na okno na szóstym piętrze. Świetlisty prostokąt. Po chwili zobaczył w nim cień. Wydawało mu się, że należy do mężczyzny w kapeluszu.

David Loogan wbiegł na ulicę, przecisnął się pomiędzy samochodami, szukając kluczy. Kiedy wbiegł do lobby i nacisnął przycisk windy, wciąż słyszał za sobą głośny dźwięk klaksonu. Przebiegł przez korytarz na szóstym piętrze i uderzył w drzwi „Szarych Ulic” tak mocno, że szyba się zatrzęsała. Otworzył je i pierwszym, co zobaczył, było biuro Toma Kristolla. Zapalona lampa stała na biurku, a na krześle przy nim siedziała Laura Kristoll.

Wstając, zdjęła z głowy jego kapelusz. Miała wciąż na sobie jego płaszcz, który czynił jej ramiona kwadratowymi.

- Wszystko w porządku, Davidzie?

Stała obok niego przy recepcji, położyła dłoń na jego piersi, lekko, tak jakby jej dotyk mógł go rozerwać.

- Wszystko w porządku.

- Nie podoba mi się twój oddech - powiedziała.

- Czasami mnie też się nie podoba.

- Myślałam, że jesteś w szpitalu. Co tutaj robisz?

- Zobaczyłem twój cień z ulicy i pomyślałem...

- Co?

- Nie wiem.

Spojrzała na swój trenz i na kapelusz, który rzuciła na biurko.

- Davidzie...

- To nie pierwszy raz - odpowiedział. - No bo co ja w sumie wiem? Co tak naprawdę widziałem na własne oczy? Ciało mężczyzny na chodniku, przykryte kocem. Zamkniętą trumnę. Gdyby to było opowiadanie...

- Davidzie.

- Gdyby to było opowiadanie, Tom pojawiłby się w ostatniej scenie. Wszystko by wytłumaczył. Poszlibyśmy na drinka, a on wytłumaczyłby...

Chwyliła palcami kołnierzyk jego kurtki.

- Davidzie, przestań - jej głos słabł. - Davidzie, Tom nie żyje.

Poszedł z nią do domu. Siedzieli w ciszy, kiedy jechała samochodem wzdłuż rzeki. Podjechali do domu i wysiedli, wszedł za nią przez drzwi. Zaproponowała mu coś do picia, wziął szklankę wody, a ona poprosiła, żeby usiadł na sofie, kiedy rozpalala ogień w zabytkowym kominku.

Zamknęła żelazną kratkę i usiadła obok niego, odchylając głowę do tyłu. Jej złote włosy opadły na czarną skórę. Spojrzał w górę, na drewniane belki na suficie.

Po chwili przysunęła się do niego. Chciał objąć ją ramieniem. Skrzywił się z bólu.

- Bardzo boli?

- Jest w porządku. To tylko zeszywnienie.

Ogień trzaskał w kominku.

- Powinnaś była odwiedzić cię w szpitalu - powiedziała. - Byłam na ciebie wściekła, ale to żadna wymówka. Było mi trudno pogodzić się z tym, co powiedziałeś mi w samochodzie pod domem Seana. Spytałeś, czy wiem, kto zabił Toma.

- Nie powinienem był cię o to pytać - stwierdził.

- Zraniłeś mnie - odparła. - Ale pewnie sobie na to zasłużyłam. Tak długo nie chciałam powiedzieć, co naprawdę stało się z Seanem. Powinnaś była więcej myśleć o Tomie, a mniej o tym, czego sama chciałam. Teraz wydaje mi się absurdem, że chciałam wydać maszynopis Seana. Zrezygnowałam z tego. Chcę, żebyś to wiedział.

Cienie płomieni migotały na suficie.

- Dam ci go, jeśli chcesz - ciągnęła. - Jest tutaj, w pudełku w biurze Toma. Wydruk i wszystkie kopie na dyskach. Nie chcę ich.

Powoli wypuścił powietrze.

- Nie musisz z tego rezygnować, Lauro. Napracowałeś się. Maszynopis jest twój. Nie winię cię za to, że chcesz go opublikować.

- Nie, skończyłam z tym - pokręciła głową. - Powinieneś go zabrać. - Wskazała głową na kominek. - Możemy go też spalić.

- Nie musimy go palić.

O północy położyła go do łóżka w sypialni na górze. Ułożył swoje ubrania na krześle, wszedł pod kołdrę i leżał w ciemności, wsłuchując się w jej ruchy w drugim pokoju, w trzaskanie drzwi, w szum wody płynącej z kranu. Potem weszła do sypialni we flanelowej piżamie, położyła się obok niego i zasnęła.

Obudził się w środku nocy i słuchał jej oddechu. Wstał i spojrział na zegarek - było dwadzieścia po trzeciej. Zszedł do kuchni i nalał sobie zimnej wody z kranu. Wypił ją na zewnątrz, otoczony przez gęste półkole drzew.

Kiedy wrócił, przeszedł się po pokojach na parterze, w końcu wszedł do biura Toma. Na biurku stało kwadratowe pudełko, o którym wspomniała Laura. Zapalił lampkę, srebrne płyty błyszcząły w świetle. Ułożył je po jednej stronie i zobaczył tytułową stronę maszynopisu Seana Wrentmore'a: Kłamcy, złodzieje i niewinni.

Policzył płyty - było ich siedem. Mnóstwo kopii. Głos w jego głowie podpowiedział mu jednak, że skoro jest ich siedem, może ich być i osiem.

Przeszukał szuflady i znalazł tę z podwójnym dnem, o której mówił mu Michael Beccanti. W kryjówce nic nie było. Żadnej ósmej płyty.

Zgasił lampę i wszedł do salonu. Ogień w kominku zgasł. Sprawdził, czy frontowe i tylne drzwi są zamknięte. W domu Kristollich było bezpiecznie. Już miał wejść z powrotem na górę, kiedy przypomniał sobie o drzwiach do garażu.

Poszedł sprawdzić - były otwarte. Jakiś impuls kazał mu wejść do garażu, zapalić górne światło. Biała żarówka oświetliła samochód Toma. Na ścianach wisiała kolekcja ogrodowych narzędzi. Grabie, sekator do chwastów. Trzy łopaty, jedna z nich o długim trzonku. Żadna nie nadawała się do wykopania grobu.

Jeszcze inne, na w pół znane mu przyrządy. Kosiarka do trawy w rogu. Malarska sztaluga. Polowe łóżko, na którym ułożyli z Tomem ciało Seana Wrentmore'a. Tarcza do rzutek.

Na jej środku kawałek metalu. Fragment korka oderwał się, ukazując stal. Loogan dotknął jej palcem i poczuł nacięcie. Płytkie, okrągłe. Jak ślad po kuli.

Rozdział 41.

- Davidzie.

- Ona zabiła Adriana Tully'ego.

Elizabeth Waishkey zaplotła warkoczyki ze swoich długich, kruczych włosów. Miała na sobie rozpiętą na górze koszulę, na szyi szklane koraliki. Niebieskie dzinsy podarte na kolanach. Stała w drzwiach, trzymając w dłoni ścierkę. Wyglądała, jakby przerwano jej prace domowe.

W oczach Davida Loogana błyszczała niczym anioł. Jej koszula była biała, ścierka też. Nieziemska, świecąca biel. Szklane paciorki błyszczały.

- Davidzie - powiedziała - jesteś błądy. - Wyszła na ganek i spojrzęła na ulicę. - Mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu pieszo.

Loogan spędził bezsenną noc na skórzanej kanapie w domu Kristollich, a rano poprosił Laurę, żeby zawiozła go do domu. Przejechali obok domu Seana Wrentmore'a, licząc na to, że uda im się znaleźć samochód Loogana, jednak nie było go na parkingu. Zadzwoził w kilka miejsc z domu i odnalazł go - został skonfiskowany przez policję. Musiał poczekać jeden dzień, żeby go odebrać, bo parking był zamknięty w niedzielę.

Nie wytłumaczył tego Elizabeth. Machnął ręką.

- Nie mam samochodu.

- Jak długo szedłeś?

- Nie wiem - wydawało mu się, że trwało to około dwóch godzin, chociaż nie powinno mu zająć aż tyle czasu. Po pierwszej godzinie zdał sobie sprawę, że powinien był zadzwonić po taksówkę.

Pod koniec trochę się zgubił, chodził w kółko. Trochę kręciło mu się w głowie - to pewnie dlatego Elizabeth Waishkey migotała mu przed oczami.

- Nie wydajesz się zaskoczona - powiedział.

Pokręciła głowę.

- Ależ jestem. Nie spodziewałam się, że pojawisz się w moich drzwiach. Jednak teraz, kiedy już tu jesteś, powinieneś wejść.

- Chodziło mi o to, że nie wyglądałaś na zaskoczoną, kiedy powiedziałem ci, że to ona zabiła Tully'ego. Nie spytałaś nawet, o kim mówię.

- Davidzie...

- Laura Kristoll - powiedział. - Widziałem się z nią wczoraj wieczorem. Poszedłem do jej domu.

- Tak.

Usłyszał coś dziwnego w jej głosie.

- Już o tym wiedziałaś - powiedział. - Obserwujecie ją.

Elizabeth położyła mu dłoń na ramieniu.

- Davidzie, wejdz. Usiądziemy.

- Nie chcę ci przeszkadzać w niedzielne popołudnie.

- Powinieneś usiąść. Nie wyglądasz najlepiej.

Loogan oparł się o białą poręcz na ganku, żeby ją uspokoić. Listopadowe słońce oślepiało go. Świeciło nawet pod daszkiem, gdzie właściwie powinien być cień.

- Od jak dawna ją obserwujecie?

Elizabeth cofnęła się o krok. Rzuciła białą ścierkę na ramię w białej koszuli.

- Nie obserwowaliśmy jej. Obserwowaliśmy budynek „Szarych Ulic”. Chodzi o to, że na pewien czas do miasta przyjechały media z całego kraju. Nathan Hideaway zapewnił im ciekawą historię. Reporterzy jeździli za Bridget Shellcross i za Laurą, a komuś wpadł do głowy błyskotliwy pomysł włamania do biura Toma Kristolla w redakcji. Próbował zrobić zdjęcia, żeby sprzedać je tabloidom. Zdjęcia z miejsca zbrodni Hideaway’a.

Postanowiliśmy zatem obserwować budynek. Jeden z policjantów przyjechał tam wczoraj i zobaczył wychodzącą z lobby Laurę. Byłeś z nią. Pojechał za wami.

Loogan przymknął oczy.

- Dlaczego?

- Policja interesuje się Laurą Kristoll - powiedziała Elizabeth, wzruszając ramionami. - Jest parę osób, które nie mogą jej wybaczyć, że ukrywała informacje na temat śmierci Seana Wrentmore'a. Część z nich ucieszyła się, że pojechałeś z nią wczoraj do domu. Uznali to za dowód, że powraca do swojego

romansu z przyjacielem męża. To stawiają w złym świetle. Mieliśmy spotkanie na ten temat dziś rano.

- Naprawdę? To wystarczy jako powód spotkania?

- To było krótkie spotkanie - odparła Elizabeth. - Powiedziałam im, że się mylą. Nie rozumieją twoich motywów. Wciąż wydaje ci się, że jesteś bohaterem opowiadania. Jeśli spędziłeś noc w domu Kristollich, zrobiłeś to dlatego, że bawisz się w detektywa.

Loogan spojrział w dół, na balustradę ganku. Świeciła nieco słabiej. Widział pęknięcia w farbie.

- Nadszedł czas, byś ponownie przypomniała mi, że to nie jest opowiadanie w „Szarych Ulicach”.

- Nigdy nie zwracałeś na to uwagi.

Przeciągnął kciukiem po powierzchni balustrady.

- Pamiętasz, co Hideaway powiedział o Adrianie Tullym? Że jego śmierć była dokładnie tym, czym się wydawała - samobójstwem. Nie wierzysz w to, prawda?

Podeszła do niego bliżej.

- Ty na pewno w to nie wierzysz.

- Laura go zabiła - powiedział. - Wiem, że tak było. Wszystko się wyjaśniło dzięki drugiej kuli. Namówiła Tully'ego, żeby się z nią umówił na tym polu, wsiadła do jego samochodu i strzeliła mu w głowę. Potem drugi strzał - ten, dzięki któremu na jego ręce został proch. Tylko że nigdy nie znaleźliście drugiego pocisku.

- Nie.

- Bo nie został na polu - wyjaśnił Loogan. - Laura zabrała go ze sobą. To właśnie zrozumiałem wczoraj w nocy. Na ścianie jej garażu wisi tarcza do rzutek. Jest gruba, zrobiona z korka. Zabrała ją ze sobą, kiedy jechała na spotkanie z Tullym, a kiedy go zastrzeliła, ustawiła ją na poboczu. Musiała ją na czymś umocować - na przykład na malarskiej sztaludze. Ją też znalazłem

w garażu. Potem wróciła do samochodu, włożyła mu w rękę pistolet i wystrzeliła przez otwarte okno po stronie pasażera, prosto w tarczę. Pocisk utkwił w korku. Zabrała wszystko ze sobą. Potem pozbyła się pocisku.

Elizabeth oparła się o balustradę obok niego. Zdjęła ścierkę z ramienia i zaczęła ją składać w kostkę.

- Lubisz kurczaka, Davidzie? - spytała.

Minęła chwila, zanim udało mu się zrozumieć pytanie. Światło wydawało się mniej intensywne, jednak szkło na jej szyi wciąż migotało w słońcu.

- O czym ty mówisz? - spytał.

- Niektórzy ludzie nie lubią - odparła. - Ale nie wydaje mi się, żebyś do nich należał. Mamy kurczaka na kolację. Sarah go zrobiła. Zazwyczaj to ona gotuje. Wydaje mi się, że przyprawiła go cytryną i pieprzem i zapiekła z ryżem i brokułami. Na pewno wystarczy dla trzech osób.

David Loogan puścił barierkę. Już nie kręciło mu się w głowie.

- Przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był nachodzić cię w domu i przeszkadzać w kolacji.

- Nie przeszkadzasz. Jeszcze nawet nie zaczęliśmy robić sałatki. Powinieneś wejść, zjemy coś i porozmawiamy. Możemy rozmawiać o czymkolwiek. Nawet o Adrianie Tullym, jeśli tylko chcesz.

- Po to tu przyszedłem - powiedział.

- I tak już wszystko wiesz.

Spojrzał na nią trzeźwo.

- Nie wymyślam tego. To wszystko jest w garażu Laury Kristoll - sztaluga, tarcza. Zabiła go.

Elizabeth stała bardzo blisko.

- Oczywiście, że tak. I ujdzie jej to na sucho. Prawdopodobnie było dokładnie tak, jak to opisałeś. Ale pocisku nie da się już znaleźć. Nigdy nie zostanie osądzona. A nawet gdyby proces się odbył, nie zostałaby skazana. Śmierć Tully'ego wygląda na samobójstwo. A nawet gdyby ustalono, że został zamordowany, Nathan Hideaway byłby oczywistym podejrzanym. Zabił Toma i chciał, żeby podejrzewano o to kogoś innego. To jego motyw. Hideaway osłania Laurę. Jest jej „uzasadnioną wątpliwością”.

Loogan słuchał jej z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Nie wydajesz się zmartwiona, że ujdzie jej to na sucho. Nie przeszkadza ci to?

Po jej spojrzeniu poznał, że powiedział coś niewłaściwego. Odpowiedziała obojętnym tonem:

- Dobija mnie to.

- Co z tym zrobimy? - spytał.

Odwróciła się.

- Zjemy kolację, Davidzie. To nie jest opowiadanie w „Szarych Ulicach”.

- Nie wiem, czy uda mi się z tym pogodzić.

Otworzyła drzwi domu.

- Ja też nie wiem, ale będziesz musiał spróbować. Obawiam się zresztą, że najgorsze przed nami.

Zrobił krok naprzód, drewniana podłoga zaskrzypiała.

- Co masz na myśli?

- Nie jesteś pełen praworządnej złości z powodu zabójstwa Adriana Tully'ego. To nie z jego powodu przeszedłeś kilka mil, żeby się tu dostać. Nie obchodzi cię, czy Laurę Kristoll zamkną za zabicie go. To nie o tym musimy porozmawiać.

Gdzieś za gankiem słońce musiało rozbłysnąć na nowo, bo biały blask znów pojawił mu się przed oczami. Loogan oparł się o drzwi.

- Nie, chodzi o Toma - powiedział. - Sądzę, że Laura wiedziała, że Hideaway zamierza go zabić.

Kiedy Loogan otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że leży na kanapie, pod kocem. Przez cieniutkie firanki dobiegało białe światło zza okna.

Na krześle obok niego siedziała dziewczyna. Nogi trzymała na stole, na jej kolanach leżało czasopismo. Bawiła się kosmykiem kruczych włosów. Sarah Waishkey.

Loogan przypomniał sobie, że Elizabeth przyprowadziła go do domu i posadziła na kanapie. Przypomniał sobie, że chciał chwilę odpocząć. Nie pamiętał chwili, kiedy zdjął z siebie kurtkę, ale leżała ona złożona na stoliku, przy nogach Sary.

Loogan przewrócił się na bok.

- Jak długo spałem?

Dziewczyna podniosła głowę i zamknęła pismo. Był to numer „Szarych Ulic”.

- Niezbyt długo - odpowiedziała.

- Gdzie jest twoja mama?

- Na zewnątrz. Poszła odprowadzić Lillian Eakins do samochodu.

- Lillian Eakins?

- Mama do niej zadzwoniła. Mieszka niedaleko. Przyszła zmierzyć ci temperaturę i sprawdzić, co się dzieje w płucach.

- Jest lekarką?

- Koronerem.

Loogan zachichotał, zdjął z siebie koc i podniósł się.

- Jeszcze żyję.

- To właśnie ustaliła - powiedziała Sarah, odkładając na bok magazyn. - Jak się czujesz?

- Jestem zmęczony.

- Strzelono ci w serce - uśmiechnęła się.

- Niedokładnie tam.

- Ale blisko. Powinieneś odpocząć. Już po wszystkim.

- Nie byłbym taki pewien.

- Już po wszystkim. Nathan Hideaway nie żyje. Mama opowiedziała mi całą historię. Uratowałeś jej życie.

- Można to tak ująć - odparł Loogan.

- Można to ująć inaczej?

- Gdyby nie ja, nic by jej nie groziło.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

- Nie możesz się o wszystko obwiniać - powiedziała. - Chcesz trochę mrożonej herbaty?

Szukając butów, zastanowił się nad odpowiedzią.

- Tak.

- Nie wstawaj. Przyniosę ci.

Zobaczył swoje buty pod stolikiem i stwierdził, że mogą tam zostać. Sarah przyniosła mu wysoką szklanke, pełną mrożonej herbaty. Elizabeth przyszła razem z nią.

- Jak się czujesz? - spytała Loogana.

- Dobrze się czuje - powiedziała Sarah. - Powiedziałam mu już, że żyje.

Dziewczyna postawiła szklankę na stole i wróciła do kuchni. Elizabeth usiadła na krześle obok Loogana. Dotknęła dłonią koralików na szyi.

- Rozmawialiśmy o Tomie Kristollu - powiedziała.

- Zająłem ci już i tak za dużo czasu - odparł. - Kolacja na was czeka.

Założyła nogę na nogę.

- Porozmawiamy o Tomie. Musisz to z siebie wyrzucić.

Loogan sięgnął po szklankę z herbatą. Upił łyk. Elizabeth przyglądała mu się cierpliwie.

- Laura przysłała do mnie tej samej nocy, kiedy zginął Tom.

- Tak.

- To nie był zbieg okoliczności.

Przesuwała palcami po koralikach.

- Dlaczego nie?

- Mieliśmy się wtedy spotkać, Tom i ja - ciągnął Loogan. - Gdyby Laura nie przysłała, byłbym w biurze Toma, kiedy przyszedł do niego Hideaway.

- To i tak mógł być zbieg okoliczności. Czy Laura wiedziała, że umówiłeś się z Tomem?

- Nie ode mnie. Ale niewykluczone, że Tom jej powiedział. A nawet jeśli nie, wiedziała, że często wieczorami umawialiśmy się na drinka w jego biurze. Chciała być pewna, że nie wyjdę z domu. Wiedziała, co zrobi Hideaway.

- Mogła jednak myśleć, że Hideaway przyjdzie tylko porozmawiać.

- Wiedziała, jakie jest ryzyko. Wiedziała, co może się stać, jeśli Tom nie da się przekonać. Sądzę, że chciała, żeby Toma uciszono, nieważne, w jaki sposób. Miała ten sam motyw, co Hideaway. Nie

chciała, żeby Tom poszedł na policję, żeby powiedzieć im o Wrentmorze. To Laura redagowała jego maszynopis. Ciężko nad nim pracowała. Uważa, że należy do niej, chce go opublikować. Zabiła Adriana Tully'ego, bo wiedział o tym, co stało się Wrentmore'owi i nie wierzyła, że zachowa to dla siebie. Z tego samego powodu pozwoliła Hideawayowi zabić Toma.

Loogan wpatrywał się w krawędź swojej szklanki.

- Kłamała bez przerwy - powiedział. - Wciąż udaje, że nie wiedziała, że to Hideaway zabił Toma. A co najgorsze, jakaś część mnie wciąż chce jej wierzyć. Chciałbym wierzyć, że zabiła Adriana Tully'ego z zemsty, że sądziła, że to on zabił Toma. To jeden z powodów, dla których tu przyszedłem. Jakaś część mnie miała nadzieję, że przekonasz mnie, że się mylę.

Elizabeth przekręciła się na krześle.

- Chciałabym móc to zrobić. Ale Laura nie zastrzeliła Adriana Tully'ego z zemsty.

- Wiem - powiedział łagodnie Loogan.

- Wiedziała, że to nie on zabił Toma. Nie ma co do tego wątpliwości. Hideaway uderzył Toma Dziełami zebranych Szekspira. Zdjął z książki obwolotę, żeby nie zostawić odcisków palców. Potem znaleźliśmy kawałek obwoluty pod fotelem w samochodzie Tully'ego. Ktoś podłożył ją tam, żeby go zrobić.

- Laura to zrobiła.

Elizabeth pokiwała głową.

- Jeśli był to kawałek tej samej obwoluty, to znaczy, że dostała ją od Hideaway'a. Jeśli to była inna obwoluta, Hideaway musiał jej powiedzieć, jaką książką uderzył Toma i że zabrał obwolotę ze sobą. Nigdy nie rozmawiałam z nią o tym szczególnie, nie pisano też o tym w gazetach. Tak czy inaczej, Laura wiedziała, że Hideaway zabił Toma - przynajmniej wiedziała już o tym po fakcie.

- Nie. Wiedziała o tym wcześniej. Wiedziała, co się stanie z Tomem.

- Możesz mieć rację. Możliwe, że współpracowała z Hideawayem od samego początku. Nikt jednak nie udowodni tego przed ławą przysięgłych. Laura ma dobrego prawnika, a nawet słaby prawnik potrafiłby zbudować linię obrony: Hideaway zabił Toma, potem Tully'ego, a ona nie miała z tym nic wspólnego.

Loogan oparł się o poduszki na kanapie.

- Zapewne fakt, że Hideaway nie przyznał się do zabicia Tully'ego, nie ma znaczenia. Wtedy, w nocy, na polanie powiedział, że Tully popełnił samobójstwo.

Elizabeth potarła podbródek szklanymi paciorkami.

- Byłoby lepiej, gdyby ją wydał - powiedziała. - Możliwe, że o niczym nie wiedział. Może opowiedział jej o tym, jak zabił Toma, a ona sama zdecydowała, że pozbędzie się Tully'ego. Kiedy Hideaway dowiedział się o jego śmierci, mógł zacząć ją podejrzewać, ale nie być pewny. Sądzę jednak, że prawda jest prostsza. Wiedział, co zrobiła, ale chciał być lojalny i nic nie powiedział nawet tamtej nocy na polanie - sam przyznał się do winy, ale jej winę zachował w sekrecie.

Światło za oknem zbladło, w pokoju zrobiło się ciemniej. David Loogan oparł głowę o poduszki.

- A zatem Laura nie poniesie żadnych konsekwencji.

- Będzie musiała żyć z duchem swojego męża przez długi czas - powiedziała Elizabeth cicho. - To już coś. A jeśli chodzi o maszynopis - myślę, że uda mi się powstrzymać jego publikację raz na zawsze. Mamy go na dysku, który dała nam Rachel Kent. Upewnię się, by rodzina Seana Wrentmore'a dostała kopię. Mogą zablokować jej wydanie.

- To nie wystarczy.

- Niewykluczone, że to wszystko, co możemy zrobić.

Loogan zamknął oczy.

- Oboje wiemy, że zabiła Adriana Tully'ego. Mogłoby udać nam się wyciągnąć z niej wyznanie winy. Możemy to nagrać.

- Ona nic nie powie, Davidzie.

- Na pewno mogę coś zrobić.

- Możesz dać temu spokój. To nie twój problem.

Powoli otworzył oczy. Elizabeth wstała. Ręce trzymała w kieszeniach dżinsów. Rękawy jej białej koszuli były podwinięte do łokci.

- Czy powiesz mi teraz, że nie jestem za to wszystko odpowiedzialny?

- Sam to wiesz - odparła. Wyciągnęła prawą dłoń z kieszeni i podała mu ją. - Idę zjeść kolację z moją córką. Dołączysz do nas?

O pierwszej w nocy David Loogan obudził się, słysząc, jak poruszona wiatrem gałąź uderza o szybę. Usiadł na kanapie i w świetle stojącej w kącie lampy zobaczył, że jest sam w pokoju. Z jednej jego strony leżały poduszka i koc, z drugiej - ręcznik i szczoteczka do zębów.

Wszedł na górę i znalazł łazienkę w nocnym półmroku. Umył zęby, zrobił kilka innych rzeczy. Potem, w korytarzu, spojrzął na na wpół otwarte drzwi, zauważył światło księżyca na kocu.

W kuchni nalał sobie szklankę mleka i wypił je w drzwiach otwartej lodówki. Resztki zapiekanki z kurczaka znajdowały się na przykrytym talerzu na górnej półce.

Na ladzie stały w rzędzie trzy jabłka. Po kolacji Sarah Waishkey demonstrowała swoje zonglerskie zdolności. Potem odbyło się kilka partii Scrabble'a. Potem film - western pokazywany w

kablówce. Popcorn. Nikt nic nie mówił o tym, że Loogan powinien zostać. Ani o tym, że powinien wyjść.

Loogan skończył swoje mleko i wszedł do salonu. Rozłożył koc na kanapie, poprawił poduszkę. Usłyszał jakiś dźwięk za oknem, gałąź ponownie uderzyła o szybę. Sprawdził, czy okno jest zamknięte. Było.

Przeszedł przez pokoje na parterze, sprawdzając wszystkie okna. Kuchnia była ostatnia. Dwa okna wychodzące na ulicę. Stracił czujność - o mało nie przeoczyłby sylwetek dwóch osób stojących na trawniku.

Otworzył frontowe drzwi i wyszedł na ganek, nie zastanawiając się długo. Powietrze było nieruchome, panowała absolutna cisza. Nie słyszał nawet własnych kroków.

Światło ulicy rzucało cień na drzewo rosnące na trawniku, a w cieniu tym stało dwóch mężczyzn, których rozpoznał. Żaden z nich nie wyglądał tak, jak powinien. Jimmy Wade Peltier był szczuplejszy i bledszy, niż zapamiętał go Loogan. Przez ciało na jego twarzy widać było kontury czaszki. Nathan Hideaway również był nieco mniejszy, choć wciąż wysoki. Miał szerokie usta, kwadratową szczękę i grzywę siwych włosów, jednak było w nim coś niematerialnego. Trudno było odróżnić go od cienia drzewa.

Żaden z nich nie wydał z siebie dźwięku, a jednak rozmawiali ze sobą. Jimmy Peltier machał nożem. Hideaway miał w dłoni swój czarny rewolwer. Looganowi wydawało się, że za chwilę rozpocznie się bójka, tak się jednak nie stało. Dobijali targu. Wymienili się - Peltier wziął rewolwer, Hideaway zadowolili się nożem.

Kiedy Peltier wycofywał się, zdawało się, że po raz pierwszy zauważył Loogana. Uśmiechnął się i triumfująco uniósł rewolwer do góry. Napiął mięśnie ramion pod podartą koszulką. Odwrócił

się i ruszył przed siebie pustą ulicą. Nathan Hideaway zobaczył Loogana w tej samej chwili. Stał nieruchomo na trawniku i pozwolił, by Loogan do niego podszedł. Miał na sobie ten sam sweter i te same sztruksy, co na polanie.

Obaj patrzyli, jak Jimmy Wade Peltier oddala się chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Loogan już go nie widział, jednak Hideaway patrzył w jego stronę przez dłuższą chwilę.

- Brak mu stylu, nie jest zbyt bystry - powiedział wreszcie Hideaway. - Gdybym był na twoim miejscu, nie martwiłbym się, że go zabiłem.

W jego głosie był jakiś podtekst, niczym szum zeschniętych liści.

- Nie powinieneś być dawać mu pistoletu - Loogan usłyszał swój głos. - Był wystarczająco niebezpieczny, kiedy miał tylko nóż.

Hideaway spojrzał na Loogana przeszywającym wzrokiem.

- To mu nie pomoże - powiedział. Uniósł nóż i uderzył nim w gałąź drzewa. Ostrze przeszło ją, nie czyniąc szkody.

Patrząc przez ciało Hideaway, Loogan widział światło na ganku jednego z budynków po drugiej stronie ulicy.

Hideaway spojrzał na swoje odbicie w ostrzu noża.

- Skoro jestem w stanie się zobaczyć - powiedział - być może istnieję gdzieś, w jakiś sposób. Jak sądzisz?

Loogan zignorował pytanie. Odwrócił się i spojrzał na ulicę, gotowy, by dostrzec jakikolwiek ruch. Nic tam jednak nie było. Nad jego głową nieruchoma chmura zasłaniała księżyc.

- Co ty tu robisz? - spytał Hideaway.

Mężczyzna złożył nóż i schował go do kieszeni.

- Przyszedłem, żeby cię nawiedzić - powiedział. - Zastanowiłem się nad tym jednak i wydaje mi się, że byłoby to nudne zajęcie.

- Widziałeś się z Tomem?

Hideaway westchnął.

- Oj, nudne. Czemu nie spytasz mnie, czy widziałem się z Bogiem?

- Widziałeś się?

- Jeszcze nie.

- A z Tomem?

- Nie sądzę, byśmy trafili w to samo miejsce.

Loogan pochylił się naprzód.

- To znaczy, że on wciąż żyje?

- Byłby niezły, gdyby wciąż żył - powiedział Hideaway. Uniósł prawe ramię i pokazał gestem ciało spadające z kilku pięter. Jego lewa ręka udawała chodnik na dole. Kiedy dłonie się spotkały, nie wybrzmiał żaden dźwięk. - Czego od niego chcesz?

- Znasz odpowiedź na to pytanie.

- Nudy - odparł Hideaway. Spojrzał Looganowi przez ramię, na dom detektyw Waishkey. - Wracaj do środka - powiedział. - Jeśli spotkam Toma, wyślę go do ciebie. - Ruchem stopy odgonił Loogana. - Idź. Te dwie kobiety cię uwolniły. Nie znajdziesz nic lepszego.

Odwrócił się i ruszył chodnikiem naprzód. Wyjął z kieszeni nóż i wpatrywał się w niego, podziwiając swoje odbicie.

- Poczekaj! - powiedział Loogan, nie poruszając się jednak.

Hideaway nie odpowiedział. Zniknął niemal natychmiast, nim jeszcze doszedł na koniec ulicy.

Gdy już go nie było, powróciły dźwięki i ruch - gałęzie drzew kołysały się na wietrze. Z daleka dobiegał szum silnika. Jakiś kot przeszukiwał puszek na niedalekim śmietniku.

Loogan usłyszał za plecami otwierające się drzwi, lekkie kroki na skrzypiącej, drewnianej podłodze. Usłyszał głos Elizabeth Waishkey:

- Wszystko w porządku?

Odwrócił się i spojrzał na nią. Miała na sobie długi, ciasno owinięty szlafrok. Jej włosy w świetle księżyca były czarne i błyszczące. Była bosa.

- Czy coś się stało? - spytała. - Ktoś tu był?

Zawahał się, ale tylko przez chwilę.

- Nie - odpowiedział.

- No to wejdź - poprosiła. - Wyśpij się.

Podziękowania:

Chciałbym podziękować Amy Einhorn i Victorii Skurnick, dzięki którym dobre rzeczy przydarzały się mnie i tajemniczemu panu Looganowi.

Jestem wdzięczny za wsparcie mojej nowojorskiej rodzinie: rodzicom - Carolyn i Mike'owi, bratu Terry'emu i siostrze Michelle. I Lindzie Randolph, która jest moją rodziną w Michigan.

Dziękuję również Ellen Paul, Tamarze Sharp, Elizabeth Carter, Monice Verma, Janowi Ollila i Markowi Fowlerowi.